

**Settler's Rider
Północne Idaho
Listopad 1998**

I

Pomóż mi!

Maggie zamarała. Pudełko po kawie, którego używała do odmierzenia owsa, wysunęło jej się z palców i upadło na podłogę. Ziarno się rozsypało. Konie poderwały łby i zarżały. Ugięły się pod nią nogi. Chwyliła się słupka, który podtrzymywał wyższą kondygnację, gdzie przechowywano siano.

Maggie, proszę! Tylko ty możesz mi pomóc.

- Maria Teresa? - Maggie poruszyła wargami, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk.

Czy to możliwe? Czyżby po tylu latach usłyszała głos siostry? Nagle w stajni zrobiło się duszno. Choć wiszący przy drzwiach termometr wskazywał dziesięć stopni Celsjusza, poczuła zimny pot.

To był Thane. On mi to zrobił.

Głos pulsował w jej mózgu.

Thane Walker. Były mąż Marii Teresy i jedyny mężczyzna, którego Maggie nie chciała widzieć na oczy.

- Co zrobił?

Tym razem wydobyła z siebie głos, choć gardło miała ściśnięte, a w ustach brakowało śliny.

Maggie, proszę, nie pozwól, żeby uszło mu to bezkarnie.

- Gdzie jesteś? - krzyknęła, odwracając się gwałtownie.

Patrzyła na stare krokwie, między którymi zadomowiła się sowa. W smudze światła padającego z okna wirowały pióra i pyłki kurzu. Wiedziała, że słowa są zbędne. Maria Teresa była o setki kilometrów stąd. Daleko. Tak cholernie daleko. Zaciskając powieki, Maggie próbowała myślami przenieść się tam, gdzie mogła przebywać jej siostra bliźniaczka. Bez rezultatu. Jak zwykle, zresztą. Nie przestawała jednak próbować, wołając w myślach z całej mocy: Mario Tereso, słyszysz mnie? Słyszysz? Co ten bydlak ci zrobił?

Odczekała chwilę. Cisza. Obok prychnęła zniecierpliwiona klacz.

- Jeśli to jakiś głupi kawał... - powiedziała, a serce waliło jej jak oszalałe. - Mario Tereso, przysięgam...

Konie wyczuły napięcie i niespokojnie kręciły się w boksach. Drżały pod derkami. Słoma szeleściła. Maggie wzdrygnęła się. Przeszył ją dreszcz, jak zawsze, gdy Maria Teresa kontaktowała się z nią w tak specyficzny sposób. Przekazywanie myśli na odległość. Instynkt. Magia. Czary. Pozazmysłowa percepcja. Jasnowidztwo. Maggie знаła na pamięć te wszystkie terminy i przypisywane im często ironiczne znaczenie. Wiedziała, że wiele osób uważa ją za ekscentryczkę albo, jeszcze gorzej, za kompletną wariatkę. Powoli opuściła rękę. Drzazgi ze słupka wbiły jej się w dłoń. Opadła na kolana. Głowę oparła na twardym, masywnym drewnie. Skoncentrowała się. Zaczęła równomiernie oddychać. To ją uspokajało.

Spróbuj, Mario Tereso, spróbuj. Jeszcze jeden raz.

Niemal do bólu zacisnęła oczy, wyteżyła słuch. Do jej uszu dotarł szelest deptanej przez konie słomy, odgłos pazurków myszy, które chowały się w szparach.

- Nie przerywaj - wyszeptała. - Przygryzła dolną wargę, aż poczuła krew.

Nic.

- Do jasnej cholery, Mario Tereso... Markizo, czy za kogo tam się jeszcze uważasz. Odezwij się!

Choć w stajni było lodowato, złana była potem.

- Mario Tereso...

- Mamo?

Z daleka usłyszała głos Becky. Drzwi stajni otworzyły się ze skrzypieniem. Do dusznego, zatęchłego pomieszczenia wdarł się promień dziennego światła.

- Cześć, dobrze się czujesz?

- Świetnie - wydusiła.

Podniosła się i otrzepała kurz z dzinsów. W nadziei, że choć trochę zamaskuje kłamstwo, uśmiechnęła się słabo.

Piegowata, z nieco zbyt wielkimi oczami i trochę za poważna, jak na swoje trzynaście lat Becky, nie dała się łatwo zwieść.

- Co ty z tym robisz? - Ruchem głowy wskazała na słupek. - Modlisz się?

- Nie...

- Przecież klęczałaś, mamo. Miałaś atak serca, jakieś porażenie, czy co?

- Właśnie karmiłam konie i musiałam... odpocząć.

Kłamstwo było absurdalne, ale co miała powiedzieć? Że siostra, od której od miesięcy nie miała wiadomości, nawiązała z nią telepatyczny kontakt? Wiedziała, że nikt w to nie uwierzy, zwłaszcza jej własna córka.

Becky popatrzyła na pustą puszkę po kawie i na jutowy worek z obrokiem.

- Twoja sprawa.
- Tak było. Właśnie... no cóż, skoro chcesz znać prawdę...
- To byłoby coś nowego.
- Becky... - zaczęła z wyrzutem, ale pohamowała się.

Napięcie między matką a córką było aż nazbyt wyczuwalne. Jak to się stało? - myślała. Przecież kiedyś byliśmy nierozłączne.

O Boże, jak wytłumaczyć ten rodzaj więzi, który jest między mną i siostrą bliźniaczką, zastanawiała się. Zwłaszcza że tak dawno nie porozumiewaliśmy się w ten sposób.

- To... to był... pewien rodzaj czarów - powiedziała.
- Rodzaj czarów? - powtórzyła Rebecca. Kiwnęła głową, jakby tylko takiej odpowiedzi mogła oczekiwać od matki. Nie ufała kobiecie, która jednym ruchem ręki zniszczyła jej życie. Zniecierpliwiona przewróciła oczami i odwróciła się.

Maggie rozboleła głowa. Czowała pulsowanie w skroniach. Dłonie zacisnęła w pięści. Tak bardzo pragnęła powiedzieć Becky prawdę, ale gdyby to zrobiła, córka uznałaby ją za wariatkę. Każdy, komu próbowała wytłumaczyć ten dziwny rodzaj kontaktu z Marią Teresą, reagował identycznie.

- Tak. Rodzaj czarów. Kiedy będziesz starsza...
- Masz dopiero trzydzieści siedem lat. Ciągłe mi powtarzasz, że to jeszcze nie taki straszny wiek. Trzydzieści siedem lat, a chwilami czuję, jakbym miała siedemdziesiąt, pomyślała Maggie.
- Może powinnaś pójść do lekarza. Do innego lekarza. - Pod sarkazmem kryła się odrobina troski.
- Może powinnam. - Maggie podniosła puszkę i zdjęła miotłę z gwoździa. - To nic poważnego.

Choć nadal była zdenerwowana, energicznie zmiotła ziarno. Może w ogóle niczego nie słyszała? Może jest tylko przepracowana, wyczerpana po przeprowadzce i po tych wszystkich emocjach?

Becky uniosła szczupłe, dziewczęce ramię. Pod luźną bluzą i wyblakłymi dzinsami widoczne były nieśmiałe kobiece kształty.

- Chyba się przejadę.
- Niedługo zajdzie słońce.
- Nie pojedę daleko. A w ogóle, co cię to obchodzi?
- Obchodzi, i to bardzo.
- Wezmę Jaspera. Sama mówiłaś, że nie znasz drugiego tak pewnego i bezpiecznego konia.

Nie warto się było sprzeczać. Becky miała rację.

- Tylko wracaj szybko, dobrze? Na kolację. Zanim zrobi się ciemno.

Powiesiła miotłę i nabrała kolejną porcję owsa.

- Nie ma obawy, nikt mnie na tym odludziu nie porwie - powiedziała Becky, ściągając wodze. - To nie cywilizowana Kalifornia, skąd przyjechałyśmy.

- Uważaj na wszelki wypadek.
- Zawsze to robię.
- Weź Barkleya.
- I tak polecą, czy będę chciała, czy nie, ale z niego żaden obrońca.
- Tylko poczekaj, aż Jasper zje.

Becky znowu przewróciła oczami i westchnęła teatralnie. Posłuchała jednak. Przerzuciła wodze przez górną poprzeczkę boksu, chwyciła widły i dorzuciła siana do żłobu. Pracowały razem bez słowa, a sprzeczka wisiała w powietrzu. Maggie całym wysiłkiem woli starała się zachować milczenie, a już na pewno nie krytykować córki. Cierpliwości, powiedziała sobie. Pretensje i niechęć znikną. Potrzeba na to czasu. Dużo czasu.

Gdy Becky była przekonana, że cały świat sprzysiągł się przeciwko niej, a wszystko to przez matkę, jedno słowo Maggie mogło wywołać burzę. Kobieta nauczyła się trzymać język za zębami w takich chwilach. Poza tym Becky oczekiwała odpowiedzi, a cóż Maggie mogła jej powiedzieć? Że karmiła konie, gdy usłyszała głos siostry? Dotarł do niej akurat tutaj, w stajni, z odległości setek, może tysięcy kilometrów?

Gdy Jasper najadł się do syta, Becky wyszczotkowała go i osiodłała. Założyła uzdę i wyprowadziła siwego wałacha na pastwisko. Pozostałe w stajni stadko prychnęło, zbiło się w gromadkę, podrzucało do góry łbami, jakby i one miały już dosyć zamknięcia. Maggie oparła się ramieniem o framugę drzwi i patrzyła, jak Becky dosiada konia. Dziewczynka zagwizdała na Barkleya, owczarka alzackiego, którego przygarnęły. Pies, z nadszarpiętym prawym uchem i okulała tylną łapą, pobiegł za nią. Bez trudu przemierzał na trzech łapach rozległe suche tereny, osłonięte od zachodu przez góry Bitterroot.

Maggie zmarzła. Dzisiaj kurtka zdawała się nie chronić jej przed chłodem nadchodzącej zimy. A może to dlatego, pomyślała, że jesteśmy takie samotne? Były same, tak jak tego chciała. Jak najdalej od wielkiego miasta i od bolesnych wspomnień z Los Angeles.

Becky przywarła do grzbietu Jaspera i pogalopowała. Pies, mimo okaleczeń, których doznał w nierównej walce z szopem, dotrzymywał im kroku. Becky i Barkley, dwie zranione istoty, pomyślała zatroskana Maggie.

Udawała, że nie słyszy złowieszczygo wycia kryjącego się gdzieś w oddali kojota. Na niebie pokazał się księżyc - uśmiechnięty, opalizujący rogalik. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, gdzie pióropusz odrzutowca przeciął niebo i zniknął za cienką zasłoną zbierających się chmur. Na pastwiskach bydło przeżuwało trawę, machając ogonami. Zwierzęta kręciły się w pobliżu strumienia, którego wartki nurt przecinał pola.

Tak, to spokojne miejsce, pomyślała. I bezpieczne.

Do najbliższego sąsiada był niespełna kilometr. Do miasteczka, w którym był sklep spożywczy, poczta i stacja benzynowa, nieco bliżej. Maggie uważała, iż nie ma na ziemi nic bardziej podobnego do rajy niż Settler's Ridge w Idaho. Z kolei Becky była święcie przekonana, że to taka dziura, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Kiedy córka zniknęła z pola widzenia, Maggie sprawdziła jeszcze wodę w korytach i poszła na ganek, by zdjąć pranie ze sznura. Gdy trzymała w ustach dwie klamerki i składała czystą bieliznę, zadzwonił telefon.

- Zaraz... - wymamrotała przez klamerki.

Dzwonek był natarczywy.

- No już, już, idę... idę - zachnęła się.

Wrzuciła pościel do wiklinowego kosza, wtaszczyła rzeczy do starej chaty, postawiła je na stole i złapała słuchawkę.

- Halo? - powiedziała automatycznie i usłyszała jednostajny sygnał. Kto to był? Gdybyś mieszkała w dużym mieście, pomyślała, mogłabyś sprawdzić, kto dzwonił. Albo kupić nową baterię do automatycznej sekretarki.

Rzuciła okiem na słuchawkę i odłożyła ją na widelki. No więc ktoś zatelefonował. Wielka sprawa. Może któraś z przyjaciółek Becky? I co z tego, że rzadko ktoś do nas dzwoni i że akurat dzisiaj słyszałam głos Marii Teresy? To nic nie znaczy. Nie wpadaj w panikę. Uspokój się.

Niepokój Maggie był uzasadniony. Ukrywała się od dziewięciu miesięcy. Uciekła przed światem, który skrzywdził ją i jej córkę.

Tchórz. Inni sobie radzą. Dlaczego ona nie może?

Nerwowo stuknęła palcami w stół i zerkała na telefon.

Czy to nie Maria Teresa? Już tak dawno nie rozmawialiśmy...

Ponownie podniosła słuchawkę i błyskawicznie, nim zdążyła pomyśleć, wykręciła numer. Otrzymała zamiejscowe połączenie i czekała. Jeden dzwonek. Drugi. Trzeci.

- Cześć. - Chrapliwy, wystudiowany głos Marii Teresy wywołał uśmiech na ustach Maggie. - Mówi Markiza. Nie mogę teraz podejść do telefonu. Proszę zostawić wiadomość po sygnale. Zadzwonię, gdy tylko będę mogła. Obiecuję.

Rozległ się sygnał. Maggie zebrała się na odwagę.

- Mario Tereso, mówi Maggie. Jeżeli tam jesteś, podnieś, proszę, słuchawkę... Maria Teresa?... Och, w porządku, Markizo, jesteś tam? - zapytała zniecierpliwiona, używając scenicznego imienia siostry. Miała nadzieję, że jeśli Maria Teresa ją słyszy, zapomni o humorach i podejdzie. - Posłuchaj, otrzymałam od ciebie... wiadomość. No wiesz...

Rozejrzała się i poczuła jak idiotka. A jeśli to wszystko jej się przyśniło?

- Prawdę powiedziawszy to może mi się tylko zdawało, ale chcę z tobą porozmawiać. Proszę, odpowiedz na mój telefon. Wciąż mieszkam na ranchu w Idaho.

Szybko podała numer, odczekała sekundę lub dwie, westchnęła i odłożyła słuchawkę.

Słońce zaszło. W chacie zrobiło się chłodno i nieprzytulnie. Maggie podregulowała termostat i podeszła do okna. Patrzyła w stronę gór, tak jakby siłą woli chciała przywołać obraz córki. Ciągłe nie dawała jej spokoju trudna do rozszyfrowania wiadomość od siostry. Co powiedziała Maria Teresa? Tylko ty możesz mi pomóc. To był Thane. On mi to zrobił.

Co zrobił, zastanawiała się Maggie. Kto to może wiedzieć? Niby dlaczego miałyby się coś stać? Muszę poskromić fantazję. To, że do swoich kryminałów czerpię tematy z życia, o niczym nie świadczy. Nie układaj książki o swojej siostrze, upomniała siebie.

Zerknęła na zegar. Podgrzała przygotowany wcześniej gulasz. Pokroiła bułkę, położyła na wierzch plastry sera i czekała na Becky.

Mijały minuty, Maggie starała się zachować spokój. Zapaliła światło. Wyjęła ze zmywarki naczynia. Udawała, że nie zauważa włączonego komputera. Nawet nie myślała o pracy, która w tej chwili wydała jej się równie niestrawna jak stara owsianka.

Po kolacji zabiorę się za rozdział szósty, postanowiła. Nie zachowuj się jak historyczka. Ona zaraz wróci. Westchnęła, zamknęła drzwi. Ściągnęła włosy w koński ogon. Było bardzo późno. Chata pograżała się w coraz większej ciemności. Maggie zapaliła lampę koło drzwi wejściowych. Pomyślała o zakazanej ścieżce, która prowadziła do Thane'a Walkera, mężczyzny, którego powinna unikać. Nie widziała go od lat, ale wyobraziła sobie, że jest równie seksowny i pozbawiony skrupułów jak zawsze - połączenie kowboja samotnika z zawiadką z Wyoming. Wyobraziła sobie twarz ze zmarszczkami, które dodawały surowości jego i tak już ostrym rysom. Był jedynym mężczyzną, którego cyniczne spojrzenie pobudzało jej krew i podniecało ją. Zapomnij o tym, poradziła sobie. Podeszła do kominka i ściągnęła z okapu fotografię oprawioną w starą ramkę. Zdjęcie zrobiono przed

dziesięciu laty, kiedy Maria Teresa, idąc w ślady Cher czy Madonny, wcieliła się w Markizę i zaczynała prowadzić własny talk show. Siostry stały obok siebie - były identyczne, tylko jakby w lustrzanym odbiciu. Maria Teresa była leworęczna, Maggie posługiwała się prawą ręką. Jedna strona ust Marii była trochę bardziej uniesiona niż druga, odwrotnie niż u siostry. Mały palec u prawej ręki Marii Teresy zwrócony był ku środkowi, tak samo wyglądał mały palec u lewej ręki Maggie.

Maggie przejechała palcem po wyblakłej odbitce i uśmiechnęła się. Obie miały kasztanowe, kręcone włosy, ale Marii Teresy były jaśniejsze, miały złocisty odcień i miękko okalały jej twarz. Włosy Maggie były ściągnięte do tyłu w koński ogon. Maria Teresa ubrana była w krótki, połyskujący czarny kasaczek, od znanego projektanta, ozdobiony sznurem pereł, w czarne spodnie i w pantofle na bardzo wysokich obcasach. Wybierała się właśnie na przyjęcie z jakimiś niegdysiejszymi sławami. Maggie miała na sobie tenisówki, dżinsy i flanelową koszulę, której poła trzepotała na wietrze. Na wygiętym biodrze kołysała trzyletnią Becky. Stojąc na tle ośnieżonych Gór Skalistych, siostry przytulały się do siebie. Ich promienne uśmiechy, różowe policzki, odrobina piegów i wpatrujące się w obiektyw płomienne zielone oczy jakby mówiły: zawojujemy świat.

Kiedy to było?

Przed wiekami.

Odstawiła zdjęcie na okap, między fotografie Becky z różnych etapów jej życia i swoje własne i wyjrzała przez okno. Zmierzch szybko zapadał, zza cienkiej warstwy chmur widać było gwiazdy.

- Wróc już, Becky - powiedziała na głos. Miała nadzieję, że zaraz zobaczy galopującego w stronę stajni Jaspera. Opierała się biodrem o balustradę i starała się zachować spokój i dobre samopoczucie, na które liczyła, gdy na początku roku wynajęła to miejsce.

Wszystko jest w porządku. Mogłabyś tylko lepiej wykorzystać nadmiernie rozbudzoną wyobraźnię. Gdybyś była mądra, dziewczyno, zrobiłabyś z niej użytek. Weszłabyś do środka, nalala sobie filiżankę kawy i zaczęła pisać. Zbliży się termin oddania książki.

Pokreśliła nerwowo ślubną obrączką, którą wciąż nosiła na palcu. To śmieszne, powinna ją była dawno zdjąć, ale jakoś nie mogła. Jeszcze nie teraz. Wyciągnęła rękę w kierunku drzwi, gdy usłyszała przytłumiony warkot silnika i odgłos ciężkich kół na żwirowej drodze. Dźwięk nasilał się. Odwróciła głowę i ujrzała pobłyskujące w ciemności światła. Zobaczyła przednie lampy furgonetki, która powoli zatrzymała się koło stajni. Czarny, lekko poobijany samochód z przezroczystą osłoną kabiny wydawał się znajomy. Zdawało się jej także, że rozpoznaje mężczyznę za kierownicą.

- O Boże - wyszeptała. - To nie może być on.

Poczuła suchość w gardle. Kierowca zgasił silnik i otworzył drzwi auta.

- Maggie?

Poznałaby ten głos zawsze i wszędzie, nawet po kilkunastu latach. Thane Walker, wielki i potężny, wysiadł z kabiny furgonetki.

Serce podeszło jej do gardła.

- No, no, no - powiedziała, z trudem wydobywając słowa.

Gdy zatrząskiwiał drzwi furgonetki, serce waliło jej jak młotem. Ruszył w stronę ganku. Wyglądał kusząco jak diabeł, którym, jak sądziła Maggie, w istocie był.

Ponownie przypomniała sobie głos Marii Teresy.

To był Thane. On mi to zrobił.

Otrząsnęła się i poprzysięgła sobie, że nie da mu się podejść. Nigdy więcej.

Stracił swój westernowy, powolny sposób chodzenia, zastępując go długim, zdecydowanym krokiem, którym szybko przemierzył wysypaną żwirem ścieżkę dzielącą stajnię od domu. Minę miał równie surową, co smagane wiatrem równiny Wyoming, które kiedyś nazywał domem. Rysy twarzy zawzięte i niewzruszone, zaciśniętą szczęką, wzrok przenikliwy. Zatrzymał się.

- Thane - powiedziała, nie siląc się na uśmiech. - Po tobie wszystkiego można się spodziewać.

Miała nadzieję, że uda jej się ukryć uczucia, które nią miotają. Była wstrząśnięta. Serce waliło jej jak oszalałe, a przez głowę przelatywały dziesiątki pytań.

- Walker, jesteś ostatnią osobą, jakiej się spodziewałam.

Nawet się nie uśmiechnął.

- Ciągłe te złośliwości, Maggie?

- Jak zwykle - stwierdziła krótko.

Błysnął zębami. Trwało to zaledwie sekundę. Nawet po tylu latach potrafił sprawić, że czuła się jak idiotka.

- Ale teraz nie mam ani czasu, ani ochoty ostrzyć sobie na tobie języka.

- No, to nieźle jak na początek.

- Co cię tutaj sprowadza?

Thane nie stracił nic z dawnej żywiowości; wahał się tylko przez sekundę.

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Mojej pomocy? - powtórzyła.

Nie ufała mu za grosz. Miała ochotę go wyrzucić. Sprowadzał same kłopoty. Przekonała się o tym już bardzo dawno temu. Stała nieruchomo, próbując opanować zdenerwowanie. Jeśli nawet słyszała „głos” Marii Teresy, nie było jeszcze powodu do paniki. Ale fakt, że stał przed nią, musiał być czymś więcej niż tylko zwykłym przypadkiem. Nie należała do tych, które wierzą w przypadki. Skrzyżowała ramiona na piersiach i zmierzyła go wzrokiem.

- Muszę jednak przyznać, Thane, że nie brak ci tupetu. Po tym wszystkim, co zdarzyło się między tobą i Marią Teresą, dlaczego miałabym ci pomagać?

- Ponieważ, jeśli dobrze pamiętam, zawsze to robiłaś. Nawet po tym, co się zdarzyło.

Uśmiechnęła się chłodno.

- Może jednak zechciałbyś mi cokolwiek wytłumaczyć.

- Chodzi o Marię Teresę.

Serce jej zamarło.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale chcę... - zaczął. - Ona zniknęła, Maggie. Nie ma jej od trzech dni. Nikt nie wie, gdzie jest, ale... - Popatrzył w kierunku ciemnych wzgórz i wziął głęboki oddech.

- To nie wygląda dobrze.

Przytrzymała się balustrady, w opuszkach palców poczuła drzazgi, których jeszcze nie usunęła.

- Pomyślałem, że może jest tutaj.

- Nie. Nie ma jej.

Poczuła skurcz żołądka.

- Dziwię się, że jeszcze nie dzwonili do ciebie z policji.

Zaczynała się bać.

- Znasz Marię Teresę - powiedziała, starając się nie dopuścić do siebie złych myśli. - Może to tylko jeden z jej numerów. Zdarzyło się już, że uciekała.

W jego spojrzeniu dojrzała ponury błysk.

- Ale tym razem nie ma męża, przed którym musiałaby uciekać.

- Na miłość boską, Thane, zastanów się. Nic jej nie jest. Po prostu... zaszyła się gdzieś.

- Może u ciebie?

- Nie.

Wyglądał na zmęczonego, jakby nie spał od kilku dni. Widać było, że tym razem uważa, że Maria Teresa znalazła się w poważnych, może nawet bardzo poważnych tarapatach.

- Jest jeszcze coś... - powiedział. Ton jego głosu, bezbarwny i pozbawiony emocji, postawił ją na baczność.

- Jeszcze coś?

- Policja i ta stacja telewizyjna, dla której Maria Teresa pracuje, uważają, że tym razem nie uciekła. W każdym razie biorą pod uwagę inne możliwości.

Ogarnęło ją przerażenie.

- Podejrzewają, że została porwana, a może nawet...

Krzyknęła przerażona. Spojrzał na nią. W zapadających ciemnościach jego szaroniebieskie oczy były mroczne i niebezpieczne.

- Tak mi przykro, Maggie.

- To nonsens. To... to niemożliwe. Maria Teresa jest cała i zdrowa. Jest w Denver i...

- Byłem u niej w domu. Nie widziano jej od paru dni. W czwartek dała wycisk całej ekipie, a w piątek nie pokazała się w pracy i nie przysłała na spotkanie z nowym agentem.

- Nowy agent? - powtórzyła Maggie. - Nie pracuje już z Merłą?

- Och, widzę, że nic nie wiesz. Maria Lafayette wyleciała, a jej miejsce zajął Ambroży King.

- Przecież pracowała z Merłą od lat...

- Wyrzuciła ją pół roku temu. King wiele jej obiecywał. Tak czy owak, nie przysłała na to spotkanie.

- Mogła wyjechać z miasta. Wiesz, jaka ona jest.

Zacisnął zęby.

- Wkrótce zadzwoni policja.

- O Boże - potrząsnęła głową. - Mylisz się - powiedziała z determinacją. - Coś jest nie tak, to pewne, ale...

- Dlaczego miałbym kłamać?

Zamurowało ją. Otworzyła usta i natychmiast je zamknęła.

- Po co miałbym jechać taki kawał i opowiadać ci kłamstwa?

- Ja... sama już nie wiem. Dawniej kłamałeś.

- Ale nie tym razem.

Złapał jej rękę i mocno przytrzymał.

- Nie przyjechałem, żeby cię denerwować, Maggie. Pomyślałem jednak, że zechcesz usłyszeć prawdę ode mnie.

Wysłuchaj więc...

Był zdruzgotany, dlatego prawie mu uwierzyła. Gdy zrozumiała, co powiedział, przesyłała ją dojmujący ból. Oczy

zapięły.

- Nie chcę tego słuchać.

- Uwierz, że i mnie trudno o tym mówić, ale musisz to usłyszeć. Detektyw, który pracuje dla policji w Denver uważa, że ona... - ściszył głos - że może nie żyje.

- O Boże, o Jezu, nie...

Wszystko działo się zbyt szybko. Zrobiło się jej niedobrze, bała się, że zwymiotuje.

- Dlaczego? Na jakiej podstawie? Jak mogą podejrzewać...

- Nie wiem. Nie znaleźli ciała, ale nadal szukają.

Łzy płynęły jej po policzkach.

- Nie wierzę ci, Thane. To jakieś szaleństwo. Do licha, Maria Teresa żyje! Gdyby coś jej się stało, wiedziałabym o tym. Czuję.

- W jaki sposób?

- Nie wiem, ale bym czuła.

- Bo jesteście bliźniaczkami? - zapytał, nie kryjąc ironii.

- Bo... tak, właśnie dlatego. Tak! Jesteśmy sobie bliskie.

- Nie rozmawialiście od miesiący.

Ale ją słyszałam. Właśnie dzisiaj, i to niemal przed chwilą. Wzywała mnie.

Przed laty dostała dobrą nauczki. Nikt nie chciał jej wierzyć. Ani psychiatrę, ani rodzice, a najmniej Thane Walker, jej pierwsza miłość, były męż jej siostry. Postanowiła więcej nie popełniać tego błędu.

- Po prostu wiem. Nie każ mi tego wyjaśniać, dobrze?

Zawahał się, odgarnął włosy z oczu.

- Coś jeszcze? - zapytała. - Kolejne spekulacje?

- Być może.

Wszedł po schodach na ganek.

- Jak już powiedziałem, wygląda na to, że mogę potrzebować twojej pomocy.

- Ty?

- Ten detektyw, Henderson, uważa, że mogę mieć coś wspólnego ze zniknięciem Marii Teresy albo, jak wolisz, Markizy.

- Ty? A niby jak?

Głośne szczeknięcie zapowiedziało przybycie Barkleya. Owczarek wpadł na podwórze i wbiegł po schodkach. Gdy zwęszył intruza, zjęzył sierść, błysnął złowrogo zębami, zastrzygł naderwanym uchem, warknął, wyszczerzył zęby i wbił ślepią w Thane'a.

- Gdzie Becky? - zawołała Maggie- zupełnie jakbyś nie potrafił mówić.

Myśl o siostrze zesłała na dalszy plan. Prawie o niej zapomniała. Serce jej waliło. Wpatrywała się w mrok, szukając córki.

Barkley warknął i zaszczekał. Thane nakazał psu, żeby był cicho. Barkley cofnął się, przywarł do podłogi ganku, ale nie przestawał warczeć. Zdrętwiała ze strachu Maggie zesła szybko po schodach i pobiegła do korralu. Z uporem wpatrywała się w pociemniałe o zmroku pola.

- Co się stało? - zapytał Thane.

- Becky. Mniej więcej przed godziną pojechała na przejażdżkę. Barkley był razem z nią...

Maggie, w nadziei, że ujrzy konia i jeźdźca, wyprostowała się, ale zobaczyła tylko ciemne sylwetki pasących się krów.

- Dlaczego pies wrócił sam? Może coś się stało?

Przez otwarte drzwi chaty dobiegło dzwonienie telefonu. Była bliska paniki. Zawróciła na pięcie, przebiegła podwórze i wbiegła po schodach do domu. Mineła Thane'a i wpadła do pokoju. Złapała słuchawkę.

- Halo?

Ochronne drzwi zamknęły się z trzaskiem. Thane, unieruchomiony przez warczącego psa, zaglądał do środka przez oczka siatki.

- Pani McCrae? Margaret Elizabeth Reilly McCrae?

Serce waliło jej jak młotem.

- Tak, słucham.

- Tu detektyw Henderson z policji w Denver.

Kolana ugięły się pod nią. Oparła się o ścianę.

- Czy Maria Teresa Gillette, znana także jako Markiza, jest pani siostrą?

Maggie zaczęła drżeć. Zagryzła wargę i z uwagą wpatrywała się w widoczną przez ochronną siatkę twarz Thane'a. Powoli, jakby siedziała na wprost detektywa, skinęła głową.

- Tak - wyszeptwała.

Bała się. Szloch ścisnął jej gardło.

- Obawiam się, że mam dla pani złą wiadomość, pani McCrae. Chodzi o pani siostrę... - z powagą w głosie

powiedział Henderson.

Dudniło jej w głowie, sztywnymi palcami ścisnęła słuchawkę.

2

Powoli odłożyła słuchawkę i zwilżyła wyschnięte wargi. Nie mogła złapać oddechu, z trudem zbierała myśli.

- Dzwonił detektyw Henderson - powiedziała stłumionym głosem.

Thane stał w drzwiach. Twarz miał napiętą, oczy zwięzione.

- Tak przypuszczałem.

- Ten detektyw... Czy... znasz go?

- Spotkaliśmy się.

Thane potarł ręką kark i westchnął.

- Dopada jak jakiś cholerny gończy pies. Cieszy się dobrą opinią.

- O to nam chodzi, prawda? - zapytała, patrząc mu prosto w oczy.

Opadła na fotel. Czowała, jakby przygniatała ją tona cegieł i wciągała w przepaść, którą już wcześniej poznała, a której tak rozpaczliwie pragnęła uniknąć.

- Miałaś rację, Henderson podejrzewa, że Maria Teresa nie żyje.

Powstrzymała cisnące się do oczu łzy.

- Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie mogę.

- Jeszcze nie wiemy, co się naprawdę zdarzyło.

Thane rozejrzał się po małym, przytulnym pokoju, podszedł do wykonanego z rzeźbionych kamieni kominka i uważnie przyglądał się zakurzonym zdjęciom, które stały na starym, wyszczerbionym okapie.

- Niewykluczone, że ona jeszcze żyje. Co dokładnie powiedział Henderson?

- Niewiele. Bardzo niewiele. Tyle tylko, że jej sekretarka, Evelyn... Och, wypadło mi z głowy jej nazwisko...

- Lawrence.

- No właśnie.

Była zaniepokojona, że Thane wie aż tyle o życiu jej siostry, z którą od lat był rozwiedziony.

- W każdym razie Evelyn próbowała złapać Marię Teresę, ale jej się nie udało. Zdaje się, że ze studia też ktoś do nich dzwonił. Policjanci poszli do jej domu. Marii Teresy nie było. Zniknął też jeden z jej samochodów.

- Czy ktoś do ciebie dzwonił?

Maggie zaprzeczyła.

- Nie sądzisz, że to dziwne?

- Taak, ale w ostatni weekend pojechaliśmy z Becky do Coeur d'Alene, więc gdyby nawet ktoś dzwonił, nie wiedziałabym o tym, bo nie włączyłam automatycznej sekretarki.

Rzucił jej ostre spojrzenie.

- Dlaczego?

- To długa historia - powiedziała, unikając tematu.

Już i tak źle się stało, że Thane wyprowadził ją z równowagi. Cała ta sytuacja sprawiła, iż pogubiła się w tym, co jest prawdą, a co wytworem jej wyobraźni.

- Przeprowadziłam się tutaj, żeby uciec przed głupią pracą i miejskim zgiełkiem - przyznała, odsłaniając tylko rąbek tajemnicy.

Nigdy, przez tyle czasu, nie przyszło jej do głowy, żeby zwierzać się Thane'owi Walkerowi. Mężczyźnie, który przed laty skradł jej serce i z całą bezwzględnością rozdarł je na milion bolesnych kawałków. Sądziła, że im mniej będzie wiedział o jej życiu, tym lepiej.

- Podobno automatyczna sekretarka ułatwia życie.

- Czasami.

Zdjął jedno z ostatnich zdjęć Becky. Była to szkolna fotografia, na której widać było nieproporcjonalnie duże zęby, nie dające się ujarzmić ciemne włosy i zielone ogniki oczu, takie same jak u Maggie.

- Twoja córka?

- Tak. Ma trzynaście lat.

- Śliczna - powiedział, nie spuszczać z Maggie wzroku. - Podobna do ciebie.

Nie weźmie mnie na to. Już nie. Na miłość boską, dobijam do czterdziestki i już dawno przestałam być naiwną siedemnastolatka, myślała, a głośno rzekła:

- Uważają, że ma moje usposobienie.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Biada temu, kto jej wejdzie w drogę - powiedział.

- Niestety, najczęściej mnie się obrywa.

Spojrzała na zegarek, zagryzła nerwowo wargi i wstała.

- Powinna już być w domu.

Podeszła do dużego okna przy frontowych drzwiach i zapaliła lampę wiszącą na słupie w pobliżu stajni. Rozbłysło jaskrawe niebieskawe światło.

- Gdzie ona jest? - zapytał.

- Wybrała się na konną przejażdżkę. Na płaskowyż, jak sądzę. Wyjechała, gdy jeszcze było widno.

Do nieznośnej udręki z powodu Marii Teresy doszedł teraz niepokój o córkę. Maggie otworzyła drzwi, wyszła na ganek i starała się uspokoić. Zbyt wiele naraz się działo. Usłyszała, jak Thane wychodzi na dwór i staje tuż za nią. Poczula jego bliskość. Becky, wróć, pomyślała, pragnąc jak najszybciej zobaczyć córkę.

Znacznie się ochłodziło. Nieubłaganie nadciągała zima, która zacierała ostatnie ślady babiego lata.

- Nie powinnam była się zgodzić na tę przejażdżkę - powiedziała Maggie w równym stopniu do siebie jak do Thane'a.

Berkley warknął groźnie i ostrzegawczo. Wodził pociemniałymi oczami po obcym, który ośmielił się wkroczyć na jego teren.

- Wróci cała i zdrowa.

- Skąd wiesz?

Maggie odwróciła się nagle, z trudem panując nad sobą. Stał tak blisko, że omal go nie uderzyła. Cofnęła się o krok i spiorunowała go wzrokiem.

- Nic o niej nie wiesz, podobnie jak nie znasz tego terenu ani jej konia, ani niczego! Przyjeżdżasz tu, przywozisz złe wiadomości, a potem... potem... płaczesz się pod nogami i częstujesz mnie banałami o bezpieczeństwie mojej córki.

Była zła i przerażona, dlatego mówiła, co jej ślina na język przyniesie. Z trudem zachowywała resztki zimnej krwi. Żałowała swojego wybuchu. Była jednak u kresu wytrzymałości, a jego obecność nie pomagała jej. Zbyt dobrze pamiętała uścisk jego silnych, zaprawionych w pracy na ranczu ramion, smak jego warg. Była wściekła, bo ciągle działał na nią jak kiedyś.

- Masz rację - zgodził się, mrużąc w ciemności oczy. - Nic nie wiem o tobie ani o twoim dzieciaku.

Usłyszała tętent końskich kopyt. Stała w połowie schodów, kiedy Jasper, którego sierść srebrzyła się w poświęceniu księżycy, przegalopował przez otwartą, najdalej wysuniętą bramę korralu. Na grzbiecie siwka nie było jeźdźca. Siodło było puste, po bokach zwisały luźno strzemiona, a gdy koń zatrzymał się i stanął dęba, rozkołysały się zwisające wodze. Maggie puściła się pędem. Przebiegła zwirowane podwórko i wpadła do korralu. Spieniony wałach, o nieprzytomnych, obwiedzionych białymi obwódkami oczach i spoconej, pokrytej pianą sierści, prychnął nerwowo.

- Domyślam się, że to jej koń. - Thane stanął obok niej.

- Jesteś domyślny - warknęła.

Chwyciła wodze. Zastanawiała się, co robić. Próbowwała zachować spokój i nie wpaść w panikę. Tak bardzo chciała uwierzyć w wypowiedziane na od- czepnego słowa Thane'a, że jej córce nic się nie stało. Popatrzyła w kierunku pociemniałych wzgórz, a do głowy przychodziło jej sto pomysłów na sekundę.

- Pomogę ci.

- Nie musisz.

- Maggie, przestań!

Mocnym i zdecydowanym ruchem chwycił ją za ramiona.

- Powiedziałem, że pomogę - powtórzył i potrząsnął nią lekko, jakby chciał przywołać do porządku. - Możesz mnie potrzebować.

Nie mylił się. Chodziło o bezpieczeństwo Becky. Reszta nie miała znaczenia.

- Masz rację. Ja...mam w domu latarnie.

Poruszał się po omacku w ciemności.

- Weź je i telefon komórkowy, jeśli masz.

- Telefon komórkowy? - zapytała.

- Na wypadek, gdyby trzeba było wezwać pomoc.

Nie potrafiła myśleć w ten sposób. Nawet nie zakładała, że Becky może być ranna.

- Nie, nie mam, a poza tym komórka nie sprawdza się za dobrze na tym terenie.

- Mam swoją w ciężarówce. Wezmę ją.

Nie traciła czasu. Gdy poszedł do furgonetki po telefon, pobiegła do domu. Złapała dwie latarnie, zapasowe baterie, dwie derki, kurtkę i podręczną apteczkę. Poczula zapach spalenizny i przypomniała sobie o gulaszu. Wyłączyła wszystkie palniki, przeszukała kredens. Znalazła menażkę, która należała do poprzednich właścicieli. Wypłukała ją i napełniła po brzegi zimną wodą. Woląla nie myśleć o tym, co mogło się stać. Musiała zachowywać się rozsądnie.

Rozsiodłany Jasper stał przywiązany do górnej poprzeczki ogrodzenia. Był spokojny. Maggie minęła podwórze. Z okien stajni padało blade światło. Przez popękane szyby widziała Thane'a siodlającego dwa konie - łaciatego Diabła i bułanego Sandmana. Otworzyła ramieniem drzwi stajni. Do skórzanej sakwy, którą zdjęła z kołka, wepchnęła wszystkie, jak sądziła, niezbędne rzeczy. Podała Thane'owi latarnię. Gdy ją brał, ich palce na moment się spotkały.

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Nie wierzyła mu. Zagryzła wargę i odwróciła się do wałacha. Zręcznie umocowała popręg u siodła. Myśli kłębiły się jej w głowie. Oczami wyobraźni widziała samotną, okaleczoną i przerażoną Becky. Ruchy Maggie były automatyczne. Zamocowała sprzączki, skróciła strzemiona, przytroczyła sakwę do siodła.

- Pojedziemy na płaskowyż - powiedziała, wyglądając brzeg derki Sandmana. - To jest... To ulubione miejsce Becky. Jeżeli jej tam nie będzie, zawrócimy do szlaku starego jelenia, który biegnie wzdłuż strumienia. Mogła się tam zatrzymać, żeby się napić wody albo odpocząć, albo... Jeśli i tam jej nie będzie, sprawdzimy pomocne dorzecze, a jeśli i tam... O Boże, ona musi gdzieś być, po prostu musi...

Thane odwrócił się i wielkimi, zgrubiałymi dłońmi chwycił ją za ramiona.

- Maggie! Zwolnij chociaż na chwilę. Zadręczysz się na śmierć.

Słowa uwięzły jej w gardle. Zaciśnęła powieki, odpędzając od siebie koszmary. Oddychała głęboko, próbując się pozbierać. Poczula, że powoli obraca ją sobie. Gdy uniosła powieki, zobaczyła surowo ciosane rysy jego twarzy. Była tak blisko, że mogła dostrzec pory skóry. Widziała troskę w spojrzeniu. Patrzył na nią uważnie, jakby chciał wejrzeć w głąb jej duszy.

- Znajdziemy ją - obiecał. - Nie zadręczaj się.

- Oczywiście, że ją...

Z trudem przelykała ślinę. Łzy napłynęły jej do oczu. Potrząsnął nią lekko.

- Powiedziałem, że ją znajdziemy. Wierzysz mi?

Uśmiechał się i spoglądał na nią ze stoickim spokojem. Nie odpowiedziała. Zaciśnął palce na jej ramionach.

- Tak.

Rozluźnił uścisk, choć nie bardzo wierzył jej słowom.

- Ruszajmy. Pojedziesz przodem. Tylko mnie nie zgub.

Puścił ją, a onaomal nie upadła. Te tak niewinnie wypowiedziane słowa przeniosły ją w inne miejsce i czas. Kiedyś dałaby sobie za nie wyrwać serce.

- Ja... Nie zgubię cię - powiedziała.

Wzięła się w garść. Odchrząknęła, złapała bułanka za wodze i obiecując sobie, że już więcej nie okaże słabości, wyprowadziła konia ze stajni. Na zewnątrz, mimo zapalanej latami, panowała nieprzenikniona ciemność. Zerwał się wiatr. Chmury pędziły po niebie.

Maggie gwizdnęła na Barkleya, wskoczyła na siodło i ścisnęła konia kolanami. Wałach wyrwał do przodu, wzbijając kurz. Minął otwartą bramę, wysuszone pole i wypadł na rozległą równinę.

- Becky! - zawołała.

Zimny wiatr smagał jej twarz, szarpał włosy. Kołyszące się światło latarni, którą trzymała w ręku, omiatało teren. Barkley biegł z wywieszonym jęczorem tuż obok konia. Thane jechał za nią. Jego łaciaty koń dotrzymywał kroku Sandmanowi. Światło latami Thane'a chybotowało się i ślizgało po kępach chwastów, traw i zwiędłych polnych kwiatów. Maggie wyteżyła słuch, ale ciszę zakłócało jedynie sapanie koni i tętent ich kopyt. W tej części Idaho wzgórze poprzecinane były zdradzieckimi skalistymi urwiskami i przepaściami, równie mrocznymi jak nieprzeniknione ciemności nocy.

Nie poddawaj się, perswadowała sobie. Becky jest bystrą dziewczynką. Jeśli nawet jest ranna, od czego ma głowę. Chyba, że straciła przytomność. Albo jeszcze gorzej.

Odegnęła od siebie złe myśli. Odrzuciła najstraszniejszy, krwawy scenariusz, który podsuwała jej wyobraźnia.

Boże, proszę, chroń ją. Miej ją w swojej opiece. To jeszcze dziecko. Moje dziecko.

- Becky! - krzyknęła znowu, kurczowo ściskając wodze. - Becky! Czy mnie słyszysz? - Odpowiedz, dziecinko, proszę, odpowiedz tylko.

Wąwóz, którym płynął strumień - mroczna, wijąca się czeluść - przecinał posrebrzone blaskiem księżyca pola. Dostrzegła go w ostatniej chwili. Ścisnęła kolanami boki Sandmana, przywarła do jego grzbietu, ale nie przestała go poganiać. Koń, pędząc przed siebie, bez oporu pokonywał teren. Skoczył. Na chwilę zgubił krok. Wspiął się na przeciwległy brzeg. Odzyskał rytm i nabierając prędkości, poniosł Maggie w stronę wzgórze. Tam, gdzie modrzewie i sosny stały zwarte, nieprzystępne, niczym wartownicy strzegący dostępu do zbocza. Obok konia biegł owczarek.

- Uważaj! - krzyknął tuż za nią Thane.

- Nic innego nie robię - mruknęła pod nosem.

Ostatnią rzeczą, którą by się przejmowała było jej własne bezpieczeństwo. Koń zwolnił. Maggie skierowała światło latarni na ledwo widoczne niskie krzaki i pnie drzew.

- Becky! - wrzasnęła, a szeptem dodała: - Proszę, proszę, bądź tylko cała i zdrowa.

- Becky!

Głos Thane'a poniosło po wzgórzach. Przez chwilę Maggie była mu wdzięczna, że nie jest tu sama, że jest ktoś, na kim może się oprzeć. Ale wątpliwości wróciły.

Nigdy, Maggie! Nigdy nie polegaj na tym człowieku! Nie zapominaj, co on ci zrobił. Co zrobił Marii Teresie. Na miłość boską, nie zapominaj, dlaczego tu jest! Jest w tarapatkach. Ma coś wspólnego ze zniknięciem Marii Teresy. Nie był to jednak odpowiedni moment, by przejmować się Thanem. Musiała skorzystać z jego pomocy, bo

chodziło o jej córkę. Ale Maggie wiedziała, że gdy już znajdą Becky, jeśli ją znajdą, poradzi sobie i z nim.

Jej koń był zgrzany, z trudem pokonywał wąską ścieżkę. Światło latami zaczęło słabnąć. Maggie broniła się przed paralizującym strachem. Odrzucała myśl, że może już nigdy nie zobaczy córki. Wokół wznosiły się góry. Po obu stronach ścieżki, którą wiódł szlak, znajdowały się groźne, przepastne kaniony.

Oczyrna duszy znowu zobaczyła Becky. Najpierw taką jak po urodzeniu, czerwoną i wrzeszczącą. Przypomniała sobie drugie urodziny, na których rozanielony honorowy gość z rozkoszą wsadził obie rączki w sam środek tortu, a Maria Teresa zaśmiewała się i bezczelnie flirtowała z Deanem...

- Mamo! Tutaj! - Głos był słabiutki.

- Becky! Gdzie jesteś? Do jasnej cholery, tu nic nie widać!

Maggie ściągnęła wodze. Stała w strzemionach i wysoko uniosła latarnie.

- Mamo! Pomóż!

Thane zrównał się z nią, zmrużył oczy i uważnie wpatrywał się w ciemność. Oświetlał krzaki.

- Becky. Nie widzę cię! - krzyknęła Maggie.

- Tutaj, przy pniu...

Thane oświetlił poczerniały pniak, który kiedyś był sosną. Resztki drzewa powalone przez piorun oddalone były kilkanaście metrów od szlaku. Becky twarz miała bladą, rysy ściągnięte. Ciemne włosy opadały jej na oczy. Uniosła jedną rękę i machała nią, żeby zwrócić uwagę matki.

Maggie z uczuciem ulgi zeskoczyła z konia i potykając się na nierównym terenie, podbiegła do córki.

- O Boże, Becky, co się stało? Jesteś ranna?

- Ten cholerny koń mnie zrzucił. Zwalił mnie bez powodu. Bez żadnego powodu.

Becky patrzyła ponuro. Była zła. Ściągnięte brwi ułożyły się w jedną linię. Nie była jednak w stanie ukryć przerażenia. Na policzkach widniały ślady łez. Szczękała zębami i drżała.

- Nic ci się nie stało? - zapytała Maggie.

Na policzkach i łokciach córki zobaczyła zadrapania. Thane trzymał w górze latarnię i oświetlał Becky. Ściągnął konia i podjechał bliżej.

- Nic takiego... to tylko kostka.

Gdy Maggie zdjęła delikatnie but z nogi Becky, dziewczynka pisnęła z bólu i zagryzła wargi. Prawa stopa była spuchnięta.

- Nie wiem, co się stało z Jasperem. Mam nadzieję, że zgubił się na dobre i że właśnie pożerają go kojoty - mruknęła mściwie.

- Wrócił - powiedziała Maggie, siląc się na uśmiech.

- Coś podobnego - parsknęła Becky, zła na konia, na matkę i w ogóle na cały świat. - Na twoim miejscu sprzedawałabym go na karmę dla psów.

- Zastanowię się nad tym - zgodziła się Maggie.

Nie miała ochoty się kłócić. Była szczęśliwa, że Becky nic się nie stało. Córka była bardziej zła niż poturbowana.

- Kto to jest? - zapytała dziewczynka.

Zasłoniła ramieniem oczy i zmarszczyła nos na widok Thane'a, który właśnie zsiadał z konia i sięgał po sakwę przy siodle.

- To jest... - Jak jej to wytłumaczyć? A właściwie dlaczego miałabym to robić? - To przyjaciel - odpowiedziała i omal nie ugryzła się w język.

Przez ramię spojrzała na mężczyznę i poczuła dławienie w gardle. Thane trzymał wodze jej konia i wyglądał imponująco. Szerokie bary, od których zdawały się pękać szwy kurtki, i wąskie biodra robiły wrażenie.

Zresztą, co mnie to obchodzi. Przebrzmiała sprawa, pomyślała i przedstawiła mężczyznę.

- Becky, to Thane Walker.

- O! - Zmrużyła oczy. - Thane? Czy to nie...?

- Mąż twojej ciotki - wtrącił. - Dawno temu. Miło mi cię poznać.

Podał Maggie koc.

- Taak, prawda. Mnie również - odparła, ale w jej głosie nie było powagi.

- Pozwól, że cię dokładnie obejrzę - powiedziała Maggie.

Nie zwracając uwagi na Thane'a, zarzuciła koc na ramiona Becky i delikatnie dotknęła jej kostki. Becky skurczyła się, wciągnęła powietrze, wydając przy tym krótki, świszczący dźwięk. Podobny był do głosu sowy, który rozlegał się z wysokiej sosny.

- O Jezu, mamo.

- Chcę ci tylko pomóc.

- Zabijając mnie? - poskarżyła się Becky.

Maggie pomyślała, że zły humor córki to dobry znak - z nogą nie było tak źle.

- Nie zamierzam zrobić ci krzywdy, skarbie.

- Dobrze, dobrze. Wiem.

Uśmiechnęła się niepewnie i bez przekonania. Chwilę później znowu miała obrażoną i zbolaną minę. Thane

przykucnął obok matki i córki. Uważnie przyjrzał się dziewczynce i zapytał:

- Dasz radę jechać konno?

Becky niespiesznie kiwnęła głową. Mężczyzna wysunął dla równowagi kolano i powiedział, żeby objęła go za szyję. Gdy to zrobiła, wsunął jedno ramię pod jej nogi, drugim przytrzymał ją za plecy. Jakby nic nie ważyła, podniósł Becky z ziemi. Maggie już zamierzała zaprotestować; oburzało ją, że ten mężczyzna dotyka jej córkę. Ale ugryzła się w język. Nawet jeśli znalazł się tutaj z niskich pobudek, to jednak pomógł jej odnaleźć Becky. Nie mogła tego nie docenić.

Delikatnie posadził Becky na grzbiecie łaciatego konia. Dziewczynka syknęła z bólu. Niewidoczny w ciemności Barkley warknął. Koń poruszył się nerwowo.

- W porządku? - zapytał Thane.

- Tak... chyba tak.

Była blada jak śmierć.

- Dobra. Trzymaj się łęku.

Położył jej ręce na skórzanym garbie siodła.

- Daj mi znać, gdybyś się źle poczuła. Nie chcę, żebyś spadła.

- Nie spadnę.

Zawadiackim ruchem ogarnęła z oczu włosy. Thane poklepał mocny kark konia i jeszcze raz uważnie popatrzył na córkę Maggie.

- Daj znać, gdybyś chciała odpocząć.

Sprowadzał łaciatego ze wzgórza przy bladym świetle latami. Maggie posuwała się za nimi na swoim koniu. Dziękowała Bogu, że jej córka żyje.

*

- Będzie żyła.

Lekarka była drobną kobietką. Miała na sobie za duży o dwa numery lekarski fartuch, w który wpięty był identyfikator z napisem: doktor Penny Cranston. Patrzyła na Maggie znad okularów, które, zdawało się, iż lada chwila zsuną się z niedużego, prostego nosa.

- Kostka jest zwichnięta, ale niegroźnie. Obejrzałam zdjęcia i nie zauważyłam złamania. Dla pewności prześlę je jednak do specjalisty.

Maggie poczuła ulgę. Jechała ponad godzinę do czynnej przez całą dobę kliniki Lewistona, żeby się dowiedzieć, czy córka wyszła z opresji bez większego szwanku. W ostrym świetle umieszczonych pod sufitem jarzeniówek Becky była mała i blada. Miała wielkie oczy i widoczne, choć nie głębokie zadrapania na skórze.

- A co do ciebie - doktor Cranston popatrzyła na małą pacjentkę- będziesz musiała pochodzić trochę o kulach. Może tydzień, a nawet dwa, aż noga przestanie boleć.

- Więc nie idę do szkoły, tak? - ożywiła się Becky.

- No cóż... sądzę, że za parę dni wrócisz do klasy.

Maggie pomogła Becky pokuśtykać do starego jeepa, który bardzo irytował dziewczynkę. Nie rozumiała, dlaczego musiały zamienić będące w idealnym stanie bmw na sypiący się pojazd z napędem na cztery koła i wgniecionym prawym błotnikiem. Becky nie chciała przyjąć do wiadomości, że tamten był wzięty w leasing, a jeep, choć poobijany, był ich własny.

- Skąd ten facet, Thane, wziął się w naszym domu? - zapytała, gdy Maggie wyjechała z parkingu.

Była prawie północ, niskie chmury przysłoniły gwiazdy i księżyc. Wokół panowała ciemność. Maggie znalazła stację z muzyką country, rozpoznała melodię Gartha Brooksa.

- Wziął się, ponieważ coś się stało z Marią Teresą.

Wolała więcej nie mówić. Sama niewiele zresztą wiedziała.

- Masz na myśli Markizę - poprawiła ją Becky nieco nadąsana.

- Dla mnie jest Marią Teresą.

- Zmieniła imię dawno temu. Mogłabyś uszanować jej życzenie - powiedziała z wyrzutem.

- Trudno pozbyć się starych nawyków.

Maggie nie dawała się sprowokować.

- Skoro się nie próbuje...

- Dajmy temu spokój.

- Więc co z Markizą?

- Nie wiem. Gdzie się zapodziała - przyznała zgodnie z prawdą Maggie.

Wzięła ostry zakręt i przed sobą, na wijącej się drodze, zobaczyła tylne światła.

- No to co? Nieraz już tak było.

Maggie również próbowała się pocieszać, że jej siostra miewała takie kaprysy w przeszłości i zniknęła. Ale tym razem było inaczej. Tym razem nikt nie miał pojęcia, gdzie jest Maria Teresa i sprawą zajęła się policja.

- Nie dziw się jej. Wielu sławnych ludzi musi się czasami ukryć.

- To prawda.

Maggie czuła, że siostra coraz bardziej się od niej oddala. Miała jednak dość własnych problemów i wierzyła, że w końcu Maria Teresa poczuje znowu grunt pod nogami. Zawsze tak było. Nie mogła powiedzieć Becky prawdy, dopóki sama nie upewni się, co się wydarzyło.

- Ależ tu lodowato - poskarżyła się Becky.

Ogrzewanie w samochodzie wymagało naprawy. Mogło grzać tak, że w jeepie było gorąco jak w piekle, albo można było zamarznąć na śmierć. Maggie popatrzyła na córkę i przestawiła ogrzewanie. Od razu zrobiło się ciepiej.

- No więc czego tu szuka ten Thane? - zapytała Becky, przyglądając się matce. - On i Markiza już dawno są rozwiedzeni.

- Przypuszczam, że niepokoi się o nią.

- Zdaje się, że go nie lubiłaś.

- To prawda - skłamała.

Na rozstaju dróg skręciła na południe. Teren był wyboisty, a niewidoczne ostre stromizny w ostatniej chwili wyłaniały się z mroku.

- Sądził, że może dowie się ode mnie, gdzie jest Maria... Markiza.

- Dlaczego? zapytała dziewczynka w zadumie. - Czy nadal ją kocha?

- Nie wiem.

Nie dopuszczała do siebie myśli, jak bardzo boli ją wspomnienie jego zdrady, jak bolesny był podstęp Marii Teresy.

- Czy czeka na nas w domu?

- Tak sądzę. Miał się zająć końmi.

Becky westchnęła ziewając.

- Zostanie na noc?

Maggie nastroszyła się, wzięła głęboki oddech.

- Nie.

- Więc gdzie się podzieje?

Dobre pytanie, pomyślała z sarkazmem Maggie. Niech się wali i pali, ale Thane Walker nie spędzi nocy pod moim dachem.

*

Thane poklepał Diabło po nakrapianym zadzie, pogasił światła w stajni i wyszedł na dwór. Noc była ciemna, chmury zasłaniały księżyc. Wzmógł się wiatr, który przyniósł pierwsze wirujące płatki śniegu. Podniósł kołnierz, skulił się i popatrzył na chatę, którą Maggie nazywała domem. Nagle zapragnął znaleźć się gdziekolwiek, byle nie tutaj. Ich spotkanie okazało się błędem. Ogromnym błędem. Było jednak za późno, żeby to naprawić. Za późno na wiele innych spraw.

Przystanął przy furgonetce, sięgnął do górnej kieszeni kurtki i wyjął wymiętą paczkę papierosów. Było w niej jedno marlboro. Od paru miesięcy ograniczał palenie. Karton papierosów, który kupił w końcu września miał być ostatni. I oto został mu jeden jedyny papieros.

Widok Maggie, jej zapach i dotyk sprawiły, że wróciły wspomnienia, od których tak bardzo chciał uciec. Nie mógł powstrzymać emocji i obrazów wyłaniających się z jego pamięci. Przypomniawszy sobie, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy buńczuczną piegowatą licealistkę w obciętych do kolan dżinsach, w bawełnianej koszuli. Miała duże zielone oczy, wydatne kości policzkowe i promienny uśmiech, jakiego jeszcze u nikogo nie widział. A ona nie zwróciła na niego uwagi. Dostrzegł w jej spojrzeniu nerwowy smutek, który za wszelką cenę starała się ukryć. Była dla niego wyzwaniem, pierwszą kobietą od wielu lat, o którą był gotów zabiegać. Pożądał jej od pierwszej chwili, gdy odwróciła się do niego plecami i odeszła, potrząsając związanymi w koński ogon mahoniowymi lokami. Niewiele zmieniło się od tamtego czasu.

Wsunął papierosa do zmiętej paczki i schował do kieszeni. Wiedział, że będzie mu potrzebny później. Zerknął na zegarek i ocenił, że ma co najmniej godzinę do przyjazdu Maggie. Czuł chłód śniegu na plecach. Wszedł ostrożnie na ganek i kopniakiem zrzucił buty. Otworzył drzwi. Stary owczarek, który leżał na dywanie obok wiekowego bujanego fotela, ostrzegawczo warknął.

- Nie zrobię ci nic złego.

Rozejrzał stępo chacie. Była niewielka i przytulna. Żółte sosnowe ściany dodawały jej uroku. Wyciągnął z tylnej kieszeni spodni rękawiczki, starannie naciągnął je na palce, zrobił surową minę i bez skrupołów, zakradł się do sypialni Maggie.

Pokój był mały. Ledwie mieściło się w nim podwójne łóżko, toaletka i wsunięte w kąt pod oknem biurko. Zapach perfum, który unosił się w powietrzu, rozkojarzył go. Dopiero po chwili przypomniał sobie, po co tu przyszedł.

3

Thane czekał na bujaną ławeczkę na ganku. Opatulony w krótki kożuszek, spoglądał ponuro w noc. Barkley leżał potulnie koło drzwi.

Maggie wyłączyła silnik, przednie światła i radio. Wmawiała sobie, że jej rozstrojone nerwy to wyłącznie reakcja na wypadek Becky i zniknięcie Marii Teresy. Że nie ma to nic wspólnego z Thanem. Była zmęczona. Mówiła

sobie, że nie ma w tym mężczyźnie nic, co mogłoby ją poruszyć. Już raz dała się wyprowadzić w pole i wystarczy.

Thane niespiesznie wstał. Jego sylwetka wyraźnie zarysowała się w świetle ganku. Samiec. Niebezpieczny samiec, pomyślała. Znoszone dzinsy podkreślały jego długie nogi. Szeroka klatka piersiowa wyglądała imponująco - same mięśnie.

No i co z tego? - przekonywała samą siebie. Ostatnią rzeczą, na którą chciałaby zwrócić uwagę, był jego wygląd.

- Jak to już dawno - mruknęła pod nosem. - Tyle miesięcy bez mężczyzny.

- Co? - Becky uniosła głowę z fotela.

- Nic, skarbie. Jesteśmy w domu.

Odwróciła wzrok od Thane'a. Mężczyzny, który złamał jej serce.

Becky przetarła zaspane oczy.

Płatki śniegu padały na przednią szybę i gromadziły się na wycieraczkach. Popatrzyła na domek, na ciepłe światło lamp i wymownie przewróciła oczami.

- Przerazające.

- Wyjmę kule.

- Nie potrzebuję ich.

- Oczywiście, że potrzebujesz.

Maggie wysiadła z jeepa. Poprzez szum wiatru usłyszała zbliżające się kroki Thane'a. Serce zaczęło jej walić jak szalone. Była zła na siebie. Weź się w garść. Nawet o nim nie myśl.

- Co z nią? - zapytał, wyciągając kule z bagażnika.

- Nic jej nie będzie. Lekarka uważa, że to tylko zwichnięcie. Do tego niezbyt poważne.

- To dobrze - rzekł tak, jakby mu ulżyło.

Jakby go to cokolwiek obchodziło! Co za ironia, pomyślała.

Maggie nie zamierzała wpaść w pułapkę, zwłaszcza gdy w grę wchodził Thane Walker. Zatrzasnęła drzwi bagażówki. Pochwyciła jego spojrzenie, gdy pomagał Becky wysiąść z jeepa. Nie próbował jej namawiać, by użyła kul. Wziął ją na ręce, osłonił przed zimnem i szybko zaniósł do domu. Głupie, nieuzasadnione pragnienie przebaczenia targnęło jej sercem.

Nie rób z siebie idiotki, przywołała się do porządku. Chwyciła kule, które Thane zostawił przy zderzaku, i podbiegła do drzwi. Thane trzymał Becky w ramionach i czekał, aż je otworzy.

Barkley z radości kręcił się jak szalony. Wybiegł przez zamykające się drzwi, zanim Maggie zdążyła wejść do środka.

- Zdrajca. Nie ma co, świetny z ciebie stróż! - powiedziała do psa. Stary Barkley nawet się nie silił, żeby okazać skruchę.

Maggie, wciąż z kulami w ręku, weszła do sypialni, gdzie Thane układał jej córkę na łóżku stojącym w rogu całego tego bałaganu, który Becky, robiąc nieszczęsną minę, nazywała domem. Maggie wrzuciła się, widząc, z jaką troską kładzie jej córkę na starej pikowanej kołdrze. Szybko jednak oprzytomniała, przypominając sobie, że wszystko, co robi Thane, jest tylko grą. Był tutaj, bo chodziło mu o z Marię Teresę. Maggie znowu ogarnęło przerażenie.

Gdzie ona jest? Co znaczyło to straszne, przepelnione bólem wołanie? Czy Maria Teresa próbowała się ze mną skontaktować, czy był to wytwór mojej wyobraźni?

Miała gęsią skórkę, gdy stawiała kule przy półce z książkami. Otworzyła wiklinowy kufer, z którego wyjęła dwie poduszki. Thane czując, że matka i córka chcą zostać same, mrugnął okiem do Becky, gwizdnął na psa i wyszedł z pokoju. Maggie podłożyła poduszki pod nogę Becky.

- Czy coś ci podać? - zapytała.

Podciągnęła wiekową kołdrę, którą kupiła przed laty na jakiejś wyprzedaży. Wykonana z lawy lampa Becky, rzucała falujące, niebieskie światło.

Ściany pokoiku Becky ozdobiły plakaty z idolami nastolatków, a na podłodze na dywanikach walały się kosmetyki, płyty CD, magazyny i pluszowe zwierzątka - pamiątki z wcześniejszych lat.

Becky zamykały się oczy.

- Może gorące kakao?

Maggie chciała odgarnąć wilgotne kosmyki włosów z oczu córki, ale wiedziała, że lepiej będzie zostawić ją w spokoju. Becky nie znosiła matczynej nadopiekuńczości.

- A może chcesz gulaszu...

Becky jęknęła na cały głos. Maggie zrozumiała.

- Posłuchaj, chcę ci tylko pomóc. Zaraz przyniosę woreczek z lodem. Gdybyś czegoś potrzebowała, daj znać.

Becky nie odezwała się. Ostatnio prowadziły jakiś rodzaj walki, której Maggie nie rozumiała. Becky była wściekła, że matka brutalnie wyrwała ją w połowie roku z ostatniej klasy gimnazjum i uwięziła w tej, jak mówiła, ohydnej, zapadłej dziurze, gdzie mieszkają tylko ciemni. Ale przeprowadzkę zalecił lekarz.

Maggie starała się uspokoić. Policzyła w myślach do dziesięciu. Gdy to nie pomogło, do dwudziestu i pospiesznie wyszła z pokoju. W kuchni znalazła przezroczysty, plastikowy worek i kilka małych ręczników. Gdy odkręciła

kran, ze starych rur dobył się nieprzyjemny dźwięk. Z zagraconej szuflady wyjęła młotek, włożyła kostki lodu do plastikowej torebki i zaczęła je rozbijać na drobne kawałki. Thane wrócił z podwórka z naręczem drewna na opał. Kurtkę i włosy miał mokre od topniejącego śniegu. Towarzyszył mu owczarek. Maggie zapamiętała waliła młotkiem w torebkę z lodem.

- Jezus Maria, Maggie, zatłuczysz ją na śmierć.

Wrzucił drewno do kosza obok kominka.

- Cholernie śmieszne.

Nie było jej do śmiechu i jeszcze przez dobrą chwilę okładała torbę młotkiem. Thane odsunął szyber i na dużym klocku drewna ułożył szczapy. Maggie przesywała lód do specjalnego woreczka, wzięła ręcznik i poszła do pokoju Becky. Dziewczynka leżała twarzą do ściany. Udawała, że śpi. Maggie, nie zrażona zachowaniem córki, delikatnie położyła worek z lodem na jej nodze. Becky gwałtownie podskoczyła.

- Nie mogłabyś mnie zostawić w spokoju?

- Lekarka powiedziała, że...

- No to co?

- Rebecco, nie zdejmuj tego.

Zwracała się do córki pełnym imieniem zawsze, gdy była zła.

- Boże, mam, pozwól mi odetchnąć, dobrze?

- Zrób tylko to, co każe lekarz.

Becky znowu zamknęła oczy. Maggie nie chciała się kłócić. Wyprostowała się i wyłączyła światło. Głowa jej pękała. Głęboko odetchnęła i poszła stawić czoło Thane'owi. Z deszczu pod rynnę, pomyślała.

W kominku trząsał ogień. Żółtawe światło igrało na starych sosnowych ścianach, które wydawały się jeszcze bardziej żółte, a zapach palącego się drewna wypełniał nieduże pomieszczenie.

W ciągu paru miesięcy, odkąd tu była, Maggie pokochała ten mały domek przycupnięty u stóp skalistych, urwistych wzgórz w północnym Idaho. Jakaś jej część wiedziała, że uciekła tu od swoich problemów, które może osiągną ją i w tym miejscu. Na razie jednak, zdała od Los Angeles, czuła się bezpieczna. Wolna od oskarżeń. Wolna od bólu i winy, które czasami zakradały się i tutaj. Czaiły się, ukryte głęboko w cieniu, gotowe ją zaatakować w najmniej spodziewanym momencie.

Thane, z rękami w tylnych kieszeniach spodni, wskazał podbródkiem w stronę sionki.

- Jak poszło?

- Tak jak zawsze. Jestem wyrodną matką, nie potrafię jej zrozumieć, a ona jest tylko nieszczęśliwą ofiarą.

Wypowiedziała te słowa i skuliła się. Fakt, że ma poszarpane nerwy, nie mógł być dostatecznym powodem, by obgadywać swoje jedyne dziecko. Tylko dla niej, dla Becky, chciało jej się wstawać co rano.

- Przepraszam. Nie to chciałam powiedzieć. Wycierpiała się.

- I dlatego ci dokucz.

Zjeżyła się. Co innego, gdy ona narzekała na Becky, ale żeby ktoś obcy pozwalał sobie na to? Nigdy.

- Przekraczasz pewne granice - rzekła. - Potrafię sobie z tym poradzić.

- Potrafisz?

Zbyła milczeniem jego pytające spojrzenie i podeszła do telefonu. Wykręciła numer Marii Teresy i znowu połączyła się z automatyczną sekretarką. Ścisła ją w brzuchu, kiedy słuchała nagranych głosu siostry. Zastukała palcami w słuchawkę. Po krótkim sygnale powiedziała:

- Cześć, M.T., tu znowu Maggie.

Oparła się biodrem o stolik, na którym stał telefon. Zagryzła wargi i spojrzała na Thane'a, który obserwował każdy jej ruch. Ostentacyjnie odwróciła się do niego plecami, dając do zrozumienia, że to jej prywatna sprawa i powiedziała:

- Posłuchaj, Mario Tereso. Dzwoniłam już wcześniej i jestem zaniepokojona. Zadzwoń do mnie od razu, gdy wrócisz.

Wyrecytowała swój numer i szybko odwiesiła słuchawkę. Chwilę trzymała na niej palce, jak gdyby, że lada chwila telefon się rozdzwoni.

- Ona nie zadzwoni - powiedział Thane.

Powoli odwróciła się w jego stronę. Nie dopuszczała do siebie potwornej myśli, że coś mogło stać się siostrze.

- To może potrwać, ale zadzwoni.

Otworzyła kredens i wyjęła puszkę kawy. Nasypała kawę na sitko maszynki i znowu poczuła ten sam niepojęty strach, który dopadł ją rano w stajni.

- Obyś miała rację.

Ustawił przed kominkiem parawan, otrzepał z kurzu ręce i rozpiął guziki kurtki.

- Zamierzasz tu zostać? - zapytała. Czuła zdenerwowanie, gdy nalewała wodę do maszynki.

- Przez jakiś czas.

Jakby nigdy nic, zdjął kurtkę i powiesił przy kominku. Przyjęła obronną postawę, była spięta. Zerknęła na niego przez ramię, rozlewając przy okazji odrobinę wody. Cała się trzęsła. To było absurdalne.

- To znaczy jak długo?
Błysnął oczami, uniósł kąciuki ust.
- Nie martw się, Maggie, nie będę dybał na twoją cnotę.
Zaparło jej dech. Rzuciła jakąś bezsensowną odpowiedź i próbowała zapanować nad sobą.
- Jesteś rozkoszny jak zawsze, prawda, Thane? - zakpiła. Zbyt mocno wcisnęła tłok w maszynce i musiała wytrzeć rozlaną wodę.
- Staram się, jak mogę.
Uśmiechnął się uwodzicielsko. Był zniewalający, seksowny, nonszalancki, Próżny i pewny siebie jak kiedyś. Miała ochotę go spoliczkować.
- Nie nabierzesz mnie na to.
Była stanowcza.
- To tylko ułatwi sprawę.
Omiótł wzrokiem okap kominka. Na chwilę zatrzymał się na zdjęciach dorastającej Becky, na oprawionej w ramkę fotografii obu sióstr i zerknął na jedyne ślubne zdjęcie Maggie i Deana. Byli szczęśliwi i uśmiechali się do siebie. Ona w sukni w kolorze kości słoniowej, w welonie i z różowo- białym bukietem róż, Dean w smokingu i poluzowanym krawacie. W jego pełnych życia oczach był blask, który tak szybko zgasł.
Rozsiadł się w sfatygowanym fotelu z wysokim oparciem i oparł nogi o kanapę.
- Ułatwi? Co ułatwi sprawę?
Uśmiech powoli zniknął z jego twarzy. Wpatrywał się w nią tak intensywnie, że omal się nie zaczerwieniła.
- Chcę cię prosić o przysługę.
Już miała odmówić, bo w głębi duszy wiedziała, że nie jest kimś, dla kogo chciałaby cokolwiek zrobić. Ale zapytała:
- O co chodzi?
- Chcę, żebyś pojechała ze mną do Denver. Chcę, żebyś była moim świadkiem.
Gdyby nie powiedział tego ze śmiertelną powagą, parsknęłaby śmiechem.
- Chyba żartujesz? Ja? Mam świadczyć o twoim nieposzlakowanym charakterze?
- Nigdy nie byłem bardziej poważny niż w tej chwili.
Miał zdeterminowany wyraz twarzy: uważne spojrzenie i zaciśnięte szczęki. Ani śladu człowieka, który jeszcze kilka sekund wcześniej żartował w najlepsze.
- Nie sądzę, że bym była ci coś winna - powiedziała powoli. Złożyła ściereczkę i obojętnie patrzyła na naczynie z zimnym, przypalonym gulaszem. Nie czuła głodu. Straciła apetyt, gdy Thane wkroczył znowu w jej życie.
- Tu nie chodzi o spłacenie długu.
- Więc o co?
Usiadła na oparciu sofy.
- Wiesz, że nie mógłbym skrzywdzić Marii Teresy.
Poczuła ściskający ból w sercu. Podejrzewała, iż Thane nigdy nie przestał kochać Marii Teresy. Przestał tylko kochać Maggie.
- Oczywiście.
- Ale policja tego nie wie.
- Chcesz powiedzieć, że policja podejrzewa cię o najgorsze?
- Na to wygląda.
To był Thane. On mi to zrobił. Przypomniała sobie zaszyfrowaną wiadomość od Marii Teresy i znowu poczuła skurcze żołądka.
- Nie pojawiłbym się tutaj, gdybym nie musiał - powiedział.
Nie miała wątpliwości, że mówi prawdę.
- Nie mogę się tak nagle zerwać i wyjechać - zaczęła, zanim usłyszała, co mówi. Przecież chodzi o moją siostrę bliźniaczkę, myślała. Ona jest w tarapatkach. - Jestem tu z Becky, a poza tym... - rzekła.
Jej myśli zaczęły biec innym torem. - A jeśli Maria Teresa mnie potrzebuje?
Maszynka do kawy zaczęła gwizdać. Poszła do kuchni. Ręce drżały jej lekko.
- No... sama nie wiem - przyznała, wniosła do pokoju kubki z dymiącą kawą. - Cukier i mleko są w kuchni..
- Wolę czarną. Dziękuję.
Pamiętała. Nie żeby to miało dla niej jakieś znaczenie. Nic podobnego. Usiadła w rogu kanapy, wsunęła stopy pod puszyste poduszki i sięgnęła po filiżankę.
- Powiedz wprost, czego się po mnie spodziewasz - postawiła jasno sprawę.
- Nie wiem, co się stało z Marią Teresą. I chyba nikt nie wie. Niektórzy uważają, że została porwana. Jak wiesz, mówi się nawet o morderstwie.
W milczeniu pokiwała głową.
- Są też tacy, którzy uważają, że to chwyt reklamowy albo że zniknęła, bo nie wytrzymała presji i potrzebowała trochę spokoju.

Upił łyk kawy, zapatrzył się w ciemną ciecz w kubku i sposepniał.

- Swoją drogą jest to mało prawdopodobne.

- Dlaczego?

- Ilekroć praca i ostra konkurencja dawały się jej mocno we znaki albo gdy spadała oglądalność jej programu czy też ostatni kochanek dawał nogę, albo miała dość życia na świeczniku, zjawiała się na moim ranczu.

- Na twoim ranczu? - zapytała osłupiała Maggie.

Sądziła, że Maria Teresa nie widuje Thane'a od czasu rozwodu. Siostra nigdy jej się nie zwierzyła, że spędza czas z byłym mężem.

- Czasami na ranczu w Kalifornii, czasami na ranczu w pobliżu Cheyenne.

Odstawił kubek na parapet, pochylił się do przodu i oparł ramiona na kolanach.

- Zdarzało się, że i ja tam byłem, ale częściej przebywała sama.

- Ja... nie miałam pojęcia, że się z tobą spotyka - powiedziała Maggie, uświadamiając sobie po raz pierwszy, jak mało wie o kobiecie, która była jej bliźniaczką.

Od czasu, gdy przybrała imię Markiza, Maria Teresa przestała utrzymywać kontakty z rodziną.

Jego wzrok był nieruchomy i lodowaty.

- Jest wiele spraw, o których nie wiesz, Maggie. Wiele spraw, o których lepiej, żebyś nie wiedziała.

Wstał, wyjrzał przez okno i zapatrzył się w noc. W zniekształconym odbiciu szyb widać było jego pobladałą twarz.

Zabrzączał telefon. Maggie drgnęła, omal nie wylewając na siebie kawy. Przy drugim dzwonku chwyciła za słuchawkę. Jej serce waliło jak oszałałe. Może wreszcie Maria Teresa odebrała informację.

- Halo?

- Maggie? Mówi Connie.

Nadzieja pierzchała. Rozpoznała głos szwagierki. Uzbroiła się w cierpliwość i czekała na kolejne złe wiadomości.

- Pewnie się dziwisz, że tak późno dzwonię, przejdę więc od razu do rzeczy. Słyszałam, że Markiza zniknęła. Mam w Denver przyjaciółkę, która wie, że jesteście spowinowaczone. No wiesz, w jakiś sposób. W każdym razie chciałam... Wiem, że to nie zabrzmiało złośliwie, ale chciałam się dowiedzieć, czy ty i Becky jesteście całe i zdrowe.

Tak jakby cię to obchodziło, pomyślała złośliwie Maggie, a na głos powiedziała:

- Mamy się świetnie.

- No to się cieszę. Chciałabym wam pomóc, gdyby zaistniała taka potrzeba. Och, wiem, że w przeszłości nie zawsze się zgadzałyśmy, ale Becky jest moją bratanicą i interesuję się jej losem.

Maggie miała wyrobione zdanie o szwagierce.

- Dziękuję - odparła, nie siląc się na serdeczność.

- Miałaś wiadomość od Markizy?

- Nie. Nie dzwoniła.

- Och, ja... nie wiem, co powiedzieć. Ale, proszę cię, gdybym w czymkolwiek mogła pomóc, daj znać.

Przez cienkie ściany domu Becky słyszała większą część rozmowy matki z Thanem Walkerem, pierwszym mężem Markizy. Gdy zadzwonił telefon, podniosła słuchawkę. Nim zdążyła się odezwać, usłyszała głos matki. Becky poczekała, aż Maggie skończy rozmowę i odłożyła słuchawkę.

Zdażyła się zorientować, że Markiza zniknęła i że nikt nie wie dlaczego. Wiedziała, że Thane chce, żeby Maggie pojechała z nim do Denver. Becky uśmiechnęła się do siebie w ciemności. Nie martwiła się o Markizę. Była zbyt sprytna i śliczna, zbyt sławna, żeby mogła się znaleźć w prawdziwych tarapatkach.

Popatrzyła na unoszące się w podstawce lampki niebieskie bąbelki. Ucieszyła się, że Thane próbuje namówić matkę na wyjazd do Denver. Nie mogło być lepiej. Bardzo chciała odwiedzić kuzynkę w Los Angeles. Musi tylko przekonać matkę. Po raz pierwszy od długiego czasu Becky dostrzegła promyk nadziei. Może jednak jest szansa wydostania się z tej nędznej, zapadłej dziury, myślała. Uważała, że Settler's Ridge w Idaho to zadupie.

- Przemyśl to.

Thane patrzył na twarz Maggie. Malowała się na niej cała gama emocji. Siedział, że i tak zgodzi się na jego propozycję. Przez chwilę miał wyrzuty sumienia, ale szybko się ich pozbył.

- Sama już nie wiem.

Spojrzała ponownie na aparat, jakby chciała wymusić telefon od Markizy. Na próżno.

- Wrócę wczesnym rankiem.

Gdy otwierał drzwi, zobaczył w jej oczach wahanie. Nie wiedziała, czy go zaprosić, żeby został, czy nie. Nieważne. I tak nie zamierzał spędzić tu nocy.

Na dworze wiał porywisty wiatr, który smagnął go niczym bicz. Popatrzył na niebo. Śnieg nadal sywał. Miał nadzieję, że nie grozi im zamieć. Uruchomił furgonetkę, włączył światła i wycieraczki. Nastawił radio na lokalne wiadomości. Mimo zakłóceń udało mu się wysłuchać skrótu wiadomości, które zaczynały się od informacji o jakiejś strzelaninie. Zawrócił samochód. W świetle lamp zobaczył przy oknie Maggie. Stała z założonymi na piersiach rękami. Była zamyślona. Miała ściągnięte brwi i zaciśnięte wargi.

Piękna kobieta, pomyślał. Piękniejsza niż jej sławna siostra, choć sama o tym nie wie. I może właśnie dlatego

zachowała tyle naturalnego powabu. Idiota, zachnął się, patrząc na odbicie swoich oczu we wstecznym lusterku. Były szaroniebieskie, surowe, błyszczwały z pożądania.

- Zachowywałem się jak idiota, gdy w grę wchodziły siostry Reilly, i tak już pewnie będzie zawsze.

Wyzywając się od kretynów, skręcił kierownicą. Jechał wąską drogą, dopóki nie znalazł szerszego pobocza. Zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Wyciągnął śpiwór i owinał się nim. Ze schowka na rękawiczki wyjął piersiówkę. Odkręcił korek i uśmiechnął się ponuro.

- Twoje zdrowie, Walker, ty żałosny skurwielu.

Pociągnął duży łyk. Poczul w gardle smak żytniej whisky i rozchodzące się w żołądku ciepło. Jeszcze raz podniósł butelkę do warg. Tym razem pił długo. Zakręcił korek i rozsiadł się wygodnie. Nastawił się na długą, zimną i bezsenną noc.

*

Maggie, pomóż mi, proszę! Pamiętasz, jak Thane cię wykorzystał, jak wykorzystał mnie. Cokolwiek zrobisz, nie ufaj Thane'owi Walkerowi.

Maggie otworzyła przerażone oczy. Serce waliło jak oszalałe, była zlana potem. Głos Marii Teresy był tak wyraźny, jakby znajdowała się w pokoju. Ale nie było jej. Maggie była sama, leżała w łóżku, w chacie w pobliżu Settler's Ridge. Czerwone cyfry zegara wyświetlały godzinę trzecią siedemnaście. Sen był tak realistyczny, że nie była pewna, czy nie wydarzył się naprawdę. Maria Teresa, Thane i Maggie stali na brzegu wąwozu, nad głęboką przepaścią, która zdawała się nie mieć dna. Roześmiana i uwodzicielska Maria Teresa postąpiła krok naprzód.

- Nie rób tego! - krzyknęła Maggie.

- Nie wygłupiaj się, złap mnie za rękę! - nakazał Thane. Na twarzy Marii Teresy pojawiło się autentyczne przerażenie. Ziemia obsunęła się jej spod nóg. Próbowwała się wygramolić. Była coraz bledsza, a z jej oczu wylazła panika.

- Thane! - zawołała. Rzucił się do przodu, jakby chciał ją złapać. Maggie krzyknęła, bo na jego twarzy ujrziała nienawiść, a ręka, którą wyciągnął, zaczęła spychać jej siostrę z krawędzi.

- Nie! - błagała Maggie.

Ale było już za późno. Markiza zaczęła spadać. Na oślep, rozpaczliwie biła rękami i nogami, była coraz mniejsza, aż czarna dziura pochłonęła ją doszczętnie. Thane, znowu spokojny i opanowany, odwrócił się do Maggie, jakby miała być następną ofiarą. W tym momencie usłyszała znowu głos Marii Teresy. Koszmarny sen był bardzo rzeczywisty. Maggie usiadła i zwiesiła nogi z łóżka. Drżała, w głowie czuła głuche walenie.

- Mamo?

Wzdrygnęła się na widok białej sylwetki Becky, która stała w drzwiach.

- Na miłość boską, przestraszyłaś mnie - przyznała się.

Włączyła nocną lampkę.

- To ty mnie przestraszyłaś.

Becky miała na sobie dzinsy i sweter jak wtedy, gdy ją zrzucił Jasper. Opierała się o framugę drzwi, starając się stać na zdrowej nodze. Światło oślepiło ją. Zamrugała oczami. Potargane włosy świadczyły, że dopiero co zerwała się ze snu.

- Przepraszam, miałam zły sen. Koszmarny.

- Śniła ci się Markiza - odgadła Becky.

Maggie wstała i podeszła do drzwi.

- Przykro mi, skarbie. Chyba jestem po prostu zmęczona.

- Ja też.

- Więc zaprowadzę cię do łóżka, przyniosę jeszcze trochę lodu i...

- Nic mi nie jest, mamo, naprawdę - ziewnęła Becky. - Po prostu przerażasz mnie. Dziwnie się zachowujesz. Dzisiaj w stajni, kiedy kłęczałaś, i teraz ten straszny krzyk. - Zagryzła zębami dolną wargę. - To jakiś obłąd.

Maggie bez namysłu objęła córkę ramieniem. Tym razem Becky nie próbowała się wyrwać. Zachichotała nerwowo, próbując uwolnić się z objęć matki.

- Wiem, że się niepokoisz o Markizę. Słyszałam twoją rozmowę z Thanem. Prosił, żebyś mu pomogła.

Maggie podejrzliwie spojrzała na córkę.

- Nie podsłuchiwałam, ale co miałam robić, skoro wszystko było słychać - dodała pospiesznie, odwracając wzrok.

- Dlaczego nie miałabyś pojechać i dowiedzieć się na miejscu, co się stało?

- To nie takie proste.

- Prostsze niż ci się wydaje. Sąsiedzi zaopiekują się końmi, termin oddania twojej książki upływa dopiero za parę miesięcy. Ja mogę opuścić kilka dni w szkole i zamieszkać u przyjaciółek albo u cioci Connie i wujka Jima w Los Angeles.

- A więc o to chodzi - powiedziała Maggie, dziwiąc się, jak uległa i zgodna potrafi być jej córka. Jest sprytna, pomyślała. Zupełnie jak Maria Teresa.

- Kiedy ty naprawdę możesz pomóc odnaleźć Markizę.

- Ja? W jaki sposób?

- Piszesz powieści kryminalne, mamó. Opierasz się na prawdziwych przestępstwach i zbrodniach. Ciągłe rozmawiasz z policjantami. Prowadziłaś też na własną rękę dochodzenie, może nie?

- To było dawno temu.

Becky wzruszyła ramionami.

- Czy to nie jest tak jak z jazdą na rowerze?

- Niezupełnie - odparła Maggie, śmiejąc się cicho. - No chodź, zaprowadzę cię do łóżka.

Becky posłała jej niewinny uśmiech.

- A co z gorącym kakao?

Maggie nie była aż tak nieprzytomna, żeby nie wiedzieć, że Becky coś knuje. Gotowa była iść na kompromis, byle nawiązać kontakt z córką.

- Dobrze, już dobrze, ale potem marsz do łóżka i nie próbuj mnie więcej namawiać na podróż do Denver. Sama podejmę decyzję.

Pomogła córce przejść do saloniku. Otulona w miękki szal Becky zwinęła się na sofie. Ogień w kominku powoli dogasał. Żarzyły się ostatnie kawałki drewna, w domu było coraz chłodniej. Drżąca i bosa Maggie narzuciła ciepły szlafrok i włożyła kaptcie. Szybko zagotowała wodę na kakao. Gdy filiżanki obracały się w mikrofalówce, wyszperała w spizami ciasteczka, których termin przydatności upłynął przed wiekami.

Doskonale, pomyślała. Kiepska ze mnie pani domu.

- Skąd ci przyszło do głowy, że jeśli pojedę do Denver, odeślę cię do Los Angeles? Dlaczego nie miałybyś zostać na miejscu z jakąś koleżanką? - zapytała.

- Z którą?

Maggie zamieszała kakao. Pytanie było dobre. Nie знаła tu nikogo na tyle dobrze, żeby mogła ją zostawiać na dłużej niż jedną noc.

- Mogłabym zobaczyć się z przyjaciółkami - nie ustępowała Becky.

- I opuścić szkołę?

- Nadrobię.

Maggie podała filiżankę córce, która po raz pierwszy od tygodni uśmiechnęła się do niej pełną buzią. Oczy jej promieniały. Kobieta usiadła w przeciwległym rogu kanapy, wsunęła kolana pod obfite fałdy szlafrocka i brzegiem szala przykryła stopy.

- Zastanowię się nad tym - powiedziała. Czują się rozdarta. Nie należała do osób, które siedzą z założonymi rękami i czekają, aż inni rozwiążą ich problemy. A teraz wszystko wskazywało na to, że potrzebna była Marii Teresie.

- Mamó? Czy z tobą jest coś nie tak?

Twarz Becky była poważna i zmęczona.

- Poza tym, że nie potrafię się dogadać z własną córką? - zazartowała.

Wypiła kakao.

- Może jesteś chora? No wiesz...

Becky nie patrzyła na matkę.

- Nie, skarbie, nie jestem chora. Ani na ciele, ani na umyśle.

Westchnęła, żalując, że nie może zwierzyć się córce, powiedzieć jej prawdy o Marii Teresie. Wiedziała, że to by tylko dołało oliwy do ognia. Przeraziłoby Becky. Przywołało zadawnione, bolesne wspomnienia i podejrzenia, że matka może być chora, bo po śmierci męża chodziła do psychiatry. To nie było nic poważnego, ale Connie i Jim czasami napomykali, że Maggie ma delikatny system nerwowy.

Odchrząknęła i powiedziała:

- Dopij, a potem wrócimy do łóżek.

- Więc co zamierzasz zrobić? - dopytywała się Becky.

Wypiła łyk i podała matce opróżnioną do połowy filiżankę.

- Sama chciałabym wiedzieć - przyznała Maggie.

Zaniosła filiżanki do zlewu. Zauważyła kubek, którego używał Thane. Dotknęła palcem brzegu zastanawiając się, co sprawiło, że pojawił się na progu jej domu. Mógł zadzwonić i przez telefon powiedzieć o Marii Teresie. Dlaczego wołał przejechać wiele setek kilometrów, żeby się z nią zobaczyć? Spojrzała za okno. Śnieg pokrył ziemię i osiadł na gałęziach drzew. Ciemna noc sprawiała niesamowite wrażenie. Samotność, którą lubiła, teraz dziwnie doskwierała.

- Mamó? - Głos Becky przywołał ją do porządku. - O co właściwie chodzi?

Maggie potrząsnęła głową i westchnęła. Nie próbowała udawać, że nie wie, o co Becky pyta:

- Wygląda na to, że chodzi o sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów. - Przeciągnęła palcami po włosach i weszła do saloniku. W milczeniu pomogła córce wrócić do sypialni.

- Chciałabym znać odpowiedź, Becky. Słowo daję, że chciałabym ją znać.

chciała, żeby ją nazywano, nie miał wątpliwości, że ktoś go próbuje wystrychnąć na dudka.

Podlubał kciukiem w zębach, sięgnął do górnej szuflady biurka po papierosy. Zamiast nich znalazł paczkę gumy do żucia o smaku nikotyny. Nie znosił tego paskudztwa. Wsunął jednak kawałek do ust. Był to cholernie mamy substytut prawdziwego camela.

Przypięte pinezkami zdjęcie Marii Teresy Reilly Walker Gillette, zwanej także Markizą, wisiało nad jego biurkiem. Seksowa, nie ma co, pomyślał.

Była szczupła jak modelka. Miała gęste rudobrazowe włosy, oczy zielone jak jadeit, prosty nos i wspaniałe zęby. Jej uśmiech mógł rozbroić każdego. Była prawdziwą pięknoscią. Mogła podbić każdego faceta, który pojawił się na jej drodze. Patrząc w kamerę, jakby miała zamiar uwieść stojącego za obiektywem mężczyznę, promieniała zmysłowym blaskiem, który działał nawet na niego. A wydawało się, że po blisko dwudziestu latach pracy w branży nic go nie poruszy.

Markiza była gwiazdą pierwszej klasy. Niewielu mężczyzn potrafiło się jej oprzeć. Dwukrotnie zamężna, miała sznur kochanków. Choć nie była zbyt stała w uczuciach, nikt jej za to nie potępiał. Na jej widok mężczyźni ślinili się. Pierwszy mąż Markizy, Thane Walker, był kowbojem - wolnym strzelcem o nieposkromionym temperamencie. Przez niego jeden człowiek wyładował w szpitalu. Wydarzyło się to wprawdzie dawno temu, gdy Thane Walker miał zaledwie szesnaście lat, ale Henderson był zdania, że człowiek się nie zmienia. Ktoś, kto był w gorącej wodzie kąpany, pozostawał taki na zawsze. W przeszłości Walkerowi udawało się uchodzić przed prawem.

Drugi mężczyzna, który popełnił błąd, żeniąc się z Markizą, był starszym facetem. Lubił młode i rzucające się w oczy kobiety. Podporządkowywał je sobie. Z tą jedną mu się nie udało. Maria Teresa została trzecią panią Syd Gillette. Po niecałym roku on poszedł swoją drogą. Znów się ożenił i ponownie rozwiódł. To cud, że facetowi zostały jeszcze jakieś pieniądze.

Ostatni przyjaciel Markizy był od niej o dziesięć lat młodszy - model z długimi, kręconymi włosami miał znudzone, posępne spojrzenie, które kobiety uważały za seksowne. Henderson wiedział, że Wade Pomeranian był zepsutym do szpiku kości gnojkiem.

Co się z nią stało? - zastanawiał się. Czy nie żyje? Zamordowana? Popełniła samobójstwo? Postanowiła zrobić kawał? A może to chwyt reklamowy zdesperowanej gwiazdy, której blask zaczynał przygasać?

- Diabli wiedzą - uznał.

Rozparł się w fotelu. Ujął w palce starą baseballową piłkę, podpisaną przez Sandy'ego Koufaksa w czasach, kiedy Henderson był jeszcze dzieckiem, i podrzucił ją. Przeleciała doskonałym łukiem trochę poniżej fluorescencyjnych lamp, odbiła się od ściany i wpadła w jego rozwarte, nadstawione palce.

- Co, u diabła, stało się z Markizą?

Prasa o niczym innym nie pisała. Gdy nie zjawiała się w studiu, gdzie Prowadziła talk show *Denver o poranku*, producent programu wkurzył się.

Henderson robił swoje. Rozmawiał ze znajomymi zaginionej. Wszyscy wydawali mu się podejrzani. Jej gburowaty pierwszy mąż najwyraźniej coś ukrywał. Henderson czuł to przez skórę. Zamierzał do tego dojść. Potrzebował tylko trochę więcej czasu.

Do ogólnokrajowego biuletynu policji przekazał jej rysopis, dokładny opis jeepa wranglera i numery rejestracyjne. Przez FBI przesłał dane do Centrum Informacji ds. Przestępstw, do działu osób zaginionych. Sądził, że wcześniej czy później wypłynie - martwa lub żywa. Na razie wolał w to nie wnikać. Pocieszał się, że ludzie nie znikają z powierzchni ziemi bez śladu. Pamiętał jednak, że przed laty, kiedy był jeszcze w akademii, założył się, iż w końcu odnajdą zaginionego Jimmy'ego Hoffę. Pięć docłów, które przegrał, należało do historii, ale obawy zostały. Niech mnie kule biją, gdyby to samo miało się wydarzyć teraz na moim terenie, rozmyślał.

Otworzyły się drzwi i do gabinetu wsunęła głowę Hannah Wilkins. Ona też pracowała, choć był weekend.

- Żadnych wiadomości na temat miejsca pobytu Thane'a Walkera? - zapytała, patrząc z dezaprobatą, jak podrzuca piłkę. Wiedział, że nie pochwała jego braku poszanowania dóbr materialnych. Nikt tego nie pochwalał. On jednak nie wierzył w pozłacane klatki i dlatego, jak sądził, stracił Karen i dzieci.

- Nie. Wygląda na to, że Walker dał nogę. Razem ze swoją eks-małżonką.

Złapał piłkę ostrożnie, żeby nie dotknąć palcami podpisu Sandy'ego, który zachował się w idealnym stanie, i jeszcze raz ją podrzucił.

- Rozmawiałaś z kimś na jego rancho w Wyoming?

- Nie. Nikt nie odpowiadał.

Wsunęła się do pokoju i oparła o framugę drzwi. Założyła ręce na piersiach, które opinała niebieska welna zakietu i dodała:

- Ale dodzwoniłam się do jego drugiej posiadłości, w Kalifornii. Rozmawiałam z zarządcą. Nie potrafił powiedzieć, co z Walkerem.

- Szukaj dalej.

- Robi się.

Kiwnęła głową, lekko poruszając krótkimi blond włosami.

- Nie zginęli przecież oboje - dodał.

- Nie wy daje się.
- Pamiętasz, rozmawiałeś z nim w dniu, w którym zgłoszono jej zniknięcie. Twierdził, że z nią nie wyjechał.
- Pamiętam. Miał z nią na pieńku.
- Nie on jeden.
- Ale on był ostatni. W minionym tygodniu poczciwa stara Markiza zadarła ze wszystkimi, prawda? - mruknął.
Pomyślał o jej sprzeczkach ze współprowadzącym poranny program, z ostatnim przyjacielem, a także z pierwszym mężem. A tylko o tych osobach coś wiedział.
- Walker nie gra w otwarte karty.
Henderson zachmurzył się. Odłożył piłkę na miejsce, na małą metalową replikę baseballowej rękawicy, z której złota farba dawno się złuszczyła. Zmrużył oczy i popatrzył przez okno na miasto. Poskrobał palcem ciemny zarost.
- Nie lubię tego faceta.
- To żadna nowina - zauważyła Hannah. - Nikogo nie lubisz.
I mam ku temu powody, pomyślał. Większości ludzi nie można ufać. Zwłaszcza byłym mężom.

*

- Zdaje się, że to twój szczęśliwy dzień.
Maggie weszła do pokoju Becky i podniosła w oknach żaluzje. Pokój w jednej chwili wypełniło pogodne poranne światło. W oddali gromadziły się jednak burzowe chmury, szare i groźne, które zapowiadały opady śniegu, większe niż wczoraj.
Stękając, Becky przekreśliła się w łóżku. Worek z lodem, który w nocy zamienił się w wodę, upadł na podłogę. Na szczęście się nie otworzył.
- Cóż w nim takiego szczęśliwego?
- Lecisz do Kalifornii.
Maggie podniosła worek. Becky otworzyła oczy. Poderwała się błyskawicznie i usiadła.
- Co się stało? - zapytała podejrzliwie, ziewając i przecierając zaspane oczy.
- Masz rację, muszę pojechać do Denver.
Maggie przysiadła na parapecie okna i z żalem patrzyła, jak pogodny poranek ustępuje miejsca nadciągającym chmurom.
- Nie wiem, co się mogło stać z Marią Teresą - przyznała, spoglądając na przezroczysty, obwisły worek, w którym wcześniej był lód. - Ma tylko mnie. Muszę tam jechać.
- Bomba! - Becky zdawała się nie przejmować zniknięciem ciotki.
- Najpierw jednak obejrzymy twoją kostkę.
Maggie podeszła do łóżka, a Becky ochoczo wystawiła spuchniętą nogę. Kobieta bardzo ostrożnie przesunęła palcem po skórze. Becky ani drgnęła.
- Jest już o wiele lepiej.
Wprawdzie opuchlizna się zmniejszyła, ale miejsce wokół kostki miało dzisiaj jeszcze intensywniejszy zielono-niebieski kolor, a sina plama powiększyła się i sięgała aż do pięty.
- Skoro tak mówisz.
Maggie wyprostowała się, wysiliła na uśmiech i poszła do łazienki wylać zawartość worka.
- Nie jest to chyba najlepsza pora na odwiedziny Connie i Jima - stwierdziła po powrocie do pokoju Becky.
Pokój wyglądał jak po burzy; na podłodze wały się ubrania, ręczniki, książki i żurnale.
- Oczywiście, że jest. - Becky nie zamierzała rezygnować. - Nie możesz zmienić zdania.
Nigdy w życiu nie zostawiłaby Becky samej, zwłaszcza teraz, gdy musi chodzić o kulach. Ale nie miała wyboru.
- No więc dobrze. Zadzwońłam już do Connie, na lotnisko i do twojego nauczyciela - powiedziała Maggie.
Uspokajała Becky, ale sama była niezadowolona, że musi ją zostawić u krewnych Deana. Uważała bowiem, że bardziej interesował ich podział majątku niż jej córka.
- W drodze do Boise weźmiemy zaświadczenie ze szkoły, a stamtąd polecisz do Los Angeles. Connie odbierze cię na lotnisku. Powiedziała mi, że Jenny szaleje z radości. Nie może się doczekać twojego przyjazdu.
Uśmiechnęła się, choć nie było jej do śmiechu. Otworzyła szafę i stając na palcach, ściągnęła z górnej półki wielką sportową torbę.
- Musimy się spakować.
Becky odrzuciła koldrę i podpierając się kulą, pokuśtykała do swojej szafy.
- Wspaniale - zawołała.
Oczy jej błyszczały, na twarzy nie było już widać śladów snu.
- To znaczy, niepokoję się o Markizę i w ogóle. Uważam jednak, że nic złego nie mogło jej się stać. Po prostu zniknęła. Jak kiedyś. Znajdzie się, prawda?
- Jasne.

Choć Maggie nie była już niczego pewna, nie chciała psuć radości Becky. Maria Teresa miewała humory. Było wielce prawdopodobne, że po sprzeczce z agentem, awanturze z kochankiem albo kłótni z wytwórcią, dla której zagrała w kilku filmach, opuściła nagle studio i zaszła się gdzieś na kilka dni. Może chciała się pozbierać i z

nowymi siłami stanąć do walki. Praca w Denver nie uczyniła jej szczęśliwszą. Tyle że Maggie nigdy przedtem nie słyszała udręczonego, cichego wołania siostry. Nigdy też Thane Walker nie pojawił się na progu jej domu. Teraz było inaczej.

- Daj znać, gdybyś potrzebowała pomocy - powiedziała Maggie. - Śniadanie będzie za piętnaście minut.

Maggie nie miała pewności, czy informacja dotarła do córki, bo Becky była zajęta wybieraniem podkoszulków, szortów i dżinsów odpowiednich na kalifornijskie upały.

- Zabierz rzeczy na cały tydzień - dodała.

Becky błyskawicznie odwróciła się w stronę matki.

- Na tydzień? - Nie kryła radości.

- Nie wiem. Ale znasz moje motto: lepiej nosić niż się...

...prosić, taak, już to słyszałam.

Przewróciła wymownie oczami i znów zaczęła przerzucać szufladę z bielizną.

Maggie wzięła prysznic, ubrała się i spakowała. Jej walizka, laptop, teczka i portfel, ułożone jedno na drugim, stały w pobliżu wyjściowych drzwi. Po wysłuchaniu komunikatu meteorologicznego o nadszyciej zamieci, dorzuciła jeszcze narciarską kurtkę, rękawice i czapkę.

W maszynie parzyła się kawa. Wsunęła do tosterki pieczywo. Rury zazgrzytały, widać Becky odkręciła kran. Maggie usłyszała śpiew córki. Fałszowała, przekrzykując szum lejącej się z prysznicza wody.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała Becky tak radosną i szczęśliwą.

Barkley, który jak zawsze czuwał pod stołem, nagle podniósł łeb, postawił jedno ucho i ostrzegawczo szczechnął. W tej samej chwili Maggie usłyszała warkot furgonetki. To był Thane. Między drzewami wypatrzyła maskę fordą i serce zabiło jej mocniej. Weź się w garść, powiedziała do siebie.

Widziała, jak Thane wyprostował się i przeciągnął leniwie. Miał na nosie lotnicze przeciwoślepne okulary, a wyraz twarzy tak srogi, jakby chciał kogoś zabić. Po prostu mężczyzna. Nic więcej. No to co, że cię oszukał i zdradził? No to co, że się ożenił z twoją ładniejszą od ciebie siostrą i że go teraz poszukują, bo ona zniknęła?

Przełknęła z trudem ślinę. To wszystko było takie dziwaczne i straszne. Barkley zaczął z przejęciem ujadać.

- Cicho, Barkley, uspokój się.

Ostrożnie, żeby się nie sparzyć, wyjęła tosty i rzuciła je na talerz. Znowu zazgrzytały rury - Becky zakręciła wodę.

Thane zastukał głośno do frontowych drzwi.

- Otwarte! - zawołała, przekrzykując szczechanie Barkleya.

- Hej, już mnie nie pamiętasz?

Thane wszedł do chaty, a głupie psisko od razu zaczęło się do niego łaścić. Ujądanie przeszło w zakłopotane sapanie. Thane przystanął i podrapał Barkleya za uchem.

- Wygląda na to, że znowu wygrałeś - powiedziała Maggie.

- To dopiero początek.

Poklepał i pogłaskał siwiejący łeb owczarka. W kącie dostrzegł bagaż. Gdy mu się przyglądał, Maggie ścisnę w żołądku.

- Postanowiłaś jechać ze mną do Denver?

- Taak. Becky, śniadanie! - krzyknęła w stronę sieni.

Udając zdziwienie, Thane uniósł brwi, wyprostował się, i ociągając wszedł do kuchni.

- Co się stało, że zmieniłaś zdanie?

- To moja siostra. Przepuść mnie, proszę.

Ominęła go i otworzyła lodówkę.

- Rozmawiałaś dzisiaj z policją?

- Co? Nie.

Wyjęła karton soku pomarańczowego, sięgnęła do kredensu po szklanekę i napełniła ją.

- Chcesz trochę?

- Nie. Poproszę kawę.

Rozdzwonił się telefon. Maggie złapała słuchawkę. Becky przykuśtykała do kuchni. Zerknęła nieufnie na Thane'a i usiadła przy stole. Thane nalał sobie kawy. Sięgnęła za jego plecami i z szafki wyjęła oblepioną butelkę syropu.

- Maggie? Mówi Charlie. Emma powiedziała, że dzwoniłaś, prosząc, żebyśmy rzucili okiem na dom, kiedy cię nie będzie.

Charlie i Emma Sandquist mieszkali najbliżej. Maggie rozmawiała dziś rano z Emma. Charlie karmił wtedy bydło.

- Gdzie jest masło? - zapytała Becky.

Maggie wskazała palcem na blat. Thane podał dziewczynce maselnickę, w której było pół kostki.

- Zgadza się. To nie powinno potrwać dłużej niż cztery, pięć dni. Najwyżej tydzień - powiedziała Maggie.

- To nie ma znaczenia - odparł sąsiad. - Parę dni nie robi różnicy.

- Bardzo dziękuję. Mam nadzieję, że będę mogła się zrewanżować.
Thane stał z boku i popijał kawę z wyszczerbionego kubka, który Maggie przed laty dostała w prezencie ślubnym. Gdy Maggie skończyła rozmowę, Becky była już po śniadaniu. Opierając się na kuli wyszła z kuchni.

- Jesteś spakowana? - zawołała za nią Maggie, patrząc na zegarek.
- Prawie.
- Pomogę jej wynieść bagaż.
Thane wstawił kubek do zlewu.
- Zaczekaj.
Chwyciła go za łokieć, ale natychmiast opuściła rękę.
- Wyjaśnijmy sobie coś. Jadę do Denver, ponieważ muszę się czegoś dowiedzieć o Marii Teresie. Ale sądzę, że będzie lepiej, jeśli polecę samolotem.
- Żeby tylko nie jechać ze mną?
Poczuła przyspieszone bicie serca.
- Zgadza się.
- Dlaczego?
Przez chwilę się wahała, ale szybko doszła do wniosku, że najlepiej zrobi, gdy powie prawdę.
- Ponieważ ci nie ufam - przyznała.
Ściągnął usta i potarł nieogolony podbródek. Milczał. Niespokojne błyski w jego oczach utwierdziły ją w przekonaniu, że dobrze zrozumiał, co powiedziała.
- Zachowam się najlepiej, jak potrafię - rzekł wreszcie.
- Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco, Thane - odparła.
- To wszystko, co mogę zaproponować.
Z zaciśniętą szczęką i nieruchomym spojrzeniem szaro-niebieskich oczu wpatrywał się w nią tak intensywnie, że widziała jego powiększone źrenice. Zaszło jej w gardle, a malutka, najbardziej kobieca jej cząstka pragnęła mu uwierzyć, puścić w niepamięć zawód, jaki jej sprawił, znowu zaufać.
- Ty... zbyt wiele chcesz.
- Wiem.
Był poważny. W siateczce zmarszczek wokół oczu można było dostrzec smutek.
- Mogę mieć kłopoty, Maggie. Policja zachowuje się tak, jakbym to ja był odpowiedzialny za zniknięcie Marii Teresy.
Maggie pomyślała o zrozpaczonym głosie swojej siostry, który usłyszała, gdy karmiła konie.
- Więc jak, zgadzasz się? - zapytał.
Maggie nie wiedziała, co powiedzieć.
- Ty też mi nie wierzysz. - Głos miał bezbarwny. - Do diabła, widać sobie na to zasłużyłem. Ale zapewniam cię, jak tu stoję, nie zrobiłem nic złego.
Chciała mu wierzyć, zaufać tym chłodnym szaroniebieskim oczom, zajrzeć w głąb jego duszy. Ale bała się tego, co mogła tam zobaczyć.
- Niech będzie - usłyszała swój głos. - Pojadę z tobą, Thane. Przejechałeś ponad tysiąc kilometrów, aby mnie przekonać, że interesuje cię tylko los byłej żony.
Przełknął tę złośliwość.
- Ruszajmy więc.
Ogarnął wzrokiem wnętrze chaty, palenisko w kominku, w którym był tylko popiół.
- Jestem gotowa, czekam na Becky. Barkley zostanie w stajni, dopóki nie przyjdzie Charlie i nie zabierze wszystkich zwierząt do siebie. Tak więc...
Po raz ostatni rozejrzała się po domu, by upewnić się, że wszystko jest w porządku.
Thane szedł w stronę pokoju Becky, kiedy znowu zadzwonił telefon. Maggie chwyciła słuchawkę, w nadziei, że to siostra.
- Pani McCrae? - zapytał męski głos. - Mówi Craig Beaumont. Pracuję z pani siostrą i chciałbym się dowiedzieć, czy nie wie pani, gdzie ona jest?
Maggie oparła się o kredens.
- Nie - odpowiedziała ze ściśniętym gardłem.
Nigdy nie spotkała Beaumonta, wiedziała tylko, że jest ładnym chłopcem, który, jak mówiła Maria Teresa, sprzedałby diabłu własną matkę za wyższe notowania. Craig był zaniepokojony. Opowiedział, jak to Markiza nie przyszła do pracy w ostatni piątek, jak wszyscy w studiu się o nią martwią.
-... próbowałem dodzwonić się do pani wcześniej, ale nie było połączenia.
- Bardzo mi przykro.
Maggie odłożyła słuchawkę. Znowu była przerażona.
- Kłopoty? - zapytał Thane, który z wielką sportową torbę i mniejszym Pudłem z przenośnym odtwarzaczem CD wszedł do kuchni.

- To był mężczyzna, z którym pracuje Maria Teresa.
- Ron Bishop, kierownik produkcji?
- Nie, współprowadzący program.
- Beaumont?
- Tak. Szukają jej.
- Więc jeszcze się nie pokazała.
- Nie. - Machnęła ręką i pomyślała, że im wcześniej znajdzie się w Denver, tym lepiej. - Ruszajmy już w drogę.
- Załaduję bagaże.

Maggie pomogła Becky dojść do furgonetki. Zamknęła Barkleya w boksie z końmi i zatkała uszy, żeby nie słyszeć jego rozpaczliwego wycia.

Zerkając na chmury, które zgromadziły się na porannym niebie, Thane wsunął torby pod plandekę i usiadł za kierownicą. W kabinie było ciasno. Maggie była niezadowolona, ale powstrzymała się od komentarza. Gdy wsadzą Becky do samolotu, będzie luźniej. Trochę ją ta myśl uspokoiła, ale nie na długo. Wkrótce zostanie sama, z mężczyzną, któremu postanowiła nigdy nie zaufać. Będą jechali przez pustkowie skazani tylko na siebie.

Becky, wyczuła napięcie między matką i byłym mężem ciotki. Poszperała w pudełku z płytami kompaktowymi. Znalazła tę, którą chciała. Wsunęła ją do odtwarzacza i nałożyła słuchawki na uszy. Ruszając głową w takt melodii podkręciła na cały regulator, niektóre słowa docierały nawet do Maggie.

Ruszyli. Padały pierwsze tego ranka płatki śniegu. Dom został za nimi.

*

Becky nie potrafiła rozgryźć, co się dzieje. Słuchała płyty dawnego składu Nirvany i nie mogła skupić się na muzyce, która zwykle ją porywała. Ani Kurt Cobain, ani mocne dźwięki strun jego gitary nie zagłuszały jej myśli. Coś tu nie gra. Może źle oceniłam sytuację, i Markiza rzeczywiście wpadła w poważne tarapaty?

Kątem oka zerknęła na matkę. Dostrzegła jej bladą twarz. Maggie nerwowo obgryzała paznokieć kciuka. Siedziała wyprostowana i sztywna. Z uporem wpatrywała się w przednią szybę. Miała opuszczone kąciaki ust. Była zatroskana. Podobnie wyglądała, gdy przed ponad rokiem powiedziała Becky o rozwodzie. Dziewczyna poczuła ucisk w żołądku. Szybko odrzuciła od siebie myśli o rodzicach.

Oczywiście, że toczyli ze sobą walkę. Wielka mi rzecz. Wszyscy rodzice się kłócą. Ale nie wszyscy się rozwodzą. A potem tata umarł.

Przez chwilę czuła pieczenie w oczach, zacisnęła zęby, a Kurt Cobain śpiewał i śpiewał. Puste miejsce, które ciągle bolało, rozogniło się na nowo. Postanowiła nie myśleć o ojcu ani o tym, że może by nie umarł, gdyby nie ta ostatnia, paskudna awantura.

- Cholera - mruknęła pod nosem.
- Co? - Matka odwróciła się w jej stronę.
- Nic.

Nie chciała rozmawiać, więc zamknęła oczy. Przez kilka sekund, dopóki nie zaczęła się kolejna melodia, w furgonetce panowała martwa cisza.

Dzięki Bogu. Posłuchani muzyki.

Przestała myśleć o rodzicach i o parszywej przeszłości. Skoncentrowała się na tym, co ją czeka w najbliższym czasie. Uśmiechnęła się i podjęła decyzję, że już nigdy nie wróci do Idaho. Nie znosiła tego miejsca.

Ciocia Connie mnie przygarnie. Jennifer tak powiedziała. I powiedziała, że zabierze mnie na przyjęcie, gdzie poznam fajnych chłopców i że przekłujemy sobie pępki i może zrobimy tatuaże. Ale będzie fajnie. A mama niech się wścieka.

Becky przez cały czas poruszała głową w rytm muzyki. Jeszcze nie zdecydowała, jaki tatuaż wybierze, ale chciała, żeby był widoczny.

Fajny byłby motyl, ale jest oklepany. Oczywiście nie w Idaho, ale w Los Angeles. Pająk jest zbyt przerażający. Koliber byłby całkiem niezły.

Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie niesamowicie kolorowego ptaka, unoszącego się tuż nad jej piętą, który zanurza długi dzióbek w maleńkim kwiatku.

Taaak, to jest to. Mama dostanie szału. No i co z tego?

Poczuła lekkie wyrzuty sumienia, ale szybko o nich zapomniała. Rozmyślała, jak świetnie będzie się bawić w Los Angeles.

Minęli White Bird Hill. Becky zerknęła na Thane'a. Był ponury, nie odrywał oczu od szosy. Zaczął padać śnieg. W furgonetce było jak w trumnie.

Jak na starego faceta, całkiem niezłe wygląda, oceniła. Pod warunkiem, że lubi się typ szerokiego w ramionach, długonogiego kowboja. Bardziej by mu pasował narowisty koń albo choćby motocykl.

Było w nim coś dziwnego. Nawet trzynastoletnia Becky to zauważyła.

Co mogą mieć wspólnego on i moja matka? Dlaczego zachowują się tak, jakby się nie znosili?

Becky niewiele słyszała o pierwszym mężu Markizy. Wiedziała tylko, że Maggie nigdy nie zaakceptowała tego małżeństwa i że nigdy nie chciała o tym mówić. Tak jakby nie cierpiała tego faceta. Na dobrą sprawę, guzik mnie

to obchodzi. Chcę się tylko wyrwać i nigdy tu nie wracać. Jeszcze parę godzin i będę wolna.

*

Thane, żując zabraną z restauracji na lotnisku wykałaczkę, obserwował odrzutowiec. Czuł zdenerwowanie Maggie. Z twarzą przyklejoną do szyby patrzyła, jak samolot poderwał dziób do góry, wzbił się w powietrze i zniknął z pola widzenia.

- Po raz pierwszy zgodziłam się, żeby poleciała sama - przyznała.

- Doleci szczęśliwie.

Obrzuciła go takim spojrzeniem, jakby ani przez chwilę w to nie wierzyła. Od wczorajszego wieczoru zachowywała się wobec niego wyjątkowo opryskliwie i nieprzyjaźnie. Wiedział, że mu nie ufa. Zawsze była inteligentniejsza od siostry.

- Zatrzyma się u krewnych, prawda?

- Nie moich.

- Twojego męża?

Pokiwała głową. Oczy jej pociemniały.

- U brata Deana i jego żony. Mają córkę, Jennifer, starszą o kilka lat. Becky ją uwielbia.

- A ty?

- Uważam, że za wcześnie i za szybko zaczyna.

- Jak wszystkie dzieci teraz - zauważył.

- Nic nie rozumiesz.

Maggie zamierzała powiedzieć coś jeszcze, ale się rozmyśliła.

- Oświeć mnie.

Spojrzała na niego, jakby chciała go zabić.

- Nie starczyłoby mi na to życia. Zadzwoń wieczorem do Connie i Jima. Upewnię się, czy Becky dotarła na miejsce.

Jej oczy były ciemne jak niebo w Boise. Była blada. Odwróciła się od wielkiej szyby, zza której obserwowała pas startowy, i pomaszerowała w kierunku holu dworca lotniczego. Thane starał się nie zauważać mocno wysuniętego podbródka ani zmarszczek wzburzenia, które pojawiły się na jej zwykle gładkim czole. Nie patrzył na kołyszące się biodra, gdy energicznie kroczyła korytarzem. Była chwilami tak podobna do Marii Teresy, że z trudem nad sobą panował. Wzbierała w nim wściekłość i nieufność.

A teraz pocziwa stara Maria Teresa, nie, niech będzie Markiza, dokonuje ostatniego aktu zemsty. To by nawet pasowało. Kapitalny żart, tylko nikomu nie jest do śmiechu, myślał Thane.

Na dworze szalał porywisty i lodowaty wiatr wiejący z Kanady. Śnieg zasypywał parking. Thane rzucił okiem na niebo, zaklął pod nosem i modlił się, by jakimś cudem udało im się uciec przed zamiecią, która, wszystko na to wskazywało, będzie ich ścigać aż do Kolorado. Otworzył drzwi furgonetki od strony pasażera. Maggie wsiadła do samochodu. Zatrzasnął drzwi i poczuł, że popełnia największy błąd w życiu - no, może drugi największy. Pierwszym było poślubienie Marii Teresy Reilly. Nie miał jednak wyboru. Wykonywał zadanie. Nic więcej. Nawet na chwilę nie wolno mu było zapomnieć o swojej misji. Spojrzał ukradkiem na siedzącą tuż obok kobietę. Była piękna, bystra i perfidna. Zupełnie jak jej siostra albo jak cały rodzaj żeński. Uważał, że wszystkie kobiety są jednakowe.

*

- Więc będziesz grzeczna dla cioci Connie i wujka Jima? - powiedziała Maggie.

- Będę, mamó.

Becky była rozdrażniona. Chciała jak najprędzej zakończyć rozmowę. Była w Kalifornii i nie miała ochoty gadać z matką.

- Zadzwoń po przyjeździe do Denver.

Było ciemno. Za oknem budki telefonicznej wirowały płatki śniegu. Gromadziły się na dachu przydrożnej restauracji i zasypywały parking.

W miejscu, gdzie kiedyś wisiała książka telefoniczna, dostrzegła wydrapane w metalu sprośne słowa i numery telefonów: „Jeśli zależy ci na dobrym numerze, dzwoń do Pameli”. „Randy kocha Jill”. Serca. Strzały.

- Okay. Kocham cię. Pa.

- Pa.

Becky się rozłączyła, a Maggie przez chwilę wpatrywała się bezmyślnie w słuchawkę. Zostaw ją w spokoju. Przypomnij sobie, jaka sama byłaś, gdy miałaś trzynaście lat, mówiła sobie.

W restauracji zapach smażonej cebuli mieszał się z dymem papierosów. Grzejniki pojękiwały, przeciążone nadmierną pracą. Na zewnątrz było coraz chłodniej. Kolorowe światła, rozpięte wokół okien - jakby to nie był początek listopada, a Boże Narodzenie - wesoło mrugały. Z pełnej ćwierćdolarówek grającej szafy, dochodziła muzyka country przy akompaniamencie brzęku naczyń stołowych, rozmów i wybuchów śmiechu.

Thane powiesił na kołku kurtkę i usiadł przy drewnianym stole. W ciemnym zaroście widoczne były nieliczne siwe nitki, a rozchodzące się od kącików oczu zmarszczki postarzały go trochę. Nadal jednak był bardzo pociąga-

jący i zmysłowy.

- Złapałaś ją? Wszystko w porządku? - zapytał.

Spoglądał znad oprawionego w plastik menu, na którym widać było ślady po papierosach.

- Jeśli nie brać pod uwagę złego humoru nastolatki, to tak.

Sięgnęła po kartę i starała się nie widzieć jego pytającego spojrzenia. Nie chciała mówić o swoich sprawach.

- Zamówiłeś?

- Na razie tylko kawę.

Szczupła kelnerka w kraciatej koszuli, obcisłych dżinsach i zawiązanej luźno wokół długiej szyi apaszcze, przyniosła dwie filiżanki i podgrzewany dzbanek.

- Wybraliście państwo coś na kolację?

- Burger i frytki. Ze wszystkimi dodatkami.

Maggie nie miała nastroju, by liczyć kalorie.

- Poproszę to samo ale z serem - zamówił Thane.

- Jak daleko stąd do Denver? - zapytała Maggie.

- Zbyt daleko. Nie uciekniemy przed zamiecią, będziemy więc jechali tak długo, jak tylko się da. Mam opony z kołcami i łańcuchy. Nie utkniemy w śniegu. Nie pozwolę na to.

- A więc teraz jesteś Panem Bogiem? Słuchaj, Thane. Powiedziałam, że Pojadę z tobą do Denver. Powiedziałam, że porozmawiam z policją. Powiedziałam nawet, że poręcę za ciebie, chociaż między Bogiem a prawdą nie ufam ci za grosz. Przez te wszystkie lata nauczyłam się nie polegać na nikim, stać na własnych nogach. Są pewniejsze od czyjegokolwiek ramienia, nawet twojego.

Na skroni drgnął mu mięsień.

- Wiesz, Maggie, mówisz jak zgorzkniała kobieta.

- A to niby dlaczego? Kogo to obchodzi?

Była napięta, zdenerwowana i nie widziała powodu, żeby to ukrywać.

- Mnie.

Strzał był celny.

- Nie jesteś tą dziewczyną, którą znałem.

Zamurowało ją.

Nie daj się na to nabrać, Maggie. Już raz się sparzyłaś, myślała.

- Daj spokój - rzekła na głos.

- Niby dlaczego?

- Co było, minęło, kowboju. Tak to jest ze wszystkim.

Upiła łyk kawy zadowolona, że nie drży jej ręka. Rozmowa stawała się zbyt osobista.

- Jestem innego zdania. Czegoś się boisz?

- Niby czego?

- Choćby mnie

- Przesadzasz. A w ogóle teraz nie czas ani miejsce na takie rozmowy. Najważniejsza jest Maria Teresa.

Kłamczucha, pomyślał.

- Nie próbuj mnie podpuszczać Walker, nie baw się w psychologa. Nie znasz moich motywów i nie próbuj ich zrozumieć, dobra?

Znów zjawiała się kelnerka. Gdy stawiała na stole dwie tace, sztuczny uśmiech wykrzywił jej błyszczące, pomalowane na morelowo wargi.

- Podać coś jeszcze?

Taaak, bilet do domu, pomyślała Maggie, a na głos powiedziała:

- Tylko keczup.

- Zawołajcie, gdybyście czegoś potrzebowali.

Wskazała kontuar, gdzie w gablocie wystawiony był cały asortyment dań.

- Może coś słodkiego? Nasz cytrynowy torcik beżowy jest zabójczy. Nie żartuję.

Odwróciła się na pięcie i skierowała do stolika, przy którym siedzieli brzuchaci mężczyźni. Mieli rumiane twarze, kolorowe baseballowe czapeczki na głowach i wykałaczki w kącikach ust.

Maggie jadła, nie odzywając się. Thane nawet nie próbował przerwać ciszy. W małej sali goście rozmawiali, śmiali się, palili i flirtowali. Tylko oni jedli w milczeniu. Maggie myślała o przyszłości, która nie dawała jej spokoju, i o tym, co się jeszcze wydarzy. Po kolacji Thane sięgnął po portfel. Maggie rzuciła się po swoją torebkę.

- Zostaw to mnie - powiedział.

- Nie ma mowy.

- To ja zmusiłem cię do tej jazdy.

Wyciągnęła dziesiątkę i oparła łokcie po obu stronach niedojedzonego hamburgera i czegoś, co miało przypominać deser.

- Posłuchaj, Walker, niech przynajmniej to jedno będzie jasne. Płacę za siebie. Owszem, namówiłeś mnie na

jazdę, ale i tak poleciałabym do Denver. Więc umówmy się, płacimy po połowie.

Sięgnęła po swoją narciarską kurtkę.

- Boisz się, żeby mi do głowy nie przyszły jakieś paskudne myśli?

Miała ochotę go uderzyć i pozbawić tego rozbawionego uśmiechu.

- Boisz się, żebym nie pomyślał, że to jest coś w rodzaju ukartowanej randki, zgadza się?

- Jesteś cholernie zarozumiała.

Przestał się uśmiechać i cisnął rachunek na stół. Bez słowa jedną ręką chwycił swoją kurtkę, drugą zaś łokieć Maggie.

- Co ty wyprawiasz... zaczekaj.

Ciągnął ją w milczeniu. Zmusił do przejścia obok recepcji. Wypchnął przez podwójne szklane drzwi na dwór, w ciemną noc, gdzie wciąż sypał śnieg. Był wściekły. Otworzył drzwi furgonetki wspinał się na miejsce kierowcy. Rzucił za siebie kurtkę, zapiał pasy bezpieczeństwa, wrzucił wsteczny bieg i tyłem wyjechał z parkingu.

- A teraz coś sobie wyjaśnimy - powiedział.

Dojechał do znaku „stopu” i rozejrzał się po pustej szosie, biegnącej na południowy wschód.

- Potrzebuję twojej pomocy. I to bardzo! Nie oczekuję nic więcej poza tym, że pomożesz mi odnaleźć twoją cholerną siostrę i oczyścić się z podejrzeń.

Włączył długie światła. Śnieg zawirował i zatańczył w ich blasku.

- Nie musisz tego robić, więc pomyślałem, że mogę pokryć twoje wydatki. To nie jest żaden element planu wielkiego uwodzenia, Maggie. Chciałbym tylko wynagrodzić ci wszystkie niewygody.

Była rozpalona, piekły ją policzki, ale na szczęście w szoferce było ciemno. Thane z gniewną miną i zmrużonymi oczami wpatrywał się w przednią szybę. Włączył wycieraczki i podregulował urządzenie do odmrażania szyb.

- Dotarło?

- Dotarło - odparła zwięźle.

Zachowała się jak idiotka. Czowała, że powinna coś powiedzieć.

- Chciałam tylko ustalić pewne reguły...

Zza zakrętu wyjechał samochód. Oświetlił wnętrze ich furgonetki blaskiem, w którym dostrzegła profil Thane'a - surowy, stanowczy i zdeterminowany.

Co on ukrywa?

Odwróciła głowę, popatrzyła przez okno na rozłożyste drzewa. Śnieg osiadł na gałęziach. W innych okolicznościach dostrzegłaby zapierające dech w piersi piękno ośnieżonych drzew i urwistych wzgórz, na których rosły. Dzisiaj wyglądały jednak złowieszczo. Budziły strach.

Gdzie jest Maria Teresa? Czy żyje? O Boże, nie może być inaczej.

Maggie poczuła dławienie w gardle. Wpatrywała się w pochmurną noc i w milczeniu modliła za siostrę.

Oczywiście, że Maria Teresa jest bezpieczna. Gdy dojedziemy do Denver, okaże się, że wiecznie niespokojna, nie mogąca sobie znaleźć miejsca Markiza wyjechała z miasta na parę dni i zapomniała komukolwiek o tym powiedzieć, myślała. Im bardziej starała się w to uwierzyć, tym bardziej była niespokojna. Mokry śnieg zamienił się w zamrożone płatki, które waliły w maskę furgonetki. Maggie nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, że dzieje się coś złego. Potwornego i nieodwracalnego.

Uważaj na siebie, Mario, pomyślała.

Zamknęła oczy i przywołała obraz siostry takiej, jaką знаła. Markiza była bardzo niezależna i egoistyczna, a jednak mężczyźni uwielbiali ją. Nawet Thane Walker nie oparł się jej urokowi. Co w tym dziwnego? Był mężczyzną.

Maggie zauważyła to, kiedy jeszcze żył Mitchell, kuzyn, którego uważała za brata. Byli wtedy młodzi, mieli zaledwie po siedemnaście lat, tylko o kilka więcej niż Becky. Ale już wtedy Maria Teresa próbowała swoich wdzięków na wszystkich znajomych chłopcach, nawet na Mitchellu...

Część druga

Rio Verde Północna Kalifornia 1979

5

Spod przejrzystej jak kryształ wody Maggie dostrzegła Marię Teresę. Szła energicznym krokiem wzdłuż basenu w zsuniętych do połowy nosa ciemnych okularach i w skąpym bikini, które ukazywało każdy centymetr jej opalonego ciała. Kopnęła nogą leżak, na który padał cień eukaliptusa, i ciężko usiadła. W tym momencie brak powietrza w płucach zmusił Maggie do gwałtownego wypłynięcia. Wynurzyła się z wody i zaczerpnęła powietrza. Zachłysnęła się. Odgarnęła z oczu mokre włosy.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała Maria Teresa.

W jej spojrzeniu i słowach była dezaprobata.

- A co ci to przypomina? Podwodne pływanie.

- Po co?

- Żeby spróbować sił w drużynie pływackiej.

- Znowu?

Maria Teresa westchnęła teatralnie, dotykając kącika ust w miejscu, w którym ośmieliła się pojawić opryszczka.

- Przecież wiesz, że ci się to nie uda. Tak jak w zeszłym roku, gdy byliśmy w gimnazjum. W liceum wymagania są jeszcze większe.

- Rozmawiałam już z trenerem. Mitch też rozmawiał.

Odęte usta Marii Teresy ściągnęły się w sznurek. Próbowwała odpędzić brzęczącą nad jej głową pszczołę.

- Poprosiłaś Mitchella, żeby się za tobą wstawił?

- Taak.

- U trenera kobiecej drużyny college'u? - dopytywała się Maria Teresa ze zgorzaniem.

Maggie przekręciła się na plecy i zaczęła płynąć w przeciwnym kierunku. Nie chciała wysłuchiwać bzdur Marii Teresy. Nie dzisiaj.

- Ty wciąż wierzysz w cuda?

- O co ci chodzi?

Maggie nie chciała, żeby Maria Teresa wtrącała się w jej sprawy, ale nie umiała sobie z tym poradzić. Siostra oddalała się od niej coraz bardziej, a zaczęło się to jakieś trzy, cztery lata temu, mniej więcej w tym czasie, gdy piersi Marii rozwinęły się w krągłe, dojrzałe melony, co z dumą rozpowiadał Billy Norton. Było to w ósmej klasie. Billy miał wtedy ohydnie przyszczatą twarz, i talent do matmy, co utwierdziło go w przekonaniu, że jest darem od Boga dla nauczycieli i dla całego rodzaju żeńskiego.

- Twoja siostra ma największe cycki w całej tej pieprzonej szkole, nie wyłączając pani Nelson, a ty co?

Szukając poparcia, popatrzył na kumpli, którzy stali w gromadzie na korytarzu koło biblioteki. Było tuż po lunchu, mniej więcej dwa dni przed ukończeniem szkoły. Chłopcy ryknęli śmiechem, ale byli zakłopotani.

- Sądziłem, że bliźniaczki są identyczne - rzekł złośliwie.

- A ja sądziłam, że masz trochę oleju w głowie - odparowała Maggie, choć umierała ze wstydu i najchętniej zapadłaby się pod przykrytą poplamioną wykładziną podłogę.

Co tym chłopakom odbija, że tak ich fascynują piersi? Pewnie za wcześnie od piersi odstawiły ich matki i teraz gotowi są umrzeć za dotyk, a nawet widok cyków. Im większe, tym lepsze. Też coś, myślała Maggie.

- Po prostu jesteś zazdrosna, bo chciałabyś mieć towar, którego nie masz - ryknął.

- Wyrażaj się jaśniej - powiedziała.

Utkwiła wzrok w jego zbyt wielkich szortach, tam gdzie ukryta była domniemana męskość. Nie wytrzymała jednak i uciekła w popłochu z płonącymi policzkami i oczami pełnymi łez. Jak szalona wpadła do łazienki. Spędziła tam prawie dziesięć minut. Gdy wróciła do biblioteki, lekcja już trwała. Wszystkie siedzące na swoich miejscach dzieci wgapiły się w nią, gdy zajmowała jedyną wolną ławkę w pierwszym rzędzie.

Pani Brady bez słowa odnotowała spóźnienie, wręczyła Maggie kartkę, i jak gdyby nigdy nic dalej mówiła o nowym systemie komputerowym, w który powinna być wyposażona szkoła, oczywiście jeśli znajdą na to dość pieniędzy. Wszystkie publiczne szkoły borykały się z problemami finansowymi, ale pani Brady nigdy nie traciła nadziei. Maggie ścisnęła karteczkę spoconymi palcami, podeszła nieśmiało do swojej ławki. Modliła się, aby ten koszmarny dzień jak najszybciej się skończył.

- Hej, jaka jest różnica między Maggie Reilly a fałszującym piosenkarzem? - zapytał Billy na tyle donośnym szeptem, żeby go mogła usłyszeć.

Poczuła łzy w oczach. Nikt nie odpowiedział, a Maggie bała się oddychać.

- Nie ma żadnej - powiedział pod nosem Billy. - Oboje są płacy.

Rozległ się nerwowy chichot. Maggie złamała ołówek na pół. Zwężone, ukryte za grubymi szklami oczy pani Brady powędrowały w stronę Billy'ego. Z oka Maggie spłynęła łza, którą wytarła ze złością. Cierpiąc katusze, starała się przetrwać najdłuższe w swoim życiu czterdzieści minut. Jakby i tego było mało za to, że się spóźniła na lekcję, musiała posprzątać korytarze.

Billy Norton nie należał do tych, którzy łatwo odpuszczają. Dowiedział się, że Maggie ma karę, i wywalił na podłogę resztki swojego lunchu - nie- dojedzoną kanapkę z majonezem i umazane keczupem frytki. Żeby ją do reszty pohańbić, wypchał mięsem z kanapki kondom i podrzucił to świństwo na korytarz. Wreszcie Billy i jego kolesie wynieśli się bezkarnie ze szkoły. A Maggie musiała wszystko posprzątać tylko dlatego, że miała mniejsze piersi niż Maria Teresa.

Teraz bez wysiłku pruła na plecach nagrzaną od słońce wodę i obiecywała sobie, że nie da się podpuścić Marii Teresie. Ostatnio siostra była drażliwa, zaczepna i tajemnicza. Maggie często spotykała ją z Mitchem, którego zaadoptowali jej rodzice. Chłopak stał się członkiem rodziny jeszcze przed narodzinami bliźniaczek, a po śmierci jego matki. Maria Teresa i Mich godzinami siedzieli wpatrzni w telewizor albo słuchali Rolling Stonesów i Pink Floydów. Śmiali się i rozmawiali. Świetnie się razem bawili. Gdy wchodziła Maggie, milkli oboje i uśmiechali się

nienaturalnie. Udawali, że nic się nie dzieje, ale w powietrzu coś wisiało.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, Maggie została sama. Jeszcze tak niedawno większość czasu spędzały razem, ona i Maria Teresa, uważając Mitcha za gburę, który nie pasuje do ich rodziny.

Mitch dobrze sobie zasłużył na takie traktowanie. Odkąd zaczął chodzić do przedszkola, nie przyznawał się do młodszych od siebie kuzynko-siostr. Zachowywał się wobec nich z pogardą. Z roku na rok było coraz gorzej.

Gdy dziewczynki poszły do szkoły, matka kazała mu je odprowadzać. Zgodził się, bo nie miał wyboru, ale od razu za rogiem, gdy nikt nie widział, splawiał je, przysięgając, że spierze im tyłki, jeśli któraś odważy się zakablować na niego rodzicom.

- Ale dupek - stwierdziła Maria Teresa.

- Co nam po nim? - Maggie wolała chodzić do szkoły bez asysty. - Taki gbur.

Mitch na każdym kroku okazywał im swoją wyższość. Razem z przyjaciółmi wyśmiewał się z nich. Pokazał nawet któremuś pamiętnik Maggie. W drzwiach swojego pokoju założył zamki, żeby nie mogły tam wchodzić bez jego wiedzy.

A teraz wszystko się zmieniło. Niechęć Mitcha jakby zmalęła, a Maria T., jak ją nazywał, okazywała mu zainteresowanie. Maggie myślała, że może Maria Teresa zmieniła zdanie, bo durnowaci niegdyś przyjaciele Mitcha wydorosli. Zaczęli prowadzić samochody, uprawiać sporty, a na twarzach zamiast wstrętnego trądziku pojawił im się zarost. Niezależnie od powodu, w ostatnim czasie Maria Teresa więcej czasu spędzała z Mitchem i jego przyjaciółmi niż z Maggie.

Maggie brakowało kontaktu z siostrą, ale nie był to jeszcze koniec świata. Widywały się rzadziej, miały różne zainteresowania. Ale tak naprawdę przestały się trzymać razem, bo Maggie zaczęła się buntować. Nie chciała być wodzona za nos przez siostrę.

Maria Teresa zawsze decydowała o tym, co będą robiły, z kim się przyjaźnią i dokąd się wybiorą. Maggie aż mdliło od tego. Miała dość bycia bliźniaczką i do tego zawsze w cieniu siostry.

Maria Teresa pierwsza dostała okresów kobiecych, czyli miesięcznych cykli, jak mama nazywała miesięczki, i od razu zaczęła udzielać Maggie rad, choć ta nie miała ochoty ich słuchać. Sześć tygodni później i Maggie stała się kobietą. A jednak to Maria Teresa była wyrocznią w tych sprawach.

Parę lat później Maria Teresa zaczęła się stroić, malować paznokcie i usta. Słuchała muzyki, której Maggie nie lubiła. Zaczęła palić papierosy w swoim pokoju, wydmuchując późnym wieczorem dym przez okno, rozjaśniała pasemka włosów i wymykała się ukradkiem z domu. Nigdy nie mówiła Maggie, dokąd się wybiera ani z kim się spotyka.

- I tak nie zrozumiesz - powiedziała pewnego razu, gdy Maggie przyłapała ją, jak wychodziła przez okno.

Maria Teresa miała na sobie obcisłe białe szorty i kusy żółty podkoszulek, który odsłaniał jej płaski brzuch.

- Tylko mnie nie wydaj - dodała.

- A niby co mam powiedzieć?

- Nie wiem. Rusz głową i użyj swojej wyobraźni. Jesteś w tym podobno dobra. Wszyscy nauczyciele angielskiego tak mówią - rzekła z odrobiną zazdrości w głosie. - Jakbyś miała zostać pisarką albo kimś takim.

- No wiesz, nie potrafię sobie wyobrazić, gdzie jesteś, i nie chcę okłamywać rodziców.

- Coś wymyślisz - odparła Maria Teresa.

W jednej ręce ścisnęła paczkę virginia slims, drugą przytrzymała się parapetu. Przesłała siostrze promienny uśmiech, zsunęła się na dół i szybko przeszła dziedziniec. Starła się omijać światło rzucane przez latarnie.

Na szczęście rodzice nie zauważyli nieobecności Marii Teresy i Maggie nie musiała kłamać. Wtedy jeszcze nie.

Teraz, w basenie, myślała o rodzinie. O tym, że coś było nie tak.

Ilekoć pojawiali się przyjaciele Mitcha, Maria Teresa błyszczała jak bożonarodzeniowa choinka, Maggie zaś czuła się jak piąte koło u wozu. Maria Teresa flirtowała i chichotała. Była kokieterijna i uwodzicielska. Maggie była zgorziona. Sądziła, że siostra przekracza granice przyzwoitości.

Dopłynęła do końca basenu, zrobiła szybki nawrót i na plecach popłynęła w stronę domu, gdzie Maria Teresa szukała nieocienionego miejsca. Maggie płynęła bardzo szybko. Od uderzeń rąk rozboleły ją mięśnie. Jedno uderzenie, jeszcze jedno i jeszcze. Wyciągnęła się i wreszcie jej palce dotknęły ściany basenu. Wynurzyła się i zaczerpnęła haust powietrza.

- Skończyłaś już? - zapytała Maria T.

Jej ciało wyglądało jak wypolerowane. Opalenizna nabrała brązowego odcienia, a bujne włosy zebrane na czubku głowy wyglądały zabójczo.

- Chwilowo.

Maria Teresa westchnęła.

- Strata czasu - mruknęła pod nosem.

Zirytowana Maggie wytarła twarz ręcznikiem, zaczerpnęła trochę wody dla kawału ochlapała płaski brzuch Marii.

- Co ci odbiło?

Maria Teresa wrzasnęła i poderwała się z fotela.

- Kiedy ty, na Boga, dorośniesz? Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka jesteś cholernie uciążliwa.

Niezrażona Maggie oparła ręce o krawędź basenu i szybkim, zwinnym ruchem wyszła z wody. Może nie była taka śliczna jak jej siostra, ale dostatecznie ładna, by ludzie mylili ich imiona. Była zadowolona, że udało jej się wyprowadzić Marię Teresę z równowagi. Uwielbiała to.

- Jesteś idiotką, jesteś... jesteś... wstrętnym bachorem. Lepiej zabieraj się stąd! - wściekała się M.T.

Maggie chciała być jak najdalej od domu, gdzie coś złego wisiało w powietrzu. Kiedy to się zaczęło? - zastanowiła się. Wróciła myślami do czasów, gdy obie z Marią Teresą były w gimnazjum, a Mitch właśnie zaczął liceum. Byli wtedy szczęśliwsi. Każde z nich.

Maggie przypomniawszy sobie przytłumione odgłosy kłótni dochodzące zza drzwi sypialni rodziców, wystające ze śmieci puste butelki po wódce i chłodne milczenie matki, które ciążyło wszystkim. Zachowanie Bernice Reilly paraliżowało ich. Jednym lodowatym spojrzeniem wściekłych oczu potrafiła zepsuć humor wszystkim domownikom.

Maggie popatrzyła na dom zbudowany na szczycie wzgórza i pomyślała, że to wymarzone przez jej rodziców miejsce zamieniło się ostatnio w koszmar. Stare dęby, oliwki i eukaliptusy oceniały starannie utrzymany dziedziniec i wykończony stiukiem dom. Ich dom. Pomalowany na ciepły ciemny brąz, ze spadzistym dachem pokrytym czerwonym gontem i wyłożonym terakotą patio, które ciągnęło się aż do basenu, był dumą i radością ojca. Teraz robił wrażenie zimnego i pustego jak grób. Tęskniła za ich małym ranchem w dolinie.

Frank Reilly awansował i teraz mógł sobie pozwolić na kupno nowego domu z basenem i sportowego czerwonego mercedesa. Bernice po raz pierwszy w życiu miała hiszpańskojęzyczną pokojówkę, a w przerwach między grą w tenisa i klubem brydżowym mogła całe godziny spędzać u kosmetyczki.

Maggie tęskniła za sąsiadami i małym podwórkiem, skąd przez złamany płot mogła się zakradać do warzywnika Jamie Tortoni. Dziewczynki lubiły tam przesiadywać i wyznawać sobie najskrytsze tajemnice. Obserwowały złotą rybkę ojca Jamie. Pływała leniwie w wybetonowanym basenie, który sam zaprojektował i zbudował. Zawsze, kiedy Maggie miała na pieńku z Marią Teresą, mogła liczyć na Jamie, swą przyjaciółkę i powiernicę.

Ale to było dawno temu. Przeprowadzili się. Maria Teresa i Maggie poszły do innego gimnazjum. Maggie i Jamie już nigdy się nie spotkały.

Również Maria Teresa się zmieniła. W dawnym domu Maggie i M.T. zajmowały wspólny, pomalowany na lawendowy kolor pokój. Miały dobrane do wnętrza jednakowe łóżka nakryte purpurowo- różowymi kołdrami i puszysty, złocisty dywan, na którym walały się lalki Barbie, pluszowe zwierzątka i ubrania.

Maggie przypomniawszy sobie czas, kiedy miały po jedenaście lat. Była to jakby inna epoka. Późnym wieczorem, gdy wszyscy domownicy leżeli w łóżkach, ona i Maria Teresa kładły się razem pod jedną kołdrę i przy latarkach przeglądały stary sfatygowany egzemplarz „Playboya”. Maggie znalazła go przypadkowo w pokoju Mitcha. Szukała wtedy deseru z lukrecją, a znalazła „Playboya”. Był wetknięty pod łóżko razem brudnymi skarpetami i majtkami.

- Ojej. Spójrz tylko na to - powiedziała przerażona Maggie. Oglądały rozkładówkę, na której w kuszącej pozycji przeciągała się modelka z olbrzymimi balonami zamiast piersi i z obfitym jasnoblonde owłosieniem w miejscu, w którym schodzą się nogi. Dziewczyna z długą grzywą włosów i migdałowymi oczami nie miała na sobie nic poza niekończącym się sznurem pereł, który trzymała w idealnie białych zębach. Perły wychodziły z jej wilgotnych warg, spływały po piersiach, by znaleźć przystań w blond loczkach jej ud i zniknąć Bóg wie gdzie. Maggie wołała nie dochodzić szczegółów.

- Nie uważasz, że jest piękna? - zapytała przejęta Maria Teresa.

Maggie trzymała latarkę tak, by snop światła padał prosto na kartki. Nie odrywała wzroku od kobiety, która pokazywała tak intymne części ciała. Maria Teresa oglądała modelkę ze wszystkich możliwych stron, robiąc uwagi, że goła kobieta ma nieskazitelną skórę, interesujące zielone oczy i wysokie, ładnie rzeźbione kości policzkowe. Maggie widziała tylko jej tyłek, balony o sutkach wielkości srebrnego dolara i tę całą resztę, od której splotła rumieńcem.

- Czy ty wiesz, że to jest prawdziwa sztuka? - powiedziała Maria Teresa z wyższością wtajemniczonej jedenastolatki.

- Więc dlaczego to było schowane pod łóżkiem Mitcha razem z jego brudnymi ciuchami?

- Bo Mitch jest durniem. - Maria Teresa przygryzła dolną wargę. - Myślisz, że zrobiła sobie te balony?

- Że co?

Maggie poczuła, że coś musnęło jej wystające spod prześcieradła stopy. Odrzuciła kołdrę przekonana, że zobaczy w nogach łóżka matkę ze skrzyżowanymi ramionami i miną kaprała. Ale to był Flint, ich srebrno-bury kot. Wskoczył na łóżko i teraz przechadzał się miękkiymi, małymi łapkami po plecach Maggie.

- Koleś, przestraszyłeś mnie - powiedziała i wpuściła go pod kołdrę. Oświetliła magazyn i zauważyła, że zainteresowanie Marii Teresy ani trochę nie zmalało.

- Co mówiłaś?

- Mówiłam o takim zabiegu chirurgicznym, po którym robią się większe.

Pokazała palcem na godny pozazdrosczenia biust modelki.

- To się nazywa podniesieniem biustu czy coś w tym rodzaju. Mama Lindy Stone zrobiła to sobie parę lat temu.

- Skąd wiesz?

Jedno spojrzenie Marii Teresy utwierdziło Maggie w przeświadczeniu o własnej naiwności.

- Od Lindy. Gdybyś się uważnie przyjrzała, zauważyłabyś, że ma sporo większe niż dawniej. Nie widzę żadnych bliźni.

Mrużąc oczy z uwagą wpatrywała się w zdjęcie, że aż jej się zeszyły brwi.

- Brr! Kogo mogą obchodzić bliźni?

- Mnie obchodzą.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Ale to ważna sprawa. Chłopcy lubią wielkie balony.

- I zrobiłabyś coś takiego?

- Może...

- Bo ja nie. - Maggie potrząsnęła głową. - Nie ma mowy, żeby mnie rozciął jakiś lekarz i... i co robił? Poza tym chłopcy są głupi.

- Wiem. - Maria Teresa się uśmiechnęła. - Naprawdę są głupi. Ale lubią duże cycki.

Dziś to stwierdzenie nabrało szczególnej głębi, pomyślała Maggie. Leniwe popołudniowe słońce wysuszyło krople wody na jej ciele. Popatrzyła na wyciągniętą na leżaku Marię Teresę, na jej idealne, wypukłe najprawdziwsze piersi, które wylewały się z pomarańczowego stanika.

Maggie wycierając ręcznikiem włosy niechcący rzuciła cież na nogi Marii Teresy.

- Uważaj. Nie masz nic lepszego do roboty? - warknęła siostra. - Boże, aleś ty żalosna.

Maggie już chciała się odciąć. Nie wiem tylko, która z nas jest bardziej żalosna. Uznała jednak, że byłoby to zbyt dziecinne.

Nie siląc się na żadne „do widzenia”, weszła do domu, w którym panował przyjemny chłód. Przebrała się i wymogła na matce, żeby jej pożyczyła samochód. Chciała dojechać do stajni, gdzie trzymała wziętą w leasing klaczkę o imieniu Kropka.

Resztę popołudnia spędziła na padoku Rio Verde Canyon. Jeździła konno i odpoczywała. Słońce prażyło, a przesuwające się leniwie w kierunku zachodu promienie przypiekały jej czubek głowy.

Parę godzin później Maggie zatrzymała się w miejscowym barze dla zmotoryzowanych. Zamówiła frytki i colę. Pobawiła się chwilę z dzieciakami, które znała ze szkoły. A ponieważ była już spóźniona, pełnym gazem pojechała do domu. Zaparkowała samochód matki w garażu. Na szczęście nie było mercedesa ojca. Schowała kluczyki do kieszeni i uśmiechnęła się do siebie - nie będzie musiała wysłuchiwać kazania za zbyt późny powrót do domu. Wszystko wskazywało na to, że rodzice wyszli na jakieś przyjęcie.

W domu było ciemno, tylko zewnętrzne lampy oświetlały drogę do frontowych drzwi. Mustang Mitcha stał na podjeździe.

Noc była gwiazdzista, Maggie zamierzała więc popływać. Chciała się ochłodzić. Okrążyła dom i ściągnęła podkoszulek. Była w pobliżu żywopłotu z oleandrów, gdy usłyszała dźwięki fortepianu i głos Eltona Johna. Śpiewał piosenkę, którą ledwo pamiętała. Do jej uszu doszły ciche, radosne chichoty i szmer strumieni wody w okrągłym drewnianym jacuzzi. Zamarła.

- Przestań! - usłyszała Marię Teresę.

Głos miała rozbawiony, prowokujący. Maggie zjeżyły się włosy, gdy usłyszała niski męski śmiech. Właściwie mogła się tego spodziewać. Maria Teresa przyciągała uwagę mężczyzn. Zawsze umawiała się z którymś na randkę.

- Poważnie? - zapytał chłopak.

Maggie aż przysiadła z wrażenia, gdy rozpoznała głos Mitcha. Czuli, jak wszystko przewraca się jej w żołądku. Łaskotało ją w gardle. Podejrzała, że popełnia nieodwracalny błąd, który może odmienić całe ich dotychczasowe życie, ale ciekawość wzięła górę. Zajrzała przez otaczający gorącą wannę żywopłot. W unoszącej się białej mgłę zobaczyła dwie głowy. Marię Teresę obejmował silny, muskularny samiec. Przyciskał ją do siebie. Jego ręce wędrowały po plecach. Twarz wtulał w jej doskonałe piersi, z których była taka dumna. Obok, przy baseniku, stała otwarta butelka wódki - część zapasów matki. Maria Teresa poruszała się w górę i w dół. Mężczyzna rozpiął jej stanik i rzucił gdzieś za siebie. Teraz lizał i pieścił piersi siostry. Gdy uniósł na chwilę głowę, Maggie dostrzegła wyraz jego twarzy. Żołądek podszedł jej do gardła. Dławiła się. Padła na kolana i zwymiotowała. Sądziła, że wszystko jej się przywidziało. Oczy spletały figla.

- Co to było? - niewyraźnym głosem zapytała Maria Teresa.

- Nic. Może pies.

- Nie... przestań... puść... Nie wiem, co mi przyszło do głowy.

- Och, daj spokój, M.T., proszę. Obdzielasz tym każdego chłopaka...

- Ja... nie, nie mogę, to znaczy... o Boże, a jeśli mama i tata wrócili do domu?

- Nie wrócili. Są u Kavenaughów. Gdy wrócą, oboje będą schlani.

- A Maggie?

- Co Maggie? Ona o niczym nie wie. Jeździ na tym idiotycznym koniu, prawda? Nie będzie jej jeszcze przez parę godzin.

- Jest sprytniejsza niż sądzisz. Przestań. Mitch, na miłość boską...

Rozległ się plusk, jakby ktoś wyszedł z wody. Maggie z trudem podniosła się z klęczek. Czowała, że musi uciekać, schować się. Usłyszała kroki mokrych stóp. Chciała się ukryć za krzewem oliwki, gdy wpadła na Mitcha.

- Jezu Chryste - powiedział. - Czego tu wieszysz i szpiegujesz ludzi?

- Co to takiego? O cholera!

Zza żywopłotu wyszła Maria Teresa. Zawiązywała paski stanika. Patrzyły na siebie.

- Nic się nie stało - powiedział Mitch. Zrobił krok naprzód i poślizgnął się w kałuży wymiotów.

- Cholera! Co to jest? Rzygowina? Narzygałaś tutaj?

Miotła nim autentyczna, niepohamowana wściekłość. Nagle oblał się jaskrawym rumieńcem.

- Od kiedy tu jesteś?

- Ja... właśnie przyszedłam. Właśnie teraz i zrobiło mi się niedobrze, i wtedy... wtedy nadszedłeś.

Maggie się jękała. Pragnęła rozplątać się w nicość, uciec przed jego surowym spojrzeniem. Nie mogła, a raczej nie chciała uwierzyć w to, co zobaczyła. Oboje byli w kostiumach kąpielowych. Maria Teresa wyglądała okropnie, miała ociekające wodą włosy, rozmazany makijaż.

Ona i Mitch nie byli... oni nie mogli... myślała rozpaczliwie Magie.

- Nic się nie stało - powtórzył Mitch.

- Ja... ja wiem.

- Mówię poważnie, Maggie. Nieważne, co słyszałaś albo widziałaś, nic się nie stało.

Tak bardzo chciała mu wierzyć, ale przerażone oczy Marii Teresy mówiły zupełnie co innego. Żołądek znowu dał znać o sobie, odwróciła się i omal nie zwymiotowała. Dudniło jej w głowie, serce waliło. To nie mogło się stać! Nie powinno. Nie Maria Teresa i Mitch. O Boże, nie!

- Maggie... - upomniał ją Mitch.

Maggie odepchnęła go z całej siły i zaczęła biec przez krzaki w dół wyżwirowanej ścieżki aż na ulicę. Nie wiedziała, dokąd biegnie. Nie zastanawiała się nad tym. Łzy niedowierzania i wstydu napłynęły jej do oczu. Gdzieś za bramą zaszczekał pies. Biegła coraz szybciej, a łzy płynęły strumieniem po policzkach. Nie mogła się pogodzić z tym, co zobaczyła. Gwałtownie chwyciła powietrze, szlochała. Pędziła na złamanie karku przez wzgórze, na którym stały domy za miliony dolarów, zamieszkałe przez samotnych, odizolowanych od życia ludzi.

Maria Teresa i Mitch! Prawie brat i siostra! O Boże, nie.

Przekonywała siebie, że to była pomyłka, że niczego nie widziała. Że to tylko wyobraźnia spletała jej figla.

Serce jej waliło, jakby miało pęknąć. Dokuczały skurcze żołądka. Zatajając się, przystanąła na rogu ulicy.

A więc moja siostra i brat całowali się. Co w tym takiego strasznego? Dotykali się... to normalne, gdy się dojrzewa i poznaje nieznane i... och, kogo próbuję oszukać? To było złe, obrzydliwe. Nawet gdyby nie byli bratem i siostrą, to co robili, było wstrętne.

Słowa Mitcha, że nic się nie stało, dźwięczały jej w uszach, drażyły świadomość. Gdzieś w oddali zawyła policyjna syrena. Otworzyły się drzwi garażu i ktoś przyciągnął kubeł ze śmieciami do krawężnika.

Zastanów się, Maggie, zastanów. Musisz wracać do domu. Stawić temu czoło. Stawić czoło mamie i tacie.

Ledwo trzymała się na nogach. Uchwyciła się latami i głęboko oddychając, wciągała powietrze nasyczone zapachem kapryfolium i róż. Gdzieś niedaleko zapiszczały opony.

Udawaj, że nic się nie stało, powiedziała sobie, jakbyś nic nie widziała. Tak jak nie widzisz mamy dolewającej rano wódki do soku pomarańczowego. Albo jak nie dostrzegasz butelek schowanych w szafce z bielizną do prania i wśród ogrodowych narzędzi. Nic nie widziałaś. Wymyśliłaś to sobie. Widziałaś tam kogoś innego.

Usłyszała silnik mustanga Mitcha. Zbliżał się. Na jezdni zrobiło się jaśniej. Maggie znowu zaczęła biec, coraz szybciej. Biegła chodnikiem wzdłuż ceglanych murów i kutych misternie żeliwnych bram, które strzegły ukrytych za nimi tajemnic. Do jej uszu dotarło brzdąkanie gitary basowej, rytmiczny głos bębnow. Samochód zatrzymał się przed nią. Mitch opuścił szybę.

- Wsiadaj do samochodu, Maggie - nakazał jej, przekrzykując muzykę.

- Nie!

Znowu biegła.

- Posłuchaj...

- Odczep się.

Dobiegła do krawężnika, zawahała się i wpadła w boczną ulicę. Tam znalazła się w świetle przednich lamp innego samochodu. Mitch nacisnął gaz do dechy. Maggie skręciła ostro i pognęła poboczem jezdni. Paliło ją w piersiach. Bolały i drżały uda. Zaciśnęła zęby i biegła dalej. Usłyszała pisk opon samochodu Mitcha, który wrzucił wsteczny bieg. Poczowała swąd gumy. Zapadła cisza. Maggie słyszała tylko swój świszczący oddech i głośnie walenie serca, a potem znowu pisk opon na asfalcie, dźwięk pędzącej wściekle maszyny i ten sam zapach palonej gumy. Po sekundzie samochód był obok niej. Mitch przechylił się, otworzył okno od strony pasażera i warknął:

- Wsiadaj.

Nie odpowiedziała, nie przestawała biec. Pod górę, wzdłuż domów. Ból w łydkach był nie do zniesienia.

- Na miłość boską, Maggie, wsiadaj do samochodu!

Brakowało jej tchu, paliło w piersiach.

Zahamował, otworzył drzwi. Głośna muzyka dawnego Creedence Clearwater Revival wdarła się w nocną ciszę. Ruszył za nią biegiem. Zrównał się z nią w ciągu paru sekund. Chwycił za ramię, szarpnął do tyłu i spojrzał prosto w zalaną łzami twarz.

- Wracajmy do domu, Maggie. Chodź.

- Nie!

Uderzyła go. Waliła małą pięścią w klatkę piersiową.

- Maggie, proszę. O Boże!

Objął ją i oparł na jej głowie podbródek. Słyszała jego oddech, czuła mocne bicie serca i twarde jak stal ramiona. Przy Mitchu zawsze czuła się bezpieczna. A teraz on... on... Na tę przerażającą myśl znowu zaczęła szlochać.

- Nie jest tak, jak myślisz.

Gdyby tylko mu mogła uwierzyć.

- Maria Teresa i ja narozrabialiśmy. Dobraliśmy się do barku mamy i trochę nas poniosło. To wszystko.

- Ja... ja widziałam.

- Nic nie widziałeś. To prawda, zachowałem się głupio. To było coś w rodzaju „pokaż mi swoje, a ja pokaże ci moje”. Idiotyczne, no nie?

Podniósł jednym palcem jej podbródek, spojrzał na nią i spróbował się uśmiechnąć. Był blady, oczy miał martwe, nie wiedziała, czy mu wierzyć.

- Daj spokój, Maggie. Nie stało sienie złego. Wracajmy do domu. Maria sprzątnęła koło żywopłotu i odstawiła na miejsce butelkę mamy. Nikt się o niczym nie dowie.

Pogłaskał ją po głowie.

- Jestem idiotą. Zgadza się, palantem. Nie powinienem pić. Nigdy. Gdyby się o tym dowiedział mój trener, byłbym załatwiony na amen. A ta sprawa z Marią Teresą... No cóż, to moja wina, przyznaję i dajmy temu spokój, dobrze? Wiesz, że kocham Sheilę.

Sheila Allman była przyjaciółką Mitcha. Chodzili ze sobą od drugiego roku college'u. Cheerleaderka była księżniczką roku, a nawet królową. Jedną z najpopularniejszych dziewczyn w White River High. Na równi z Marią Teresą.

- No już, Maggie. Wsiądź do samochodu.

Nie mogła się pozbyć przykrego smaku w ustach i głębokiego, przykrego przeświadczenia, że zrobił z niej balona, ale nie miała wyboru. Musiała wrócić do domu. Nie miała dokąd pójść ani komu się zwierzyć. Na drżących nogach wsiadła do samochodu Mitcha, oparła się o otwartą szybę. Niewidzącymi oczami wyglądała przez okno. Chrapliwy głos Johna Forgerty ryczał z głośników: *Podstuchalem w krzewach winorośli, że będziesz moja, kiedy dorosniesz...*

Gdy Mitch skręcił na podjazd i z piskiem zahamował, Maggie błyskawicznie otworzyła drzwi i omal nie wypadła z samochodu. Nogi miała jak z waty. Nie bekając na Mitcha, wpadła przez frontowe drzwi do domu i długim, wyłożonym płytkami ceramicznymi korytarzem pobięła prosto do swojego pokoju. Drzwi pokoju Marii Teresy były zamknięte. Spała, albo oglądała telewizję. To i tak nie miało znaczenia.

Maggie wpadła do pokoju, zatrzasnęła drzwi i rzuciła się na łóżko. Chciała uwierzyć Mitchowi. Wślizgnęła się pod kołdrę, zacisnęła mocno powieki, ale nie mogła zasnąć. Jeszcze kilka godzin później słyszała powracających do domu rodziców. Zatraskiwane drzwi garażu, wykrzywane w złości słowa i brzęk butelki, z której matka nalewała sobie wódkę. Prawdopodobnie tej samej, z której wcześniej pił Mitch.

To było obrzydliwe. Wszystko razem. Maggie nie mogła doczekać się dnia. Chciała od tego uciec, przynajmniej na resztę lata. Potem wyprowadzi się z domu i zacznie naukę w liceum. Zapomni, że tu kiedyś mieszkała. Pragnęła tylko się stąd wynieść. Możliwie jak najdalej od tego domu na wysoki połysk z jego potwornymi tajemnicami. Jak najdalej od bełkotu matki i kołtuństwa ojca. Jak najdalej od zadufanego w sobie Mitcha i zarozumiałej Marii Teresy. Miała dość życia w cieniu.

Przewróciła się na plecy, zapatrzyła w sufit i po raz pierwszy w życiu usłyszała wyraźny głos Marii Teresy, jakby była z nią razem w pokoju.

Nie mów im tego, Maggie, proszę. Możesz zrobić, co chcesz, tylko nie mów im tego!

Czego?

Mama i tata zabijają mnie, jeśli się o tym dowiedzą. Maggie, proszę, niech to będzie nasza tajemnica.

6

Jak to zrobiłaś? - zapytała nazajutrz Maggie.

Były same z Marią Teresą, w kuchni. Robiły porządki. Maria Teresa, z nieskazitelnym makijażem, lekko zaczerwienionymi i podpuchniętymi oczami wyjmowała naczynia ze zmywarki. Robiła to powoli, choć zbliżała się lekcja śpiewu. Maggie też się nie spieszyła. Była niewyspana. Wdrapała się na blat i spoglądała na siostrę. Postanowiła od razu wyjaśnić sprawę.

- Co zrobiłam?

- Wiesz przecież. Rozmawiałaś ze mną w nocy.

- Nie rozmawiałam z tobą.
Maria opluła lepiący się od syropu półmisek i postawiła go na suszarce.
- Ależ tak, rozmawiałaś. Słyszałam to bardzo wyraźnie. Jakbyś była w moim pokoju. Powiedziałaś: „Nie mów im, Maggie. Możesz zrobić, co chcesz, tylko nie mów im tego!”
- To nie ma sensu. Nawet nie byłam w twoim pokoju.
- Wiem. I dlatego pomyślałam, że zawołałaś w przewody wentylacyjne albo coś w tym rodzaju.
Maria Teresa spojrzała, jakby miała do czynienia z wariatką.
- Po co miałabym to robić? Poza tym ktoś inny mógłby mnie usłyszeć. No i przewody nie biegną prosto z mojego do twojego pokoju.
Oczywiście Maggie wiedziała o tym, ale żadne inne wyjaśnienie nie przychodziło jej do głowy.
- No dobrze, ale jakoś to zrobiłaś. Słyszałam cię.
- Wykluczone.
- Czy nie prosiłaś mnie, żebym wszystko zachowała w tajemnicy? Że mama i tata zabiją cię, jeżeli się o tym dowiedzą?
- Nic takiego nie powiedziałam. Pomyślałam tylko.
- Ale ja to usłyszałam. Powiedziałaś: „Nie mów im tego, Maggie, proszę. Możesz zrobić, co chcesz, tylko nie mów im tego. Mama i tata zabiją mnie, jeśli się o tym dowiedzą. Maggie, proszę, niech to będzie nasza tajemnica”.
Maria Teresa z wrażenia otworzyła szeroko usta. Talerz wypadł jej z rąk i rozbił na się ceramicznej podłodze.
- W jaki sposób... Słyszałaś to?
- Właśnie ci o tym mówię.
Schyliła się i zaczęła podnosić większe kawałki stłuczonego talerza.
- Ale... Nie zrobiłam tego. O cholera!
Skaleczyła palec kawałkiem skorupy.
- Czego nie zrobiłaś?
- Nic nie mówiłam. Nie na głos. Ty... tobie... przywidziało ci się.
Krew kapłała ze wskazującego palca, wsadziła go więc do ust.
- Nie ma cudów!
Maggie zeskoczyła z blatu. Wyjęła miotłę z szafki, udając że nie widzi butelki wódki ukrytej za workiem ze ścierkami i zaczęła pomagać siostrze.
- Ale ja... ja tego nie powiedziałam.
Maria Teresa była stanowcza jak zwykle.
- A jednak cię słyszałam.
- Nie mogłaś.
Ssać wciąż palec, Maria Teresa wyjęła z kredensu plaster, rozerwała opakowanie i przykleiła opatrunek na prawie niewidoczne skaleczenie. Maggie zdążyła pozamiatać potłuczony fajans i wyrzuciła go do śmieci. Na podłodze zostały smugi po żółtku i syropie.
- Och, co za świństwo, Mag. Zobacz, co zrobiłaś. Jest gorzej niż było.
- Zmyję, nie przejmuj się.
Wycisnęła ściereczkę i na kolanach zaczęła czyścić podłogę. Maria Teresa zatrzasnęła drzwi zmywarki, po czym z założonymi na piersiach rękami surowo popatrzyła na siostrę.
- O co ci chodzi? - zapytała Maggie.
Maria nie odpowiedziała. W zamyśleniu ściągnęła brwi i wargi, jakby rozwiązywała najtrudniejszy problem świata.
- Co z tobą?
- Posłuchaj. - Wyraz jej twarzy się zmienił. - Nie słyszałaś mnie?
- Bo nic nie powiedziałaś.
Maggie gapiła się na siostrę, jakby jej wyrosło trzecie oko.
- Wczoraj też nic nie powiedziałam.
- Ale ja cię słyszałam.
- Nic wczoraj nie powiedziałam, ale rzeczywiście pomyślałam sobie coś podobnego.
- Co? Akurat tak tylko sobie pomyślałaś. Daj spokój. - Maggie z niedowierzaniem wpatrywała się w siostrę.
Czasami Maria Teresa zachowywała się dziwnie, ale tym razem naprawdę przesadziła.
- Ja wiem. Wiem, że to głupie, ale wczoraj wieczorem, gdy usłyszałam, że weszłaś do pokoju, byłam strasznie nieszczęśliwa, zakłopotana i taka... przerażona, że opowiesz o tym mamie i tacie, że zrobiłam coś... No dobrze, niech będzie, modliłam się... Nie, błagałam cię w myślach, żebyś im tego nie mówiła.
Tego już było za wiele. Po nieprzespanej nocy Maggie nie miała ochoty słuchać tej dziwacznej gadaniny. Podniosła do góry obie dłonie jakby się poddawała.
- Nie wiem, do czego zmierzasz, Mario Tereso, ale...
- To prawda. Nie wiem tylko, jak i dlaczego to usłyszałaś. Ale musisz zrozumieć, że... że to, co zobaczyłaś

wczoraj wieczorem... że to nic nie było.

Złapała Maggie za ramiona, żeby jej nie uciekła. Wbiła ostre paznokcie w skórę. Spojrzenie jej zielonych oczu było przenikliwe i złowrogie. Maggie strząsnęła z siebie ręce Marii Teresy i poszła w stronę bocznych drzwi, które prowadziły na basen.

- Nie musisz nic więcej mówić. Ta wasza tajemnica... Możesz być spokojna. Nie wygadam się.

- To nie jest żadna tajemnica. Naprawdę, Maggie, musisz mi uwierzyć. Nic się nie stało.

Maria Teresa miała łzy w oczach.

- To samo powiedział Mitch. Ja... ja ci wierzę - skłamała Maggie.

Nie chciała o tym myśleć. Ilekroć przypominała sobie scenę w ogrodzie i ręce Mitcha na gładkiej gołej skórze Marii Teresy, robiło jej się niedobrze i bała się, że znowu zwymiotuje. Otworzyła drzwi do patio i wyszła na dwór. Słońce prażyło, a w krzakach bzyczały owady. Była gotowa pójść piechotą do stajni, byle uciec stąd jak najdalej. Od tej całej chorej atmosfery.

Wyciągnęła z kieszeni gumkę i trzymając ją w zębach, zaczesywała palcami włosy. Gdy ułożyły się jak trzeba związała je. Całe życie wydało jej się surrealistyczne.

Nie daj się zwariować, powiedziała do siebie.

Wyszła na ulicę i skierowała się w stronę centrum. Zeszła ze wzgórza i nie bacząc na ruch, przeszła przez jezdnię. Weszła w cieniistą aleję prowadzącą do głównej szosy. To szaleństwo minie. Nie może być inaczej.

Obeszła rząd śmierdzących pojemników na śmieci. Spłoszyła czarnego kota, który wygrzewał się na płocie. Z podniesionym do góry ogonem zeskoczył na ziemię i pobiegł w bezpieczne, zaciemnione miejsce. Skrył się pod starym chevroletem.

Maggie znalazła się na tyłach parkingu restauracji „McDonald’s”. W kieszeni dżinsowych szortów znalazła drobne i kupiła colę. Sączyła ją przez plastikową słomkę. Przedpołudniowe słońce prażyło ją w kark. Ruszyła dalej.

Matka będzie wściekła, gdy zadzwonię do klubu tenisowego i poproszę ją, żeby przywiozła mnie do domu. Ale to nic. Pewnie i tak wyśle po mnie Mitcha. No dobrze.

Mrużyła oczy, bo zapomniała ciemnych okularów. Pod tenisówkami czuła rozgrzany chodnik. Przez chwilę myślała, żeby pojechać autostopem. Wiele dzieci ze szkoły tak robiło. Nie odważyła się jednak, bo wiedziała, że rodzice byliby wściekli. Szła dalej. Upał był nieznośny. Zaczynała się już pocić.

Rozgrzane powietrze drgało. Samochody posuwały się w żółtym tempie. Wzdłuż ulicy ciągnęły się duże domy towarowe, restauracje, bary szybkiej obsługi, tawerny i wolno stojące centra handlowe, które dalej ustępowały miejsca domom tańszym niż te na wzgórzu. Potężne słupy, na których znajdowały się telefoniczne i elektryczne druty, zabazgrane były rysunkami i oklejone drukowanymi ogłoszeniami:

„Zaginął pies - trzyletni cocker spaniel, reaguje na imię Roscoe...”

„Koniec jest bliski; przyjdź posłuchać wielebnego Billa Ballantine’a w Niedzielnym Kościele Dobrej Nowiny, dwudziestego ósmego lutego, o ósmej wieczorem”.

„Sześć rodzin urządza wyprzedaz, piątek, sobota i niedziela!”

Ulica była brudna. Maggie nie zwracała na to uwagi. Mijała handlową dzielnicę. Bez namysłu przeszła na drugą stronę jezdni. Pot spływał jej między łopatkami, a przed oczami widziała Mitcha i Marię Teresę. Dotykali się. Całowali.

- Ty! Uważaj!

Nagle roztrząbił się klakson. Odskoczyła do tyłu, potknęła się o krawężnik i upadła na jezdnię. Przykryty czerwoną plandeką jeep przejechał czerwone światła, wyminął krawężnik, ominął ją zaledwie o parę centymetrów. Połała sobie colą gołe nogi. Omal nie skręciła kostki.

- Na rany Chrystusa, uważaj, jak chodzisz!

Kierowca ostro zahamował i zmiażdżył papierowy kubek, który upuściła.

- Bydlak - mruknęła pod nosem Maggie.

Była lepka i spocona.

Co mi odbiło? Muszę myśleć o czym innym.

Bardziej uważając na samochody, minęła dzielnicę handlową. Niepostrzeżenie znalazła się wśród domów mieszkalnych. Budynki były mniejsze, trawniki wysuszone, z widniejącymi gdzieś tam łysymi plackami. Parkany z drucianej siatki odgradzały psy i dzieci od ulicy, odstraszać obcych od wejścia na teren. Przed niedużymi, pokrytymi stiukami domami znajdowały się przestronne ganki, które zdobiły pojemniki z kolorowymi kwiatami.

Minęła domy i krajobraz zmienił się. Bardziej przypominał wieś. Sady jabłoni i moreli konkurowały z kurzymi farmami. Maggie skręciła na drogę, która znowu wiodła do góry. Na wzgórzach rosły schludne rzędy winorośli. Ruch był tu mniejszy, a powietrze zdawało się czystsze. Spody stóp piekły ją okrutnie.

Trzymała się posypanego zwiarem pobocza. Mijały ją ciężarówki, furgonetki i samochody osobowe. Nie zwracała uwagi na muchy i komary, których całe chmary wyroiły się w tych ostatnich dniach chylącego się ku końcowi lata.

Usłyszała warkot silnika. Po odgłosach poznała, że to furgonetka. Jechała po przeciwnej stronie, w tym samym

kierunku, co ona. Nie odwracając się usłyszała, że samochód zwalnia.

- Podrzucić cię? - zapytał kierowca. Był niewiele po dwudziestce. Siedział za kierownicą starej furgonetki, która najlepsze lata miała dawno za sobą. Uśmiechnął się i popatrzył trochę z ukosa. Czy miał ukryte za odblaskowymi okularami.

- Nie, jeszcze potrafię chodzić.

Podniosła rękę i zasłoniła oczy przed słońcem, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

- Jesteś pewna?

Był szczupły. Miał proste, ciemnobrązowe włosy ze złotymi pasemkami i całodniowy zarost na twarzy, który nie w pełni maskował kwadratową linię jego szczęki. Nie był wcale taki przystojny. Miał jednak w sobie coś surowego i szorstkiego, jakąś wrodzoną zmysłową moc. Od razu to zauważyła. Pomyślała, że należy do tych mężczyzn, którzy przysparzają kłopotów i których porządne dziewczyny powinny unikać.

- Mam się świetnie. Naprawdę.

- Jesteś tego pewna? Idziesz jak na pogrzeb.

Flirtuje ze mną? Ten starszy facet w wplywiałym dziurawym podkoszulku? - pomyślała. Poczula przenikające ją ciepło. Była zafascynowana jego zuchwałym zachowaniem.

- Próbuje zachować się jak rycerz - dodał.

- Taak, zgadza się. - Daleko mu było do rycerza w błyszczącej zbroi. I w ogóle co to za konwersacja? - A ja jestem Joanną d'Arc.

- Pomyślałem, że cię skądś znam.

Patrzyła na niego, jakby chciała powiedzieć: odwal się, i szła dalej.

- Twoja wola. Do zobaczenia, dzieciaku.

Spojrzał we wsteczne lusterko, nacisnął gaz do dechy i pomknął przed siebie.

Dzieciaku? Dzieciaku?

Jej duma została urażona. Znowu przypomniała sobie, że cola na jej nogach jest lepka, związane do tyłu włosy tworzą niezgrabny koński ogon, a dżinsowe szorty są postrzępione.

Facet pomyślał, że jestem dzieciakiem? Uczennicą? Siedemnaście lat to już nie podstawówka ani nawet nie gimnazjum, a do osiemnastu brakuje mi tylko parę tygodni. A ile on może mieć? Dwadzieścia jeden? Dwadzieścia dwa? A właściwie co mnie to obchodzi? Więcej i tak go nie zobaczę.

Mężczyzna nadal zaprzętał jej myśli. Raz po raz odtwarzała sobie ich rozmowę. Przynajmniej nie myślała o Marii Teresie i Mitchu.

Po pół godzinie doszła do długiego podjazdu prowadzącego do stajni. Zobaczyła tam furgonetkę, starego gruchota, który kiedyś był w kolorze zgniłej zieleni.

Wspaniale, pomyślała. Dzień zapowiadał się coraz lepiej. Pomachała ręką do Flory, właścicielki rancza, która stała w otwartym oknie kuchni. Zbliżająca się do sześćdziesiątki Flora miała siwe włosy. Proste i sztywne jak drut warkocze zawijała w węzeł i upinała na czubku głowy. Jej pomarszczona od wieloletniego przebywania na powietrzu i słońcu cera przypominała wygarbowaną skórę. Plamy, których przybywało z wiekiem, dodatkowo szpeciły gładką niegdyś twarz, ale najwyraźniej nie przejmowała się tym. Jej nie tkniętą makijażem twarz zdołał szczery uśmiech. Nigdy nie rozmawiała o byłym mężu, nie miała dzieci i zdawała się absolutnie zadowolona ze swojego życia.

- Kleks jest na północnym padoku - zawołała przez okno, w którym, poruszały się zasłony. Jej pies, złocisty mieszaniec o imieniu Szarlatan, w skrócie Charlie, leżał pod drzewem, po którym skakała wiewiórka.

Znudzony pies ruszył za Maggie. Przekrzywił łeb na jedną stronę, najprawdopodobniej z powodu rzepów, które przyczepiały się mu do uszu, gdy uganiał się po okolicznych łąkach i polach.

Maggie, prz gryzając kącik wargi, zastanawiała się, dlaczego facet z furgonetki wylądował akurat tutaj. Minęła klatki z królikami, z których kłapouchy z zainteresowaniem wychylały mordki. Miały ciemne, błyszczące oczy. Gdy przechodziła obok nich, śmiesznie poruszały noskami.

Wypatrzyła klacz. Jej wyraźne czarne i białe plamy błyszczały w słońcu. Wraz z parą innych koni skubała wyschniętą jak ściernisko trawę. Podniosła biały łeb i spojrzała na Maggie. Zastrzygła uszami i znowu wróciła do swego zajęcia.

- Ją to naprawdę ekscytuje - mruknęła Maggie do psa.

Charlie oddalił się z nosem przy ziemi. Chciał dokładniej zbadać pęknięcia w fundamentach garażu. Maggie otworzyła drzwi do stajni. Gdy szła do pomieszczenia ze sprzętem, pełnego siodeł, wiszących na kółkach uzd, i zwisających do betonowej podłogi lejców, uderzył ją znajomy zapach skóry i oleju, gnoju i suchej słomy, koni i pajęczyny. Wzięła wędzidło i uzdę. Znalazła postronek i kantar. Wychodząc bocznymi drzwiami omal nie zderzyła się z mężczyzną, który zamierzał wejść do środka.

To ten facet z furgonetki - pomyślała. Był bez okularów, mogła zobaczyć jego intensywnie szaroniebieskie oczy w oprawie prostych brwi i gęstych rzęs. Nie wyjmując z kącika ust suchego źdźbła trawy wymamrotał szybkie „przepraszam”. Gdy rozpoznał dziewczynę, na jego twarzy pojawił się ten sam arogancki szeroki uśmiech, irytujący i seksowny. Pachniał dymem z papierosów. Obejrzał ją od stóp do głów.

- No, no, Dziewica Orleańska - rzekł.

- Co?

- Joanna? Niezależna dama, zbyt dumna, żeby pozwolić się podwieźć?

Oparł muskularne ramię o framugę drzwi i skutecznie zablokował jej przejście. Czowała się zakłopotana. W pierwszej chwili chciała krzyknąć, żeby ją przepuścił. Ale zmieniła zdanie i odparła:

- Czy to przypadkiem nie kierowca furgonetki, który uważa, że autostop jest bezpiecznym zajęciem dla kobiet?

Zarzuciła na ramię wędzidło i powróz i prześlizgnęła się przez drzwi, ocierając się lekko o niego.

- Nie tylko kobieta, ale do tego święta - zadrwił.

Jego śmiech dogonił ją na dworze. Zesztywniała, odwróciła się na pięcie.

- Zgadza się. Święta. Czysta jak dziewiczy śnieg - odparowała.

Nie wiedziała, dlaczego tak bardzo ją drażnił ani dlaczego czerwieniła się przy nim. Najchętniej by go walnęła. Drażnił ją ten jego cholerny uśmiezek, ale nie zdobyła się na to. Stali w cieniu stajni. Milczał. Widać było, że jest szczerze rozbawiony. Nad ich głowami jaskółki kręciły piruety i wyprawiały harce. Po niebie, z którego lał się żar, przesuwały się przezroczyste niemal chmurki.

- Więc to tutaj trzymasz swojego rumaka, święta Joanno?

Pokiwała głową. Nie chciała przedłużać rozmowy.

- Chcesz, żebym ci go przyprowadził?

- Niby dlaczego? - zapytała.

- To część mojej pracy.

Poczuła się nieswojo. Zaczęło do niej docierać, że może jest tutaj bardziej zadowolony, niż początkowo sądziła.

- Jakiej pracy?

- Pracuję dla Flory.

Jego oczy hipnotyzowały ją. Przesunął żdźbło słomy z jednego kącika ust w drugi.

- Uczę jazdy konnej i chwytania koni na łąso, choć niewielu jest tutaj chętnych do uprawiania tej sztuki. Zajmuję się zaopatrzeniem i wieloma innymi sprawami.

- Jesteś stajennym?

- Można to tak określić.

Mrugnął do niej. Omal nie wypuściła z rąk postronka.

- A także trenerem i w ogóle facetem do wszystkiego.

A więc to nie będzie nasze jedyne spotkanie, pomyślała. Może nauczy mnie konnej jazdy.

Była zaniepokojona

- A co z Enrique?

- Wyniósł się, jak sądzę.

Wzruszył ramionami. Pod znoszoną podkoszulką poruszył się potężny biceps. Po raz pierwszy Maggie zobaczyła go w pełnej krasie. Miał szerokie bary, opalone przedramiona, wąską talię i szczupłe biodra. Gdyby nie zniszczony skórzany pasek, jego spłowiałe, złachane dżinsy, mogłyby mu opaść do kostek. I tak wisiały na nim nisko. Za nisko.

Nagle poczuła zakłopotanie. Boleśnie świadoma swoich nieukończonych jeszcze osiemnastu lat. Za młoda nawet, żeby głosować. Po prostu dzieciak.

- Jaka szkoda. Lubiłam Enrique.

Skrzywił się.

- No wiesz, jeśli się wysilizujesz, może i mnie polubisz.

Wątpię, pomyślała natychmiast.

Jeżeli nawet wyczytał z jej oczu powątpiewanie, nie okazał tego.

- Nazywam się Walker.

Zrobił parę kroków do przodu, wyjął słomkę i wyciągnął do niej zrogowaciałą, dużą rękę.

- Thane Walker.

- Thane?

- Moja matka miała wadę wymowy.

- Co takiego?

Zachichotał.

- To żart, Joanno.

Oplótł palcami jej rękę w uścisku, który wydał się jej intymny.

- A skoro nie zostałam kanonizowana, spodziewam się, że otrzymałam jakiś inny tytuł.

- Maggie Reilly - wyrecytowała.

Gotujące się w niej emocje zdawały się sięgać zenitu.

- Chodzisz tu gdzieś do szkoły?

Pokiwała głową. Gdy puścił jej rękę, cofnęła się o krok.

- Chodziłam. Skończyłam w czerwcu gimnazjum.

Sama nie wiedziała czemu z nim rozmawia.

- Mnie się ta sztuka jakoś nie udała - przyznał.

- Dlaczego?

Czyżby facet wyleciał ze szkoły? - przeszło jej przez myśl.

Sposepniał, a Maggie poczuła przenikający ją dreszcz. Ten, starszy od niej tylko o kilka lat mężczyzna miał jakieś tajemnice. Głęboko skrywane tajemnice.

- Miałem co innego do roboty.

Jakby doszedł do wniosku, że już dostatecznie dużo powiedział, odwrócił się i wskazując ruchem głowy pola, gdzie tłoczyły się konie, zapytał:

- Który jest twój?

- Ten srokaty, na północnym padoku - odpowiedziała automatycznie i wskazała na Kropkę.

Ruszyła w stronę łąki. Thane dotrzymał jej kroku.

- Masz dobry gust. To tutaj najlepszy koń.

W jego spojrzeniu pojawił się błysk uznania.

- Już go znasz?

- Ano.

Gdy maszerowali piaszczystą ścieżką w kierunku północnego padoku, prześlizgnął się wielki wąż.

- Skąd?

- Całe życie spędziłem wśród koni. Wychowałem się na ranchu w Wyoming. A teraz, jeśli dasz mi ten postronek i kantar, przyprowadzę twoją klacz.

- Sama to zrobię - upierała się Maggie. Choć nie wiedziała dlaczego, w jego oczach chciała uchwycić za dojrzałą kobietę. Mężczyzna drażnił ją i wyprowadzał z równowagi. Przeszła przez bramę ogrodzenia. Thane nie poszedł za nią. Oparł się łokciami o górną barierę płotu i zaczepił but na najniższej poprzeczce. Maggie czuła na sobie jego wzrok. Nawet nie próbował ukryć zainteresowania. Zachowywał się tak, jakby go bawiła, jakby uważał, że ta miastowa dziewczyna nie ma zielonego pojęcia o koniach. Nie było to zresztą dalekie od prawdy.

- Cześć, dziewczuszko. Chodź do mnie - zagruchnęła łagodnie i sięgnęła do kieszeni po kawałek jabłka, które zgrnęła z domu po śniadaniu.

Klacz podniosła łeb i prychnęła. Pod upstrzoną białymi i czarnymi plamami sierścią zadrgały mięśnie. Przez chwilę Maggie wydawało się, że koń czmychnie, przyprowadzając ją o jeszcze większe zakłopotanie. Łakomstwo wzięło jednak górę. Klacz wyciągnęła szyję i delikatnie musnęła wargami dłoń Maggie. Dziewczyna szybko zarzuciła jej na szyję postronek i przeciągnęła kantar przez łeb.

- Dobra dziewczuszka - szepnęła, poklepując jedwabisty pysk. Gdy niezwykle z siebie dumna, odwróciła się na pięcie, poczuła straszne rozczarowanie. Thane'a już nie było.

Jak głupia splonęła rumieńcem i szarpnęła za postronek.

Po półgodzinnej jeździe Maggie uświadomiła sobie, że od momentu spotkania Thane'a Walkera ani razu nie pomyślała o Marii Teresie i Mitchu.

*

- Pewnie trzeba cię podwieźć do miasta?

Głos Thane'a zaskoczył ją. Omal nie wypuściła z rąk okrągłej szczotki, którą czesała błyszczącą sierść Kropki.

- Dam sobie radę - odpowiedziała automatycznie. Zerknęła przez ramię i zobaczyła jak Thane stawia widły na miejsce, tuż za progiem drzwi stajni.

- No cóż, gdyby to cię interesowało, jadę do sklepu dla zwierząt. Jeśli chcesz, podwiozę cię.

- Dziękuję - powiedziała.- Ale teraz chciałabym zadzwonić...- Do kogo? - chwilę pomyślała. Do matki, która pewnie ma już dobrze w czubie? Do ojca do pracy? Do Marii Teresy, która jest na lekcji tańca? Albo do Mitcha?

Wzdrygnęła się nerwowo. Pójdzie do domu na piechotę. Nie jest to aż tak daleko, a nie chciała uchwycić za podłotkę, który dzwoni i prosi, żeby go podwieźć do domu.

- Naprawdę, dam sobie radę.

Wytarł ręce w dzinsy.

- Gdybyś zmieniła zdanie, daj znać.

- Dobrze - powiedziała ku własnemu zdumieniu.

Było w nim coś niepokojącego. Jakieś szaleństwo i dzikość. Fascynował ją, ale starała się o tym nie myśleć.

Samotnie wracała poboczem szosy do domu, gdy usłyszała za sobą furgonetkę.

- Maggie?

To był głos Thane'a. Spojrzała w jego stronę. Jedną rękę opierał o drzwi samochodu, drugą trzymał na kierownicy. Zwalniał

- Taak?

- Wskakuj. Podwiozę cię.

- Nie potrzeba.

Spochmurniał. Patrzył na nią przez słoneczne okulary.

- Zrób to dla mnie. Nie kłam. A przynajmniej nie zawsze.

Zawahała się, ale nie mogła się oprzeć. Czowała, że jest niebezpieczny jak przyczajony grzechotnik, ale było w nim coś intrygującego i fascynującego - odrobina niepokornej męskości, która ją ciekawiła i przerażała zarazem. Sądziła, że potrafił być uprzejmym, dość przyzwoitym facetem, a w chwilę potem stać się nieokrzesanym typem. Takim, co to za dużo pali i pije i na którego na całej trasie stąd do Montany czeka mnóstwo kobiet.

Przechylił się, otworzył drzwi i Maggie, wbrew temu, co nakazywał jej zdrowy rozsądek, wdrapała się do środka. Gdy zatrzasnęła drzwi, zobaczyła na jego ustach niemal niedostrzegalny uśmiech. Ruszył w stronę miasta. Maggie pocila się, podkoszulek kleił się jej do pleców. W kabinie nie było klimatyzacji, toteż żar był nie do wytrzymania. Nerwowo oblizywała wargi. Nie wiedziała, co zrobić z rękami. Siedziała sztywno, wyglądając przez upstrzoną robakami przednią szybę. Szukała w myśli jakiegoś tematu do rozmowy.

- Chodzisz gdzieś tutaj do college'u? - zapytał wreszcie.

- Taak... och, proszę tu skrócić, na tę górkę - powiedziała. Wziął ostry zakręt w lewo i wyciskając, ile się da, ze starej maszyny zostawił za sobą inne samochody. Pruł jezdnią pod górę. Maggie wskazywała drogę, mówiąc gdzie ma skręcać. Wjechali w skomplikowaną sieć żywoplotów, kamiennych murów, elektronicznych bram i wąskich, krętych alejek. Zmierzył wzrokiem okolicę. Po raz pierwszy w życiu Maggie zrozumiała, że dla kogoś takiego jak Thane Walker prestiż społeczny, którego jej matka i ojciec z takim trudem się dopracowali, nie ma żadnego znaczenia. A może nawet uważał, że to przynosi ujmę.

- To tutaj - powiedziała, pokazując podjazd.

Koło garażu, w otoczeniu skrzynek petunii, stał mustang Mitcha. Brama była otwarta. Thane wjechał do środka.

- Dziękuję - powiedziała Maggie, gdy stanął. - Ja... hmm, jestem wdzięczna.

- Zawsze do usług.

Odwrócił ku niej twarz, a kącik jego ust uniósł się w uśmiechu. Ze zdumieniem i przerażeniem czuła, że poruszył w niej coś, z czego istnienia nie zdawała sobie sprawy, coś, czego się bała. Serce zaczęło jej bić mocniej, gdy jego wzrok padł na luźny dekolt jej podkoszulka.

- Aha, taak... - O Boże, zachowuję się jak jakaś ciamajda, pomyślała szarpiać nieudolnie kłamię. Licealistka.

- Poczekaj. Ja to zrobię. Lubię się zacinać.

Przechylił się nad nią i sięgnął do drzwi. Gapiła się na bary silne i umięśnione, opalone ramiona, na których widoczne były grube jak postronki żyły. Patrzyła na poplamiony, wypłowiały, wilgotny od potu podkoszulek. Jego głowa leżała prawie na jej kolanach. Czowała ciepły oddech na gołych udach. Po skórze przeszły jej ciarki. Bezwiednie wciągnęła brzuch i wstrzymała oddech. Gdzieś w środku poczuła miłe łaskotanie. Thane pchnął mocno drzwi i wreszcie się otworzyły. Gdy się wyprostował, zapach tytoniu i męskiego potu zaatakował jej nozdrza. Omal nie wypadła z furgonetki. Za wszelką cenę pragnęła, żeby ich ciała znalazły się jak najdalej od siebie. Czowała, że się czerwieni. Było jej gorąco. Nogi miała jak z waty. Przełykała z trudem.

Choć powiedziała sobie, że od razu wejdzie do domu, stała jak wryta na podjeździe. Przygryzając dolną wargę, patrzyła na odjeżdżającą powoli poobijaną furgonetkę.

- Co to było?

Z przeciwnej strony garażu wyłoniła się wolno Maria Teresa. Była w krótkim kąpielowym szlafrocuku i w sandałach. Zdjęła okulary i zaczęła gryźć oprawkę.

- Powinnaś powiedzieć „kto” - uściśliła Maggie wzruszając ramionami. - To chłopak, który pracuje w stadninie - powiedziała obojętnie.

Sama nie wiedziała, ale chciała uchronić Thane'a przed nieprzychylnością Marii Teresy.

Maria Teresa pokiwała głową, jakby ją nagle oświeciło.

- A więc zadajesz się z dołami społecznymi.

- Tylko mnie podwiózł do domu.

Między idealnie wydepilowanymi brwiami siostry pojawiły się malutkie zmarszczki. Ruszyła do otwartej bramy, jakby chciał sprawdzić, dlaczego Maggie zgodziła się na jazdę tak potwornie starą furgonetką.

- Masz szczęście, że to w ogóle dojechało.

- Być może.

- Żadne być może. Ta furgonetka jest już na ostatnich nogach czy oponach, czy co tam wolisz.

Odwróciła się gwałtownie i wsunęła okulary na nos.

- No więc... usłyszałaś ode mnie dzisiaj więcej informacji?

- Nie.

- Cóż, przekazywałam je jak szalona - powiedziała z sarkazmem Maria Teresa.

- Och, taak? Dlaczego?

- Dla sprawdzianu,

Maggie wzniosła oczy do nieba,

- Słuchaj, ja nie wiem, dlaczego usłyszałam cię poprzedniej nocy, rozumiesz? Ale tak było. Nie rób więcej tego... sprawdzianu ani niczego w tym rodzaju. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

Maggie zmęczona upałem szła w stronę domu.

- To bzdura, jeśli chcesz znać moje zdanie. Właśnie tego próbowałam ci dowieść. Na krótko nawet mnie przekonałaś, ale to wszystko jest... niesamowite.

- Zgoda. Wiem. I nie potrafię tego wytłumaczyć, rozumiesz?

Maggie podniosła rękę na znak, że nie chce rozmawiać na ten temat.

W drzwiach prowadzących z garażu do kuchni omal nie zderzyła się z Mitchem. Złapał ją mocno za ramię. Miał harde spojrzenie. Rysy jego twarzy straciły chłopięcą niewinność.

- Ochłonęliśmy, nieprawdaż? - szepnął.

- Co takiego?

- Mam na myśli wczorajszy wieczór.

Wpił palce w mięśnie jej przedramienia. Poprzednie męczące i duszne uczucie, z którego udało jej się otrząsnąć, powróciło ze zdwojoną siłą. Obrazy wczorajszej nocy ożyły w głowie. Wyrwała ramię.

- Zostaw mnie w spokoju.

- Więc wszystko jest jasne? - nalegał.

Maggie weszła do chłodnej kuchni i poczuła powiew zimnego powieka z szumiącego w oddali urządzenia klimatyzacyjnego.

- Maggie?

Na progu pojawiła się mama. Miała krótkie brązowe włosy i piegi, które za wszelką cenę starała się ukryć. Była starszą o dwadzieścia pięć lat wersją swoich córek.

- Gdzie byłaś?

- W stadninie.

- Nie zostawiłaś wiadomości.

Matka przekrzywiła głowę i uniosła brwi w cichej wymówce.

- Zapomniałam.

- To nie zapomnij następnym razem, dobrze?

Maggie poczuła ulgę, że matka trzyma się pewnie na nogach, nie bełkoce, a w rękę nie trzyma szklanki z alkoholem.

- Przepraszam.

- W porządku - powiedziała matka. Maggie nie była pewna, czy może jej wierzyć. Pod delikatnym uśmiechem, w zmrużonych zielonych oczach czaiło się ledwo widoczne niezadowolenie.

Matka chwyciła dzbanek i odkręciła kran.

- Wiesz co - zaczęła - mam wrażenie, że wczoraj wieczorem, kiedy nie było nas w domu, coś się wydarzyło.

- Och? A co? - Maggie wysunęła wargi i uniosła ramiona, jakby o niczym nie miała pojęcia.

Bernice Reilly zakręciła kran i zaczęła podlewać ustawione na blacie doniczki z fiołkami.

- Nie wiem. Ale jestem prawie pewna, że ktoś zaglądał do kredensu z alkoholem. Oznaczam butelki i wiem, czy do którejś dolano wody.

Psiakrew! Maggie starała się zachować kamienną twarz. Gdy otworzyły się za nią drzwi, nie odwróciła się. Miała nadzieję, że matka nie zauważyła jej zdenerwowania.

- Ktoś nie tylko dolewa wody, ale czasami ginie butelka. Potrafisz to wytłumaczyć?

Matka nie patrzyła na nią i nie przestawała podlewać kwiatów. Maggie czuła, że się potwornie poci.

- Co wytłumaczyć? - zapytała Maria Teresa, która weszła do środka.

Pachniała olejkiem do opalania i niewinnie patrzyła na matkę. Porwała z misy na stole kiść winogron, zjadła jedno. Odwróciła się, ściągnęła szlafroczek i wykręciła szyję. Chciała w lustrze, które wisiało w przejściu do jadalni, zobaczyć swoje plecy.

- Cholera, spiekłam się.

Jej ramiona były bardziej niż czerwone. Widać było drobne ślady oparzeń.

- Ile razy trzeba ci powtarzać, żebyś uważała? Daj, zobaczę.

Matka obejrzała ramiona Marii Teresy i westchnęła.

- Mam krem, który ci pomoże.

Sięgnęła do kredensu, wyjęła tubkę i podała Marii Teresie.

- A teraz porozmawiajmy o ubiegłej nocy.

- A co się stało? - spytała Maria Teresa zajęta smarowaniem czerwonych jak rak ramion.

- Mama uważa, że ktoś dobrał się do alkoholu.

- Ja nie uważam, ja wiem.

Maria Teresa zdawała się nie słuchać, zaabsorbowana rozprowadzaniem kremu.

- Naprawdę? No co, nie patrz tak na nas. Maggie i ja byliśmy razem przez cały czas. Może to Mitch i jego przyjaciele.

Oderwała następne winogrono i z niewinną miną wsadziła je do ust.

Maggie była wstrząśnięta, a Maria Teresa spokojnie otworzyła lodówkę i wyjęła puszkę niskokalorycznej coli.

- Nie napijesz się? - zapytała siostrę.

Maggie nie wierzyła własnym uszom. Maria Teresa wrabiała Mitcha, chłopaka, z którym...

M.T. rzuciła jej puszkę. Drugą wzięła dla siebie i otworzyła. Lekko się skrzywiła, jakby spieczona od słońca skóra znowu dała o sobie znać.

- Uważam, że powinnaś z nim porozmawiać.

- Nie omieszkam - odparła Bernice. - I to zaraz.

Odstawiła dzbanek i wilgotne palce wytarła w szorty. Ściągnęła wargi jakby chciała powiedzieć: „Już ja pokażę temu dzieciakowi”.

7

Nie mogę uwierzyć, że coś takiego zrobiłaś! - szepnęła Maggie i starannie zamknęła drzwi swojej sypialni.

- Co takiego zrobiłam?

- Rzuciłaś Mitcha wilkom na pożarcie bez zmrużenia oka! Mama gotowa go zabić.

- Lepiej, żeby zabiła jego niż mnie.

Maria Teresa rzuciła się na nieposłane łóżko Maggie. Sączyła gazowany napój, jakby nic poza własną oparzoną skórą jej nie obchodziło. Jakby o włos nie uniknęła strasznej przykrości, jakby przed chwilą nie zrobiła czegoś złego.

- Ale...

- Nie przejmuj się Mitchem. Da sobie radę.

- Nie wierzę ci!

Maggie odstawiła swój napój. Złapała kilka lotek i ciskała je jedną po drugiej w drzwi, na których wisiała tarcza z przyklejonym zdjęciem jej ostatniego chłopaka, Seana. Grał na skrzydle w drużynie futbolu. Gdy nie udało mu się przekonać Maggie, żeby poszła na całość, rzucił ją, chociaż mówił, że kocha. Wziął sobie nową dziewczynę z klamerkami korekcyjnymi na zębach, długimi blond włosami i nogami, które zdawały się nie mieć końca. Chwalił się, że ją Przeleciał po dwóch tygodniach i niespodziewanie rzucił dla studentki drugiego roku. Grała w dziewczęcej drużynie piłki nożnej. Maggie wyrwała lotki z tarczy. Stała odrobinę dalej, odchyliła się do tyłu i wycelowała. Pierwsza lotka trafiła w sam środek klatki piersiowej Seana. Tam, gdzie najprawdopodobniej znajdowało się jego serce. Następnym razem będą musiała wycelować trochę niżej, pomyślała.

- Cały ten pomysł wyszedł od Mitcha - powiedziała Maria. - Teraz niech odpokutuje.

- Na czym polegał ten cały pomysł? O co chodzi, M.T.? - Maggie aż mdliło od powłóczystych, insynuujących i tajemniczych spojrzeń siostry. Rzuciła następną lotkę. Trafiła prosto w krocze.

- Och, o to picie i wejście do jacuzzi.

- A teraz mu się za to oberwie.

- A co miałam powiedzieć?

Maggie rzucała kolejne lotki. Jedną, drugą, trzecią. Lądowały blisko głowy, serca i innych partii ciała Seana. Widać było, że nie wyszła z wprawy.

- Niech ci będzie, ale mów mi o wszystkim, dobrze? Muszę znać najświeższe sekrety. No wiesz, żebym nie schrzaniła sprawy.

- Będziesz wiedziała - odpowiedziała Maria Teresa. - Tylko nie wyobrażaj sobie od razu Bóg wie czego.

- Nie wyobrażam sobie - zaprotestowała Maggie.

Maria Teresa dopiła swoją puszkę. Podniosła się z łóżka i wrzuciła ją do przeładowanego kosza na śmieci.

- Zaufaj mi. Wiem, co robię.

Maggie ani przez chwilę w to nie wierzyła. Ostatnio Maria Teresa robiła wszystko bez jakiegokolwiek sensu.

*

Wieczorem Maggie przeleciała kanały swojego małego biało-czarnego telewizora. Wysłuchiła monologu Johnny'ego Carsona w Tonight Show, wyłączyła aparat i rzuciła się na łóżko. Jej niespokojne myśli znowu powędrowały ku Thane'owi Walkerowi, chociaż nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego. Ten gburowaty i nieobliczalny kowboj był na swój sposób przystojny. Miał poczucie humoru, chociaż nie liczył się z nikim i z niczym. Był tajemniczy i to ją tak pociągało. Wiedziała też, że jest dla niej za stary, bardzo nieokrzesany i przyziemny. W ogóle nie powinna o nim myśleć.

- Odpuść to sobie - mruknęła.

Wzięła do ręki dużą, czarną magiczną kulę, którą na jedenaste urodziny dostała od Marii Teresy. Wściekła na siebie i na cały świat potrząsnęła nią. Chciała zasięgnąć jej rady.

Jakie są szanse powodzenia dla mnie i takiego faceta jak Thane Walker? - zapytała cichutko i spojrzała na wyświetlającą się na kuli odpowiedź:

Odpowiedź jest niejasna.

Ach tak? No to czy ma dziewczynę?

Istnieje taka możliwość.

Jesteś gównem warta?

Z moich informacji wynika, że nie.

W porządku, a ja jestem angielską królową.

Rzuciła kulę na łóżko. Chwyciła z nocnej szafki lotkę. Rzuciła nią i uśmiechnęła się, gdy trafiła w rzepkę lewej nogi Seana.

- Jeszcze się porachujemy - powiedziała szeptem.

Zgasiła światło. Zamknęła oczy i zobaczyła twarz Thane'a. Pojawiła się w podobny sposób, w jaki zdawały się pojawiać informacje na jej idiotycznej, przepowiadającej przyszłość kuli. Zastanawiała się, gdzie mieszka, kim są jego przyjaciele, czy jest teraz z jakąś kobietą. Westchnęła i próbowała o nim zapomnieć.

Przez otwarte okno, poprzez dźwięki bzyczących owadów i stłumione, dalekie odgłosy ruchu ulicznego do sypialni Maggie dotarł głos Mitcha. Aż jej się nie chciało wierzyć, że był po drugiej stronie okna, po przeciwległej stronie basenu. Słyszała jego głos bardzo wyraźnie. Nie był sam.

- Co cię napadło? - dopytywał się.

Maggie zsunęła się na podłogę. Objęła rękami kolana. Bała się. Jej serce waliło jak oszalałe.

- O co ci chodzi? - zapytała Maria Teresa.

Maggie poczuła bolesny skurcz żołądka.

- Och, nie zgrywaj się. Napuściłaś na mnie mamę? - Mitch był wściekły. - Zmieszała mnie z błotem. Zagroziła, że zabierze samochód. Niech cię licho, Mario T. Dlaczego to zrobiłaś?

- Tak było najlepiej. Uwierzy, że dobrałeś się z kumplami do jej gorzały i że balowaliście. Ale gdybym powiedziała, że ty i ja...

- Nie musiałaś nic mówić.

- Musiałam. Ona wiedziała, do cholery. Maggie też wie.

Zapanowało krótkie milczenie. Maggie nie wiedziała, co jest gorsze, oskarżenia czy cisza, która zaległa. Zamknęła oczy. Nie chciała myśleć o Mitchu i Marii Teresie. Najchętniej zamknęłaby okno, żeby nie słyszeć ich rozmowy.

- No cóż, przynajmniej mama nic o nas nie wie.

- I lepiej niech tak zostanie.

- Wiem. Niech to diabli, M.T., nie wiem, co powiedzieć.

- Najlepiej nic nie mów.

- To było... Chcę powiedzieć, że było bombowo, ale...

- Szsz! Było i nie ma! To wszystko... to był błąd.

- Ja wiem. Wiem. - W głosie Mitcha czuło się niechęć do siebie samego. - Nie powinienem tyle pić. Nie powinienem cię całować...

- Zamknij się! - warknęła Maria Teresa.

- Próbuję cię tylko przeprosić.

- Przeprosiny przyjęte. - Była zirytowana. - Zostaw mnie tylko w spokoju, Mitch. Nawet mnie nie dotykaj.

- Nie będę. Uwierz mi. Ale...

- Nie zaczynaj. Po prostu nie możemy. Boże, Mitch, to jest takie chore.

- To ty zaczęłaś.

- Nie, to nie tak... chciałam ci tylko dać nauczkę... za ostatni raz... po promocji.

- Wtedy było inaczej.

- Wiem, ale... och, do cholery, po prostu o tym zapomnij!

- Nie wiem, czy potrafię.

- Musisz! Oboje musimy.

Głos Marii Teresy był stanowczy i kategoryczny.

W oczach Maggie pojawiły się łzy zakłopotania i wstydu. Gdyby mogła równie łatwo zatkać uszy, jak zamyka się oczy. Mdlilo ją, buntował się jej żołądek.

- Spróbuję. - Mitch mówił jak zbity szczeniak.

- W porządku. A więc już nigdy nie wracajmy do tego tematu. Nigdy! A jeśli któryś z twoich przyjaciół się dowie, jeśli tylko piśniesz o tym słówko, przysięgam, Mitch, że cię zabiję.

- Nie obawiaj się - odparł z największą powagą. - Nikt się nie dowie. Maggie powiedziała, że nic się nie wydarzyło.

- To dobrze.

Maggie odetchnęła.

- Ale ona mi nie wierzy.

Głos Mitcha był zatroskany. Maggie skuliła się w sobie.

- Kto by się tym przejmował?

- Ja. Jeżeli ona uważa, że my...

- Nie uważa. Jezu, Mitch, weź się w garść.

Choć słowa były ostre i szorstkie, Maria Teresa wydawała się wystraszona.

- Niepokoję się.

- Jest frajerką. Nic nie powie.

- Nie wierz w to.
- Rozmawiałam z nią. Jest tak strasznie naiwna. Nie jest w stanie uwierzyć, że moglibyśmy zrobić coś złego. Jestem jej najlepszą przyjaciółką. A ty, no cóż, możesz w to wierzyć albo nie, jesteś jej bohaterem. Uważa, że dzięki tobie dostanie się do drużyny pływackiej.

- Powiedziałem, że porozmawiam z trenerem.
- Mitch, zapomnij o niej, dobrze? Zostaw ją mnie. Wiem, jak z nią postępować. - Głos Marii Teresy ożywił się. - Znam ją na wylot. Jest przecież moją siostrą bliźniaczką.

Maggie ugryzła się w język, żeby czegoś nie powiedzieć.
Głosy ucichły. Maria Teresa i Mitch oddalili się od basenu. Maggie odetchnęła powoli, wydając z siebie ledwo słyszalne westchnienie.

O Boże, gdzie się podział mój idealny, mały świat? Czy potrafię im spojrzeć w oczy?
Nie wiedziała, co zrobili. Jak daleko się zapędzili. Nie chciała w ogóle tego wiedzieć. Nigdy.
Muszę zablokować pamięć. To jest to. Tak robili po uwolnieniu jeńcy wojenni.
Czytała kiedyś o tym, ucząc się historii. Teraz przekonywała siebie, że skoro człowiek może przeżyć okropności wojny, a po jej zakończeniu potrafi odgrodzić się od bolesnych wspomnień, to i ona będzie mogła odrzucić od siebie przykre myśli.

Tym bardziej, że tak naprawdę niewiele wiedziała. Dręczyły ją tylko podejrzenia.
Podniosła głowę, wyjrzała przez okno i zobaczyła, że w pobliżu basenu nikogo nie ma. Woda była nieskazitelnie gładka. Na niebie błyszczały gwiazdy. Istna sielanka. A jednak Maggie czuła przez skórę, że zanoszą się na burzę. Burzę, której nikt nie powstrzyma, nawet sam Pan Bóg.

*

- ... dzięki ci Ojczy za wszystkie błogosławieństwa, którymi obdarzasz naszą rodzinę. Daj nam siły i pozwól, abyśmy trwali razem, na dobre i na złe. Amen.

Frank Reilly podniósł głowę, a cała rodzina poszła w jego ślady. Był to ich pierwszy wspólny posiłek od czasu, kiedy Maggie zastała Mitcha i Marię Teresę w jacuzzi, dlatego nie wiedziała jeszcze, czy ojciec coś podejrzewa ani co może wiedzieć matka.

W milczeniu podawali sobie półmiski. Talerze z kurczakiem pieczonym na grillu, kartoflaną sałatką, kawałkami owoców i zimnymi szparagami wędrowały z rąk do rąk. Nikt się nie odzywał. Słychać było tylko szum urządzenia klimatyzacyjnego, ciche dźwięki instrumentalnej wersji hitów Beatlesów płynących z ukrytych głośników, pbrzękiwanie sztućców i sporadyczne pokastywanie.

Ojciec Maggie, głowa rodziny, miał sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i nie przekraczał osiemdziesięciu kilogramów bojowej wagi, jak to określał. Słowo Franka Reillyego od zawsze było niepodważalne niczym prawo. Był surowy i stanowczy. Do przesady ambitny. Jego gęste brązowe włosy były siwe na skroniach, a wąsy, które zaczął nosić w połowie lat pięćdziesiątych, gdy służył w wojsku, były teraz bardziej srebrzyste niż brązowe.

- Wyborna kolacja, Bernice - powiedział, jak zawsze.
- Dziękuję.
Wysiliła się na uśmiech, który wypadł zbyt gładko. Wymienili spojrzenia. Maggie czuła, że coś się szykowało. Frank niespiesznie odłożył widelec.

- Musimy porozmawiać.
Oparł łokcie o stół, dłonie złożył jak do modlitwy.
- Wygląda na to, że kiedy byliśmy z mamą poza domem, wasza trójka urządziła sobie coś w rodzaju przyjęcia. Nie tylko zniknął z barku alkohol, ale ktoś wymiotował koło jacuzzi. A w pralni były wilgotne ręczniki.

Mitch, który wyglądał jak winowajca, unikał wzroku Franka. Maggie wpatrywała się w swój talerz i usiłowała przełknąć kartoflaną sałatkę, która utkwiała jej w gardle. W desperackim odruchu sięgnęła po szklanę z wodą. Jedynie Maria Teresa zdobyła się na uśmiech.

- Przyjęcie?
- Tak właśnie powiedziałem.
- Och, daj spokój, tatusiu. Mitch zaprosił kilku przyjaciół. - Zerknęła na Mitcha, który był blady jak papier. - To nie było nic wielkiego.

- Jeśli po alkoholu ktoś poczuł się na tyle źle, że zwymiotował, to jest to coś wielkiego, Mario. Coś bardzo wielkiego. Wszyscy jesteście nieletni, nie mówiąc już o tym, że dopuściliście się kradzieży. Okradliście waszą matkę i mnie. Nie chcemy zamykać na klucz barku z alkoholem, prawda?

- Nie chcemy. - Bernice wzięła swoją szklanę i wypła łyk. - Nigdy w życiu. Chcemy ufać naszym dzieciom. Wszystkim. Mitch, ty wiesz, że uważamy cię za syna.

Mitch z trudem przełknął ślinę. Nie odezwał się.
- Więc kto to zrobił? - zapytał Frank.

Przenosił powoli spojrzenie z jednej twarzy na drugą. Maggie nie mogła usiedzieć w miejscu. Spociły jej się dłonie.

- Powiedziałaś, że któryś z przyjaciół Mitcha.
 Patrzył na Marię Teresę, by zaraz potem wbić wzrok w Mitcha. Wyraz jego twarzy ostrzegł, że nie da się nabrać

- Kto? - rzucił krótko.
 - Paru takich chłopaków - wymamrotał Mitch.
 - Nie mają imion?
 - No wiesz, chłopaki. Tato, nie chciałbym ich wkopywać. Gdybyś zadzwonił do ich rodziców...
 - Do nikogo nie zamierzam dzwonić, ale to jest mój dom. Twojej matki i mój i obowiązują tu pewne zasady. Zasady, których powinieneś przestrzegać.
 - Przestrzegam. Wszyscy przestrzegamy.
 Mitchowi wróciły kolory, a jego żałośnie przerażona twarz z wolna stawała się czerwona. Maggie widziała to już wcześniej. Podczas zawodów lekkoatletycznych i wtedy, gdy chciał się bić. Kark miał sztywny, a mięśnie napięte.

- Sprzeniewierzyłeś się.
 - To nie było nic wielkiego.
 - Nie? - Oczy Franka były surowe.
 - Narozrabiałem.
 Mitch rzucił spojrzenie Marii Teresie, a Maggie zamarła. Wyglądał, jakby chciał kogoś zabić. Kogokolwiek.

- Przepraszam - powiedział, prawie nie poruszając wargami. - To się więcej nie powtórzy.
 - Powiedziałbym, że to się...
 - Frank - Bernice podniosła rękę - przeprosił, prawda? Więc dajmy już temu spokój. Wiedzą, czego oczekujemy. Maggie nie mogła już wytrzymać. Chciała uciec byle gdzie. Pomyślała o ranczo Thane'a Walkera, o Kropce, o wzgórzach...

- Czy tak było? - zapytał Frank Reilly. Maggie błyskawicznie wróciła do rzeczywistości, bo oczy wszystkich były skierowane na nią.
 - Ja... właściwie mnie tutaj nie było - jąkała się.
 - Ale wróciłaś do domu.
 - Taa...
 - Tak - poprawiła ją matka.
 - Tak. Wróciłam do domu, a u Mitcha było paru chłopaków. Prawdę mówiąc, nie zwróciłam na nich uwagi. Poszłam prosto do swojego pokoju.
 Och, oni muszą wiedzieć, że kłamię, myślała przerażona. Jestem beznadziejna. Kręciło ją w żołądku. Poczwała nagle, jakby jej wnętrzności napęliły się wodą.

- Czy... ja... mogę przeprosić?
 - Czy mogłabym - jak automat poprawiła ją Bernice.
 - Proszę, nie czuję się najlepiej.
 Nie czekając na odpowiedź odsunęła krzesło i zniknęła w korytarzu.
 - A to dopiero, co w nią nagle wstąpiło? - zawołała Bernice. Zrobiła to na tyle głośno, że Maggie dokładnie słyszała jej słowa.

Wszystko, mamo, wszystko! Ta cała rodzina jest chora. Kiedyś była normalna i zabawna. Dawała poczucie bezpieczeństwa. A teraz po prostu jest chora, chora, chora!

Maggie wpadła do sypialni. Zatrzaskała drzwi. W łazience, którą dzieliła z Marią Teresą, omal nie upadła zemdlna na wyłożoną kafelkami podłogę. Nie mogła znieść tych wszystkich kłamstw. Nie dopuszczała myśli, że jej rodzina, na którą mogła liczyć od niepamiętnych czasów, rozpada się. Powoli podniosła głowę i spojrzała w lustro. Wpatrywały się w nią ponure, zaszczute i zagubione oczy. Twarz blada, ani śladu kolorów na policzkach.

Boże, jaka potworna ze mnie kłamczucha.
 Zdarła z siebie ubranie, jakby chciała zrzucić wszystkie kłamstwa i oszustwa. Gdy trochę ochłonęła, weszła pod prysznic. Lała się na nią zimna, czysta woda. Spłukiwała jej włosy, spływała po szyi i ciele, zmywając pot i zgryzoty. Lęk, że wszystko, co w życiu ceniła, okazało się kłamstwem. Oparła się o kafelki. Walczyła z płaczem, wmawiając sobie, że wszystko się ułoży.

W głębi duszy wiedziała jednak, że to nie koniec. Przeczuwała, że najgorsze dopiero się stanie.
 Przez parę następnych dni Maggie rzadko przebywała w domu. Uciekała od jego ciężkiej atmosfery. Pracowała w miejscowej włoskiej restauracji, gdzie zbierała brudne talerze ze stołów. W ten sposób realizowała plany ojca, który uważał, że jego dzieci powinny znać wartość dolara.

Mitch, który zarabiał na swoje utrzymanie jako ratownik w miejskim kąpielisku, z dnia na dzień był coraz bardziej brązowy. Maria Teresa większość czasu spędzała w teatrze. Była to dawna, zbudowana z cegły szkoła podstawowa zamieniona na miejski ośrodek kultury, w którym znalazło schronienie jedyne w Rio Verde centrum sztuki.

Mitch miał swój samochód. Dziewczęta dzieliły auto z matką. Gdy Maggie mogła się wyrwać z domu, matka podwoziła ją do stadniny. Dziewczyna jeździła na Kropce i coraz więcej dowiadywała się o następcy Enrique. Thane Walker bardzo ją intrygował.

Był prawdziwą złotą rączką. Robił dosłownie wszystko. Udzielał nowicjusom lekcji jazdy konnej. Czyścił konie i pomagał je podkuwać. Remontował stajnie i naprawiał płoty. Maggie dowiedziała się od Flory, że wychował się w Wyoming na farmie bydła. Parę lat spędził na ujeżdżaniu dzikich koni i byków na rodeach. Nawet występował w filmie, popisując się swoimi jeździeckimi umiejętnościami.

- Ano tak, Thane spadł mi z nieba. - Zwierzła się Flora, wsypując sprasowany pokarm do klatek z królikami. Dodawała do tego surówkę z marchwi, sałaty i zieleniny. Wyglądało to równie podejrzanie jak sałatki z nowalijek, które Roberta, szef restauracji, sprzedawał za ponad trzy dolary za porcję.

- Nawet nie zauważam braku Enrique, a przecież był u mnie sześć lat.

Flora wytrząsnęła z puszek sproszkowane resztki pokarmu. Zmrużyła oczy i popatrzyła na chowające się za stajnią słońce. Thane, z obnażonym torsem, mocował kołek w korycie na wodę. Jego opalone, naprężone od wysiłku mięśnie lśniły w zachodzącym słońcu. Przy każdym gwałtowniejszym ruchu zagryzał dolną wargę.

Maggie wlepiała wzrok w jego opaloną na brąz klatkę piersiową. Gładką i nagą, gdyby nie kilka brązowych włosów, które rosły między płaskimi sutkami. Pot spływał mu po karku, a wypłowiałe, zakurzone dzinsy, które na biodrach podtrzymywał zniszczony skórzany pasek, zsunięte były na tyle, że kiedy się mocniej pochylał, widać było kawałek nieopalonej skóry tuż powyżej pośladków.

- Ano - powiedziała Flora bardziej niż zwykle ochryplym głosem. Wodziła oczami po linii jego kręgosłupa. - Jestem szczęśliwa, że Thane pojawił się w odpowiednim momencie. - Zamyśliła się na chwilę i lekko wydeła wargi. - Czy wiesz, że jest pierwszym człowiekiem, którego zatrudniłam, nie pytając o referencje? To pewnie dlatego, że byłam zdesperowana. - Podrapała się w głowę zdumiona własnym wariactwem. - Nic o nim nie wiem, poza tym, co mi powiedział. - Wzruszyła ramionami i dodała: - Mam nadzieję, że nie

Flora znowu zaczęła karmić króliki, a Maggie ruszyła w kierunku stajni. Gdy mijala Thane'a, poczuła na sobie jego wzrok. Czuła, że się rumieni. Nie chciała, żeby wiedział, jak bardzo zaprzęta jej myśli. Że co wieczór, gdy zasypia ma jego twarz przed oczami.

Czyste wariactwo, pomyślała. Rozmawiała z nim tylko kilka razy. Zwykle na temat Kropki. Droczył się z nią bezlitośnie i uparcie nazywał Joanną. Czepiał się o byle co. A jednak myślała o nim bezustannie. Wieczorem, gdy leżała w łóżku i przez otwarte okno patrzyła na niebo, zastanawiała się, co robi, gdzie jest i z kim się znajduje.

Zapamiętała każdy ruch jego mięśni, skupiony wzrok, oczy zmrużone przed oślepiającym słońcem i zdecydowanie widoczne w bruzdach jego twarzy. Przez kilka nocy marzyła, że go dotyka, że czuje na skórze jego szorstkie od pracy dłonie i ciepło jego warg.

Maggie dotarła na północny padok. Wypatrzyła Kropkę. Klacz stała w cieniu samotnego dębu i oganiała się od much. Nozdrza jej drgały. Gdy zobaczyła Maggie, podniosła łeb i zarżała. Potrząsając grzywą, ruszyła w przeciwną stronę. Maggie, zaczęła podchodzić powoli i spokojnie. Wreszcie przybiegła klusem do dziewczyny i położyła łeb na jej ramieniu.

- Ja też cię kocham - powiedziała Maggie.

Głaszcząc klacz między uszami, nasunęła kantar.

- Przejedziemy się.

Poprowadziła klacz do stajni, a gdy ta niespokojnie kręciła się w boksie, poszła po swoje ulubione siodło i uzdę. Zdenerwowany koń zarżał.

- Już idę, idę - powiedziała, niosąc uprzęż.

W stajni panował półmrok. Pomieszczenie oświetlały jedynie promienie słońca wdzierające się przez otwarte okna i drzwi. Podłoga zasłana była słomą i kurzem, a odór starego moczu i świeżego gnoju mieszał się z ciepłym zapachem koni. Pajęczyny i resztki martwych owadów zalegały parapety. Worki z owsem i z mieszanką ziarna stały zwalone w rogu.

Kropka, zgodnie ze swoją naturą, położyła po sobie uszy i zgięła nogę, jakby chciała kopnąć. Zawsze tak się zachowywała, gdy Maggie ją siodłała. Niespokojne, jasnoniebieskie oko obserwowało dziewczynę z uwagą.

- Dziecinko, jesteś dziś narowista - powiedziała Maggie. - Jedziemy na przejażdżkę. Czy ci się to podoba, czy nie.

- Ale z ciebie tyran. Zawsze taka jesteś?

Głos Thane'a zaskoczył Maggie. Nie słyszała, jak wszedł. Odwróciła się Przez ramię i obrzuciła go spojrzeniem.

- Tylko wtedy, gdy muszę.

- A często musisz?

Sięgnął po szufłę zawieszoną na gwoździu koło drzwi.

- To zależy.

Zapięła popręg, przeciągnęła końcówkę przez pętlę.

- Od czego?

Gdy zerknęła na niego przez ramię, zobaczyła, że patrzy poważnie. Niebieskoszare oczy, w kolorze porannego nieba, obserwowały ją uważnie. Przełknęła z trudem ślinę i poczuła się o całe lata świetlne młodsza.

- Od... sytuacji.

- A ja myślałem, że masz taki charakter, Mag Pie.

Powoli jego wzrok powędrował niżej, wzdłuż jej ciała. Oceniał szyję, ramiona, piersi, talię, biodra i nogi aż po

stopy, na których tkwiły mocno sfatygowane buty.

- Mam czasami wrażenie, że cię złość rozsadza.
- Złość? - powtórzyła, czując się głupio. - Skąd możesz to wiedzieć?
- Po sposobie w jaki jeździsz.

Oparł się teraz na stylisku szuflki, podniósł szybko oczy i pochwyił jej spojrzenie.

- To znaczy jak?
- Na złamanie karku. Ostro i niebezpiecznie. Jakbyś przed czymś uciekała.
- Wiesz to, widząc, jak jeżdżę?
- Tak.

Rozmowa wprawiała ją w coraz większe zakłopotanie. Otworzyła bramkę boksu, przeszła z Kropką obok Thane'a i wyszła na zewnątrz. Sądziła, że skończyli wymianę zdań, ale była w błędzie. Thane wyszedł za nią i oparł się ramieniem o wyblakłą zewnętrzną framugę drzwi.

- Tak jakbyś się stale spieszyła. Szybciej, szybciej i jeszcze szybciej.
- Może lubię jeździć w ten sposób.

Włożyła nogę w strzemień i usiadła na grzbiecie Kropki. Na dworze nadal było gorąco. Popołudniowy upał ani trochę nie zelżał.

- Ludzie, którzy tak jeżdżą, przynajmniej uśmiechają się od czasu do czasu.
- Uśmiecham się.

Potrząsnął głową. Jaśniejsze pasma włosów wyraźnie odbijały się w popołudniowym słońcu.

- Powinnaś się bardziej starać. - Gdy podniósł wzrok, mrużąc oczy przed słońcem, które padało na nią od tyłu, jego twarz wydała się odrobinę bardziej chłopięca, a spojrzenie mniej surowe. - Twój uśmiech jest jak nokaut.

Odsunął się od ściany, wyprostował i podszedł do taczki. Nie spojrzawszy już na nią, wciągnął taczkę na potężny zwal żwiru. Bez wysiłku ładował szuflę kamyki wielkości grochu. Żwir uderzał o metal wózka, sypał się z szuflki jak grad.

Maggie szarpnęła wodze. Kropka obróciła się w koło.

Maggie popędziła klacz, która ruszyła z kopyta, nabierała szybkości, rwała przez otwarte bramki. Chwyając w chrapy wiatr kierowała się w stronę wy-

Wiatr targał włosy Maggie i gorącymi falami napierał na policzki. Prześladowały ją słowa Thane'a. Wbiła oczy w horyzont i mocno zacisnęła wargi. Prędzej mnie szlag trafi, niż się uśmiechnę, pomyślała.

*

- No i jak ci idzie na ranczu? - zapytała po paru dniach Maria Teresa.

Stała tyłem do łazienki. Wykręcała głowę, próbując dokładnie obejrzeć w długim lustrze boki i tył ciała. W tle przytłumionym głosem śpiewał Elton John. Wszędzie, nawet na głośnikach stereo porozrzucane były ubrania.

Maggie siedziała rozparta na fotelu z napisem: Maria Teresa, podobnym do tych, których używają reżyserzy. Opierała gołe stopy o brzeg łóżka siostry. Czekając na siostrę, kartkowała ostatnie wydanie magazynu „People”. Miały dzisiaj do dyspozycji bmw matki. Oznaczało to, iż Maria Teresa, która zawsze miała mnóstwo spraw do załatwienia, podwiezie Maggie na ranczo.

Maggie spojrzała na zegarek, który leżał wśród innych przedmiotów zalegających nocny stolik Marii Teresy, i zerknęła na siostrę. Widziała odbicie jej twarzy w lustrze.

- Lubię ranczo. Za dwadzieścia minut muszę być na lekcji.
- Wiem, wiem, zdążymy.
- Mogłabym wziąć samochód.

- Wybij to sobie z głowy. Nie będę się spieszyć tylko dlatego, że bierzesz lekcje i uwielbiasz zapach koni.

Maria Teresa ściągnęła brwi, między którymi pojawiły się szpecące ją drobniutkie fałdki.

- To wszystko źle leży. Nie układa się - powiedziała, patrząc z niesmakiem na przezroczystą różową sukienkę. - Chyba jakiś bałwan ją projektował.

- Może powinnaś nosić stanik - zasugerowała Maggie. Przez tkaninę widać było piersi i sutki Marii Teresy.
- Włożę, głuptasie, kiedy będę wychodziła.

Maggie nie wiedziała, jak zmusić siostrę do pośpiechu. Maria Teresa, przewracając oczami, zrzuciła sukienkę, wbiła się w stanik i podciągnęła suwak. Maggie spojrzała na zegarek. Była już prawie spóźniona.

- No widzisz. Teraz jest świetnie. Chodźmy już.
- W porządku, w porządku - jęknęła Maria Teresa. - Miałas rację. Teraz jest lepiej.
- Wygląda wspaniale.

Nie musiała kłamać. Maria popatrzyła na nią filuternie.

- Mogłabyś od czasu do czasu założyć coś bardziej kobiecego.

Maggie wzruszyła ramionami i dalej kartkowała magazyn.

- Zastanowię się.

- To nie gryzie. - Poprawiła dekolt i uśmiechnęła się do własnego odbicia. - Zwłaszcza jeśli chcesz wyrzucić wrażenie na chłopaku.

- Nie chcę.
- Tak, tak, oczywiście, zapomniałam, że sterczysz w tej stajni wyłącznie z miłości do koni!
- Lubię jeździć - odpowiedziała Maggie bez entuzjazmu.
Maria Teresa rozebrała się. Była teraz tylko w majtkach i w staniku, sukienkę powiesiła na wieszaku.
- Podejrzewam, że znalazłaś tam przyjaciela.
- Nie bądź śmieszna.
Maggie przystanąła, żeby popatrzeć na ładną, białą-czarną fotografię księżniczki Anny, która konno szybowiała nad przeszkodą.
- To pewnie ten kowboj, który cię tutaj kiedyś podwiózł?
- Ani on, ani nikt inny - skłamała Maggie.
Miała nadzieję, że wyraz twarzy nie zdradzi jej prawdziwych myśli. Nie chciała powiedzieć Marii Teresie o Thanie, o tym, że nie przestaje o nim myśleć i jak mocno i szybko jej serce bije na jego widok. Czuła, że źle by się stało, gdyby Maria Teresa zwęszyła, jak bardzo Thane jej się podoba. Rzuciła magazyn i sięgnęła po buty jeździeckie.
- Och, niech ci będzie.
Maria Teresa wślizgnęła się w parę czarnych pantofli i czerwony podkoszulek na szerokich ramiączkach.
- Nie jesteś ciekawa, co jest między mną a Mitchem?
- Mitch nie jest moim ulubionym tematem rozmów.
- Świetnie, bo między nami nigdy nic nie było. Rozumiesz?
Maria, zajęta szukaniem gumki i spinek do włosów, unikała wzroku Maggie. Zrećcznie zaplotła warkocz, oplótła go gumką i podpięła po bokach spinkami.
- Nigdy nie uważałam, że coś było. - Maggie wciągnęła buty.
Uśmiechnięta Maria spryskiwała perfumami włosy i ramiona.
- No to mamy temat z głowy.
Amen, pomyślała Maggie, pragnąc w to uwierzyć.
Maria wyłączyła radio i obie wyszły na dwór.
Jechały w milczeniu. Maria Teresa, przekraczając dozwoloną prędkość, słuchała ryczącego na pełny regulator radia. Prowadziła jedną ręką, w drugiej trzymała papierosa. Dym wydychała przez okno.
- Mama wie, że palisz - rzekła Maggie.
Skreśliły w drogę prowadzącą na ranczo. Bmw pędziło i podskakiwało na zwirowej ścieżce, chrobotając podwoziem o zielsko, które rosło między wyjeżdżonymi przez samochody koleinami.
- I co z tego?
- Czemu więc się z tym kryjesz?
Maria Teresa zwinęła i spojrzała na siostrę jak na idiotkę.
- Jest wiele spraw, o których mama i tata nie wiedzą. I chcę, żeby tak było.
- Świetnie. Chciałam tylko...
- Wysłuchałam już jednego kazania. I nie mam zamiaru słuchać ciebie.
Rozzłoszczona Maria Teresa zatrzymała samochód tuż przed garażem Flory.
- Nie chciałam...
- Dajmy temu spokój. Wysiadaj i już! Robi mi się niedobrze od tej twojej łaskawości.
Maria Teresa była wściekła
- Wyrażaj się jaśniej.
- Proszę bardzo. Otóż założyłam się, że robisz to tutaj z jakimś podejrzanym kowbojem!
- Co? Nie robię...
Maggie opadła szczęka. Z niedowierzaniem wpatrywała się w siostrę.
- No cóż, jeżeli nie robisz, to po co tu ciągle sterczysz? Znajdź sobie chłopaka i przestań się wygłupiać, dobrze?
Maggie czuła, że się w niej gotuje. Postanowiła milczeć. Sięgnęła do klamki.
- Stać cię na kogoś lepszego - ciągnęła Maria Teresa - Po co ci jakiś goły jak święty turecki pomocnik, który...
- Który do mnie nie pasuje? - dokończyła Maggie. - Przykro mi bardzo, ale jeśli dobrze pamiętam, to nasz kuzyn, brat, czy jak tam wolisz go nazywać, został przygarnięty - rzekła bez zastanowienia.
Twarz Marii Teresy zrobiła się biała jak kreda. Z trudem łapała powietrze. Nie mogła wydobyć z siebie głosu.
- Ja nie... to znaczy, chcę powiedzieć, że...
Maggie wysiadła z samochodu. Było jej przykro. Żałowała, że ma taki niewyparzony język. Ale Maria sama się o to prosiła.
- Nie przyjeżdżaj po mnie.
- O Boże, Maggie, proszę, nie rozumiesz, że...
Spod okularów Marii Teresy spływały łzy. Ale Maggie nie chciała słuchać. Trzasnęła drzwiami i wściekła zbiegła z pagórka na padok w pobliżu stajni.
Dlaczego dałam się wciągnąć w tę całą rozmowę? Dlaczego? Dlaczego nie trzymałam tego cholernego języka za

zębami?

Thane wolnym krokiem wyszedł ze stajni. Uśmiechał się. Jego twarz wydawała się łagodniejsza.

- Czyżbyśmy mieli dzisiaj zły dzień?

- Lepiej nie pytaj.

Gwizdnął pod nosem.

- Dobrze, nie będę. Pozwolę sobie tylko zauważyć, że masz całkiem wspaniałe życie, księżniczko.

- Co ty tam wiesz - odparowała, i zobaczyła w jego chłodnych, szarych oczach błysk rozbawienia. Nadal się uśmiechał. - Nie jestem żadną księżniczką.

- Och, słusznie. Zapomniałem. Jesteś świętą.

- Dość.

Zachichotał.

- Jak sobie życzysz. Ty jesteś szefem i ty rozkazujeś.

Wsunął ręce do przednich kieszeni lepiących się od brudu, przetartych dzinsów.

- Nie jestem żadnym... - Urwała natychmiast, gdy zobaczyła drgającą wargę i zmarszczone kąćki jego oczu. Co za dzień! - pomyślała.

- Jesteś gotów?

- Zawsze - powiedział i zniżył lekko głos.

Poczuła przebiegający po skórze dreszcz czegoś nieznanego. Jakby poufałe muśnięcie delikatnego wiatru, mimo że powietrze było nieruchome, a na drzewach nie drgnął ani jeden listek.

Usłyszała chrzęst sandałków na żwirze. Thane odwrócił wzrok. Uniósł nieznacznie brwi. Patrzył ponad ramieniem Maggie. Wyczuła, że tracił zainteresowanie jej osobą. Nie odwracając się, wiedziała, że w ich kierunku idzie Maria Teresa.

- Pomyślałam, że może ci się to przydać - powiedziała, gdy Maggie obejrzała się za siebie.

Kołysząc biodrami, zeszła z pagórka i podała Maggie wielką, zamszową torbę. Tę z długimi frędzlami i paskiem na ramię.

- Dzięki - powiedziała Maggie, wyrywając niemal torbę z wyciągniętej ręki siostry.

Maria Teresa patrzyła na Thane'a i uśmiechnęła się do niego.

- Cześć, jestem Maria Teresa, siostra Maggie.

- Thane Walker.

- Instruktor jazdy konnej? - zapytała tak, jakby oczekiwała, że zaraz opowie jej wszystko o sobie

- Od czasu do czasu.

Zaśmiała się radośnie.

- A poza tym?

- Zajmuję się wszystkim po trochu.

Gdy uniósł potężne bary, Maggie zapragnęła, żeby nie wyglądał tak cholernie seksownie, żeby jego opalone ramiona nie były tak widoczne, a jego oczy nie miały tego intensywnego szaroniebieskiego koloru. Żeby nie wydawał się taki nieokrzesany i męski, i... tak bardzo zainteresowany jej siostrą. Jak zawsze, w ciągu całego życia, Maggie poczuła, że nikt nie zwraca na nią uwagi.

- Więc będzie pan dzisiaj uczył Maggie?

Thane uniósł do góry brew.

- Zgodnie z planem.

- A czy mnie też potrafiłby pan nauczyć?

Maggie omal nie zemdląła. Maria Teresa chciała dosiąść konia, zwierzę, o którym zawsze mówiła, że jest cuchnące, szkaradne i straszliwie nudne?

- A chciałaby pani?

- Może. - Dołeczek na policzku Marii Teresy pogłębił się z wdziękiem.

- Więc może potrafiłbym panią nauczyć.

- Świetnie.

- Proszę to załatwić z Florą.

Ożywione spojrzenie Thane'a z powrotem przeniosło się na Maggie.

- Hej. Sądzę, że powinniśmy się wziąć do pracy.

- Słusznie - odparła bez entuzjazmu.

Maria Teresa podniosła rękę i pomachała palcami. Odwróciła się i kołyszącym krokiem weszła na pagórek. Thane rzucił za nią szybkie spojrzenie i po chwili zajął się Maggie.

- Nie mówiłaś, że masz siostrę bliźniaczkę.

- Nie było okazji.

- Jest śliczna.

Serce Maggie zamarło. Zastanawiała się, co ona tu jeszcze robi.

- Prawie taka śliczna jak ty.

Serce jej podskoczyło.

- Podobno - odpowiedziała automatycznie. Nie wiedziała, czy mówił to poważnie.

- Tylko że ty wcale tak nie uważasz.

- Ale też nie przejmuję się tym ani trochę - skłamała.

Czuła co innego, ale za żadne skarby nie chciała pokazywać tego po sobie. Nasłuchiwała się już komplementów, nawet wielu, ale ten był inny. Czuła, że Thane Walker nie mówił tego bez powodu. Nie po to tylko, żeby sprawdzić jej reakcję i czegoś się dowiedzieć.

- Pomyślałem, że powinnaś o tym wiedzieć.

Nie wytrzymała i zapytała:

- Dlaczego?

Z uniesioną jedną brwią wskazał brodą na parking. Maria Teresa siadała za kierownicą bmw.

- Ponieważ odnoszę wrażenie, że może się po tobie bezlitośnie przejechać.

- Wykluczone - odparła Maggie, czując, jak pieką ją uszy.

Nie powiedział nic więcej. Zaczęli lekcję. Uczył ją, jak panować nad koniem. Starła się słuchać jego instrukcji. Wyjaśniał, jak trzymać w dłoniach wodze, żeby koń wiedział, czego się od niego oczekuje, a jeździec wyczuł wierzchowca. Przerobiła z Kropką kilka sposobów zakręcania, ale myślami była daleko. Bardziej zwracała uwagę na kark Thane'a, na spadające na oczy włosy, które odgarniał niecierpliwą ręką, i na doznania, jakie wzbudzał, gdy dotykał jej krótko i przelotnie. Gdy szorstkie, zgrubiałe, brudne dłonie kierowały i prowadziły jej ręce.

- Teraz jest dobrze... nie, trzymaj trochę mocniej - powiedział cicho i rozkazująco, nie zdejmując dłoni z jej rąk.

- A teraz? - z trudem wydobyła z siebie głos.

- Taak, ale nie ściskaj ich tak, jakbyś chciała je uśmiercić. Klacz musi wyczuć, czego od niej chcesz, ale nie możesz jej straszyć. Masz ją onieśmielać i jednocześnie zyskiwać jej szacunek. Zobacz.

Klepnął potężny kark zwierzęcia i jednym zwinnym ruchem wskoczył na konia obok Maggie. Dziewczyna mało nie wyskoczyła ze skóry.

- Daj, to ci pokażę.

Otoczyły ją silne ramiona, duże dłonie ścisnęły jej ręce, a szeroka klatka piersiowa przywarła do jej kręgosłupa. Nie mogła się ruszyć. Starła się nie zauważać, że jego nogi przy legają poufale do jej nóg, odziane w dzinsy uda palą w gołe nogi, a jego sztywny rozporek wpija się jej w pośladki.

Od nowych doznań zrobiło się jej potwornie gorąco. Pot zrosił jej skórę. Obrazy, które nie miały nic wspólnego z jazdą konną, galopowały na oślep w jej głowie. Wstrzymując oddech pomyślała, że zaraz straci przytomność.

Przytrzymując jej ręce na wodzach, Thane cmoknął na konia. Gdy Kropka stawiała opór, nie ustępował i pędził klacz do przodu bijąc ją w boki piętami. Jego gorący oddech palił kark Maggie, gdy klacz ruszyła galopem. Thane objął dziewczynę wolną ręką w pasie i trzymał tak blisko, że tworzyli całość. Wciągnęła brzuch, poczuła łaskotanie w najniższej jego części i rozpaczliwie próbowała skupić myśli na czymkolwiek, byle odwrócić uwagę od uczuć, które nią miały.

- Właśnie tak - powiedział.

Pochylił się jeszcze bardziej do przodu, aż jego podbródek dotknął jej ramienia, a głowa znalazła się tuż obok jej głowy. Poruszył delikatnie wodzami i koń zareagował, zataczając łagodny łuk w lewo, zastrzygł ciemnymi uszami, jak gdyby szukał uzasadnienia obecności dwójga jeźdźców.

- Spróbuj sama - rzekł Thane.

Omali nie wypuściła wodzy. Zmusiła ręce do posłuszeństwa i zaczęła wykonywać jego polecenia. Trzymał ją mocno. Budynki rancza przesuwwały się jak we mgle. Waliło serce, dudniło w głowie, krew rozsadała żyły. Marzyła, jak by to było wspaniale, gdyby się całowali, gdyby czuła na ciele jego dłonie...

- Świetnie, a teraz popuść je odrobinę.

Odprężyła się i wodze wysunęły się jej z palców.

- Uaa... nie aż tyle. Dając jej za duży luz, przestajesz nad nią panować. - Znowu złapał Maggie za ręce. - Stanowczo, ale nie za mocno, widzisz? Niech wie, czego od niej wymagasz.

Maggie pokiwała głową. Poczuła, że odwrócił głowę i patrzył na nią. Przez ułamek sekundy sądziła, że ją pocałuje. Serce jej łomotało, puls podskoczył gwałtownie. Patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Czuła jego spojrzenie na ramionach i piersiach, które gwałtownie podnosiły się i opadały przy każdym oddechu.

- Tak, tak... teraz rozumiem - powiedziała, powoli kiwając głową.

Próbowała zapanować nad umysłem i ciałem, ale bez rezultatu.

- Świetnie.

Delikatnie ściągnął wodze. Klacz zwolniła, a on zręcznie zeskoczył na ziemię. Maggie omali nie straciła równowagi.

- No, a teraz spróbuj sama.

Udało jej się zachęcić srokatą klacz, by ruszyła klusem. Poradziła sobie jakoś z wodzami, choć czuła, że robi to niezdarnie. Wykonała rundę wokół padoku, bardzo się starając.

Thane stał z rozstawionymi szeroko nogami, ręce założył na piersi i śledził fachowym okiem każdy jej ruch.

Potężne ramiona napinały szwy jego wyblakłego, niebieskiego podkoszulka. Pomyślała, że jest najseksowniejszym mężczyzną na kuli ziemskiej.

- Lepiej. Znacznie lepiej. Popracuj nad tym.

Pokiwał głową i mrużąc oczy, obserwował ją ze ściągniętymi wargami. Blond kosmyki spadały mu na oczy.

- Popracuję... - obiecała, zastanawiając się, jak on to robi, że czuje się przy nim jak uczennica.

Spojrzał na zegarek i przesłał jej promienny uśmiech, który mógłby złamać serce każdej młodej dziewczynie.

- Koniec lekcji.

- W porządku.

- Będziesz to chciała powtórzyć w przyszłym tygodniu?

Tak! Oczywiście, pomyślała, a powiedziała:

- Niewykluczone.

- Powiadom mnie.

Wiedziała, że zaharuje się w pracy, że oszczędzi tyle pieniędzy, ile tylko zdoła, żeby tylko być blisko niego przez godzinę. To szaleństwo, stwierdziła, zawracając Kropkę w stronę otwartej bramy, jadąc wzdłuż spalonych słońcem pól. Jest dla mnie za stary. O wiele za stary. Jest obcym tajemniczym mężczyzną nie wiadomo skąd. Kowboj, którego pewnie wylano z gimnazjum przed wydaniem świadectwa i którego noga nigdy nie powstała na uniwersytecie. Rodzice zemdleliby na samą myśl, że interesuję się tym facetem. Doły społeczne z niewłaściwej strony torów.

Ale Maggie nic na to nie mogła poradzić. Thane Walker fascynował ją. Po raz pierwszy w swoim siedemnastoletnim życiu miała w nosie, co pomyśli jej matka, ojciec czy nawet Maria Teresa. Tym razem postanowiła sama decydować o swoim życiu, nawet gdyby sam diabeł próbował pomieszać jej szyki.

8

Przez następne dni Maggie żyła w nieustannej udręce. Dręczyły ją myśli o Thanie i o rozpadającej się rodzinie. Każdy następny dzień był gorszy od poprzedniego. Czuła nadciągającą burzę. Ulgę i pocieszenie dawały jej jedynie samotne przejażdżki.

Na dnie wyschniętego koryta strumienia leżały kamienie i jedynie leniwie sącząca się woda i widoczne błoto wskazywały, iż przez tę część rancza Flory płynęła kiedyś rzeka. Maggie, siedząc na niespokojnej klaczy, spoglądała na rozpadlinę przecinającą spieczoną ziemię. Próbowwała sobie wyobrazić ten sam krajobraz ożywiony spienioną i rwącą po kamieniach wodą, nad którą unosiły się owady. Tymczasem przed oczami miała tylko gliniaste grudy ziemi, suche kępy trawy i zwiędłe, pokryte kurzem liście.

Próbowała otrząsnąć się z ponurego nastroju. Jednak przygnębiające, równie intensywne jak zbierające się na niebie chmury, uczucie zbliżającego się kataklizmu kładło się ciężarem na jej sercu.

Od czasu, kiedy zastała Marię Teresę z Mitchem, czuła przez skórę, że już niebawem rozpętają się jakieś diabelskie moce. Skierowała Kropkę ku gigantycznym eukaliptusom w pobliżu północno-wschodniego zakątka rancza. Gdy znalazła się w cieniu, zeskoczyła z konia i otrzepała ręce z kurzu. Stała na potężnym otoczaku i rozejrzała się po kania-nie. Na pofałdowanych wzgórzach, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się winnice, w których rzędy krzewów przecinała sieć drózek. Liście winogron były nadal bujne i zielone. Owoce wkrótce zostaną zebrane, zmiażdżone, a sok z nich będzie dojrzewał w dębowych beczkach. Niewiele to Maggie obchodziło. Bluźka kleiła jej się do pleców. Kropka uniosła chrapy, chwytając najmniejszy nawet powiew wiatru, prychnęła i potrząsnęła łbem. Opędzała się od końskiej muchy.

Zagryzając wargę, Maggie zsunęła się z ogromnego kamienia i położyła na plecach. Leżała na suchej, kłującej trawie. Przez gałęzie drzew widziała niebo - ciężkie od ciemnych i niespokojnych chmur. Uwierał ją koński ogon, ściągnęła więc gumkę, rozczesała palcami włosy i wyciągnęła się wygodnie.

Ile to już czasu upłynęło od ostatniej dobrze przespanej nocy? Tydzień? Dwa?

Przewróciła się na bok, podłożyła pod głowę ramię i zamknęła oczy. W monotonne brzęczenie owadów wdarło się ćwierkanie ukrytej w gałęziach sójki. Poczowała błogi spokój, którego nie znajdowała w domu ani w pracy. Tutaj mogła się schronić, choćby tylko na chwilę...

*

Thane w końcu wypatrzył srokatą klacz. Z uczuciem zadowolenia popędził swojego wierzchowca - leniwego aż do przesady konia o imieniu Buster.

Wiedział, że Maggie po południu weźmie Kropkę. Gdy koło południa dziewczyna zjawiała się na ranczu, od razu wyczuł jej obecność i nie mógł się skoncentrować na pracy. Było w niej coś fascynującego. Była wręcz kusząca. Wiedziała, że są dziesiątki powodów, żeby jej unikał niczym przysłowiowej zarazy. Była za młoda, prawie dziecko, nie miała jeszcze osiemnastu lat. Była księżniczką, mieszkała w najdroższej części miasta. Jeździła z równie jak ona smarkatą bliźniaczką bmw, a czasami mercedesem. Była jego szefem, jeśli tak można powiedzieć, i miała cięty język. Należała więc do typu dziewcząt czy kobiet, których na ogół nie cierpiało.

Miał też własne demony, z którymi musiał się uporać. Gdyby kiedykolwiek nabrała podejrzeń co do jego przeszłości... gdyby ktokolwiek... Gdybym nawet bardzo chciał, nie ucieknę od przeszłości. Wcześniej czy później dopadnie mnie.

Wiedział, że nie może się wiązać z kobietą, a tym bardziej z dziewczyną wychowaną w przeświadczeniu, że

czekają lepsze życia. Byłoby to bardzo niebezpieczne i ryzykowne. A jednak ciągnęło go do niej. Kusiła go jak Ewa w rajskim ogrodzie. Gdy na nią patrzył, czuł podniecenie. Bolesne i rozsadzające zapinany na guziki rozporek dżinsów.

Ostatnio jej obraz nachodził go wieczorami. Kładł się samotnie na nierozesłanym łóżku i snuł fantazje na jej temat. Myślał o wyzywającym błysku jej oczu, o zaróżowionych policzkach, wygięciu ust i sposobie, w jaki przygryzała wargi, gdy była zdenerwowana. Chociaż bronił się przed tym, nie był w stanie oprzeć się myśli, że jej piersi leżałyby jak ułaf w męskiej dłoni, a jej pośladki są okrągłe, twarde i napięte.

Gdy był blisko cienistego zagajnika, zaskrzeczała biało-czarna sroka. Siedziała na drzewie, pod którymi leżała Maggie. Zobaczył dziewczynę. Leżała na boku i miała zamknięte oczy. Serce mu zamarło na myśl, że może coś jej się stało. Może koń ją zrzucił i uderzyła głową o kamień, a teraz leży nieżywa albo zemdlona? Błyskawicznie zeskoczył z konia i przyklęknął obok niej.

- Maggie? Hej!

Dotknął jej ramienia, poczuł pod palcami ciepło skóry i w tej samej chwili przeszedł go dreszcz pożądania.

- Jak tam, dzieciaku, wszystko w porządku?

Budząc się, zamrugwała oczami i otworzyła je. Głębia jej zielonego spojrzenia, poruszyła go.

Wystraszona Maggie krzyknęła na tyle głośno, że mogłaby obudzić nieżywego. Szybko usiadła. Przestraszone konie nerwowo zarżały.

- Cicho! - Zacisnął palce na jej ramieniu i poczuł, jak ciepło jej skóry rozgrzewa w nim krew.

- Co... o Boże!

Położyła rękę w okolicy górnego guzika bluzki, gdzie jej serce waliło jak oszalałe. Zerknął na jej rozwarte palce i dostrzegł między nimi kawałek ciała, rowek między piersiami. Poczł bolesne napięcie w kroczu.

- Niech cię cholera, Walker, przestraszyłeś mnie jak diabli!

- Nie chciałem, ale...

Opuścił ręce i poczuł się strasznie głupio. Przybrał surową minę. Starł się opanować ogarniające go pożądanie. Było to bardzo trudne, bo pragnął jej od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzł idącą skrajem szosy w ciasnych, objętych dżinsach.

- Pomyślałem, że cię zrzuciła...

- Co? Nie. Zrzuciła? Niby dlaczego...

Wyglądała na obrażoną. Słowa jej się plątały, a policzki płonęły powabnym odcieniem różu.

- Gdzie Kropka...?

Niespokojnie rozejrzała się po pagórku, gdzie z wysuszonej słońcem ziemi wystawały otoczaki i rosły późno kwitnące polne kwiaty.

- Nic jej nie jest.

Wskazał brodą w stronę, gdzie spokojne już konie skubały źdźbła rzadko rosnącej pozółkłej trawy. Cofnął się, byli zbyt blisko siebie, a on tak długo nie miał kobiety.

- Ja... musiałam zasnąć.

Wyraźnie zakłopotana Maggie szybko się podniosła i otrzepała szorty z kurzu i trawy.

- Która godzina?

- Trochę po trzeciej. Śpieszysz się?

Potrząsnęła głową i zerknęła na groźnie wyglądające niebo.

- Jeszcze nie. Powinam być w pracy o wpół do szóstej.

- Mamy więc trochę czasu.

Usłyszał własne słowa i zaklął w duchu.

- Na co? - zapytała.

- A na co masz ochotę, Maggie?

Leżał na ziemi, więc popatrzyła na niego z góry. Dostrzegł jej niespokojnie poruszającą się krtąń.

- A jak myślisz?

- Może chcesz porozmawiać?

- Ach taak? Czy ty zawsze musisz mi mówić, czego chcę albo potrzebuję?

Skrzyżowała ramiona na piersi, jakby chciała to przedyskutować, więc podniósł się powoli i wstał. Teraz patrzył na nią z góry.

- Zapytałaś.

- Wiem, ale ty mnie zawsze... pouczasz. Nie pamiętam, żebym cię o to prosiła.

- Usiądź, Maggie.

Uniosła twarz i zmierzyła go wzrokiem.

- Po co?

Nie odezwał się. Chwycił jej dłoń i nie zwracając uwagi na widoczny w oczach dziewczyny protest pociągnął ją ze sobą na ziemię. Zbagatelizował rozbrzmiewający w jego świadomości ostrzegawczy dzwonek, zapatrzył się w jej rozwarte, niewinne i jakże uwodzicielskie oczy.

- Chciałbym cię po prostu poznać.

Podciągnęła nogi i objęła je ramionami. Oparła podbródek na kolanach i popatrzyła na niego podejrzliwie.

- I dlatego musiałeś przyjechać aż tutaj?

Chciał skłamać, znaleźć jakiś pretekst. Już miał powiedzieć o uszkodzonym ogrodzeniu, powalonych drzewach, niepożądanych intruzach, ale zmienił zdanie. Jego wzrok powędrował wzdłuż jej nóg do góry, poza zgięte kolana, w miejsce, gdzie uda zniknęły pod wystrzępionym brzegiem nogawek szortów i skąd wystawał malutki rąbek koronkowych majtek.

- Szukałem ciebie - przyznał.

- Mnie? - W jej spojrzeniu kryło się niedowierzenie.

- Aha.

- Po co?

- Opuściłaś stajnię parę godzin temu, pomyślałem więc, że pora... że może coś ci się stało. - I chcę się z tobą kochać, dodał w duchu. Do diabła, dziewczyno, uciekaj. Uciekaj natychmiast!

- Ach tak.

Była rozczarowana. Lekko wykrzywiła i odeła usta, jakby zbита z tropu. Przygryzła wargę. A Thane zastanawiał się, jakby to było, gdyby ją pocałował, dotykał, przesuwając ręce wzdłuż jej gładkich ramion i nóg...

- No i znalazłeś mnie. Mam się dobrze. I chyba naprawdę muszę już wracać.

Zacząła się podnosić. W pierwszej chwili chciał jej na to pozwolić. Pozwolić wdrapać się na białą-czarną klacz i odjechać na ranczo. Ale tego nie zrobił. Odruchowo palcami jednej ręki objął jej gołe ramię. Poczul, jak napina mięśnie. Poderwała do góry głowę. Miała lekko rozszerzone źrenice, ale się nie wyrwała.

- Zostań chwilę.

- Po co?

Zobaczył, że z trudem przełyka. Była bardzo zdenerwowana. Podobnie zresztą jak on. Wyrzucał sobie, że nie powinien tak do niej mówić ani jej dotykać.

- Powinniśmy się lepiej poznać.

- Po co?

Powtórzyła pytanie. Wahał się tylko przez sekundę.

- Bo... - powiedział, wpatrując się w zieleń jej oczu - bo tego chcę.

Pochylił się odrobinę do przodu, zbliżył twarz do jej twarzy, aż poczuł Jej oddech.

- Ponieważ ty tego chcesz, Maggie.

Nieśmiało zerknęła na jego usta, potem znowu zajrzała mu w oczy. Zobaczył malujące się na jej twarzy niewinne pożądanie. Wiedział, że jest stracony.

- Powinno się mnie za to zastrzelić - wyszeptał. Przyciągnął ją do siebie, przywarł wargami do jej ust i zatracił się w pocałunku. Maggie zamknęła oczy. Starła się nie wpadać w panikę, gdy przepływały przez nią gorące, niewiarygodne doznania. Wrzała w niej krew, ścisnęło ją w płucach. Gdy Poczula napierający na jej wargi język, westchnęła i poddała się. Drżała, gdy wślizgnął się między jej zęby, wilgotny, drażący, czuły na każdą jej zmysłową reakcję.

Gorące pożądanie przenikało najodleglejsze zakątki jej ciała. Łapała szybko powietrze. Jej krótki oddech był równie niespokojny co porywisty wiatr, który przyniósł zapach deszczu. Gdy oboje osunęli się na ziemię, Thane zadrzał. Maggie nie była w stanie ukryć pulsującej w niej rozkoszy. Jęknęła. Straciła poczucie rzeczywistości.

Gdzieś zawołała sroka i cicho zarżał koń. Dla Maggie były to odgłosy z innego świata. Tu i teraz czuła tylko zapach skóry i tytoniu, smak słonego ciała, dotyk zgrubiałych, szorstkich dłoni sięgających pod bluzkę, palców muskających jej sutki.

Pocałował ją mocno, tak mocno, że zakreśliło się jej w głowie. Tak mocno, że głęboko, w najczulszym miejscu poczuła rozpaczliwą tęsknotę. Nie protestowała, gdy wyciągnął jej bluzkę z szortów. Gdy pochylił głowę i wyciskał gorące, wilgotne pocałunki na jej gołej skórze. Jej piersi unosiły się i opadały gwałtownie, gdy wślizgiwał się językiem, najpierw delikatnie, a potem coraz mocniej, w głąb koronkowego stanika.

Wszystko w niej pulsowało. Czuła wzbierające pożądanie. Przez chwilę pomyślała, że musi to przerwać, póki nie jest za późno. Słowa jednak uwięzły w gardle, a jedynymi dźwiękami, które wyszły z jej ust, były ciche, trwożliwe jęki.

Westchnęła, gdy wodził kciukiem po bolącym, twardym jak guzik sutku.

- Chcę ciebie - powiedział rwącym się głosem. - Zawsze chciałem.

- Nie...

- Maggie, to prawda i nienawidzę siebie za to.

Ciężko oddychał na jej gołych piersiach. Potem, powoli, patrząc jej w oczy, ujął sutek wargami i całował, jakby nigdy nie miał przestać. Drżała. Językiem, zębami i wargami smakował ją i pieścił. Świat zawirował. Splątane gałęzie drzew stały się niewyraźne, a chmury nad nimi mroczne i zmysłowe.

Zręcznymi, wprawnymi palcami zsunął z niej stanik. Pieścił jej skórę rękami, za którymi podążały usta. Poczula zapach deszczu. Gdy przywarł wargami do jej gołego brzucha, a na pępku poczuła jego oddech, spadły pierwsze

drobne krople deszczu.

- Czy mogę? - zapytał próbując rozpiąć jej szorty.

- Czy co... jeśli...

Nie mogła myśleć. Połknęła słowa. Nie potrafiła się zatrzymać.

Szarpnął. Guzik odskoczył. Poczowała wilgoć między nogami i gdzieś w najgłębszych zakamarkach świadomości przemknęła jej myśl, że jeszcze trochę i nie będzie odwrotu. Czuła, że igra z ogniem. Nie potrafiła jednak oprzeć się dotykom języka i warg pieścących jej skórę, ciepłu, które przenikało przez cienką bawełnę- majtek, do samego środka. Słowa odmowy zastygły jej w gardle.

Jedna jej cząsteczka kochała tego mężczyznę, inna była go ciekawa. Jeszcze inna była bezgranicznie przerażona, ostatnia zaś, ta najintymniejsza, rozpaczliwie pragnęła zburzyć mury wieku dziewczęcego i stać się kobietą.

Szarpnął zębami gumkę jej majtek. Z trudem przełknęła ślinę, gdy zsunął z niej wystrzępione džinsowe szorty i majtki. Chłodne wilgotne powietrze pieściło jej skórę, gdy mężczyzna, o którym marzyła, mężczyzna, którego pragnęła całował ją w tak intymny sposób, w jaki nie ośmieliłby się żaden kochanek.

Poddała mu swoje ciało. Jęknęła zadowolona. Chciała więcej. Wbiła palce w miękką ziemię. Nad głowami szeptał wiatr. Przeszył ją spazm rozkoszy.

Boże, pomóż, pomyślała bliska szaleństwa. Krople potu na skórze Maggie mieszały się z łagodnymi kroplami deszczu. Nad wzgórzami przetoczył się grzmot. Krzyknęła z rozkoszy. Głos był niski, gardłowy. Thane błyskawicznie rzucił buty i džinsy, zdarł podkoszulek i wśliznął się między jej kolana. Całował jej wargi, a jego napierające na nią twarde uda coraz szerzej rozchyłały jej nogi.

- Maggie - powiedział, patrząc jej w oczy. Poczowała jego erekcję. Twardym i nabrziałym członkiem ocierał się o nią.

- Nie chciałem... O Boże... ja...

Ich oczy spotkały się. Deszcz zaczął padać wielkimi kroplami. Wszedł w nią. Głęboko. Mocno. Przeszył ją ból. Straciła oddech. Wiedziona kobiecym instynktem zaczęła się poruszać. Jęknął. Słowa przeprosin, które cisnęły mu się na usta, uleciały z wiatrem. Otoczył ją ramionami i przyciągnął blisko. Niecierpliwie domagał się jej warg. Zatracał się w szaleństwie. Raz po raz podnosił się i opadał. Zatapiał się w odmęcie gorącego, wilgotnego pragnienia, które było większe niż ból.

Poruszała się z nim. Śliska od deszczu, rozpalona. Straciła kontakt z rzeczywistością. Uniosła się tam, gdzie jeszcze nigdy nie była. Krzyknęła, gdy rozdarł ją pierwszy spazm. Odpowiedział jej głośny, pierwotny ryk. Twarz Thane'a wykrzywiła się jak z bólu. Runął na nią wyczerpany, spocony, bez tchu. Objęła go mocno, ze łzami w oczach, skąpiana w kroplach deszczu.

Uniósł głowę i całował jej łzy. W jego szaroniebieskich oczach pojawił się cień udręki.

- Na miłość boską, Maggie Reilly - powiedział. - Co ja wyprawiam, do licha? - Deszcz spływał mu po brodzie i skapywał na jej gole piersi.

- To zabawne, o tym samym myślałam.

Zaśmiał się i pocałował ją. Objęła go ramionami za szyję i rozchyliła usta. Poczowała ocierające się o nią ciało. Zamknęła oczy. Oddała mu się jeszcze raz i jeszcze.

*

- Teraz rozumiem. - Powiedziała Maria Teresa, gdy tydzień później podjechała bmw na nieduży parking włoskiej restauracji.

Drzewa oliwkowe ocieniały długi budynek, a laurowy żywopłot oddzielał parking od ulicy. Na ruchliwej jezdni śmigały samochody.

- Co rozumiesz?

Maggie złapała torebkę i fartuszek. Popchnęła ramieniem drzwiczki samochodu. Żar wdarł się do środka, kradnąc powietrze z klimatyzatora.

- Dlaczego tak szalejesz za tym kowbojem.

Radio ryczało. Maria Teresa, w ulubionych ciemnych okularach na nosie, wyciągnęła z torebki paczkę papierosów i zapalniczkę. Maggie aż się zatrzęsła. Ostatnią osobą, której powiedziałaby o związku z Thanem Walkerem, była jej siostra. Zapamiętała, co o Marii Teresie powiedział Thane. Że jest prawie tak śliczna jak ona, Maggie. Był jedynym mężczyzną na świecie, który tak uważał. Przypomniała sobie, jak kochali się w deszczu, w stajni i w innych przypadkowych miejscach. Potrząsnęła głową i wysiadła z auta.

- Nie szaleję za nim.

Maria Teresa pstryknęła zapalniczką i głęboko zaciągnęła się papierosem.

- Aha, już dawno to zauważyłam. Jesteś w nim zakochana. I już.

- Zakochana? - powtórzyła przerażona Maggie. Czyżby to się rzucało w oczy? - pomyślała i rzekła: - To kretynstwo, M.T.

- Być może, ale taka jest prawda.

Maria Teresa wypuściła dym i ustawiła wsteczne lustro tak, żeby się w nim przejrzeć. Wytarła brzegi warg, na których rozmazał się brzoskwiniowy błyszczek. Poprawiła usta. Jak takiemu Thane'owi mogło przyjść do głowy,

że Maggie jest ładniejsza ode mnie, pomyślała.

- Co by nie było, chyba go nie doceniałam. Ale ciągle nie wiem, co ty w nim widzisz. Nieokrzesany prostak. Gdyby mama i tata wiedzieli, że spotykasz się z takim facetem, padliby z wrażenia. Może nie?

- Nie, ja...

- Och, daj spokój.

Maria Teresa znad oprawki okularów popatrzyła na siostrę wszystkowiedzącymi zielonymi oczami. Ściszyła głos tak, że był ledwie słyszalny w szumie ulicznego ruchu i głośniejszej melodii Bruce'a Springsteena.

- Obie wiemy, czym jest pokusa, zainteresowanie i podniecanie się sprawami, którymi nie powinnyśmy... Czym jest... - Wzruszyła ramionami. - Mój psychoanalityk nazwałby to buntem.

- Ja nie jestem...

- Oczywiście, że jesteście. Obie jesteściemy.

Wzrok Marii Teresy był nieugięty.

- Zaczekaj chwilę...

- To ty zaczekaj, Maggie. Wiem, jak się czujesz. Rozumiem cię lepiej, niż ktokolwiek na świecie. Nie zapominaj, że jesteście bliźniaczkami. Może rzeczywiście mnie słyszałaś, gdy krzyczałam w myślach... Choć nadal nie potrafię sobie tego wytłumaczyć.

- Ja... - Maggie nerwowym ruchem zawiązała wokół talii fartuszek.

Maria Teresa potrząsnęła w zadumie głową.

- Jakoś mnie usłyszałaś albo czytałaś w moich myślach, czy jak tam było. Więc wiedz, że ja też potrafię wyczuć, co się z tobą dzieje. I wiem, że zakochałaś się w Thanie Walkerze. Czy chcesz tego, czy nie. Więc... mogłabyś zamknąć drzwi? Spóźnię się.

Maggie zatrzasnęła kolanem drzwiczki. Maria Teresa, trzymając papierosa w pomalowanych na brzoskwińowy kolor wargach, wrzuciła wsteczny bieg. Jednym palcem nasunęła na nos okulary i odwróciła się przez ramię, żeby wyjechać z parkingu.

- Nie zapomnij podrzucić samochodu... - powiedziała Maggie. Maria Teresa nie słyszała jej. Maggie poczuła, że kłopoty zbliżały się wielkimi krokami.

*

Maggie wyszła o jedenastej z restauracji. Padła na nos ze zmęczenie. Rzuciła okiem na parking i miała ochotę udusić siostrę. Maria Teresa znowu o niej zapomniała. Na parkingu nie było śladu bmw.

- A niech cię kule biją, M.T. - mruknęła. Zamierzała wrócić do restauracji i zadzwonić do domu. Doszła do drzwi, gdy zobaczyła jadącego pełnym gazem czerwonego mercedesa ojca. Poczowała skurcz w żołądku.

Coś się musiało stać, pomyślała. Na pewno nic dobrego.

Frank Reilly zatrzymał samochód przed wejściem. Maggie była gotowa na najgorsze. Twarz ojca była ponura jak noc. Miał mocno zaciśnięte szczęki, na ustach malowała się wściekłość. Była przerażona.

Wsiadła do samochodu, zamknęła drzwi i wyczuła złość ojca.

- Co się stało? Gdzie samochód mamy? - zapytała. Od wielogodzinnego stania, chodzenia i dźwigania wyładowanych po brzegi brudnymi talerzami wielkich mis bolały ją nogi.

- W garażu.

Najwyraźniej coś było nie tak.

- O Boże, co to za smród? - zapytał.

- Czosnek... przyprawy... mam tego pełno na butach.

- Otwórz okno, dobrze?

Do eleganckiego wnętrza auta wtargnęła zimna noc.

- Dlaczego po mnie przyjechałeś? - zapytała. Czubkiem jednej nogi zsunęła pantofel z drugiej i pomasaowała obolałą stopę.

- Musimy porozmawiać. Bez świadków.

Poczowała bolesne skurcze żołądka. Nie wróżyło to nic dobrego.

- A o czym?

Starła się zachować spokój. Nadać głosowi obojętny ton, jakby ojciec miał w zwyczaju przyjeżdżać po nią do pracy.

- O tym co się dzieje, Maggie. Nie próbuj zaprzeczać.

Mózg Maggie pracował na najwyższych obrotach

- Twoja matka i ja... obawiamy się, że jedna z naszych córek związała się z pewnym chłopcem. Że widuje się z nim za naszymi plecami. Że może mieć poważne kłopoty.

Zamarła. Nie odrywała wzroku od tylnych lamp jadącego przed nimi samochodu. Frank Reilly nigdy nie należał do ludzi subtelných.

- A więc, Maggie, co masz do powiedzenia?

- Nic. Nie ma żadnego chłopca, tatusiu - skłamała.

Szybko jednak pomyślała, że nie jest daleka od prawdy. Thane nie był chłopcem. Przeciągnęła nerwowo palcem

po krawędzi szyby.

- A Maria Teresa?

Zatkało ją. Nie mogła wydobyć słowa. Pragnęła zapaść się pod ziemię. Gdy ojciec zahamował na czerwonym świetle, wydusiła z siebie:

- Ja, hmm, ja nie wiem. Przez jakiś czas chodziła z Bradem.

- Twoja matka powiedziała, że zerwali.

To było coś! Wyglądało na to, że matka po raz pierwszy od trzech lat czymś się zainteresowała.

- Ja... ja nie wiem.

Swędziały ją spocone dłonie.

- Nie zwierza ci cię?

- Nie zawsze.

Maggie wzruszyła ramionami, jakby bagatelizowała temat. Wiedziała jednak, że ojciec nie da się na to nabrać.

- I to jest najgorsze.

Był zdeglustowany. Włączył migacz i gdy tylko zapaliło się pomarańczowe światło, przejechał skrzyżowanie.

- Co?

- Sam chciałbym wiedzieć. Mam złe przeczucia. Ta drobna afera z pićiem i gorącą kąpielą sprzed paru tygodni to tylko fragment całości. Coś się dzieje, czuję to i... - spojrzał na nią zdeterminowany. - Chcę znać prawdę!

- Ja nic nie wiem.

- Będę musiał porozmawiać z Mitchem. Może on mi udzieli jasnej odpowiedzi.

Maggie ugryzła się w język i wsunęła pantofle na nogi. Wysiadła z samochodu. Szybko weszła do domu. Z kuchni przeszła do salonu, gdzie siedziała matka z drinkiem w ręku i oglądała Tonight Show. Johnny Carlson przeprowadzał wywiad z superchudą modelką, której Maggie nie rozpoznała.

- Dobry wieczór, mamo.

- Dobry wieczór, kochanie - odpowiedziała wyraźnie. - Do zobaczenia jutro rano.

Matka nie była pijana.

Maggie uciekła na górę do sypialni, zanim do domu wszedł ojciec. Fartuch i służbowy krawat rzuciła na nieposłane łóżko. Nie chciała mieć do czynienia z rodzicami i ich podejrzeniami. Była zmęczona. Pragnęła tylko wziąć prysznic, rzucić się do łóżka i natychmiast zasnąć.

Zamknęła za sobą drzwi. Wyjęła wymięte dolary i garść drobnych - zarobek z napiwków. Pieniądze położyła na brzegu biurka. Otworzyła drzwi do łazienki. Maria Teresa już tam na nią czekała. Siedziała na konsoli, miała wielkie, okrągłe oczy, a w powietrzu unosił się zapach dymu.

- Czy tatuś z tobą rozmawiał? - zapytała.

Maggie przytaknęła i rozpięła zamek spódnicy. Czarne mini zsunęło się na kafelki.

- I co mu powiedziałaś?

- Nic.

- To dobrze.

Maria Teresa zeskoczyła z konsoli i palcami obu rąk przeczesała włosy. - Ale się porobiło. On podejrzewa, że coś się dzieje za jego plecami.

- Wiem - szepnęła Maggie

Zerkała przez drzwi do swojego pokoju, czy aby ojciec nie poszedł za nią. Odkręciła prysznic. Chciała się umyć, a także zagłuszyć głosy. Włączyła na cały regulator stojące na konsoli radio. Przekrzykując spikera przekazującego najnowsze informacje z wypadku, który wydarzył się na szosie, powiedziała:

- Zamierza porozmawiać z Mitchem.

Maria Teresa przysiadła na brzegu toaletki i ukryła twarz w dłoniach.

- O Boże. To nie wygląda najlepiej. Nawet jeśli między mną i Mitchem nic nie było.

Maggie zrzuciła stanik i majtki i weszła pod prysznic. Na skórze poczuła igielki gorącej wody. Zamknęła oczy. Czuła kojące działanie wody. Maria Teresa trajkotała jak najęta. Maggie nie miała ochoty na rozmowę. Potrzebowała spokoju.

Gdy Maggie zakręciła prysznic, usłyszała jak Maria Teresa mówi:

- Możesz powiedzieć rodzicom o sobie i tym kowboju - zasugerowała.

Maggie omal nie upadła na podłogę. Z ociekającymi włosami, do połowy owinięta ręcznikiem, patrzyła na siostrę bliźniaczkę, jakby ta postradała zmysły.

- Zwariowałaś?

- Tak byłoby najlepiej.

- Nie - ucieła krótko. Dawniej Maggie często brała udział w postrzelonych pomysłach Marii Teresy. Tym razem jednak nie miała zamiaru aż tak się poświęcać.

- Co ci szkodzi?

Maria T. już układała swój plan, nie dostrzegając, że potajemne spotkania Maggie z Thanem nie mają nic wspólnego z jej własnym problemem.

- Szkodzi.
- To tylko kowboj.
- Nie o to chodzi.

Maggie skrzywiła się, gdy zęby grzebienia zaplątały się we włosach. Przeciera ręcznikiem kawałek zaparowanego lustra, by przyrzeć się swojemu odbiciu. Pomieszczenie wypełnił głos Michaela Jacksona.

- Daj spokój, Mag... - M.T. nie ustępowała.
- Nie!

Maggie męczyła się, wyszarpując grzebień z mokrych, splątanych włosów.

- Tylko posłuchaj...

Nagle siostry usłyszały głośnie stukanie do drzwi.

- Dziewczynki? - Głos Bernice był na tyle donośny, że przekrzykiwał radio. - Kiedy się przebierzecie, zejdźcie do salonu. Chcemy z wami porozmawiać.

- Cholera! - jęknęła Maria Teresa blada jak kreda.

- Dziewczynki? Słyszycie mnie?

- Jedną chwilę - krzyknęła Maggie.

- Tylko się pospieszcie. Robi się późno.

- O Boże, i co teraz zrobimy? - zapytała Maria Teresa, zasłaniając ręką usta. - Jeżeli podejrzewają...

Maggie zemdliło. Przypomniała sobie wydarzenie tamtej nocy w ogrodzie.

- Nie robiliście z Mitchem...

Maria potrząsnęła wściekle głową. Wykrzywiła twarz.

- Nie! Niewiele brakowało, ale nie zrobiliśmy tego. Wiem, że to było niemądre. Zachowaliśmy się lekkomyślnie, wypiliśmy za dużo i... o Boże, Maggie, musisz mi uwierzyć.

Zalała się łzami, które szybko otarła wierzchem dłoni. Tusz do rzęs rozmazał się na policzkach. Oczy wydawały się małe i zapadnięte. Wyglądała, jakby postarzała się o dziesięć lat.

- Proszę - błagała.

Palce Maggie zacisnęły się na rączce grzebienia. Zagryzła wargę.

- Zrobię, co zechcesz. Tylko powiedz mamie i tacie, że to chodzi o ciebie. Że ty i Thane...

Plastykowy grzebień pękł na dwie części. Maggie podziwiała swą głupotę. Została po mistrzowsku wmanipulowana, ale nie miała wyboru. Gdyby rodzice nabrali podejrzeń, że chodzi o Marię Teresę i Mitcha... Gdyby wpadli na trop najdrobniejszych nawet kazirodczych zakusów... Skurcz żołądka przerwał jej straszne myśli.

Weszła do pokoju, wyjęła majtki z dolnej szuflady i wślizgnęła się w nie, opuszczając na podłogę kąpielowy ręcznik. Założyła szlafrok, ścisnęła się paskiem i spojrzała na Marię Teresę, która stała w drzwiach łazienki i usuwała ślady płaczu.

- Chodźmy - rzekła.

Złączone diabelskim paktem ruszyły w stronę salonu. Maggie, dodając sobie otuchy, zdecydowała się wziąć wszystko na siebie. Była zła na Mitcha i Marię Teresę, że okazali się bałwanami o moralności dachowych kotów.

Przelotnie pomyślała o swoich postępach i kłamstwach. O czasie spędzonym z Thanem w lesie, na łąkach i w stodole. Paliła ją skóra. Była lekko zaczerwieniona. Wiedziała, że rodzice poddadzą ją torturom. Że ojciec pewnie będzie groził Thane'owi i każe mu się trzymać z daleka od Maggie. Na zawsze. Ból rozdzierał jej serce.

Jak mogłam się na to zgodzić? - rozpacziała. Czy mogę poświęcić coś tak cudownego jak miłość? Dławiło ją w gardle, nogi ciążyły, jakby były z ołowiu. Weszła za Marią Teresą do salonu i zobaczyła pełen potępienia wzrok ojca.

- Żądam wyjaśnień. Natychmiast

Poruszył się na skórzanej kanapie.

- Frank - powiedziała matka - nie ma powodu do takiej wrogości.

Siedziała na swoim ulubionym fotelu, z nogą opartą na otomanie.

- One kłamią, a Mitch...

Wzniósł oczy do sufitu i kiwał głową, jak gdyby powoli odliczał sekundy.

- Gdzie, do licha, jest ten chłopak?

- Kto to może wiedzieć?

- Jest już dobrze po pomocy.

- Ma już dziewiętnaście lat, Frank.

Frank Reilly wziął głęboki oddech, opuścił głowę i przeszył córki tym swoim surowym, nie znoszącym sprzeciwu spojrzeniem.

- Maggie. Mario Tereso. Czy któraś z was powie mi wreszcie, co się tutaj dzieje? Kim jest ten chłopak?

Maggie opadła na grubą, skórzaną poduszkę. Drżała. Wargi miała suche. Maria Teresa usiadła na brzeжку kanapy i wpatrując się w Maggie, dodawała jej odwagi.

- No więc?

Twarz ojca poczerwieniała z gniewu, a w czarnych, błyszczących oczach nie było nawet iskierki litości.

Maggie z trudem przelknęła ślinę. Otworzyła usta i z ogromnym trudem wycodziła te straszne słowa.

- To... To ja, tatusiu. To ja mam chłopaka.

- O! - wykrzyknął jakby z ulgą.

- Ty? - zdziwiła się matka.

Upiła łyk płynu ze stojącej na stole oszronionej szklanki. Maggie zrozumiała, że była poza wszelkimi podejrzeniami. Uważali, że interesuje się bardziej ilością przepłyniętych długości basenu i jazdą konną niż chłopcami.

- Ta... tak. Mam chłopaka.

- Kto to taki?

- Nikt, kogo znasz.

- Ktoś z restauracji?

Maggie boleśnie zaburczało w brzuchu.

- Nie. On jest...

Rozległ się ostry dźwięk telefonu. Matka aż podskoczyła. Frank rzucił wściekle spojrzenie na aparat.

- Któż to może dzwonić o tej porze?

Zniecierpliwiony i poirytowany przemierzył pokój i zanim jeszcze rozległ się drugi dzwonek, chwycił słuchawkę.

- Halo? - krzyknął niemal i zamilkł. - Tak, tak. Frank Reilly. To chyba pomyłka - wyszeptał.

Twarz mu się skurczyła, a szerokie ramiona opadły, jakby nagle ugięły się pod nieludzkim ciężarem. W niczym nie przypominał twardego mężczyzny, jakim był przed chwilą.

- Frank? - zapytała Bernice, a głos jej drżał.

Frank Reilly oparł się o ścianę.

- Nie - szepnął trochę głośniejszym głosem, a potem zawołał gwałtownie: - Nie! Nie!

Uderzył pięścią w ścianę.

- Frank? O co chodzi? - W głosie matki słychać było przerażenie. - Frank, napędzasz strachu mnie i dziewczynkom... co? Co się stało?

Maggie dostała gęsiej skórki. Głuchy, przytłumiony szum, jakby odgłos fal rozbijających się o oddalony brzeg przyprawił ją o ból głowy.

- Tatusiu?

- O Boże!

Maria Teresa zaczęła dygotać.

- Zaraz tam będę - powiedział łamiącym się głosem. Odłożył słuchawkę i wpatrywał się w rodzinę błyszczącymi od łez oczami. Oczami, które, Maggie była tego pewna, nic w tej chwili nie widziały.

- To była policja - powiedział zachrypniętym głosem. - Chodzi o Mitch-cha... Znaleźli go na plaży.

Wziął głęboki oddech, podszedł do Bernice i otoczył ją ramionami.

- On odszedł.

- Co?

- On... o Boże, przypuszczają, że nie żyje.

- Nie! - zaczęła się wyrwać. - Mylisz się, mylisz się, Frank. Nie, tylko nie Mitch...

Bernice wydała przeraźliwy jęk, który poniósł się po całym domu, odbił od ścian i powrócił echem.

Maggie potrząsała głową. Oczy miała pełne łez.

- Nie! Ja... ja w to nie wierzę.

- Kochanie, to prawda.

Bernice, szlochając i krzycząc rozpaczliwie, drobnymi, bezsilnymi pięściami okładała pierś męża.

- Mitchell - zawołała, zalewając się łzami. - Nie, nie Mitch. On... był dla mnie jak syn. Nie miało znaczenia, że... że go nie urodziłam. O Boże, o mój Boże...

Maria Teresa siedziała otępiała. Jej oczy były suche i okrągłe, a twarz blada jak śmierć.

- To jakieś nieporozumienie! - Maggie zerwała się na nogi. - Zadzwoń do nich, zadzwoń!

Sięgnęła po aparat. Złapała słuchawkę i płacząc potrząsała nią przed ojcem.

- Zadzwoń do nich, tatusiu!

To prawda. Czuję to. O Boże, Mitch nie żyje.

- Co?

Maggie odwróciła się błyskawicznie ku siostrze. Maria Teresa siedziała nieruchomo, zastygła jak rzeźba.

- Skąd wiesz? - zapytała Maggie.

Maria Teresa zamrugała oczami i nie powiedziała ani słowa.

- Skąd wie co? - zapytał ojciec drżącymi wargami. Jego pełne podejrzeń oczy zaszkliły się od łez.

- Powiedziała, że... - Maggie nie była w stanie dopowiedzieć słowa.

- Nie powiedziała ani słowa! Chryste, co cię naszło?

Maggie miała uczucie, że jej pierś ścisną żelazna obręcz.

- Ale...

To nie jest pomyłka, Maggie. Mitch powiedział, że to zrobi. Maria Teresa zadrżała. Wytrzymała wzrok siostry i nie poruszając ustami, powiedziała:

Myślę, że się zabił.

Część trzecia

**Cheyenne,
Wyoming
Listopad 1998**

9

Thane nie czuł, że wraca do domu. Był przeświadczony, że jego życie zmieniło się na zawsze. Ze śpiącą obok Maggie i prawie pustym bakiem wjechał na drogę prowadzącą w sam środek rancza. Wstawał świt, omiatając bladym światłem płaski, zaśnieżony teren.

Mimo protestów Maggie pięć godzin ubiegłej nocy spędzili w tandetnym motelu, na zapadających się materacach małżeńskiego łóżka. Leżeli zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od siebie. Jej bliskość nie pozwalała mu zasnąć. Erekcja była niemal bolesna. Przypominała mu, jak bardzo jej kiedyś pragnął. Jak ją kiedyś kochał.

Do diabła, myślał. To było dawno, bardzo dawno temu. W poprzednim życiu.

Teraz, gdy zamieć deptała im po piętach, nie myślał o Maggie. Nie miał czasu na wspomnienia. Pozostawiał je chorobliwie zakochanym szaleńcom, którzy nie mają nic lepszego do roboty.

Kości go bolały. Po pół tuzinie kaw pęcherz zdawał się pękać. Wyjechał na drogę. Śnieg grubą warstwą przykrył i wyrównał koleiny biegnące równolegle do słupków ogrodzenia, które służyły mu za drogowskaz.

Wreszcie zobaczył dom - swoje sanktuarium. Kiedyś, przez krótki czas, podobnie traktowała to miejsce Maria Teresa.

Chryste, ale się wszystko pochrzańiło. Niech lichy weźmie Marię Teresę, złorzeczył w myślach.

Kłykcie pobielały mu od zaciskania palców na kierownicy. Zaciskał je mocno, jakby dusił swoją piękną, egocentryczną byłą żonę.

- Niech to wszystko diabli! Do tego ten sypiący śnieg.

Dom był nieoświetlony. Nie paliła się nawet jedna lampa. Dobrze, że udało nam się tu dotrzeć, myślał. Co oznacza ten cały rwetes wokół Marii Teresy? Gdzie ona, u diabła, się podziewa? W ciągu ostatnich paru dni wciąż zadawał sobie te same pytania. Napędzane kofeiną i stopniowo narastającą złością jak błyskawica przelatywały mu przez głowę. Czuł niechęć do Marii Teresy - jedynej kobiety, która była jego żoną. Gdyby to było możliwe, z rozkoszą chwyciłby ją za ramiona, potrząsnął i wlał trochę rozumu do jej pięknej, wyrachowanej głowy.

Zagalopowałeś się, koleś. Może ona naprawdę nie żyje. Mocno zacisnął szczęki.

Zatrzymał samochód tuż obok domu.

- Gdzie... gdzie my jesteśmy? - zapytała Maggie, ziewając. Mrugając oczami, żeby się szybciej obudzić, wyprostowała się i usiłowała coś wypatrzeć przez zamgloną szybę.

Spodziewał się, że po tylu latach zobaczy postarzałą, otyłą, zmęczoną życiem kobietę. Mylił się. Przybyło jej tylko kilka drobnych zmarszczek wokół oczu, co dodawało pewnej dojrzałości. Dojrzałości, której mu kiedyś brakowało, choć nie zdawał sobie z tego sprawy.

Żadna kobieta, a było ich więcej niż kilka, nie działała na niego tak jak ona. Bardziej niż uroda urzekła go jej osobowość. Pod ostrym jak brzytwa językiem kryła się bogata, nie pozbawiona poczucia humoru natura. Czuł, że była nim przerażona i zafascynowana. Chociaż powtarzał sobie, że powinien o niej zapomnieć, zostawić ją w spokoju, trzymać swoje fantazje zapięte na guzik, a gacie na tyłku, nie potrafił się jej oprzeć. I drogo go to kosztowało. Więcej, niż mógł przypuszczać.

Podniosła się i ziewnęła.

- Mówiłeś coś?

- Jesteśmy na miejscu.

Mrużąc oczy, wyjrzała przez okno.

- Na miejscu, to znaczy gdzie?

- U mnie.

- U ciebie?

Oprzytomniała od razu.

- Chcesz powiedzieć, w Wyoming?

- Dalej nie możemy na razie jechać.

- Ale...

- Posłuchaj, Maggie, jedno z nas musi się wyspać i wysuszać... nie koniecznie w tej kolejności.

Nie miał czasu na dyskusję. Wyłączył silnik i otworzył drzwi samochodu. Wiatr, zimny jak arktyczna wichura, wtargnął do środka.

- Sądziłam, że jedziemy do Denver. Tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Zgadza się.

Wyciągnął swoje rzeczy, a ona, patrząc na niego, jakby chciała go zabić, chwyciła swoją torbę podróżną i torebkę. Brnąc w śniegu po kolana dotarli na ganek.

Odryglował drzwi i przytrzymał je, żeby mogła wejść.

- Czuj się, jak u siebie w domu. Na górze jest łazienka i dodatkowa sypialnia, gdzie możesz się przespać. Jeśli masz ochotę.

Gdy rzucił jej szybkie spojrzenie, zobaczyła zmęczenie w jego oczach.

- Potrzebuję paru godzin, nie więcej. Potem ruszymy - dodał.

- To brzmi dość rozsądnie - powiedziała. Wolałaby nie przebywać w domu Thane'a po raz drugi. Znowu bowiem wróciły dawne przeżycia. I choć było w nim cieplej niż na dworze, czuła chłód.

- Kuchnia jest tam - powiedział, wskazując krótki korytarz. Wchodził po drewnianych schodach, które prowadziły na podest, skąd zakręcały na pierwsze piętro. Postawiła torbę i poszła do kuchni. Była mała i bardzo skromnie umeblowana. Zobaczyła stolki stylizowane na rzeźnicze pniaki, popękane linoleum na podłodze, niezbędny sprzęt domowy, stół i dwa krzesła wsunięte pod okno, które wychodziło na podjazd, stajnię i resztę zabudowań.

Na parterze był jeszcze salon z meblami, które wyglądały jakby pochodziły z taniej wyprzedaży, mała sypialnia, wyposażona w komputer, modem, faks i sięgające do sufitu regały, oraz łazienka.

Usłyszała odgłosy dochodzące z łazienki. Telefon z automatyczną sekretarką mrugał czerwonym światłem. Nie zastanawiając się długo, wcisnęła guzik i odebrała trzy wiadomości. Detektyw Henderson prosił, by Thane zadzwonił na policję w Denver. Wysłuchiwała wylewnych pozdrowień od niejakiego Howarda Bailey'a, który zdawał sprawozdanie ze wszystkiego, co działo się na ranchu w ciągu paru ostatnich dni, a kobieta o imieniu Carrie miłym, przyjaznym głosem prosiła Thane'a, żeby do niej zadzwonił.

Maggie przez chwilę zastanawiała się, a co to za kobieta, ale szybko dała sobie spokój. Słyszała odgłosy lejącej się wody i pomyślała, że Thane bierze jeszcze prysznic. Była zadowolona, bo czuła, że musi od niego odetchnąć. Był zbyt żywiołowy, zbyt przystojny, zbyt wiele kiedyś dla niej znaczył.

Na półce znalazła puszkę z kawą, wyjęła mocno sfatygowany ekspres i nastawiła kawę. Zajrzała do lodówki. Znalazła jajka, pół bochenka chleba, którego najlepsze dni dawno minęły, ząbek czosnku, dwa pomarszczone jabłka i kawałek cheddaru. Dobre i to, pomyślała.

Gdy tarła ser i rozbijała jajka, myślała o Marii Teresie. O jej życiu w Denver. O tym, że w rzeczywistości niewiele wie swojej o siostrze. Odwiedziła ją zaledwie parę razy. Raz, kiedy Maria Teresa wychodziła za mąż za Syda Gillette, starszego mężczyznę, który był właścicielem sieci hoteli, a swoją trzecią żonę traktował jak własność. Maria Teresa była młodsza od syna Gillette z pierwszego małżeństwa Syda. Małżeństwo Marii Teresy i Syda nie przetrwało roku. Później już była dużo ostrożniejsza w doborze partnerów na całe życie.

Maggie zastanawiała się, jakich znajomych siostra jeszcze poznała. Jako pierwsza przyszła jej do głowy Evelyn Lawrence, sekretarka Markizy. Przypomniała sobie trenera, z którym Maria Teresa traciła zbędne kilogramy - nie pamiętała jego imienia. Był też jakiś przyjaciel, młodszy o dziesięć lat, trzeciorzędny model... a może nauczyciel tenisa? Nazywał się Wayne... nie, Wade, szukała w pamięci. Nazwisko brzmiało jak rasa psa... I ten współprowadzący *Denver o poranku*, Craig Beaumont. Chyba nie pracowało im się najlepiej...

Maggie niewiele wiedziała o ludziach, z którymi związała się Maria Teresa po przeprowadzce do Denver. Była pochłonięta własnym życiem, własnymi problemami, a jej siostra bliźniaczka rzadko o sobie mówiła.

Nie mogła uwierzyć, że Maria Teresa nie żyje.

Wykluczone. Ktoś musi coś wiedzieć, myślała. Ludzie nie znikają bez śladu. Na miłość boską, przecież żyjemy w epoce, w której nawet najbardziej intymne szczegóły, poczynając od numeru ubezpieczenia, a kończąc na karcie kredytowej nie są tajemnicą. Gdzie więc jest Maria?

Przygryzając dolną wargę obsmażyła czosnek, dodała jajka, wymieszała, a gdy masa zaczęła się ścinać, dorzuciła dwie garście tartego sera.

Gdy Thane zszedł na dół, ubrany w czyste dżinsy i jeszcze nie zapiętą flanelową koszulę, posiłek był już gotowy. Maggie rzuciła okiem na jego goły tors, gdzie wśród wijącej się kępki włosów, której nigdy przedtem nie widziała, widniały jeszcze krople wody, i szybko odwróciła wzrok.

- Chcesz śniadanie? - zapytała, odgryzając kawałek jabłka.

Jedna strona jego ust uniosła się w czarującym uśmiechu, który z rozkoszą zmazałaby mu z twarzy.

- Jasne.

Zapiął koszulę i wsunął poły do spodni.

- To cię będzie kosztowało.

- Ile?

- Tylko prawdę.

Podawała mu talerz z przyrządzonym naprędce omletem i dwie grzanki.

- Dziękuję.

Postawił talerz na stole i nalał dwie filiżanki kawy.

- Co zatem chcesz wiedzieć? - zapytał.

- Wszystko.

Usiadła naprzeciwko niego i świdrowała go wzrokiem, mając nadzieję, że go onieśmieli.

- Zbyt wiele wymagasz.

Czuła, że nadal ma przed nią tajemnice, których pilnie strzeże. Nic się nie zmieniło.

- Wymigujesz się - powiedziała z ustami pełnymi jajeczniczy.

Przez jakiś czas jadł w milczeniu. Przeżuwał grzankę starannie, popijając kawą. Pokiwał głową, jakby skończył rozmowę z samym sobą, i zapytał:

- Kto dzwonił?

- Co takiego?

Odgryzając kawałek grzanki, podniósł brew.

- Przesłuchałaś sekretarkę, prawda?

- Nie... Ja...

Chciała skłamać, ale zrezygnowała. Wypiła parę łyków kawy i powiedziała:

- Detektyw Henderson czeka na twój telefon, niejaki Howie...

- Howard Bailey, mój najbliższy sąsiad.

- ... powiedział, że wszystko jest w porządku, a kobieta o imieniu Carrie prosiła, żebyś do niej zadzwonił.

- Naprawdę?

Drażnił ją jego przymilny uśmiech.

Maggie skończyła jeść i odstawiła talerz.

- Wróćmy do tematu.

- Co chcesz wiedzieć, Maggie?

Rozsiadł się wygodnie.

- Wszystko.

Spojrzał przez okno i potarł brodę. Widać było, że robi rachunek sumienia. Wreszcie rzekł:

- Walę się z nóg. Odłożmy więc może tę spowiedź na parę godzin. Wyśpię się, a potem uraczę cię wszystkimi szczegółami.

- Nie ma mowy. Chcę wiedzieć teraz, dlaczego związałeś się z moją siostrą. Dlaczego policja podejrzewa ciebie i...

- I? - zachęcał ją.

- Nieważne.

- Daj spokój, Mag Pie - powiedział, używając przezwiska sprzed lat. - Wyrzuć to z siebie.

Dokończył kawę i otarł wargi. Gdy nie odpowiedziała, popatrzył na nią spode łba.

- Domyślam się, że chodzi ci o to, dlaczego ożeniłem się z Marią Teresą, skoro między tobą i mną tak dobrze się układało?

Nagle w pomieszczeniu zrobiło się ciasno. Jakby wszystkie wątpliwości wypełzły z za zamkniętych przez nią na cztery spusty drzwi. Znowu miała osiemnaście lat. Była młoda, samotna, zdradzona.

- To nie ma znaczenia.

- Ma, i to jeszcze jak, do licha.

Wstał z miejsca, włożył talerz do zlewu i sięgnął po kurtkę.

- Ujmę to jak najprościej. Popełniłem błąd. Byłem idiotą. Tylko ciebie kochałem. Młody, chutliwy. W głowie miałem tylko przyjemności. Już sam początek był pomyłką. Wypiłem parę piw za dużo i wtedy...

- Nie mogłeś się powstrzymać.

Potrząsnął głową, jakby przekonywał samego siebie.

- Mogłem. Po prostu nie chciałem.

Przez chwilę patrzył jej w oczy.

- Tak jak powiedziałem. Młody i głupi.

Zapiął kurtkę, podszedł do drzwi i założył czapkę.

- Jeżeli chcesz wiedzieć więcej, w porządku. Muszę tylko załatwić parę spraw i trochę się przespać.

Zniknął za drzwiami. Maggie, gdyby potrafiła, najchętniej dałaby sobie solidnego kopniaka. - Jakie to ma znaczenie? Przeszłość jest już zamierzchną historią. Nikt nie potrafił oprzeć się Marii Teresie, nawet Thane. Koniec i kropka.

Wstała i poczuła bolesne ukłucie, które pojawiało się, ilekroć myślała o tamtych ponurych i mrocznych dniach, które nastąpiły po śmierci Mitcha i zdradzie Thane'a. Pragnęła raz na zawsze zostawić za sobą przeszłość. Wiedziała, że teraz powinna się skoncentrować wyłącznie na Marii Teresie. Wyjrzała przez okno i zobaczyła Thane'a brnącego w śniegu. Mężczyzna używając całego ciężaru ciała sforsował ramieniem drzwi stajni.

Ścisnęło ją w gardle na wspomnienie, gdy oboje znajdowali się w innej stajni, a on ją całował i pieścił jej skórę szorstkimi od pracy palcami

- Niech to szlag! - warknęła i wstawiła swój brudny talerz do zlewu. Poszła do sypialni. Nie zwracając uwagi na

mrużąc światło automatycznej sekretarki wykręciła numer szwagierki w Kalifornii. Czekając, stukając niecierpliwie palcami, aż odezwał się zaspany głos Becky. Jej córka nie należała do rannych ptaszków.

- Witaj, kochanie - powiedziała.

- Cześć.

- Co słychać?

- W porządku - wymamrotała Becky. - Jest bardzo wcześnie.

- Wiem, ale chciałam z tobą porozmawiać. - Nawet nie wiesz jak bardzo, dziecinko, pomyślała. - Jak tam kostka? Nadal cię boli?

- Wszystko w porządku, mamo. Naprawdę.

Wyczuła w głosie córki rodzaj pretensji, że Maggie wtrąca się w nie swoje sprawy.

- Jestem w Wyoming - zakomunikowała Maggie. Wiedziała, że Becky jej nie słucha, tylko liczy sekundy, które powinna poświęcić matce. Opowiedziała córce o śnieżycy. Na pytanie, jak spędza czas, Becky oznajmiła wymijająco, ale stanowczo, że nadrobiła już wszystkie zaległości szkolne, że bawi się super, lepiej niż kiedykolwiek. Gdy Maggie powiedziała, że ją kocha, Becky wyklepała z pamięci, że ona też, co oznaczało, ni mniej ni więcej, że woli nie doprowadzać matki do szału.

Maggie westchnęła i odłożyła słuchawkę. Poczula się nieswojo i nie na swoim miejscu. Pragnęła być ze swoją córką. Nie znosiła rozłąki, choć czuła, że kilka dni z dala od siebie może poprawić ich stosunki.

Z rozdartym sercem przeszła się jeszcze raz po tym spartańskim domu. Surowe, drewniane deski podłogi przykryte były kilkoma chodnikami. W pomieszczeniach nie było nawet śladu zieleni, żadnych fotografii czy jakichkolwiek pamiątek. Wyszczerbiona lampa naftowa zdobiła okap salonu, gdzie wokół wypłowiałego taniego dywanika i kominka z kamieni rzecznych znalazły miejsce: wysłużony bujany fotel, podręczny stolik, telewizor i poobijana, wybrzuszona w paru miejscach kanapa.

Wniosła na górę torbę i znalazła drugą sypialnię. W jednym rogu stało podwójne łóżko, w drugim białe niegdyś biurko. Goła drewniana podłoga wymagała wymiany lub naprawy. Jediną ozdobą ścian był oprawiony w listwy rysunek wykonany tuszem. Miał pęknięte szkło.

- Nie ma to jak w domu - mruknęła pod nosem. Podciągnęła żaluzje. Na zewnętrznej stronie szyb zebrał się lód. Wiał porywisty wiatr. Jak przez mgłę zobaczyła Thane'a. Brnął wydeptaną przez siebie ścieżką w stronę domu.

Na jego widok zabiło jej serce. Ciągle reagowała tak samo. Jakby nic się nie zmieniło. Była zła na siebie. Opuściła żaluzje i wskoczyła do łóżka. Słyszała, jak Thane wchodzi do domu i rozmawia przez telefon, ale nie mogła rozróżnić słów. Zamknęła oczy. Dokuczał jej lekki ból głowy, który zaczął się u podstawy czaszki i przenosił coraz wyżej. Pomodliła się za Marię Teresę. Mimo bólu, łez, zdrady - wszystkich krzywd, których od niej zaznała, kochała swoją siostrę bliźniaczkę. Czuła się z nią związana.

- Proszę M.T., uważaj na siebie - szepnęła.

Usłyszała kroki Thane'a. Wchodził po schodach. Wstrzymała oddech, gdy przechodził obok jej drzwi. Nie zatrzymał się. Pomyślała, że nie chce, żeby do niej zaglądał. Gdyby otworzył drzwi, pogwałciłby jej prywatność, a ona potrzebuje spokoju. Chce wszystko przemyśleć. Jednak malutka, bardzo kobieca jej cząsteczka poczuła się rozczarowana, że nie zatrzymał się, nie zapukał, nie próbował otworzyć drzwi. Wściekła na siebie za takie myśli walnęła pięścią w poduszkę. Zawinęła się w kołdrę i zaciśnęła powieki.

Muszę się wyspać. Mieć jasny umysł, by stawić czoło policji w Denver. Muszę się dowiedzieć, o co tu, u diabła, chodzi.

*

Reed Henderson pił drugą filiżankę kawy. Dzięki kofeinie zaczęło mu się podnosić ciśnienie i powoli dochodził do siebie. Był zadowolony, że zdążył umknąć grupie reporterów, zignorował telefony lokalnych stacji, a nawet uciekł przed sędzią okręgowym, który domagał się wyjaśnień w sprawie Markizy.

Gasnąca lokalna gwiazda stawała się obiektem kultu. W każdym razie wszystko na to wskazywało. Nigdy w nie była taka sławna. Teraz, gdy zaginęła, jej imię znalazło się na ustach wszystkich. Przynajmniej na ustach wszystkich w Denver. Zagrała kilka malutkich ról w niskonakładowych filmach, kiedy miała niewiele ponad dwadzieścia lat. Przez jakiś czas zapowiadała Pogodę. Wreszcie zajęła się dostarczaniem najświeższych wiadomości dla niedużej stacji w Sacramento. Na koniec wylądowała w Denver. Została koordynatorem jednej z ekip dziennika. Wkrótce przeszła do konkurencyjnej stacji, gdzie prowadziła codzienny poranny talk show. Program, wedle badań, przyciągał gospodynie domowe między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia, mające za sobą dwa lata college'u, obarczone dziećmi w wieku przedszkolnym.

Gwoli ścisłości, Markiza nie była za bardzo znana na terenie kraju, ale miejscowa prasa i widzowie uwielbiali ją. Do niedawna. W ostatnim roku notowania *Denver o poranku* spadły. Mówiło się o zastąpieniu Markizy kimś młodszym, a nawet przebąkiwano o likwidacji programu.

Jej życie zawodowe było bardziej udane niż osobiste. Miała dwóch mężów, wielu kochanków i siostrę - ich stosunki były niemal wrogie. Pozostali bliscy nie żyli. Rodzice zmarli, a adoptowany brat popełnił samobójstwo. Mitchell Reilly był synem zmarłej siostry Franka Reilly, która w chwili urodzenia syna była panną. Nikt nie wiedział, kto był ojcem chłopca. Gdy Carol zmarła na serce niedługo po urodzeniu Mitcha, Frank Reilly stanął na

wysokości zadania i nie tylko adoptował chłopca, ale wychowywał go jak własnego syna.

Henderson skrzywił się. Przyjaciele Markizy tworzyli osobliwą zbieraninę ludzi, a on wciąż ich rozpracowywał.

Hannah wsunęła głowę przez uchylone drzwi. Za nią bezustannie dzwoniły telefony. Słychać było szum rozmów, stukot klawiatury i buczenie komputerów. Co jakiś czas rozbrzmiewał śmiech albo ktoś próbował przekrzyczeć hałas. Małe kabiny i otwarte pulpity sprawiały wrażenie jako tako uporządkowanego pobojowiska.

Hannah uśmiechała się szeroko, a pod jasną grzywką zamrugały wesoło oczy.

- Zgadnij, co ci powiem? Nieosiągalny eks-mążonek zadzwonił wczoraj wieczorem.

Natychmiast poderwał głowę.

- Walker?

- We własnej osobie. Dzwonił z rancza w Cheyenne. Jest w drodze. Z jej siostrą.

Henderson stał się podejrzliwy. Coś mu się nie zgadzało.

- Czy to nie ona mieszka gdzieś tam w Idaho?

- Tak.

- Dlaczego mieliby tu jechać razem?- Zastanawiał się na głos. - Słyszałem jakieś paskudne rzeczy na temat rozwodu Walkera i Markizy. O ile pamiętam, były jakieś przykre okoliczności. Dlaczego więc jej siostra bliźniaczka miałaby z nim jechać?

Zachmurzył się. Zakręcił się na fotelu i przez kilka długich sekund patrzył w okno. Nie dostrzegał budynków po przeciwnej stronie ani nielicznych przechodniów zakutanych w kurtki i długie wełniane płaszcze, czapki i fruujące na wicherze szaliki. Analizował fakty.

- Mnie też to uderzyło.

- Czy jedzie z nimi siostrzenica? Jak jej tam...?

Znowu zakręcił się na fotelu. Zajrzał do notatek leżących na zagraconym biurku. Pomyślał o papierosie. Znalazł w górnej szufladzie gumę do żucia.

- Rebecca? - spytał.

- Nie wiem. Bo co?

Hannah oparła się o framugę drzwi w pozie, którą przybierała, gdy zanosilo się na dłuższą rozmowę.

- Markiza ma dużo fotografii dzieciaka. Prawie tyle co własnych.

Rozpakował gumę do żucia z dodatkiem nikotyny i wsunął ją do ust. Nie spuszczał oczu z koleżanki. Pracowali razem od ponad trzech lat. Była atrakcyjna, błyskotliwa i, jak podejrzewał, zakochana w nim. A to był błąd. Oboje o tym wiedzieli, ale nigdy nie poruszyli tego tematu. Istniała pewna granica, której nie zamierzał nigdy przekroczyć. Sytuacja była bardzo niezręczna. Uważał, że przygody miłosne mają to do siebie, że kończą się, i to źle. Za bardzo lubił tę kobietę i dlatego nie chciał być wobec niej nie w porządku. A poza tym była jeszcze Karen. Rozwiedli się przed laty, ale nadal trzymał jej zdjęcie w górnej szufladzie, razem z rewolwerem kaliber czterdzieści pięć i pustą butelką, która wciąż śmierdziała szkocką.

- Gdy się zjawia, zobaczymy, czy przyjechali z jej córką. - Hannah bawiła się kolczykiem z prawego ucha, co robiła zawsze, ilekroć intensywnie myślała i powiedziała:

- Tak się dziwnie składa, że wiele osób z otoczenia Markizy nie żyje.

- Myślałem o tym.

- No właśnie. Nie wiem, jaki to może mieć związek, ale jest bardzo dziwne.

Zaczęła wyliczać zgony, wysuwając palce.

- Najpierw jej adoptowany brat utopił się w oceanie. Podejrzewano samobójstwo. Po jego śmierci rozstali się jej rodzice. Potem próbowali się pogodzić, i wtedy poniosła śmierć matka. Ponoć przewróciła się w kuchni, gdy przygotowywała kolację. Rozbiła sobie głowę i zmarła. Miała wysoki poziom alkoholu we krwi. Potem owdowiwały Frank załamał się i zmarł na rozległy zawał serca. Dwudziestoparoletnie bliźniaczki zostały same. Miały tylko siebie. Tyle że Maria Teresa szybko wyszła za mąż i jeszcze szybciej się rozwiodła, a Maggie wyszła za mąż i miała dziecko. Kiedy jej małżeństwo zaczęło się psuć, nastąpiła separacja. Potem facet miał wypadek samochodowy. Żył, gdy go przewieziono do szpitala, ale był w śpiączce i wkrótce zmarł. Jak wskazują szpitalne raporty, w organizmie Deana McCrae płynęła czysta whisky, podobnie jak u mamusi. Coś za dużo nieboszczyków jak na tak małą rodzinę. A teraz główna postać, opromieniona blaskiem Markiza zniknęła i pewnie leży gdzieś martwa.

Henderson sięgnął po swoją baseballową piłkę i rzucił ją.

- I co ty na to? - zapytał.

- Uważam, że to daje do myślenia. Nic więcej.

- Sądzisz, że coś w tym jest?

Piłka z podpisem Koufafa wylądowała miękko w nadstawionej dłoni Hendersona. Rzucił jeszcze raz w kierunku lamp na suficie.

Wzruszyła ramionami, wydeła w zadumie wargi i odparła:

- Może to tylko zbieg okoliczności, ale jakby na to nie spojrzeć, jest to cholernie pechowy ciąg zdarzeń.

- Ale takie rzeczy się zdarzają - powiedział. - Popieprzony brat, matka pijaczka, a ojciec klasyczny materiał na

zawałowca. Stracił wszystko, kiedy sprawy wymknęły mu się spod kontroli. A jeśli chodzi o zięcia, to już inna sprawa. Wlał w siebie za dużo, usiadł za kółkiem i skończył w kostnicy.

- Jezu, nie mogę tego słuchać.

- To wszystko prawda.

Zaśmiała się krótko i cynicznie.

- Uwielbiam cię, Henderson. Jesteś tak cholernie wrażliwy i współczujący.

Nie zareagował na zaczepkę. Spojrzał na zegarek.

- Kiedy oni się pojawią?

- Po południu, zgodnie z informacją.

Umieścił piłkę w taniej repli ce rękawicy. Otworzył opasłą teczkę z dokumentacją sprawy Markizy i szperał w notatkach, aż znalazł jej testament. Jak na tak skomplikowaną kobietę, dokument był zadziwiająco prosty. Jedy- nymi spadkobiercami były Margaret Elizabeth Reilly McCrae i jej córka Rebecca Anne McCrae. Henderson nie mógł się doczekać kolejnej rozmowy z eks-mężem. A także z siostrą bliźniaczką.

Hannah weszła do pokoju i oparła się biodrem o biurko. Pochylając się do przodu, stuknęła polakierowanym d- ługim paznokciem w testament Markizy.

- Skąd to wzięłeś?

- To nie ma znaczenia.

- Oczywiście, że ma. Przecież oboje o tym wiemy. Choć nie zawsze postępujemy ściśle z literą prawa. Akurat w tej chwili ten dokument nie jest jakimś tam świstkiem. Nikt nie odnalazł ciała. Może ta kobieta nie jest nie- boszczką.

- To gdzie wobec tego jest? - zapytał Reed. Myśl, że mógł być pionkiem w uknutym przez Marię Teresę Reilly Walker Gillette spisku, stanęła mu ością w gardle.

- To dobre pytanie, detektywie. Cholernie dobre pytanie - powiedziała Hannah. Zadzwoił telefon i odwrócił uwagę Hendersona.

*

Gdy trzasnęły drzwi, Maggie błyskawicznie otworzyła oczy. Patrzyła na obcy, nieznajomy pokój.

Gdzie Becky? - pomyślała.

Serce podskoczyło jej i biło nierówno, dopóki nie przypomniała sobie, że jest na ranczu Thane'a i że oboje są w drodze do Denver. Żeby odnaleźć Marię Teresę. Odrzuciła kołdrę i poszła do łazienki. Obmyła twarz, przeczesła palcami włosy i przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Uporała się z rozmazanym tuszem do rzęs, pociągnęła usta szminką i popatrzyła w lustro, jakby chciała powiedzieć; „skoro to nie wystarczy, to trudno”. Zgarnęła swoje rzeczy i zbiegła ze schodów. Rzuciła podróżną torbę i torebkę koło frontowych drzwi.

Thane rozmawiał przez telefon.

-... taak, wiem. Są pewne sprawy, którymi muszę się zająć... Już o tym rozmawialiśmy, Carrie.

Odwrócił się i zobaczył stojącą w drzwiach Maggie.

Przez chwilę nie mogła się ruszyć. Szybko jednak przywołała się do porządku. Przecież mam do czynienia z Thanem, myślała. Z mężczyzną, któremu oddałam serce; a który podeptał je zdartym obcasem swoich cholernych kowbojskich butów. Mężczyzną, który nie miał przeszłości, który ożenił się z moją siostrą, a teraz jest podejrzany o udział w jej zniknięciu.

- Powiedziałem, że zadzwonię.

Odłożył słuchawkę, i uważnie patrzył na Maggie. Było to dla niej trudne do zniesienia.

- Jakież kłopoty w raj? - zapytała.

Uśmiechnął się półgębkiem, ale jego oczy były poważne.

- Nie mówmy lepiej o kłopotach. Gotowa?

- Jak zawsze.

- Pozwól więc, że zachowanie jeszcze do Howarda. Zaraz potem ruszamy. W maszynie jest świeża kawa.

Odwrócił się do telefonu. Zostawiła go samego. W kuchni naląa sobie kawy i stanęła przy oknie. Przestało padać, ale koleiny, które opony furgonetki wyzłobiły zaledwie przed paroma godzinami były już zasypane. W górze pojawiły się skrawki niebieskiego nieba.

Zadrzała na myśl o najbliższych godzinach?

Usłyszała odgłos butów Thane'a i odwróciła się. Pojawił się w korytarzu.

- Załatwione. Howard wyręczy mnie jeszcze przez kilka dni.

- Możemy więc ruszać?

- Tak.

Wypiła łyk kawy, resztę wylała do zlewu.

- Zdaje się, że obiecałeś mi parę odpowiedzi.

- Zgadza się. - Potarł kark. - Pakujmy się. W drodze do Denver opowiem ci wszystko, co zechcesz.

- Wszystko? - zapytała, zastanawiając się, czy rzeczywiście chce poznać całą prawdę.

- Wszystko, czego tylko zapragnie twoje serduszko, Mag Pie.

Gdybyś to tylko wiedział, Thane, pomyślała, przetykając uwierającą ją grudę, która nagle podeszła jej do gardła. Gdybyś tylko wiedział.

Teraz nie mogła się rozkleić. Stawka była zbyt wysoka.

10

Zgoda, Walker - powiedziała Maggie, gdy już siedzieli w wyiębionej kabinie furgonetki. - Zaczniemy od Marii Teresy. Co masz wspólnego z jej zniknięciem?

- Sądziłem, że już to ustaliliśmy.

Thane wyprowadził furgonetkę na główną drogę. Koła buksowały, wreszcie zaskoczyły. Słońce przebiło się przez chmury.

- Nie mam pojęcia, co się z nią stało. Zielonego pojęcia. Gliny chyba uważają, że jest inaczej.

Maggie nie wierzyła mu. Skoro policja przesłuchiwała go, musiał być jakiś powód, myślała. Ważny powód. Policja nie jest głupia. Przecież ciągle mają do czynienia z porwaniami, morderstwami, gwałtami.

- Kiedy ją ostatnio widziałeś?

Zawahał się.

- Wczorajem. W przeddzień jej zniknięcia.

- O Boże.

Poczuła się, jakby ją ktoś kopnął w brzuch.

- W przeddzień - powtórzyła. Wiedziała od Marii Teresy, że ona i Thane rzadko się kontaktowali po rozwodzie. Ich drogi się rozeszły.

- Nie rozumiem.

Wydał wargi i poczuł ten sam niewidzialny mur, który już kiedyś wyrósł między nimi. Starannie ważył słowa.

- Mieliliśmy pewne nierozwiązane problemy.

- Jakie problemy?

Maggie przesunęła się bliżej drzwi i wpatrywała lodowatym wzrokiem w drogę.

- Sądzę, że powinniśmy zacząć od początku - wycedził.

- Może być i tak.

- Mam na myśli sam początek.

Poczuła lęk. Dreszcze przebiegły jej po plecach. Nie należała jednak do osób, które się cofają.

- Nie próbowałem ci nigdy wytłumaczyć, co zaszło między Marią Teresą i mną.

W jego spojrzeniu było ostrzeżenie, że rozmowa może być trudna, a nawet bolesna.

- Nie przypominam sobie, żebym cię kiedykolwiek prosiła o wyjaśnienie.

- Przepraszam, Maggie. A jednak będziesz musiała mnie wysłuchać.

Pochylił się i wyjął ze schowka ciemne okulary.

- Obawiam się, że to co powiem, nie przypadnie ci do gustu.

- Co do tego nie mam wątpliwości.

Zebrała się w sobie, gotowa stawić czoło wszystkiemu. Ostatnie osiemnaście lat strawiła na domysłach. Przyszła pora usłyszeć wersję Thane'a.

- Pamiętasz, byliśmy sobie dość bliscy?

Jak mogła nie pamiętać? Z trudem zdusiła emocje i pokiwała głową.

- Można tak powiedzieć.

- Potem tonie Mitch i wszystko wali się w diabły.

Nie mogła się z tym nie zgodzić. Przypomniała sobie ból, w jakim pogrzyżyła się rodzina. Wytykanie ich palcami. Niedowierzanie, że Mitchell Xavier Reilly, kapitan pływackiej drużyny liceum w Rio Verde, mógł utonąć. Podejrzenie, że odebrał sobie życie. Wszystko to drażyło dom jak choroba. Zżerało ich. Rozbijało rodzinę. Matka piła coraz więcej. Nawet już nie chowała alkoholu. Ojciec znowu zaczął palić. Coraz rzadziej chodził do biura, które dotąd było jego świątynią, gdzie czuł się ważny i poważany. Maria Teresa udawała, że nic złego się nie dzieje. Tyle że śmiała się zbyt głośno, nakładała więcej makijażu niż zwykle, unikała domu. A ona, Maggie, zamknęła się w sobie. Leżała godzinami na łóżku, wpatrując się w sufit i zamartwiając się, że w jakiś sposób przyczyniła się do śmierci brata.

- Pamiętam - powiedziała matowym głosem.

- A czy pamiętasz, że mnie unikałaś?

Westchnęła i pokiwała głową.

- Nie mogłam ci spojrzeć w twarz.

- Ponieważ rzuciłaś mnie wilkom na pożarcie.

Znowu pokiwała głową i zacisnęła zęby. Nie zamierzała obarczać się jeszcze większą winą za to, co się stało.

- Chodzi ci o to, że powiedziałam rodzicom prawdę o naszych spotkaniach? Tak, zrobiłam to. Ale wtedy nie wiedziałam jeszcze, że Mitch... się utopił.

Po tych wszystkich latach nadal z trudem godziła się z myślą, że jej adoptowany brat mógł sobie odebrać życie. Nie chciała w to uwierzyć.

Opuścił daszek na szybę, bo słońce energicznie przeganiało chmury, zalewając dziewiczy krajobraz jasnymi promieniami. Choć droga była odśnieżona, koła buksowały co jakiś czas. Samochód ślizgał się na lodzie, ukrytym pod nawianym śniegiem.

- Twój ojciec napadł na mnie jak szaleniec.

- Był wytracony z równowagi.

Dłonie Thane'a zacisnęły się na kierownicy, pobiegały mu kłykcie.

- Och, nie. To było coś więcej. Zjawił się na ranchu Flory, obrzucił mnie najgorszymi wyzwiskami, jakie tylko istnieją, i poprzysiągł, że mnie zabije, jeśli odważę się kiedykolwiek spojrzeć w twoją stronę. To cud, że nie zostałem zwolniony z pracy.

Zacisnął wargi. Był wściekły.

- Miałem szczęście, że Flora stanęła po mojej stronie.

Maggie urwała zadartą skórę przy paznokciu.

- Co to ma wspólnego z Marią Teresą?

- No właśnie. Sądziłem, że między tobą i mną wszystko skończone. No więc wyobraź sobie, jakie było moje zdumienie, gdy zadzwoniłaś i powiedziałaś, że chcesz się ze mną spotkać. Że masz w nosie to, co powie twoja rodzina. Że tęsknisz za mną.

Wbiła ręce w kieszenie. Musiała się trochę uspokoić. Zapatrzyła się bezmyślnie w przednią szybę.

- Zależało mi na tobie - przyznała.

Pamiętała, jak zakradła się do gabinetu i zadzwoniła. Ze zdenerwowania omal nie przewróciła lampy na biurku. Serce waliło jej tak głośno, iż była pewna, że śpiąca po drugiej stronie korytarza Maria Teresa usłyszy to szaleńcze walenie. Ale nie mogła się powstrzymać, żeby nie zadzwonić do niego. Nie była w stanie uwierzyć, że to już koniec. Gdy zapytała, czy może po nią przyjechać, była przerażona, że tak otwarcie sprzeciwia się rodzicom.

Niecałe dwa tygodnie wcześniej Frank Reilly zabronił jej dalszych spotkań z tym, jak powiedział, tandetnym, obskakującym rodea gnojkiem.

- Jeżeli kiedykolwiek będzie się przy tobie kręcił, przysięgam, Margaret Elizabeth, że przetrączę mu ten jego cholerny kark! - zapewnił ją ojciec. Patrzył na nią surowym wzrokiem. Ściągnął wargi w cienką jak brzytwa linię. Był nieubłagany.

Przez pierwszych kilka dni Maggie godziła się z wyrokiem ojca. Nigdy mu się zresztą otwarcie nie sprzeciwiała. Ale w tydzień po pogrzebie, gdy w domu atmosfera była już nie do zniesienia, Maggie postanowiła złamać zakaz.

Trawiona wspomnieniem pierwszego miłosnego uniesienia, przypomniawszy sobie zapach deszczu na jego gładkim ciele, gdy w nią wszedł. Pamiętała jego niebieskie oczy, gdy rozplynał się w niej. Zdawały się odzwierciedlać jej własną duszę.

Maggie nie mogła już dłużej znieść przygnębiającego smutku rodziców i wymuszenie wesołego zachowania siostry. Maria Teresa bez przerwy biegała po mieście. Kupowała sobie nowe ubrania. Zmieniała fryzury i malowała paznokcie na potworne kolory. Jej śmiech rozbrzmiewał w korytarzach i dźwięczał równie sztucznie i nie na miejscu, jak syrena okrętowa na pustyni. W ten sposób chciała zagłuszyć swój ból.

Maggie całymi godzinami leżała na łóżku, przygnieciona ciężarem swojego smutku.

- Musisz koniecznie wyjść - napadła na nią pewnego dnia Maria Teresa.

Kręciła się koło basenu, w którym apatycznie i bez przekonania pływała Maggie. M.T. schudła. Jej skóra utraciła olśniewającą świeżość, a oczy nie błyszczały jak dawniej.

- Postaram się.

Maggie podciągnęła się na brzeg basenu i kilka razy przytknęła ręcznik do twarzy.

- Maggie, to miejsce jest jak dom pogrzebowy.

Gdy uświadomiła sobie, co powiedziała, zaśmiała się niepewnie i zaczęła płakać.

- O Boże, nie mówiłam tego poważnie.

- Wiem.

Spojrzały na siebie i wtedy radosny image Marii Teresy legł w gruzach. Jej twarz zmarszczyła się niczym pusta, zgnieciona puszka.

- Och Maggie, co za gówno, ja... ja...

Głos jej się łamał. Maggie poderwała się na nogi. Pod stopami czuła rozżarzony beton. Maria Teresa padła jej w ramiona. Przywarły do siebie, płacząc. Nie wytrzymały cierpienia i poczucia winy, które każda w sobie nosiła.

- Myślę, że to ja go zabiłam.

- Nieprawda.

Maggie przytuliła ją mocniej. Nagle Maria Teresa, w przemoczonej przezroczyściej sukience, tracąc całą wymuszoną energię, osunęła się bezwładnie w jej ramiona. Wstrząsały nią drgawki. Szlochała.

- Nie powinnam była nigdy...

- Szs. To już minęło. Nie mówmy o tym. - Maggie nie chciała tego słuchać. Cokolwiek się wydarzyło między jej kuzynem i siostrą, umarło. Zostało pochowane razem z Mitchem.

Stały przytulone do siebie, aż wypłakały wszystkie łzy. Ich zbolełe jęki powoli cichły. Maria Teresa podniosła

głowę i zobaczyła swoje odbicie w drzwiach patio. Chrząknęła i wysunęła się z uścisku siostry. Poklepując delikatnie miejsca wokół oczu, ścierając ślady łez z czerwonych policzków, wydawała się zakłopotana spontanicznością swoich uczuć. Prychnęła, przygryzła wargę, odwróciła wzrok, jakby bojąc się widoku smutku w oczach Maggie.

- Przepraszam. Nie wiem, co mnie naszło.

- Nie ma sprawy - rzekła Maggie i wzruszyła ramionami. - Mnie też naszło.

Maria T. zdobyła się na sztuczny, niezdecydowany uśmiech. Weszły do domu i skierowały się do pokoju Maggie.

- Najlepiej zapomnijmy o tym wszystkim - zaproponowała Maria Teresa odkaszłując lekką chrypkę i niespokojnie przeciągając palcami po włosach. - To jest po prostu... zbyt...zbyt przygnębiające.

- Oczywiście, że tak. Mitch nie żyje.

- Ale my żyjemy.

W jej oczach był wyraźny niepokój i strach. Po rozpaczy nie pozostał ślad. Przełknęła ślinę i uniesionym do góry kciukiem wskazała na siebie.

- Ja żyję.

Porwała szczotkę z nocnej szafki Maggie i z taką zawziętością przejechała nią po włosach, że ta aż zaskrzypiała. W odbiciu lustra Maggie napotkała wzrok siostry. Przez ułamek sekundy zdawało się jej, że widzi w nich nienawiść. Przeraziła się, ale szybko pomyślała, że to było tylko przywidzenie.

- Nie wiem jak ty, Maggie - ciągnęła Maria Teresa - ale ja nie wytrzymuję tego całego... tego pławienia się w bólu, litowania nad sobą i oplakiwania. Oczywiście, że mi brak Mitcha, ale... ale chcę żyć własnym życiem.

Rzuciła szczotkę, zakreśliła się na pięcie i energicznie wyszła z pokoju.

Maggie nie mogła w to uwierzyć. Opadła na łóżko. Była rozbita. Bardzo chciała się pozbierać, ale siedziała bez ruchu przez prawie pół godziny. Minuty mijały, a ona ciągle siedziała na mokrej od kostiumu kąpielowego kołdrze.

Dwa dni później zdobyła się na odwagę i postanowiła zadzwonić do Thane'a. Były same w domu. Maria Teresa spała. Rodzice wyszli, a mimo to spociła się na myśl, że może zostać przyłapana. Gdyby Frank Reilly domyślił się, że jego córka zamierza mu się sprzeciwić, drogo by za to zapłaciła. Przeżegnała się i modląc się w duchu, wybrała jego numer. Telefon zadzwonił cztery razy. Serce biło jej jak szalone, a puls dudnił w uszach niczym bębny.

- Halo?

Usłyszała jego niewyraźny, jakby zaspany głos i zamarła. Tak bardzo pragnęła się z nim znowu spotkać.

Rodzice zabronili jej bywać na ranchu i nie wolno było jej chodzić tam, gdzie mogłaby go spotkać. Zaproponowała więc, żeby spotkali się następnego wieczoru po jej pracy w restauracji u Roberto. Zakładała, że jeśli rozegra wszystko jak należy, będą się mogli wyrwać na godzinę lub dwie.

Serce podskoczyło jej z radości, gdy Thane, wysłuchawszy jej planu, powiedział:

- Bądź tam, Meg Pie.

W stanie kompletnej euforii, pierwszy raz od pogrzebu, powędrowała na palcach do sypialni siostry i potrząsnęła Marią Teresą. Musiała ją wtajemniczyć w swój plan, bo oczekiwała, że M.T. zabierze ją spod restauracji około dziesiątej. Zaspana Maria Teresa zgodziła się wziąć udział w spisku, nakryła głowę poduszką i znów zasnęła.

Maggie nie zmrużyła oka. Myśl o zobaczeniu się z Thanem nie dawała jej spokoju. Wstała skoro świt i przepłynęła parę długości basenu. Byle się czymś zająć nawet posprzątała swój pokój. Dzień i tak zdawał się nie mieć końca. Wreszcie poszła do pracy.

Wszystko przebiegało jak należy. Tego sobotniego wieczora w lokalu panował większy ruch niż zwykle. Goście tłoczyli się w holu, czekając na wolne miejsca. Maggie uwijała się, jak mogła. Czyściła stoliki, dźwigała do kuchni brudne naczynia, zmieniała sztućce, nalewała wodę do szklanek. Około wpół do dziesiątej zaczęło się robić luźniej. Nerwowo obserwowała wejście. Mniej więcej za kwadrans dziesiąta wszedł Thane. Ubrany był w czyste dżinsy i koszulę polo w kolorze pszenicy. Minął hol, rozejrzał się i dostrzegł Maggie. Omal nie upuściła plastikowej miski z czystymi sztućcami. Mrugnął do niej. Z piekącymi policzkami zdobyła się na nikły uśmiech.

- Maggie! - szepnęła ostrym tonem Enid. - Trzeci stolik. Rusz się.

- Już się robi - wymamrotała.

Czuła się niezręcznie. Wytarła stolik, położyła świeże nakrycie, sprawdziła słoiczki z przyprawami, ustawiła kieliszki do wina. Widziała kątem oka, jak Thane podchodzi do baru i siada na wysokim stołku na rogu mahoniowego kontuaru. Miał stamtąd dobry widok na murek z karbowanymi paprociami i jadalnię, gdzie pracowała. Zamówił piwo i czekał.

Maggie nie mogła się skoncentrować na pracy. Czuła jego wzrok. Wybiegała myślami do upragnionej chwili, gdy będą razem. Nie mogła się doczekać, kiedy go pocałuje, i czerwieniła się na myśl o tym, co będą robili. Myśląc o tym, jak się będą kochali, omal nie wysypała kostek lodu i nie wylała wody na szczupłą jak osa, mocno umalowaną kobietę o nieprzyjemnym wyrazie twarzy. Czerwona po uszy w myślach wyzwała siebie od skończonych idiotek.

Wskazówki zegara powoli posuwały się naprzód. Gości było coraz mniej. Tuż po dziesiątej wsadziła do kieszeni napiwki. Próbowwała zapanować nad emocjami.

Thane położył drobne na kontuarze i zsunął się z barowego stołka. Właśnie rozchyłał wargi w tym swoim zapierającym dech w piersi uśmiechu, gdy otworzyły się frontowe drzwi restauracji, uderzając z hukiem o ścianę.

Maggie omal nie wpadła na ojca.

- Tatusi.

- Witaj, Mag.

Frank Reilly patrzył na córkę bardzo uważnie. Potem przeniósł wzrok na Thane'a.

- Wsiadaj do samochodu - rozkazał.

- Nie, tatusiu. Zaczekaj chwilę.

- Wsiadaj do samochodu i to natychmiast, jeśli nie chcesz pogorszyć sytuacji - rozkazał ponownie.

- Nie.

Po raz pierwszy w życiu Maggie sprzeciwiła się ojcu.

- Maggie, nie prowokuj mnie. Nie tutaj.

- Idę z Thanem - powiedziała i ruszyła w stronę baru.

W jednej chwili Thane znalazł się u stóp drewnianych stopni.

- O co chodzi?

- Zabroniłem córce spotykać się z tobą, Walker. Powiedziałem też, że jeśli kiedykolwiek to zrobi, uczynię z twojego życia piekło.

Niższy o jakieś osiem centymetrów, przekonany o swoim znaczeniu i autorytecie, wściekły Frank patrzył w górę, nie spuszczać wzroku z młodszego mężczyzny.

- Mogę cię zniszczyć, dobrze o tym wiesz - warknął.

Otworzyły się drzwi. Dwie roześmiane i rozgadane pary, pachnące papierosami dymem i alkoholem, wtoczyły się do holu.

- Tatusiu, proszę...

- Powiedziałem, wsiadaj do samochodu, Maggie.

- Nie wsiądzie, jeśli nie chce.

Thane wysunął się do przodu, chwytając ją za ramię. Silnymi palcami gniótł rękaw jej białej bluzki.

- Maggie, wychodzimy - Thane nie ustępował.

- Po moim trupie. Ona ma siedemnaście lat, Walker. Jest niepełnoletnia. - Z wściekłości rozdeły mu się nozdrza. - Wykończę cię.

Ted, szef lokalu, z kartami dań pod pachą wypadł zza podwójnych drzwi prowadzących do kuchni.

- Hej, co tu się dzieje? Maggie, w czym problem?

- Guzik mnie obchodzi, co zrobisz. Chodź, Maggie.

Oczy Thane'a jak oczy jastrzębia, który dopadł ofiarę, wycelowane były w jej ojca. Pociągnął ją za ramię.

- A kim ty jesteś? - zapytał Ted.

- No, kowboju!

Facet, który dopiero co wszedł do restauracji, podniósł ręce do góry i skierował się do wyjścia.

- Hej, siostrzo, nie daj się skołować! - Poradziła Maggie towarzysząca mężczyzn.

Druga para nerwowo się zaśmiała. Głowy gości siedzących przy najbliższych stolikach zwróciły się w ich stronę. Szum rozmów zdawał się stopniowo cichnąć. Wszyscy uważnie obserwowali całe zdarzenie.

- Co się tutaj dzieje? - zapytał Ted, nie dając się wyprowadzić z równowagi. - Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Opuście ten lokal. Wszyscy.

- Zaraz wezwę policję. - Frank Reilly ruszył w stronę telefonu.

- Świetnie - Ted podzielał jego decyzję. - Rób swoje, chłopie. A teraz...

- Wyjdźmy stąd - zaproponował Thane. Oczy Maggie zwrócone były na ojca, który stał przy telefonie i w kieszeniach spodni szukał drobnych.

- Nie. Ja... ja nie mogę.

Wyrwała ramię z władcze go uścisku Thane'a. Zbyt dobrze знаła ojca. Gotów był zrobić dokładnie to, co powiedział - zniszczyć Thane'a. Bez żadnych skrupułów. Zapędzony do narożnika Frank Reilly stawał się bezwzględny. Biedny dzieciak z Pittsburgha, który za młodu wdawał się w uliczne bójki, a w wojsku dosłużył się stopnia sierżanta, robił wszystko, żeby przetrwać. Niszczył każdego, kto mu wchodził w drogę, nie oglądając się za siebie.

- Ja... porozmawiam z tobą później - obiecała Thane'owi.

- Nie, Maggie, nie zrobisz tego.

Frank schował drobne do kieszeni, rzucił Thane'owi triumfujące spojrzenie i wyprowadził córkę z restauracji.

- Jeśli jeszcze raz spotkasz się z tym sukinsynem, wypędzę cię z domu bez grosza przy duszy. Nie, nie zrobię tego. Wiesz przecież. Ale proszę cię, daj sobie z nim spokój. Wierz mi, tuzin takich Thane'ów Walkerów kręci się na każdym rogu ulicy. Zasluguje na kogoś lepszego. A ja już się postaram, żebyś dostała najlepszego. Wskakuj.

Przytrzymał drzwi, a jej zrobiło się niedobrze. Wiedziała, że zawiodła Thane'a, że zawiodła siebie samą. Bała się, że już go nigdy nie zobaczy.

- Sądzę, że wiem, co jest dla mnie najlepsze - powiedziała, wpatrując się w szybę. Thane wyszedł z restauracji. Przystanął, żeby zapalić papierosa, i patrzył na mercedesa.

- Skąd możesz wiedzieć?
Ojciec usiadł za kierownicą i odczekał chwilę, zanim uruchomił silnik.
- Jesteś jeszcze dzieciakiem.
Włożył kluczyk w stacyjkę. Wziął głęboki oddech i spojrzął na nią zatroskanym wzrokiem.
- Za parę lat będziesz mogła robić, co zechcesz. Ani matka, ani ja nie przeszkodzimy ci w tym. Ale na razie musisz nas słuchać. Odpowiadamy za ciebie.
Przekręcił kluczyk. Silnik zapalił, powarkując nerwowo. Frank wycofał się tyłem z parkingu.
- Posłuchaj, skarbie - powiedział dużo spokojniej - ostatnio wszyscy przeszliśmy tak wiele. Mitch... Musimy się pozbierać.
Pochylił się i poklepał ją po kolanie.
- Masz całe życie na znalezienie odpowiedniego chłopca. Gwarantuję ci, że za pół roku będziesz się dziwiła, co widziałas w tym Walkerze.

*

Nawet nie przypuszczała, ile prawdy było w słowach ojca. W ciągu pół roku znienawidziła siebie samą. Albo przynajmniej próbowała to sobie wmówić.

A teraz jechała z nim do Denver. Z mężczyzną, który ją zdradził. Gotowa iść z nim ręką w rękę, byle dojść prawdy i dowiedzieć się, co się stało ej siostrą, jego byłą żoną - osobą, która zdawała się ich łączyć, choć jak zawsze oddalała ich od siebie.

- Przypominam sobie ostami raz, gdy próbowaliśmy się spotkać - powiedziała, wycierając zaparowaną boczna szybę.

- W restauracji. U Roberto.

Kiwnęła głową.

- Nie odpowiadałaś na moje telefony.

- Zabroniono mi.

Popatrzył na nią wilkiem.

- Mogłaś robić, co chciałaś.

- Nie byłam taka jak ty - powiedziała z naciskiem. - Po prostu nie wzięłam byka za rogi.

- Nie wystarczy wziąć byka za rogi, Maggie. Gdy już go trzymasz, musisz się zaprzeć nogami w błocie, zatrzymać tego skurwiela i wybić go z rytmu. Skręcić mu łeb z całej siły, napierać na niego plecami, aż się przewróci.

W spojrzeniu, które jej rzucił, widać było, że wie, o czym mówi.

- Dopiero wtedy możesz powiedzieć, że wygrałaś. Jeśli przeżyjesz. Pamiętam, że byłaś twardą dziewczyną, gotową rozwinąć skrzydła, jeśli nie ujarzmić byka. Ale się bałaś. O, cholera!

Na poboczu stał porzucony samochód. Cały przysypany był śniegiem.

- Co tu się stało?

Thane zaparkował furgonetkę i dotarł do pokrytego śniegiem sedana. Maggie podreptała z nim. Powietrze było przeraźliwie zimne. Ostry wiatr rozwiewał poły kurtki Maggie, mróz szczypał ją w policzki.

- Jest tam kto? - krzyknął Thane, waląc w samochód.

Zgarnął z niego śnieg, by zajrzeć przez szybę do ciemnego wnętrza. Było puste, żadnego śladu życia. Thane zbadał okoliczny teren. Obejrzał uważnie wystające budyły bylicy i przydrożne słupki otulone grubą warstwą zlodowaciałego białego pyłu. - Hej! - zawołał, rozglądając się dookoła. Maggie zrobiła to samo i zawołała:

- Jest tam kto?

Osloniła oczy ręką i patrzyła na pustą okolicę. Zauważyła kilka uciekających saren, które spłoszył dźwięk ludzkiego głosu. Poza tym wokół panowała niczym nie zmacona cisza. Niebo znowu poszarzało, a gęste chmury przysłoniły słońce.

Przez parę minut krzyczeli i nawoływali. Znowu przeszukali teren wokół auta. Nie natrafili na żaden ślad życia.

Drogą nie przejechał ani jeden samochód

- Zabierajmy się stąd - powiedział w końcu Thane. - Nikogo tu nie ma.

- W każdym razie nikogo żywego - mruknęła, myśląc znowu o siostrze.

- Ani nikogo nieżywego. Pewnie kierowca dawno skorzystał z okazji i zabrał się z kimś.

Ujął ją za łokieć i poprowadził w stronę furgonetki.

- Pora, żebyśmy coś zjedli. Kawa, krakersy i ser. Co ty na to? - zapytał.

Przewróciła oczami.

- Ty najlepiej wiesz, jak dogodzić dziewczynie.

- Próbuję się przypodobać.

Przytrzymał drzwi samochodu i mrugnął do niej. Odrobinę poprawiło to jej humor. Pamiętała, że jeśli tylko chciał, potrafił być czarujący na swój buntowniczy, nonszalancki sposób. Że oprócz tego szelmowskiego uśmiechu biło w nim kiedyś także gorące serce. I że oddał jej część siebie. Bała się, że jeśli przestanie być czujna, zapomni o tej drugiej, mrocznej i tajemniczej stronie jego charakteru, która ją zawsze niepokoiła. Pamiętała, że należał do tych

mężczyzn, których nie można poznać do końca.

Jechał wciąż na południe. Nalała im obojgu kawy z termosu i wręczyła mu kubek.

- Ciągle nie wiem, co było między tobą i Marią Teresą - przypomniała, popijając gorącą i mocną kawę.

- Zaczęło się od zwykłego przypadku, a raczej od pomyłki, jak wiesz.

Wielokrotnie słyszała tę historię, ale nigdy w nią nie uwierzyła.

- Pojawiła się u mnie, w tej starej stajni przerobionej na mieszkania, tuż za Rio Verde.

Pamiętała to miejsce, choć tylko raz go tam odwiedziła.

- Piłem. Do diabła, to za mało powiedziane. Urządziłem sobie libację. Po tej scenie w restauracji doszedłem do wniosku, że między nami koniec. Poszedłem więc na całość i urznąłem się. Właśnie wstałem z łóżka, kiedy ona - wtedy sądziłem, że to ty - zjawiła się u mnie.

- A ty nie dostrzegłeś różnicy?

Nawet po tylu latach czuła głęboką ranę w sercu z powodu tej zdrady. Zacisnął wargi, ale po chwili uśmiechnął się.

- Ano nie.

- Jakie to proste.

- Chciałaś poznać prawdę.

Amen, pomyślała, bez względu na cenę.

- I właśnie ją poznaję?

- Tak, bez owijania w bawełnę. Było późno. Ciemno. Nie zniknąłem drzwi. - Parsknął, jakby drwił z samego siebie. - No więc wstałem z łóżka, gdy pojawiła się ona. Pachnąca jak ty, smakująca jak ty, patrząca jak ty. Jak już powiedziałem, było ciemno, jedynie światło księżycy sączyło się przez podniesione żaluzje.

- A ty nie mogłeś się powstrzymać.

- Myślałem, że to ty, do diabła - przyznał. - Przynajmniej za pierwszym razem.

Przypominał sobie, jak się obudził i zastał ją, Maggie, obok siebie. Jaka była gorąca i spragniona. Jak łapczywe były jej wargi i język. Była jakaś inna, wyczuł to. Ale tak samo uczesana, w koński ogon, a w ciemności nie dostrzegł śladu makijażu.

- Maggie? - wyszeptał. Jego ciało zareagowało natychmiast. Poczul silną erekcję. Wciąż był zamroczony alkoholem.

- Cicho. Jestem tutaj - odpowiedziała i pocałowała go namiętnie.

Zdjął gumkę z jej włosów. Zaczął dotykać jej piersi. Zadrżał z emocji, gdy dały się większe. Inny był pocałunek, bardziej niespokojny i nieobliczalny. Mózg miał jeszcze przesiąknięty szkocką, dlatego niejasną świadomość, że jest jakoś inaczej, złożył na karb ich długiej rozłąki. Jej dotyk rozpałił go. Jego lędźwie były jak ogień, krew w nim wrzała. Nie panował nad sobą. Kochał się z nią tej nocy nie raz, ale wiele, wiele razy. Gdzieś w głębi przeczuwał, że już nigdy nie będą razem. Że gdy nastanie świt, Maggie opuści go na zawsze. Dopiero kiedy wyslizgnęła się z łóżka, poczuł, że coś tu nie gra.

- Co to takiego? - zapytała, wskazując bliźnię na jego lewym ramieniu.

- Nie pamiętasz? Opowiadałem ci o tym... Mój staruszek zrobił mi to pewnej nocy, a ja omal...

- Och, prawda.

Szybko odskoczyła od łóżka, a Thane poczuł wyraźną zmianę w jej zachowaniu. Spoglądał jednym okiem, jak się ubiera, gdy nagle coś go tknęło i zrobiło mu się niedobrze. Jak przez mgłę zaświtała mu myśl, że się pomylił. Alkohol już wyparował i choć okrutnie bolała go głowa, znowu był w stanie myśleć. Gdy związała włosy w koński ogon, zauważył różnicę. Po raz pierwszy, myśląc, że chyba zwariował, otworzył szeroko oczy i gapił się na nią.

Zasunęła zamek u szortów. Jego niepokój zamienił się w przerażenie. Z mrozącą krew pewnością obserwował każdy jej ruch.

- Kogo próbujesz oszukać, do diabła? - zapytał bezbarwnym głosem.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Zachowywała się jak gdyby nigdy nic. Pomyślał, że się pomylił. Sięgnęła po torebkę. Zamszową torebkę Maggie z frędzlami.

- Ty nie jesteś Maggie.

Zawahała się, po czym potrząsnęła głową.

- Jesteś pijany.

Spojrzała na otwartą butelkę szkockiej na stoliku przy łóżku.

- Chyba nie zaprzeczysz?

- W co ty grasz, Mario Tereso?

Lekko się skrzywiła, przygryzła wargę i powoli lewą ręką wyjęła z torebki kluczyki na kółku.

- Do zobaczenia.

- Wytłumacz się najpierw.

- Nie ma nic do...

Goły wyskoczył z łóżka i przyparł ją do ściany.

- A niech cię jasna cholera, Thane! Co ty, do diabła wyprawiasz? - zapytała, gdy boleśnie wpił w nią palce.
- To ja ciebie pytam!
Stali oko w oko i mierzyli się wściekłym wzrokiem.
- Wiem, że nie jesteś Maggie - powiedział.
Czuł obrzydzenie do siebie, bo pociągała go. Trzymał ją przypartą do ściany, czuł jej drażniący zapach, jej twarde mięśnie ustępujące pod ciężarem jego ciała i był podniecony. Dudniło mu w głowie, paliły go oczy. Miał kaca. Był wściekły na siebie i na nią
- Ty cholerna dziwko - ryknął!
- Nie zapominaj się, Thane - ostrzegła go.
Pogróżki Franka powróciły echem do jego obolałej głowy.
Gdyby ktoś nas nakrył mnie gołego, siłującego się z tą chodzącą niewinnością, kruchą i do tego nieletnią, co by się stało, myślał rozpaczliwie. Wezwano by policję, odbyłoby się przesłuchanie, a gdyby powiązano to jeszcze z Wyoming...
Powoli opuścił ramię i cofnął się o parę kroków.
- Wynoś się.
- Z przyjemnością.
Posłała mu swój tysiącwatowy uśmiech, a on czuł, że został wrobiony. I to po mistrzowsku.
- To sprawa między nami - powiedział.
- Wierz mi, nie powiem słowa.
Wyszła z sypialni. Szedł za nią. Gdy omijała sterty brudnych ubrań i parę wytartych foteli, zmarszczyła nos i zde gustowana potrząsnęła głową na widok żalosego stanu domu. Nie obchodziło go to. Wszystkie zarobione pieniądze oszczędzał i inwestował. Zamierzał kiedyś kupić własny kawałek ziemi i dopiero wtedy się urządzić.
- Maggie nigdy się nie dowie - powiedział.
Sięgnęła ręką do drzwi i zatrzymała się na moment.
- Jeśli ty jej nie powiesz.
- Co to wszystko ma znaczyć, Mario Tereso?
Obejrzała się przez ramię. Miała uniesione brwi, a twarz tak piękną, jak twarz jej siostry. Poczul się strasznie podle.
- To sprawa osobista - powiedziała.
Wymknęła się w oparach perfum Maggie. Usłyszał dźwięk zapalane go silnika samochodu i pisk opon.
- Chwała Bogu! - mruknął.
Czuł do siebie obrzydzenie po tym, co się stało. Ale na tym koniec, pomyślał. Nikt mnie nie zmusi, że bym się z nią kiedykolwiek jeszcze spotkał.
Ale pomylił się. Straszliwie się pomylił. Po miesiącu oznajmiła mu, że jest w ciąży.

11

A więc nie mogłeś się jej oprzeć.
Maggie oparła głowę o fotel. Zbliżali się do Denver. W oddali, na horyzoncie ukazały się pierwsze drapacze chmur, wysokością dorównujące ośnieżonym szczytom Gór Skalistych.
Thane zmarszczył brwi.
- Nie mogłem się oprzeć tobie - powiedział.
Wnętrze samochodu wydało się jej nagle ciasne.
- Pamiętasz?
Aż za dobrze, pomyślała. Znowu poczuła w sercu znajomy ból.
- Maria Teresa to nie ja.
Wjechali na zatłoczone ulice miasta.
- Powiedziałem już, że się pomyliłem, jeśli to dla ciebie jakieś pocieszenie. - Spojrzał na Maggie. - Małżeństwo z twoją siostrą nie było łatwe.
W jego oczach dostrzegła cień. Czowała, że myśli o dziecku, którego nigdy nie widział. Te wspomnienia dzieliły ich niczym ponure duchy nieufności i zdrady.
- Nie wiem, dlaczego tamtej nocy postanowiła udawać ciebie - powiedział patrząc na ulicę. - Nieraz ją o to pytałem, ale ona wruszała tylko ramionami i mówiła, że sama tego nie rozumie. Chciała sprawdzić, czy dam się oszukać.
Zwolnił, światła na skrzyżowaniu zmieniły się z żółtych na czerwone. Przed maską samochodu przemykali się przechodnie otuleni w płaszcze i ciepłe szale. - Zawsze podejrzewałem, że chodziło o coś więcej... że to coś głębszego.
Maggie drżała.
- Nikt nie rozumie tego, co robi Maria Teresa - wyszeptwała.
Przeczuwała, że istnieje coś ciemnego, niedobrego w Marii Teresie. Coś, czego dotychczas nie znała, ale jej mąż Thane musiał to wiedzieć.

- Przykro mi to mówić, ale uważam, że Maria Teresa sama nie rozumie motywów swojego postępowania. Światła się zmieniły, Thane nacisnął pedał gazu i bez większego entuzjazmu mówił dalej.

- Przyszła, rozebrała się, poszła ze mną do łóżka, a ja popełniłem błąd, myślałem, że to ty. Dopiero rano się zorientowałem, że wystrychnęła mnie na dudka. Ale było już za późno. Stało się. Po kilku tygodniach zadzwoniła i powiedziała, że jest w ciąży. Wybór pozostawiła mnie: ślub albo aborcja. Zdecydowałem się na to pierwsze. Wiedziałem, że należą ci się wyjaśnienia, dlatego przyjechałem wtedy do twojego domu, pamiętasz?

Pamiętała bardzo dokładnie, jakby to było wczoraj. Patrzyła przez okno na przykryte śniegiem ulice, ale nie widziała mijających ich samochodów, spieszących się przechodniów, wystaw sklepowych. Zamyśliła się. Przywołała w pamięci wydarzenia tamtej nocy.

Pływała w basenie na tyłach ogrodu. Pewnie i szybko pruć wodę. Był to jeden z cieplejszych dni końca lata. Dopłynęła do brzegu basenu. Przystanąła na chwilę, by złapać powietrze i odgarnąć z twarzy włosy. Gdy uspokoiła oddech, w oddali usłyszała znajomy odgłos starego silnika. Jej serce mocniej zabiło. To był Thane. Ciężarówka powoli wjeżdżała na podjazd.

- Na Boga, co on tu robi? Ojciec go zabije!
Szybko wyskoczyła z basenu. Silnik zamilkł.

Owinęła się ręcznikiem, minęła prysznic i bosą pobiegła żwirową alejką obsadzoną oleandrami. Gdy dotarła przed dom, okazało się, że jest za późno. Thane wszedł do środka. Poczula skurcz żołądka. Wbiegła do garażu. Przepisnęła się obok stojącego tam mercedesa i tylnymi drzwiami weszła do kuchni.

- Co ty tu, u diabła, robisz? - usłyszała głos ojca.
O Boże, czyżby Thane wtargnął do ich domu?
- Gdzie Maggie? - Głos Thane'a był ostry, zdecydowany.
Serce pękło jej na tysiąc kawałków. Ruszyła pędem przez kuchnię.
- Thane?
- Wynoś się, Walker - rozkazał ojciec.

Stali w salonie, naprzeciwko siebie, patrząc sobie prosto w oczy. W powietrzu wisiała burza. Frank stał gotowy do zadania ciosu

Pod ściśle przylegającą marynarką i śnieżnobiałą koszulą ozdobioną znakomicie dobranym krawatem rysowały się napięte mięśnie.

- Muszę porozmawiać z pana córką.
Thane popatrzył na wchodzącą do salonu Maggie. Wyglądał, jakby właśnie odbył podróż do piekła i z powrotem. Miał trzydniowy zarost i lekko zapadnięte policzki, a w oczach, tych cudownych błękitnoszarych oczach, czaił się sam szatan.

Serce jej łomotało. Omal nie zemdleła. Czowała, że coś jest nie tak. W ułamku sekundy zrozumiała, że nie chce wiedzieć, co się zmieniło. Jakie demony zawładnęły duszą Thane'a.

- Czy ... Czy coś się stało? - zapytała.
W jej głosie zabrzmiała nuta niepokoju. Maggie pomyślała, że to nie jest jej głos. Była zupełnie roztrzęsiona.

Zacisnął szczęki i pokręcił głową, ale widoczne w jego oczach cierpienie wyraźnie temu przeczyło. Maggie czuła, że zaraz zemdleje.

- Musimy porozmawiać.
- O czym?
Serce waliło jej jak oszalałe. Dłonie miała mokre od potu, a w głowie słyszała ostrzegawczy krzyk.
- Coś się stało? - zapytała.
Jej włosy ociekały wodą, pozbawiona makijażu twarz lśniła. Przerazona ruszyła w kierunku Thane'a.
- Idź do swojego pokoju - rzucił przez ramię Frank.
Stał spięty. Dłonie zacisnął w pięści. Nagle Thane się poruszył. Frank niczym cień stanął przed nim.
- A ty, Walker, skorzystaj z mojej rady i wyjdź, zanim będzie za późno.
- Nie zajmę dużo czasu.
- Dla ciebie nie mam czasu. Nawet minuty.
- Ale ja mam.
Maggie jakimś cudem zdołała opanować strach.
- Dzięki. Spotkaj się ze mną przy ciężarówce.
Thane patrzył na nią. Zacisnął pięści tak mocno, że kostki zrobiły się białe. Był zdeterminowany.
- Nie zrobisz tego, Margaret - wtrącił ojciec, nie spuszczać oczu z Thane'a.
Przez cały czas mierzył go wzrokiem, jakby szacował siły przed walką. Maggie знаła to spojrzenie. Kiedyś ojciec patrzył tak na Mitcha, gdy się sprzeczała.

Thane zacisnął szczęki, skóra na zapadniętych policzkach naprężyła się. Ledwo poruszał pobludłymi ustami.

- To ważne. Musimy porozmawiać na osobności.
- Zostaw ją, Walker. Zabieraj stąd swojego gruchota i wynoś się. Przestań się kręcić koło mojej córki. Maggie, idź do siebie.

- Nie!

Ojciec odwrócił się gwałtownie. Był czerwony jak burak. Patrzył gniewnie, mrużąc oczy.

- Nie sprzeciwiaj się. Maggie nie zamierzała ustąpić.

- Chcę porozmawiać z Thanem, tato. Możesz mnie straszyć, że wyrzucisz z domu, że ukarzesz. I tak z nim porozmawiam.

Uniosła głowę i odważnie popatrzyła na Thane'a. Widziała, że coś go gnębi.

- Maggie, ten człowiek to kryminalista. Sprawdziłem to.

- Nie wierzę.

Nagle poczuła przejmujące zimno. Nie dostrzegała promieni światła wpadających przez okno do salonu. Zamyślona nie usłyszała otwierających się drzwi garażu.

- Kilka lat temu omal nie zabił własnego ojca. Leży teraz w szpitalu, prawda, Walker?

Thane nie odpowiedział.

- Trzymaj się z daleka od mojej córki, bo nasię na ciebie policję, a wtedy pożałujesz.

- Frank?

Z garażu wyszła Bernice. W jednej ręce trzymała siatkę z zakupami, w drugiej torebkę.

- Przed domem stoi ciężarówka. Maria Teresa mówi, że należy do... - przerwała. - Rozumiem.

Zza pleców matki wyłoniła się Maria Teresa. Była biała jak ściana, ale jej oczy lśniły zwycięsko. Rzuciła Maggie przelotne spojrzenie i z uwagą przyglądała się Thane'owi. W tym momencie Maggie wszystko zrozumiała. Krew napłynęła jej do głowy. Nie, nie, nie! - krzyczała w duszy, gdy zauważyła intymną, bolesną wymianę spojrzeń między Thanem i M.T. Tak patrzą na siebie tylko kochankowie. Czują, że uginają się pod nią kolana.

- Co się stało? - zapytała Bernice.

- Na miłość boską.

Twarz Franka pobladła. Maggie słyszała jedynie szum w głowie. Nie wiedziała, czy jest jej zimno, czy gorąco. Nim Thane zdążył cokolwiek powiedzieć, szepnęła:

- Nie..

- Jest coś, o czym musisz wiedzieć.

- Nie... nie chcę tego słyszeć.

Ruszyła ku wyjściu. Szybki jak błyskawica Thane wysunął się zza jej ojca i stanął przed nią. Silne, gniewne palce pochwytyły ją za ramię, obróciły i zmusiły, by popatrzyła prosto w jego przepelnione boleścią oczy.

- Maggie, wysłuchaj mnie, proszę.

- Nie, zostaw mnie w spokoju...

- Walker, słyszałeś, co powiedziała! Dość tego, Bernice, dzwoń po policję!

- Nie - wyszeptała Maria Teresa. - Mamo, zaczekaj.

Na twarzy Bernice pojawił się grymas.

- Czy ktoś mógłby mi wytłumaczyć, co się tutaj dzieje?

- Maria Teresa i ja zamierzamy się pobrać - powiedział Thane.

- Słucham? - cicho zapytała Bernice.

- Po moim trupie!

Frank zrobił krok do przodu, ale powstrzymało go spojrzenie Thane'a, którym mógłby zatrzymać natarcie całej armii.

Zamierzamy się pobrać?

Maggie kręciła głową. Chyba się przesłyszała.

Zamierzamy się pobrać?

Jej naiwne marzenia o miłości, o małżeństwie, o ich dzieciach legły nagle w gruzach. Do oczu napłynęły jej łzy. Zebrała wszystkie siły i szarpnęła się. Próbowwała uwolnić się z jego żelaznego uścisku.

- Nie... nie chcę tego słyszeć. Nie wierzę - powiedziała przez ściśnięte gardło.

- Uwierz.

- Nie potrafię.

Palce Thane'a jeszcze silniej ścisnęły jej ramię. Poczuła ból równy temu, który malował się w jego oczach.

- Zostaw mnie.

- Słyszałeś, co powiedziała.

Frank zdał sobie chyba sprawę z powagi sytuacji, bo wyczuwalne w jego postawie napięcie wyraźnie opadło. Opuścił ramiona.

- Chodzi o dziecko, Maggie - tłumaczył Thane. - Moje dziecko.

Ciszę, która zaległa, rozdarł zwierzęcy krzyk rozpacz. Maggie dopiero po chwili uświadomiła sobie, że dobył się z jej gardła. Była bliska omdlenia. Thane objął ją i trzymał w ramionach. Z jej oczu płynęły wielkie łzy.

- Przepraszam, Maggie - powiedział. - Jezu Chryste, tak mi przykro - wyszeptał wtulając twarz w jej mokre włosy.

- Zostaw mnie.

Próbowała się bronić przed uczuciami. Przed miłością, która ciągle jeszcze przepelniała jej serce i torturowała duszę. Powinna go nienawidzić. Powinna plunąć mu w twarz.

- Wysłuchaj mnie.

- Idź do diabła!

Wyrwała się z jego uścisku. Czowała się jak idiotka. Stała tylko w stroju kąpielowym. Piersi falowały jej w gniewie. Ręcznik zsunął się z ramion i leżał na podłodze. Ostatkiem sił podniosła oczy i popatrzyła na niego.

- Nigdy... nigdy więcej mnie nie dotykaj!

Nogi miała ciężkie jak z ołowiu. Potykając się, wybiegła z salonu. Gdy jej wzrok przelotnie spotkał się ze wzrokiem Marii Teresy, miała wrażenie, że pod łzami żalu widzi błysk zadowolenia. Czowała silne skurcze żołądka. Plecy zeszywniały jej ze zdenerwowania. Próbując zachować resztkę godności, pobiegła korytarzem do swojego pokoju. Zamknęła drzwi i weszła do łazienki. Zanim dopadł ją przeszywający ból brzucha, zdołała zwilżyć twarz zimną wodą. Skurcze były tak gwałtowne, że Maggie pochylała się i zaczęła wymiotować. Miała dreszcze. Zanosila się płaczem, czuła, że zaraz umrze. Nie zależało jej już na życiu.

Thane i Maria Teresa? O Boże, pozwól mi umrzeć. Niech to się wreszcie skończy, modliła się w duchu. Dziecko? Maria Teresa urodzi jego dziecko?

Usłyszała hałas dobiegający z salonu i odgłos kroków. Kilka sekund później ktoś zaczął pukać w drzwi łazienki.

- Maggie, wpuść mnie - błagała Maria Teresa. - O Boże, popełniłam błąd. Straszliwy błąd. - Uderzała pięściami w drzwi. - Proszę, otwórz.

Maggie nie zwracała na nią uwagi. Nie obchodziło jej, co przydarzyło się siostrze. Pragnęła na zawsze wyjechać z Rio Verde i nigdy tu nie wrócić.

- Gdyby można odwrócić czas, nie zrobiłabym tego, przysięgam! Maggie, błagam wpuść mnie!

W głowie Maggie znów rozległo się łomotanie, a jej serce powtórzyło je niczym echo.

- Nigdy - pomyślała Maggie

Spuściła wodę w toalecie. Jej żołądek był pusty. Zwymiotowała całą kolację. Jeszcze jeden skurcz, ale tym razem wypłuła jedynie trochę żółci.

- Odejdź! - zawołała. Thane i moja siostra, Jezu, myślała.

Przepraszam, Maggie. Ja go nie kocham.

Maria Teresa płakała. Nagle Maggie uświadomiła sobie różnicę między słowami, jakie wydobywały się z ust siostry, a „głosem”, który słyszała.

Maggie, proszę. Kocham cię. Na Boga, tak mi przykro. Kocham cię!

Przez zamknięte drzwi słychać było szloch. Pukanie słabło. Maggie skuliła się na zimnej podłodze. Zamknęła oczy i zatkała uszy. Świat wokół niej wirował. W głowie rozbrzmiewały słowa piosenki Beatlesów.

Wczoraj.

Gra w miłość była taka łatwa,

Dziś pragnę się ukryć,

Och, wierzę we wczorajszy dzień...

Wtedy widziała Thane'a po raz ostatni. Wziął ślub z Marią Teresą. Ceremonia była skromna, tylko ich dwoje, w Reno, w Nevadzie. Dzień później Maggie skończyła osiemnaście lat.

Dziś, wiele lat po tych wydarzeniach, gdy jechali przez Denver, Maggie myślała, jakie to dziwne, że znowu są razem i szukają kobiety, którą niegdyś oboje bardzo kochali, a która ich rozdzieliła.

- Maria Teresa mówiła, że od tego czasu nie widywaliście się.

- Tak, to prawda. Nie widywaliśmy się zbyt często. A ostatni raz był bardzo nieprzyjemny.

- Dlaczego?

- Pokłóciliśmy się.

- O co?

- Głównie o pieniądze. Straciliśmy panowanie nad sobą. To było w jej domu. Sąsiedzi wszystko słyszeli. Dlatego policja uważa, że mam coś wspólnego z jej zniknięciem.

- Czy... czyją straszyles? - pytała Maggie z niedowierzaniem.

- Możliwe, że tak.

- Możliwe? Czyś ty oszalał? Możliwe, że tak? - potrząsała głową. - Thane, musisz być ze mną szczery. Co się, u diabła, stało?

Przez chwilę wahał się. Wjechał na parking i zatrzymał samochód.

- Maria Teresa chciała pożyczyć ode mnie pieniądze. To nie ma znaczenia.

- Jeśli policja cię podejrzewa, to ma cholernie duże znaczenie.

- Czy ty się nigdy nie kłóciłaś z mężem? - zapytał nagle. - Byliście w separacji, zamierzaliście wziąć rozwód, tak? Pokiwała głową.

- Tak samo było z nami - dokończył.

- Ale wy się nadal spotykaliście.

- To nie było tak, jak myślisz. Maria Teresa wpadała do mnie co jakiś czas. Bez zapowiedzi, nigdy wcześniej nie dzwoniła. Po prostu przychodziła. Najczęściej odwiedzała moje ranczo w Kalifornii. Chciała się oderwać od swoich spraw. Czasami tam byłem. Zjawiała się też w Cheyenne. Ale niezbyt często. - Popatrzył na nią i dodał: - Nie było w tym nic romantycznego, nawet po ślubie. Na początku było pożądanie. Tak, pożądanie i poczucie winy. Gdy pożądanie minęło, pozostał tylko żal. Nigdy nie mieliśmy ze sobą zbyt wiele wspólnego. I nadal nie mamy.

- Ale ona nadal się z tobą kontaktuje. Nie rozumiem.

Kąciki jego ust uniosły się w cynicznym uśmiechu, a oczy pociemniały.

- Ja też. Mag, twoja siostra to skomplikowana kobieta. Zawsze... - kiwał głową - zawsze była taka tajemnicza - zawahał się przez moment, jakby zagłębiał się w mroku własnej duszy. - Nie umiem tego wytłumaczyć, ale wydaje mi się, że ona czasami chce się ukryć. Gdy zerwie z chłopakiem lub ma problemy w pracy, musi się gdzieś zaszyć. Musi gdzieś uciec.

- I ucieka do ciebie? - zapytała Maggie, zastanawiając się, jak to możliwe, że tak długo dawała się wodzić za nos? Tak, Maria Teresa jest niezłą aktorką, ale czemu miałyby oszukiwać ją, Maggie?

- Nie do mnie. Na ranczo pod Sonomą - wzruszył ramionami. - Z jakiegoś powodu uważa je za swój azyl.

- Nie wiedziałam.

Nie rozumiała tak wielu spraw dotyczących siostry bliźniaczki. I wielu nigdy nie zrozumie.

- Ma tam swój pokój - dodał. - Ten sam, co w czasach, gdy byliśmy małżeństwem.

- Gdy byliście małżeństwem? - powtórzyła jego słowa, zastanawiając się, dlaczego próbuje ją oszukać. Jej porywczy temperament dał o sobie znać. - Czy myślisz, że uwierzę, iż nie sypiałeś ze swoją żoną?

- Nie po tym, jak straciła dziecko. Wtedy nadal jeszcze wynajmowaliśmy mieszkanie, a ja zbierałem pieniądze na pierwszą ratę. Maria Teresa wyprowadziła się z naszej sypialni i zamknęła drzwi na klucz. Czasami... zmieniała zdanie, nie wiem dlaczego, pewnie po to, by trzymać mnie na smyczy. Do diabła, z tą kobietą nigdy nic nie wiadomo. Wracała, pukala do moich drzwi, a ja otwierałem - zacisnął szczęki i zmrużył oczy, jak gdyby niezadowolony z siebie. - Zawsze było tak, jak ona chciała. - Uniósł brwi. - Chyba ci o tym nie mówiła?

- Nie. - Ale przecież ja nie pytałam, pomyślała. Nie interesowało mnie wasze życie.

Maggie wyglądała przez okno. Nie chciała, by wydarzenia sprzed lat zepsuły jej nastrój.

- Wierz mi Maggie, twoja siostra nie mówiła o wielu sprawach, które mogły ci się nie spodobać. Miała swoje tajemnice.

- Jak Luke Skywalker, co? - odcięła się.

- Ja nie żartuję. Weź się w garść. Dowiesz się teraz o niej rzeczy, których pewnie nie chciałabyś wiedzieć.

- Myślę, że już się dowiedziałam.

Przed ich oczyma ukazał się nagle posterunek policji. Twarz Thane'a była surowa i nieubłagana. Zatrzymał samochód na odśnieżonym parkingu. Sięgnął po kapelusz, rzucając jej przelotne spojrzenie.

- Teraz albo nigdy.

- Chodźmy.

Nie chciała marnować ani chwili. Szli zaśnieżonym chodnikiem. Mijali przeróżnie ubranych ludzi. Jedni byli w eleganckich garniturach, inni w dżinsowych spodniach i kurtkach, jeszcze inni w narciarskich kurtkach i wełnianych czapkach. Gdy wchodzili po schodkach na posterunek, minął ich samochód telewizji. Thane otworzył drzwi i Maggie weszła do środka. Po chwili skierowano ich na do gabinetu detektywa Reeda Hendersona.

Plastkowe kubeczki z gorącą kawą rozgrzewały im dłonie. Detektyw siedział za metalowym biurkiem, na którym leżały stosy papierów, notatek i dokumentów. Maggie zastanawiała się, jak może się w tym wszystkim połapać. Był na tyle dobrze wychowany, że się przedstawił. Wyciągnął do niej rękę, zamówił nawet dla nich kawę. Ale w jego oczach psa gończego nie dostrzegła ani odrobiny ciepła.

- Nadal nie miała pani wiadomości od siostry? - zapytał.

Maggie, ściskając gorący kubeczek w ciągle jeszcze zimnych dłoniach, zauważyła zdjęcie Marii Teresy. Wisiało na tablicy za jego plecami. Poczula, że ma ściśnięte gardło. Mimo bólu, jaki jej sprawiła, nadal były przecież rodziną. Gdzie znikła? Co się stało z tą szaloną, lekkomyślną dziewczyną? Zwilżyła językiem suche usta.

- Nie, ani słowa. - Oczywiście poza dramatycznym, niemym wołaniem o pomoc, przeszło jej przez myśl.

Nie wspomniała o tym, bo wiedziała, że Henderson i tak by nie uwierzył. Najwyżej uznałby ją za wariatkę. A może zmusił do poddania się testom. Unikając jego wzroku, napiła się słabej kawy z kubeczka.

- A pan? - detektyw spojrział w kierunku Thane'a.

- Nic. Zanim tu przyjechaliliśmy, wstąpiłem na ranczo. Żadnych wiadomości.

Kiwając głową, jakby spodziewał się usłyszeć coś więcej, Henderson z uwagą obserwował swoje kanciaste palce.

- A więc pojechał pan aż do Idaho tylko po to, aby przywieźć tu byłą szwagierkę?

- Zgadza się - Thane wzruszył ramionami. - Nie chciałem, by przechodziła przez to wszystko sama.

- A może jest jeszcze jakiś inny powód?

- Nie, jestem tu po to, by ją wspierać.

- Dobry uczynek, co, Walker? - rzucił sceptycznie Henderson.

Nie wierzył ani jednemu słowu.

- No, nie.

- Tak myślę.

Maggie nie mogła znieść napięcia i wrogości między dwoma mężczyznami.

- Rozumiem, że wie pan niewiele więcej niż wtedy, gdy pan do mnie dzwonił? - powiedziała bez nadziei. Dopiero teraz uświadomiła sobie, iż jadąc do Denver liczyła na to, że usłyszy dobre wiadomości. Usłyszy, że ktoś Odział Marię Teresę zmęczoną nieplanowaną podróżą, ale zadowoloną z zamieszania, jakiego narobiła. Niestety.

- Nic nowego - odparł detektyw. - Nadal nie odnaleziono ani jej, ani samochodu. Przypuszczam, że gdzieś wyjechała, i wszystko okaże się jednym wielkim nieporozumieniem. Nie zjawiała się na nagranie programu. Nie spotkała się z Ambrose King, swoją agentką, która przyleciała tu z Los Angeles, by porozmawiać o jej karierze. Z nikim się nie kontaktowała od ostatniego piątku. Można więc podejrzewać, że coś jej się stało.

- Ale co? - zapytała zdenerwowana Maggie.

Była głodna, zmęczona i zła, że policja nadal nic nie wie.

- Tego właśnie chcemy się dowiedzieć.

- Czy rozmawiał pan z jej przyjaciółmi? Jej... chłopakiem? Z szefem, fryzjerem, trenerem, z jej... - zawahała się.

- Z każdym, o kim wiedzieliśmy. Miałem nadzieję, że może pani zna kogoś, z kim mogła się kontaktować.

Detektyw podniósł wzrok i kiwnął na kogoś. Maggie obejrzała się i zobaczyła drobną platynową blondynkę stojącą za drzwiami. Kobieta weszła do gabinetu.

- To moja partnerka, Hannah Wilkins. Maggie McCrae. Z panem Walkerem już się chyba znacie.

Thane poruszył się na krześle, jakby chciał wstać, ale Hannah dała mu dłonią znak, by siedział. Nie spuszczała wzroku z Maggie.

- Jest pani siostrą bliźniaczką. Łatwo się domyślić. - Spojrzała na wiszące zdjęcie, podała Maggie rękę i potrząsnęła głową. - Uderzające podobieństwo.

- Wszyscy tak mówią - odparła Maggie zaniepokojona badawczym wzrokiem kobiety.

- Chyba niewiele osób potrafi was rozróżnić.

Nie potrafi tego nawet mężczyzna, którego kiedyś kochałam, pomyślała Maggie. Wyczuła na sobie przelotne spojrzenie Thane'a, który pił kawę.

- Przyniesie sobie krzesło - zaproponował Henderson, ale Hannah pokręciła głową.

- Nie potrzeba. Cały ranek siedziałam za biurkiem. - Jak gdyby spodziewając się, że Thane zaoferuje jej swoje krzesło, rzuciła mu zimne spojrzenie. - Naprawdę nie trzeba, dziękuję. - Oparła się o szafkę z aktami. - Tak jest mi wygodnie.

- Jak chcesz. - Henderson szperał w stercie papierów leżących na biurku. - Liczę, że wypełni pani dla nas kilka formularzy, pani McCrae.

Maggie oparła się o niewygodne krzesło, na którym siedziała.

- Oczywiście... tak, chętnie...

Nie miała powodu, by utrudniać im pracę. Przynajmniej nie teraz. Może Hendersonowi nie zależało tak bardzo na bezpieczeństwie Marii Teresy jak jej, ale wydawał się szczery. Być może był zbyt cyniczny i za bardzo przepracowany, miał jednak sporo informacji, dysponował ludźmi i znał swój fach. A że jego biurko wyglądało tak, jakby policyjnymi aktami bawiło się trzyletnie dziecko, o niczym nie świadczyło.

- No dobrze. Proszę opowiedzieć mi o siostrze i o waszych stosunkach. - Na jego ustach pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech. - Wiemy już, że jesteście bliźniaczkami.

Popatrzyła na wiszące na tablicy zdjęcie Marii Teresy. Owszem, były bliźniaczkami. Tylko że ona była bladą, wypłowiałą wersją tej żywiołowej kobiety, która uśmiechała się do fotografa. Pulsowało jej w głowie, była zmęczona.

- Tak, jesteśmy bliźniaczkami. Jesteśmy jak dwie krople wody. A raczej jak lustrzane odbicie. Maria Teresa, Markiza, jest leworęczna, a ja nie. Jest jeszcze kilka niewielkich szczegółów, którymi się różnimy, ale to nic ważnego. Mieszkałyśmy z rodzicami w Rio Verde w Kalifornii. Około godziny drogi na pomoc od San Francisco, niedaleko Sonomy.

Maggie opowiedziała o tym, jak dorastały. Jak zmarli rodzice i Mitch. Co jakiś czas Henderson przerywał jej, pytając o szczegóły. Czasami komentował jej wypowiedzi. Detektyw Wilkins wtrącała się bardzo rzadko i tylko po to, by uściślić niektóre fakty. Nie pytali o romans z Thanem. Przemilczała to. Nie widziała powodu, by poruszać ten bolesny temat. Nie wspominała też o tym, jak kontaktuje się z siostrą. Henderson i Wilkins nie uwierzyliby jej.

Henderson słuchał uważnie, przyglądał się im obojgu i od czasu do czasu sięgał po piłkę bejsebolową, która leżała gdzieś na biurku, wśród rozrzuconych papierów. Brał ją i odkładał na miejsce. Hannah Wilkins zapisywała coś w notatniku, który wyjęła z kieszeni. Gdy się koncentrowała, na czole, nad starannie wyregulowanymi brwiami pojawiały się drobne zmarszczki i bezwiednie dotykała kolczyków. Thane nie odezwał się ani razu. Siedział na krześle w rozpiętej kurtce i z nogą na kolanie. Ręce skrzyżował na piersiach. Obok krzesła leżał jego kapelusz. Twarzy miał opanowaną. Wyglądał, jakby niewiele obchodziło go to, co się dzieje. Błysk w oczach zdradzał jednak, że jest zdenerwowany. Thane Walker płonął ukrytym ogniem, który w końcu miał wybuchnąć niczym

pochodnia.

- Więc gdy Maria Teresa poślubiła obecnego tu pana Walkera wasze drogi się rozeszły?

Serce Maggie biło w bolesnym rytmie. Unikała świdrującego spojrzenia detektywa.

- Tak, to prawda.

- Zaczęła pani studia na Uniwersytecie Kalifornijskim w Davis.

- Tak - kiwnęła głową. - Po dwóch latach nauki w college'u zaczęłam studiować literaturę i dziennikarstwo.

- I tam spotkała pani mężczyznę, który został pani mężem, Deana McCrae?

- Tak, poznałam go jeszcze w college'u.

Nie wiedziała dlaczego, ale opowiadając tę historię poczuła się zażenowana.

Skończyła studia, a Dean zaczął studiować prawo. - Przez jakiś czas pracowałam w prywatnej firmie.

- Zanim zaczęła pani pisać kryminały?

- Tak.

- Jedno dziecko?

Maggie pokiwała twierdząco głową, zastanawiając się, Co może teraz robić Becky.

- Córka. Rebecca Ann. Urodziła się w kwietniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku - wyrecytowała Maggie.

Wiedziała, że policja zna te dane. Są pewnie w komputerze lub gdzieś w papierach na biurku Hendersona. Detektyw przejrzał swoje notatki.

- Pani mąż zginął w wypadku samochodowym dziewięć miesięcy temu. Nie chciał rozjechać psa. Zjechał z drogi i uderzył w stojący w polu słup.

Na wspomnienie wypadku po plecach przebiegł jej dreszcz. Zaczęła się pocić. Przypomniała sobie ponure dni po śmierci Deana. Czuli się winna.

- Tak.

- Mieszkaliście wtedy w południowej Kalifornii.

- Tak, w Laguna Nigel - potwierdziła. - Przeprowadziliśmy się tam zaraz po studiach Deana.

- Nie rozumiem. Co to wszystko ma ze sobą wspólnego? - wtrącił się w końcu Thane.

Nie potrafił ukryć irytacji i zniecierpliwienia. Henderson nie zwrócił na niego uwagi.

- Po śmierci męża chodziła pani do psychiatry?

- Tak - coraz bardziej się denerwowała.

Rodzina męża nie była tym zachwycona, choć dla niej wizyty u psychiatry były naturalne po takiej tragedii. Connie wypominała jej, że zaczęła się leczyć jeszcze przed śmiercią Deana. Uważała, że Maggie od miesięcy, a może od lat cierpiała na depresję, a nawet jakąś poważniejszą chorobę psychiczną. Jim podejrzewał, że jest z nią coś nie w porządku, jeśli nie chce być żoną Deana. Bez względu na jego wady. Nie mówili tego głośno, ale dawali jej do zrozumienia, że nie pochwalają tego, co zrobiła. Po cichu twierdzili nawet, że nie jest dobrym przykładem dla córki. To była oczywista kpina. Maggie sądziła, że ich troska o dziewczynkę wynika z zainteresowania majątkiem, który Becky miała odziedziczyć.

- Ma więc pani historię cho...

- To była łagodna depresja, nic więcej - przerwała.

- Nic więcej? - zapytał sceptycznie Henderson.

- Chwileczkę, o co panu chodzi?

But Thane'a stuknął o podłogę. Nie był w stanie dłużej udawać, że nie interesuje go to, co mówi Maggie.

- Staram się ustalić fakty.

- A co ma z tym wspólnego małżeństwo Maggie?

Thane zdołał opanować zdenerwowanie. Wstał powoli. Oparł dłonie o biurko Hendersona, pochylił się i przysunął do detektywa tak blisko, że prawie dotykali się twarzami.

- Niech pan słucha, to Maria Teresa zaginęła. Przyjechaliśmy tu udzielić informacji. O niej. Chcemy pomóc w jej odnalezieniu. Nie musi pan zadręczać Maggie pytaniami.

Henderson uśmiechał się zimno.

- Siadaj, Walker.

Thane zawahał się przez chwilę, ale usiadł. Nie spuszczał z detektywa oczu. Zaciśkał blade usta, gotowy do ataku.

- To moja praca. - Henderson przeglądał papiery. - Niech się pan nie martwi, znajdziemy pańską byłą żonę. Czy kontaktowała się pani ostatnio z siostrą?

Maggie skuliła się.

- Nie. Ostatni raz widziałyśmy się jakieś pięć, sześć tygodni temu - powiedziała.

Postanowiła nie wspominać o niemyim krzyku o pomoc, jaki słyszała.

- Czy było coś dziwnego w jej zachowaniu?

- Moja siostra zawsze zachowywała się w niezwykły sposób - powiedziała Maggie. - Dlatego mówiono na nią Markiza.

- A może zauważyła pani coś wyjątkowego? Czy była zdenerwowana, smutna, a może się czymś martwiła?
- Myślę, że recenzjami programu. Najczęściej rozmawialiśmy o mojej córce. Maria Teresa i Becky... bardzo się przyjaźniły.

- Kiedy widziała się z pani córką ostatni raz?

Maggie zastanowiła się przez chwilę.

- W zeszłym roku, na początku lipca. To był jedyny raz, kiedy przyjechała do nas do Idaho.

- Dlaczego?

- Proszę pana, jeśli wie pan cokolwiek o mojej siostrze, powinien się pan domyślić, że domek w lesie gdzieś w Idaho nie jest w jej stylu. Maria Teresa nigdy nie lubiła... spartańskich warunków. To dziewczyna z miasta.

- Ale poślubiła pana? - Detektyw przeniósł wzrok na Thane'a i Maggie wyczuła, że jest tym tematem bardzo zainteresowany. Thane ubrany jak typowy kowboj, w wysokich butach, zniszczonej dżinsowej kurtce, białym podkoszulku i wytartych spodniach nie był mężczyzną w typie Markizy.

- Byliśmy młodzi - wyjaśnił Thane.

- Przyciągające się przeciwieństwa?

- Coś w tym rodzaju.

Maggie czuła, że jej policzki płoną. Ugryzła się w język. Nie było powodu, by mówić o wydarzeniach sprzed tylu lat. Mieli to już za sobą. To odległa historia. Ale czy na pewno? Dlaczego Maria Teresa nadal utrzymywała kontakty z byłym mężem, skoro, jak twierdził Thane, nic ich nie łączyło? Czuła, że Thane coś ukrywa. Sądziła, że Henderson w ten czy inny sposób wyciągnie to z niego. Wiedziała, że nie jest podejrzana, a przynajmniej tak jej się wydawało, ale rozmowa przypominała przesłuchanie. Henderson zachowywał się tak, jakby był przekonany, że ani ona, ani Thane nie mówią prawdy.

- Kiedy widział pan Markizę... Marię Teresę po raz ostatni? - szperając w szufladzie biurka, spojrzał na Thane'a.

- Mówiliśmy już o tym.

Oczy Thane'a płonęły gniewnie.

- Wiem o bójce w jej domu - powiedział Henderson. - Wrócimy do tego za chwilę. Czy widział się pan z nią przed tym zajściem?

- Jakieś trzy czy cztery tygodnie wcześniej. Przyjechała na moje ranczo w Wyoming.

- To niedaleko Cheyenne?

- Tak.

Maggie zeszywniała.

- Czy miała jakąś konkretną sprawę? - zapytał Henderson, wydobywając z przepastnej szuflady paczkę gum do żucia.

Thane zawahał się.

- To było dość niezwykłe, nawet jak na nią. Mówiłem już chyba, że czasami wpadała do domu w Kalifornii, ale tym razem chciała się zobaczyć ze mną. Miała kłopoty w pracy. Kłóciła się z jakimś facetem.

- Z Craigiem Beaumontem?

- Tak.

- Czy coś jeszcze?

Henderson rozwinął papieraek i włożył gumę do ust.

- Nie - odparł Thane.

Maggie znów odniosła wrażenie, że coś ukrywa. Coś ważnego. Nie wiedziała co, ale była pewna, że musi się dowiedzieć.

- A więc - kontynuował Henderson bawiąc się ołówkiem - gdy była żona odwiedziła pana po raz ostatni, jak długo została?

Thane poruszył nozdrzami.

- Jakiś czas.

- Jaki dokładnie?

Thane pocierał kark.

- Trzy dni - odparł w końcu ze śmiertelną powagą. - Została na trzy dni.

12

Trzy dni?

Niecały miesiąc temu Thane i Maria Teresa byli przez trzy dni sami w jego małym domu?

Rozboliła ją serce. Czuła, że ją okłamano, zdradzono. Znowu. Nie mogła się oprzeć i popatrzyła na Thane'a. Maria Teresa była w Cheyenne, w tym skromnym domu, spała w niewygodnym łóżku w drugiej sypialni? A może... była z Thanem?

- Czy byliście kochankami? - zapytał Henderson.

- Kiedyś, dawno temu - odparł bez zająknięcia Thane.

- A ostatnio nie?

- Nie.

- Ale widywała się z panem? - detektyw był podejrzliwy. Wymienił spojrzenia ze swoją partnerką, która zapisała coś w notesie.

- Czasami.

Henderson nieświadomie sięgnął po piłkę do baseballa.

- Z kim jeszcze się widywała? - podrzucił piłkę.

- Nie mam pojęcia.

- Musiała coś panu mówić.

Krzywiąc się złapał piłkę, by po chwili wrzucić ją do małej podrapanej rękawicy baseballowej.

- Nic takiego, o czym nie pisaliby w gazetach.

- I nie ma pan pojęcia, co się mogło z nią stać?

Thane patrzył kamiennym wzrokiem.

- Nie.

Henderson podszedł do Maggie.

- Mam nadzieję, że zostanie pani w mieście przez jakiś czas.

- Tak. Nie znalazłam jeszcze hotelu, ale gdy to zrobię, podam panu adres. Chcę wiedzieć, jak idą poszukiwania.

- A zatem będzie jeszcze okazja, by porozmawiać.

- Chwileczkę...

Maggie nie przyjęła do wiadomości, że rozmowa jest skończona. Nie po to oddała ranną córkę pod opiekę krewnych Deana, nie po to jechała przez kilka dni, nie zważając na pogodę, w towarzystwie człowieka, który omal nie zrujnował jej życia, by teraz odejść z kwitkiem.

- ...co pan zamierza dalej robić w sprawie mojej siostry?

- Będziemy nadal prowadzić śledztwo.

- Jak? - dopytywała się Maggie.

Kątem oka dostrzegła ledwo widoczny uśmiech na twarzy Thane'a.

- Mamy swoje sposoby, źródła, ślady... To nasza praca, proszę pani.

- Sposoby? - zapytała. - Sprawdzacie jakie rachunki płaciła kartą kredytową, tak? Telefony, karty bankowe? Szukacie jej samochodu? Czy prasa, radio i telewizja wiedzą o jej zaginięciu? Czy poprosiliście ich o pomoc?

- Pani siostra pracuje dla KRKY. Proszę mi wierzyć, media o wszystkim wiedzą. Zadzwonili do nas, gdy nie pojawiła się przed programem i nie można jej nigdzie złapać.

- Czy obserwujecie jej dom? Miała też domek letniskowy... niedaleko Aspen. Jeździła tam na narty.

- Tak, jest pod stałą obserwacją.

- A jej psychiatra? O ile pamiętam, to była jakaś kobieta. Kelly...

- Dr Michelle Kelly.

- Może ona coś wie?

Henderson wstał.

- Proszę nam zaufać. Robimy wszystko, co w naszej mocy, by odnaleźć pani siostrę. Znajdziemy ją. Ostatnią osobą, z jaką się kontaktowała, jest obecny tu pan Walker. W czwartek po nagraniu pokłóciła się z współprowadzącym program. Przerwała spotkanie z agentką, która przyleciała tu z Los Angeles, by z nią porozmawiać. Wszyscy wiedzą, że jest nerwowa i wybuchowa, więc producenci nie panikowali. Na wszelki wypadek wysiali jednak do niej ekipę. Nie zastali jej w domu. Zaczęli szukać. Wreszcie skontaktowali się z nami. W KRKY mówili o tym przez cały czas. Jakaś inna stacja też podawała informację. Dziwię się, że ani oni, ani sekretarka Markizy nie dzwonili do pani. - Zwracając się do Thane'a dodał - Panna Lawrence rozmawiała z panem, prawda?

Thane kiwnął głową.

- A dziennikarze?

- Zaczęli węszyć po mojej rozmowie z policją. Zdecydowałem, że ktoś powinien zawiadomić Maggie.

Henderson podszedł do Maggie.

- Czy dzwonili do pani w tej sprawie?

- Nie - zaprzeczyła Maggie. - Zdaje się, że nikt nie dzwonił. Nie było mnie wprawdzie w domu, byłam z córką na zakupach, ale włączyłam automatyczną sekretarkę.

Henderson zmarszczył brwi, jak gdyby nie wierzył w jej słowa.

- Gdy dyrektor stacji KRKY, Ron Bishop, zaczął się o nią martwić, postanowił razem z producentem programu *Denver o poranku* zadzwonić do nas. Poprosiliśmy, by przyjechał i wypełnił kilka papierków, zgodnie z procedurą. Od tej pory trwają poszukiwania - przejrzał swoje notatki. - Ostatnią osobą, która widziała pani siostrę jest kasjerka ze stacji benzynowej. Tam zatankowała, kupiła paczkę chrupek i dietetyczną colę. Płaciła gotówką. Ekspedientka twierdzi, że obsługiwała kobietę bardzo podobną do Markizy. Nie jest pewna, ale wydaje jej się, że w samochodzie były dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Twierdzi też, że jechali na zachód. Nie mamy żadnych dowodów, które by to potwierdzały. Ktoś rzeczywiście kupił te produkty, ale na rachunku nie napisano kto. Być może kobieta wymyśliła całą historię, by zdobyć rozgłos i klientów. Wie pani, czego to ludzie nie wymyślą. Moim zdaniem, te

informacje niczego nie wnoszą. Kasjerka mogła się mylić, a pani siostra mogła zawrócić na najbliższym skrzyżowaniu i pojechać w jakimkolwiek kierunku. Sprawdzamy to.

- Dobrze.

- Na razie uważamy pani siostrę za zaginioną. Nic więcej.

- Czy wzięliście po uwagę inne możliwości? - zapytał Thane.

- Oczywiście, ale nie mamy żadnych dowodów - Henderson był bardzo poważny. - Bierzemy pod uwagę morderstwo i samobójstwo.

- Samobójstwo? - wtrąciła się Maggie. - Maria Teresa nigdy nie odebrałaby sobie życia.

- Czy dobrze zna pani swoją siostrę? - zapytał Henderson.

Maggie po raz pierwszy nie wiedziała, co odpowiedzieć. Gdy dorastały, były ze sobą bardzo blisko, ale nawet wtedy chodziły własnymi ścieżkami. Później oddaliły się od siebie. Dzieliło je tyle tajemnic, kłamstw i zrad. Prawda była taka, że nie znała Marii Teresy zbyt dobrze. Markizę znała jeszcze mniej.

- Nie wierzę, żeby odebrała sobie życie. Dlaczego pomyśleliście o czymś takim? - spojrzała zatroskana na Thane'a.

- Już kiedyś próbowała to zrobić - powiedziała Hannah Wilkins. - Półtora roku temu.

- Nie... nie wierzę.

Henderson wzruszył ramionami.

- W szpitalu Pinhurst Memoriał robiono jej płukanie żołądka - znów szukał czegoś w papierach. - Połknęła wystarczająco dużo środków nasennych i antydepresyjnych. Na szczęście w porę zadzwoniła po pogotowie.

- O Boże - wyszeptała Maggie patrząc na Thane'a. - Wiedziałaś o tym?

- Tak, dowiedziałem się już po fakcie.

- Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

Była przerażona. Chodziło o siostrę, która poza córką była jej jedyną krewną.

- Nie chciała, by ktokolwiek o tym wiedział. Nikt. Choć jest osobą publiczną, jakoś zdołała to ukryć. - Henderson popatrzył na Hannah. - Musiała zapłacić ludziom ze szpitala, by zachowali to w tajemnicy.

Maggie drżała. Nagle zdała sobie sprawę, że wszyscy, których kochała odeszli. Mitch, rodzice, mąż, wszyscy zmarli. Jej siostra i córka stały się dla niej obce, a Thane Walker... cóż, on też. Z wysiłkiem zdołała wziąć się w garść. Musi odnaleźć Marię Teresę, jeśli żyje. Trzeba zaleczyć rany.

- Jak powiedziałem, pani siostra nie była zbyt zrównoważoną osobą - przerwał jej rozmyślenia Henderson.

Patrzył na nią wystarczająco długo, by zaczęła podejrzewać, iż myśli o tym, że i ona leczyła się u psychiatry. To nie jest żadne przestępstwo, pomyślała. Chyba, że nosi się nazwisko McCrae.

- Było też coś w rodzaju listu - dodał.

Jej serce znalazło się nagle w lodowym potrzasku.

- Jakiego listu?

- Wyjliśmy to z kosza obok jej komputera.

Henderson wydobył kawałek zapisanego papieru oprawionego w folię. Maggie od razu rozpoznała charakter pisma siostry.

Już dłużej tego nie zniosę. Nikt mnie nie rozumie. Nikogo nie obchodzę, Niech to się wreszcie skończy.

Maggie omal nie upuściła nie dopitej kawy. Nie uwierzyła. Wszyscy mogli to zrobić, tylko nie Maria Teresa. To było niemożliwe. Zbyt mocno kochała życie, kochała siebie samą.

- Każdy mógł to napisać - wyszeptała wpatrując się w list.

- To wygląda na jej pismo.

Maggie w zdumieniu pokiwała głową. Popatrzyła na Thane'a. Jego oczy zaprzeczały temu, co słyszy. Przypomniała sobie desperacką prośbę siostry. Usłyszała ją, gdy była sama, ale czy na pewno? Znów poczuła zmęczenie. W głowie jej pulsowało.

Henderson okrążył biurko. Pomyślała, że chce ją odprowadzić do drzwi, ale zatrzymał się przy niej i spojrzał przenikliwie w oczy.

- Mam nadzieję, że nie jest to jakiś chory wybryk pani siostry. Wie pani, żeby przyciągnąć uwagę widzów. Zwiększyć oglądalność programu. Może potrzebny jej rozgłos w mediach, zainteresowanie prasy i telewizji?

Kiedyś takie pytanie zaskoczyłoby ją, ale nie teraz. Jeszcze godzinę temu zaprzeczyłaby z całą szczerością, na jaką ją było stać, ale wtedy nie wiedziała tego, co wie teraz. Maria Teresa Reilly, Markiza, była żona Thane'a Walkera, niespełniona nadzieja Hollywoodu, kochająca ciotka, próbowała odebrać sobie życie.

- Ja... ja nie wiem. - odparła Maggie.

- Już kiedyś zrobiła coś podobnego. Zaaranżowała swoje zniknięcie, by zdobyć rozgłos.

- Tak, ale zawsze wracała.

- Zwykle tuż przed wezwaniem policji. - Henderson otworzył akta i przyglądał się liście nazwisk. - Kiedyś, gdy była aktorką, wstrzymano przez nią produkcję filmu, bo zamknęła się w garderobie i nie chciała wyjść.

- To było dawno temu.

- Zerwano z nią kontrakt.

- Wiem.

- Wzięła kilka lekcji, została dziewczyną od prognoz pogody. Wkręciła się do lokalnej stacji telewizyjnej i znalazła tam stałą pracę. Ostatnio dwa razy nie pokazała się w pracy. Tłumaczyła to problemami ze zdrowiem. Potem okazało się, że negocjowała podwyżkę.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Henderson popatrzył na Thane'a.

- Wiemy, że zażywała narkotyki.

- Co? Nie wierzę.

Maggie poderwała się z krzesła. Trzęsła się i kręciła przecząco głową, nie mogąc pogodzić się z tą informacją.

- I leki na receptę. Środki przeciwbólowe na kręgosłup, tabletki antydepresyjne, proszki nasenne. Te same, które połknęła podczas próby samobójstwa.

- Dobry Boże.

Zamknął teczkę i rzucił ją na stertę innych, leżących na biurku.

- Tak jak mówiłem, pani siostra ma więcej problemów, niż się pani wydaje.

- Jak każdy człowiek - powiedziała Maggie, nie dając się zastraszyć. - Markiza jest aktorką, a...

- Pani McCrae, proszę nie wyjeżdżać z tymi bredniami o wrażliwości artysty. Markiza to zwyczajna zepsuta pannica. Piękna, rozpieszczona i pusta.

Maggie z trudem przełknęła ostrą uwagę detektywa. Miała ochotę nazwać go ignorantem i pozbawionym wrażliwości bydlakiem, ale dała spokój. Uznała, że po tym, co usłyszała, jego słowa nie były dalekie od prawdy..

- Czy jestem jeszcze panu potrzebna?

- Nie, dziękuję. Na dziś wystarczy.

Henderson przez chwilę patrzył na Thane'a, po czym uśmiechnął się chłodno i podszedł do Maggie. Podał jej rękę.

- Być może, będę chciał z panią jeszcze porozmawiać.

- Dobrze się składa, bo i ja muszę porozmawiać z panem. Liczę, że będę na bieżąco informowana o postępach w śledztwie.

- Z całą pewnością. Proszę zostawić adres hotelu, w którym się pani zatrzyma.

- Tak, oczywiście - odparła szorstko. - Dziękuję za wszystko. - Podała detektywowi rękę.

- Ja również.

Thane zerwał się z krzesła, włożył kapelusz i uklonił się. Maggie szybkim krokiem opuściła biuro. Wychodząc, zapinała kurtkę i wkładała rękawiczki. Thane szedł tuż za nią. Przeciskali się obok biurka, biegających policjantów, urzędniczek, detektywów w cywilu i interesantów. Dotarli do holu i wyszli z budynku. Powietrze było zimne, przejrzyste. Na błękitnym niebie świeciło słońce. Na schodach kręciła się trójka reporterów. Palili papierosy, rozmawiali. W mroźnym powietrzu ich oddechy zamieniały się w obłoki pary. Kobieta popatrzyła na Maggie i Thane'a.

- Hej, czy to czasem nie Markiza?

Maggie usłyszała za plecami szept. Obejrzała się przez ramię w nadziei, że ujrzy siostrę i zrozumiała, że reporter mówi o niej.

- Markiza? Gdzie się pani podziewała?

Drobna Azjatka otulona w ciepły wełniany płaszcz, rękawice i szal podsunęła jej mikrofon. Tuż za nią stał kamerzysta, na ramieniu trzymał kamerę, którą skierował prosto na Maggie.

- Nie jestem Markizą.

- Nie? - reporterka uśmiechnęła się, mrugając. - Zamierza pani znów być Marią Teresą? Wszyscy się o panią martwią...

- Pani chyba nie rozumie - przerwała jej Maggie. - Nie jestem Marią Teresą. - Na ramieniu poczuła palce Thane'a.

- Chodźmy stąd - wyszeptał jej do ucha.

Ale Maggie zatrzymała się, czekając aż podejdzie do niej reporter.

- Jestem siostrą Marii Teresy Gillette. Przyjechałam do Denver, by pomóc ją odnaleźć.

- Markizę? Jest pani siostrą Markizy? - dopytywała się kobieta. - Pani nie jest stąd, prawda? - spojrzała na fotografa. - Tess wspominała coś o siostrze bliźniaczce, ale nikt jej nie widział. Mieszkała pani w Kalifornii, ale przeniosła się na północ, do Montany czy Idaho.

Maggie była zaskoczona. Minęło dopiero kilka dni, a oni zdobyli już tyle informacji. Pomyślała, że to dziennikarze powinni szukać jej siostry.

- Czy wie pani, gdzie podziewa się siostra? - zapytała Azjatka.

- Nie.

- Zniknęła już wcześniej, prawda? - dopytywał się wysoki, szczupły mężczyzna w kurtce narciarskiej.

Przy twarzy Maggie znalazł się kolejny mikrofon.

- Czy sądzi pani, że popełniono morderstwo? - W jego oczach czaiła się żądza sensacji. - Czy jest możliwe, że

została porwana?

- Bez komentarza - uciał Thane i zwracając się do Maggie dodał: - Nie wdawaj się w tę rozmowę.

- Kim pan jest? Ochroniarzem? - zapytał reporter, gdy Thane chwycił Maggie za ramię, zwracając na siebie uwagę dziennikarzy.

- To były mąż - wyjaśnił któryś z nich.

- Chciałabym przeprowadzić z panią wywiad - powiedziała pierwsza dziennikarka, podając Maggie swoją wizytówkę. - Nazywam się Jasmine Beli. Pracuję dla KRKY, razem z Markizą.

- Może później - przerwał Thane.

Kobieta rzuciła mu zimne spojrzenie. Widać było, że przywykła do takiego traktowania.

- Mówiłam do... jak pani się nazywa?

- Maggie McCrae.

- Mówiłam do pani McCrae - oczy obu kobiet spotkały się na chwilę. - Proszę do mnie zadzwonić.

- Jeśli pomoże mi pani odnaleźć Marię Teresę.

- Chętnie. Wszyscy w KRKY martwią się losem pani siostry. Jestem pewna, że Ron Bishop, dyrektor stacji, bez wahania zaangażuje w to naszych ludzi i udzieli pomocy.

- Chwileczkę... - wysoki reporter wcisnął się między rozmawiające kobiety.

- Dość tego - przerwał im Thane. Z gniewną miną pchnął Maggie w kierunku samochodu. - Chodźmy stąd.

Maggie wyrwała się z uścisku Thane'a, ale szła obok niego. Stawiał długie kroki. Starła się mu dorównać. Była wściekła. Zachowywał się tak, jakby najlepiej wiedział, co jest dla niej dobre. Na szczęście reporterzy nie szli za nimi. Maggie czuła, jak wzbiera w niej gniew. Gdy dotarli do furgonetki, wybuchła.

- Powinniśmy sobie coś wyjaśnić, Walker - kiwała mu przed nosem palcem odzianym w rękawiczkę. - To, że oboje chcemy się dowiedzieć, gdzie jest Markiza, nie znaczy, że masz prawo mówić mi, co mam robić. Nie będziesz mi dyktował, jak mam się zachowywać! Rozumiesz?

Zmrużył oczy i przez moment nie wiedziała, czy chce się kłócić, czy chce ją pocałować. Wszystko wokół przestało istnieć. Zrobił krok do przodu. Zastygła w bezruchu. Głośno przełknęła ślinę i z uwagą obserwowała cienką linię jego ust. A on włożył kluczyk do drzwi i otworzył samochód. W mgnieniu oka magiczny moment przysł.

- Nie licz na to, że powiem: tak księżniczko. Razem w to wdepnęliśmy. Nie zamierzam słuchać twoich rozkazów, rozumiesz?

- Razem? - powtórzyła. - A uważasz, że to twoje neandertalskie zachowanie na schodach przed posterunkiem było w porządku? Pozwól, że coś ci powiem, kowboju. Możesz sobie rozkazywać na twoim ranczu. Gdzieś na końcu świata, w Wyoming, ale nie tutaj i nie mnie - mówiąc to, uderzała się kciukiem w piersi. - Nie będziesz mi rozkazywał. - Wsiadając do samochodu, dodała: - Żaden mężczyzna nie będzie mną pomiatał. Nigdy nikomu na to nie pozwoliłam. Rozumiesz, Walker? Nie życzę sobie, byś mówił, co jest dla mnie dobre. Sama wiem to najlepiej.

- Już dobrze, siostró - zakpiła. - Czy to wszystko, proszę pani?

Na jego twarzy wciąż malował się gniew, a szaroniebieskie oczy miały teraz kolor morza w czasie zimowego sztormu.

- Na razie tak.

- I chwała Bogu!

Wsiadł do samochodu i trzasnął drzwiami. Przekreślił kluczyk w stacyjce.

- Dokąd? - spytał.

- Do domu Markizy.

- Chyba nie mamy prawa.

- Być może, ale detektyw nic nam nie mówił. Przypadkiem mam klucze.

Wyjęła pęk kluczy i potrząsnęła mu nim przed nosem.

- Nie pytałaś.

- Nie chciałam, żeby powiedział nie. To nie jest zabawa w „Mamo, czy mogę?”. Jeśli Henderson będzie się czepiał powiem, że nie wiedziałam. - Przetarła rękawiczką szybę. - Poza tym Maria Teresa dała mi klucze w razie Jakiegoś wypadku. Myślę, że miała na myśli coś takiego.

Thane wyjechał na ulicę. Skierowali się w stronę mostu na Cherry Creek.

- Wiesz co - powiedział, gdy wjeżdżali na most - jesteś bardziej podobna do siostry niż przypuszczałem.

Była rozczarowana. Im więcej wiedziała o Marii Teresie, tym mniej chciała mieć wspólnego z kobietą, która stała się Markizą.

- W twoich ustach to brzmi jak komplement - skłamała.

- Taki był mój zamiar.

- Oczywiście - nie potrafiła ukryć sarkazmu.

Otworzyła torebkę i wyjęła z niej okulary przeciwsłoneczne. Thane coś przede mną ukrywa, to pewne. Coś ważnego. Muszę się dowiedzieć, co to takiego, pomyślała.

*

Detektyw Henderson wyglądał przez okno i popijał kawę. Żuł gumę. Obserwował, jak czarny samochód Thane'a Walkera wtapia się w sznur wolno jadących pojazdów. Gdy kilka sekund później nieoznaczony wóz policyjny ruszył za nim, detektyw poczuł ulgę. Nie ufał Walkerowi, intuicja podpowiadała mu, że siostra Markizy nie powiedziała całej prawdy.

Wszystkie osoby wplątane w tę sprawę nabrały wody w usta - od Syda Gillette, drugiego męża Markizy począwszy, aż po Wade'a Pomeraniana, jej ostatniego kochanka. Każdy miał jakiś sekret. Nawet Evelyn Lawrence, sekretarka Markizy, która wydawała się być szczerze zmartwiona tym, co się stało, nie była wylewna w rozmowach z ludźmi choćby pośrednio związanymi z policją. Tak samo było z Craigiem Beaumontem, współprowadzącym *Denver o poranku*. Wyglądało na to, że ma żal do swojej partnerki.

Henderson wiedział, że wcześniej czy później prawda wyjdzie na jaw. Zawsze tak było. Trzeba tylko trochę pracy, sporo cierpliwości i wytrwałości.

Ze wszystkich osób związanych ze sprawą Thane Walker wydawał mu się najbardziej podejrzany. Może dlatego, że już wcześniej miał kłopoty z prawem. No i ta sprzeczka, o której wspominała sąsiadka Markizy, Jane Stanton. Niestety, słyszała tylko strzępki rozmowy. Według niej Walker groził Markizie, mówiąc: „Jeśli to kolejne gówniane kłamstwo, przysięgam, że cię zabiję”.

W razie czego samotna sąsiadka, mieszkająca z sześcioma kotami, będzie zeznawać w sądzie, myślał Henderson. O co mu chodzi? Dlaczego jest tak cholernie tajemniczy? - Dlaczego chciałby śmierci byłej żony? - mruknął do siebie.

- To dobre pytanie. On właściwie nie ma żadnego poważnego motywu.

Hannah schowała notes do swojej wielkiej torebki.

- Jest mu winna pieniądze.

- Ile? - Hannah podniosła głowę.

Właśnie znalazł tę informację w aktach i nie zdążył się nią jeszcze podzielić z partnerką.

- Kilkaset tysięcy dolarów. Jakies dwieście pięćdziesiąt.

- Czy dała jakieś zabezpieczenie?

Pokiwał głową.

- Tak, pod zastaw obu domów. Były jedyną gwarancją, jaką mogła dać. Ta kobieta tkwiła po uszy w długach. W razie śmierci Markizy mógłby sprzedać nieruchomości i tak ściągnąć należność.

- A inaczej nie mógłby tego zrobić?

- W zasadzie mógłby, ale ona z pewnością by mu tego nie ułatwiła. Walczyłaby o swoje. Poza tym prawnicy sporo kosztują. No i prasa. Nie daliby im spokoju.

- Czy on potrzebuje pieniędzy?

- Nie wygląda na takiego. Facet ma głowę do interesów. To samouk. Całe życie ciężko pracował. Odłożył sporo gotówki. Miał też szczęście, dobrze sprzedał kilka nieruchomości. Parę lat temu wykorzystał załamanie na rynku i kupił ziemię w Kalifornii. Zdaje się, że jest dość bogaty. Ale kto to wie?

- Myślisz, że zabiłby ją dla kilku kawałków? - zapytała sceptycznie Hannah. - To nie ten typ.

- Walker coś ukrywa. Jeśli ta kasjerka ze stacji benzynowej, która twierdzi, że Markiza robiła u niej zakupy, myli się, Walker jest ostatnią osobą, z którą się widziała. Chcę jeszcze raz porozmawiać z sąsiadką. Może przypomniła sobie więcej szczegółów o ich sprzeczce.

- Będziesz musiał z tym poczekać. Jane Stanton wyjechała na kilka dni do córki.

- Co?

- Jej córka miała wypadek. Chyba na nartach. - powiedziała Hannah, przeglądając swoje notatki. - Wróci na początku tygodnia.

Sprawy nie układały się po jego myśli. Hannah pstrykała długopisem.

- Jak myślisz, co ukrywa Walker?

- Pytanie jest warte ćwierć miliona. Teraz przynajmniej mamy jakiś motyw.

Henderson wypluł gumę do kosza. Miał ochotę na papierosa.

- Ale nie mamy ciała - powiedziała. - Może ona żyje.

Henderson jednak coraz bardziej jednak w to wątpił.

- Tak, ciągle jest nadzieja, że nagle się pojawi cała i zdrowa. A całe to zamieszanie może się okazać jedną wielką mistyfikacją. Może się gdzieś ukrywa. Leczy jakieś rany. Możliwe, że chciała po prostu uciec od tego wszystkiego. Ale mogła też mieć wypadek, amnezję.

- A samochód? Powinien się znaleźć.

Jeśli nie oddano go na złom, pomyślał.

Henderson pocierał napięte mięśnie karku. Zawsze, gdy był zestresowany, mięśnie przyprawiały go o ból głowy.

- Co sądzisz o siostrze?

- Miła osoba.

Hannah kiwała głową, jakby się zgadzała z własnymi słowami.

- Dlaczego tak uważasz?

- Rozsądna. Szczera. Niegłupia. Przejmuje się losem Markizy. Dobrze sobie poradziła.

- Tak myślisz?

Detektyw szanował opinię partnerki, nawet gdy się z nią nie zgadzał.

- Mhm. Ale jego nie jestem pewna.

- Ja też. Powiedz, co o nim sądzisz? Jak kobieta o mężczyźnie?

- Chcesz poznać kobiecy punkt widzenia?

- Tak jest. Wal.

Henderson podniósł kubek z zimną kawą. Hannah uśmiechnęła się i drapiąc się w ucho, powiedziała:

- Jedno muszę przyznać, jest cholernie seksownym facetem. Wcielenie męskości. Prawie jak postać z komiksu. Wysoki, dobrze zbudowany, mocne rysy, silna osobowość. Prawdziwy kowboj. Marzenie każdej amerykanki. Kobiety są ciekawe. Pociągają nas mężczyźni, którzy mają swoje tajemnice. Ale nie pytaj mnie dlaczego. Jest w nich coś niebezpiecznego. Czujemy dreszczyk emocji. A Thane na pewno coś ukrywa.

Czekała na jego reakcję, ale Henderson milczał. Hannah przechyliła głowę na bok. Zawsze to robiła, gdy się nad czymś zastanawiała.

- Mam wrażenie, że Walker przywykł do tego, że kobiety za nim szaleją. Możliwe, że Markiza tak naprawdę nie była w stanie z nim skończyć.

- I dlatego przyjeżdżała na jego ranczo, gdy miała kłopoty?

- Właśnie.

- A co z jej siostrą? Jaką rolę odgrywa w tej historii?

- To dobre pytanie - odpowiedziała Hannah.

W zamyśleniu stuknęła pomalowanym paznokciem w zęby.

- Kobieca intuicja podpowiada mi, że ona się w nim kocha.

- W Walkerze? - Henderson zapytał, choć też to zauważył.

Nie spodobała mu się ta myśl, bo sprawa i tak była skomplikowana. Wolał proste przypadki. Problem w tym, że takie nigdy się nie zdarzały. Miał wielką ochotę zapalić. Za jednego papierosa oddałby wszystko.

Hannah pokiwała głową.

- Niestety tak, o ile się nie mylę, pani McCrae wpadła po uszy. Zakochała się w byłym mężu swojej siostry bliźniaczki.

13

Opierając się o ladę w niewielkim sklepiku w Los Angeles, Becky z zainteresowaniem przyglądała się kobiecie wykonującej tatuaże. Artystka była bardzo chuda. Wyglądała jak kościotrup. Miała tlenione włosy, zbyt silny makijaż i nienaturalną opaleniznę. Patrząc na nią, trudno byłoby bez wahania powierzyć jej swoje ciało. Sama jednak nie miała takich obaw. Na jednym ramieniu widać było wytatuowane serca i kwiaty, a na drugim płonący krzyż i wstęgę z napisem „Jezus jest miłością”.

- No, laluniu, co to będzie? - zapytała.

W popielniczce dopalał się zapomniany papieros. W gabinecie pracowało kilku artystów. Siedzieli pochyleni nad klientami. Na dłoniach mieli chirurgiczne rękawiczki. Przyrządami, które przypominały elektryczne długopisy, wypełniali wzory naszkicowane na różnych częściach ciała. Lokal był całkiem schludny. Podłoga lśniła czystością, na ścianach wisiały zdjęcia przedstawiające wymyślne tatuaże.

- Zrób sobie któryś z tych chińskich znaków - radziła Jenny. - Wiesz, one wszystkie coś znaczą. Albo znak zodiaku. Też byłby fajny.

Wiatrak chłodzący gorące powietrze dmuchał w jej kierunku. Dziewczyna uśmiechała się z zadowoleniem. Becky pomyślała, że w tej krótkiej spódniczce i bluzie cheerleaderki jej przyjaciółka nie pasuje do tego miejsca.

- Kiedy masz urodziny?

- W kwietniu, ale... wołałabym raczej drozda.

- Nie ma sprawy. - Kobieta zaciągnęła się papierosem i sięgnęła po katalogi stojące na jednej z drewnianych półek.

- Zobaczmy... ptaki. Mamy tu gdzieś ptaki...

Znalazła cienką książkę, szybko przejrzała ją, marszcząc czoło.

- Niee... o, mam.

Położyła na ladzie zniszczony katalog. Becky przeglądała stronę po stronie nie chcąc, by kobieta lub Jenny jej doradzały.

- Ten - powiedziała wskazując wzbijającego się do lotu drozda.

- Ładny. Gdzie chcesz go mieć?

- Yyy... może na kostce?

- Super - zachwyciła się kuzynka. - Szkoda, że nie mam odwagi zrobić tego samego.

- Jenny, zdecyduj się - zachęcała Becky. Chciała, żeby obie zrobiły sobie tatuaże.

- Nie... nie mogę. Nie cierpię igieł.

- To nie boli.

Kobieta pochyliła się, by obejrzyć boscie nogi dziewczyny, i pokiwała głową.

- Może być - rzekła.

Jenny była bardziej podniecona niż Becky. Jej brązowe oczy błyszczały z przejęcia.

- Wspaniale. Ile to kosztuje?
- Zależy od rozmiaru i trudności.

Kobieta zastanawiała się przez dłuższą chwilę

- Cenę ustalimy z twoją mamą.

Wyprostowała się, a jej blond włosy opadły na plecy.

- Z moją mamą? - Becky zamarła.
- Może być tato. Albo opiekun. To bez znaczenia. Chyba wiesz, że nie mogę tego zrobić bez pozwolenia twojego opiekuna?
- Dlaczego?
- Kochanie - kobieta uśmiechnęła się smutno - będziesz musiała się nieźle nagimnastykować, żeby mnie przekonać, że skończyłaś osiemnaście lat.

Wypluła gumę do żucia, zaciągnęła się papierosem i po chwili wypuściła dym.

- Masz prawo jazdy, paszport albo jakiś inny dokument z datą urodzenia?
- Nie, ale...
- Tak myślałam. Cóż, nie mogę ci pomóc, chyba że przyjdiesz z kimś dorosłym.
- Ale...
- Nie chcę mieć kłopotów.

Długim palcem wskazała kartkę wiszącą nad półką z katalogami. Wywieszka określała dolną granicę wieku potencjalnego klienta. Kobieta zgasiła papierosa i schowała katalog z ptakami.

- Wróc z mamą albo gdy będziesz starsza.
- Och, bardzo panią proszę... - błagała Jenny.

Becky była zaskoczona, że jej kuzynce aż tak na tym zależy. Pomyślała, że niewiele wie o Jenny. Zaczęła nawet podejrzewać, że chce ją wpędzić w tarapaty. Tym bardziej, że zdążyła się już przekonać, iż Jenny wyznaje zasadę Chroń Własny Tyłek.

- Słuchajcie, dziewczyny - kobieta kręciła głową - sama mam dzieci i gdyby zrobiły coś takiego za moimi plecami, wierzcie mi, ukarałabym je tak, że gorzko by tego żałowały. Następnym razem przyprowadź mamę.

Nie miały wyboru. Jenny i Becky wyszły z salonu na zalaną październikowym słońcem ulicę. Dzień był wyjątkowo ładny i ciepły. W tej części miasta wzdłuż chodnika nie było drzew, toteż przy najmniejszym nawet powiewie suchego wiatru na ulicach fruwały śmieci.

- Co za śmietnik - powiedziała Jenny. - Myślałam, że tutaj to zrobią. Moi znajomi chodzą do ładniejszych salonów. Wiesz, takich eleganckich jak gabinety lekarskie. Ale tam to na pewno nie robią tego bez pozwolenia rodziców.

Wsiadła do srebrnej jeny i otworzyła drzwi od strony pasażera. Gdy Becky sadowiła się obok niej, Jenny zdjęła z szyby osłonę przeciwsłoneczną, która miała uchronić samochód przed nadmiernemu nagraniem się. Tym razem nie pomogła. W środku było gorąco i duszno. Jenny włączyła się do ruchu, a słysząc najnowszą piosenkę Jewel, podkręciła radio. Becky rozsiadła się wygodnie w fotelu. Uśmiechnęła się do siebie i pomyślała, że nie tęskni za matką. Ostatnio nie układało się między nimi najlepiej.

Tak jest dobrze, pomyślała, choć ciocia Connie i wujek Jim nie są zbyt mili. Connie stale wzdycha i narzeka, a Jim jest strasznie upierdliwy. Na szczęście jest Jenny. Zazwyczaj jest super.

Becky wyjęła z plecaka okulary przeciwsłoneczne i włożyła je na nos. Jenny szperała przez chwilę w torebce. Wyjęła z niej paczkę papierosów i zapalniczkę.

- Chcesz? - zapytała.

Becky uśmiechnęła się i wzięła papierosa. Jenny podała jej zapalniczkę i ze śmiechem przyglądała się, jak próbuje ją zapalić.

- O, tak - wyjaśniła. Z wprawą przypaliła jej papierosa. Becky zaciągnęła się gwałtownie. Zbyt gwałtownie. Dym wypełnił płuca i dziewczyna zakrztusiła się. Jenny się roześmiała i zapalając swojego papierosa, zmieniła bieg.
- Szkoda, że nie ma automatycznej skrzyni biegów - narzekała.

Becky miała zbyt dobry humor, by się tym przejmować. Nie przeszkadzało jej nawet to, że nie zrobiła sobie tatuażu. Odsunęła szybę, zaciągnęła się i ponownie zakasłała. Postanowiła opanować sztukę palenia. Wystawiła za okno rękę z papierosem.

Tak, to jest życie, myślała. Uwielbiam Los Angeles.

- Wczoraj wieczorem podsłuchałam rozmowę rodziców - powiedziała Jenny, gdy Becky przyglądała się mijanym palmom. - Mówili, że będziesz z nami mieszkała.
- Naprawdę? - Becky zakrztusiła się dymem. - Moja mama tego chce?
- Nie wiem. Wiesz... chyba nie chcieli, żebym to słyszała. Siedzieli na patio, okna były otwarte, więc kręciłam się tam i słyszałam, o czym gadali.

Jenny zagryzła wargi, jak gdyby nagle pożałowała, że za dużo powiedziała. Spojrzała przez ramię, nacisnęła na gaz i wyminęła chłopaka w czerwonym fordzie.

- Becky, nie mów nic mamie, dobrze? Pewnie chce ci zrobić niespodziankę.

- Fajnie - powiedziała Becky, zaciągając się papierosem. Bardzo spodobał jej się pomysł zamieszkania na stałe w Los Angeles.

Może i mama zechce się tu przeprowadzić, pomyślała.

*

Dom Markizy był prawdziwą rezydencją. Czerwona cegła i kamień, wokół dostojne klony i leciwe jesiony, trzy piętra, stromy dach przysypany śniegiem. Szyby w oknach połyskiwały w promieniach słońca. Maggie i Thane wjechali na podjazd przed głównym wejściem.

- Ma system alarmowy - przypomniał Thane, gdy Maggie wkładała klucz do zamka.

- Wiem.

Gdy weszli do środka, elektroniczny system alarmowy zaczął tykać. Maggie zdjęła rękawiczki i pewnym krokiem ruszyła w kierunku małej spiżarni obok kuchni. Otworzyła drzwi i wyłączyła alarm. Jej siostra musiała robić to każdego dnia. Pusty dom Marii Teresy przyprawił ją o dreszcze. Miała wrażenie, że stąpa po czyimś grobie.

To jakieś szaleństwo, uspokajała samą siebie. Marii Teresy nie ma w domu, ale to przecież o niczym nie świadczy.

Nie pomagała jej nawet obecność Thane'a.

Domumeblowany był w bliżej nieokreślonym stylu. Meble i dzieła sztuki pochodziły z różnych epok. Salon, gabinet i biblioteka urządzone były raczej staroświecko. Przeważała złamana zieleń i beż, co skojarzyło się Maggie z męskim klubem wypełnionym dymem papierosowym. Kanapy obite skórą w kolorze krwawej czerwieni, krzesła z wysokimi oparciami, antyczne stoły, mosiężne lampy, książki oprawione w skórę świadczyły o snobizmie właścicielki. Pokoje te nie pasowały do reszty domu, gdzie na tle antycznych mebli wisiały współczesne plakaty i bezwartościowe obrazy, które najwyraźniej przeciągnęły uwagę gospodyni i przemawiały do jej wyobraźni.

W holu, obok zbroi stał manekin kobiety z papierosem w długiej lufce ubranej w strój z lat dwudziestych: postrzępioną suknię ozdobioną koralikami i boa z piór. W kuchni na ścianach wisiały talerze, wieszak na noże, koszyczki z suszonymi ziołami. Na marmurowych blatach stały wazony z ciętymi kwiatami. Krzesła w czarno-białe paski wciśnięte były między kanapę, obitą imitacją skóry leoparda a wielki stół, na którym rozłożone były porcelanowe szachy. Obok znajdował się kominek wykończony drewnem wiśniowym.

Mimo widocznych starań Markizy pokoje wypełniała pustka. Bez gospodyni dom wydawał się martwy. Ciszę zakłócało tylko tykanie zegara z kukułką.

Maggie otworzyła drzwi do patio. Powietrze było chłodne i czyste. Rabatki pełne zeszłorocznych liści zasypał śnieg. Ogród, niczym biały dywan, opadał ku brzegowi skutego lodem jeziora, które zamieszkiwało stado gęsi. Tafla połyskiwała w promieniach popołudniowego słońca. Drugi brzeg porastały pozbawione liści drzewa. W oddali widać było Góry Skaliste, których szczyty jak katedry wzbijały się ku bezchmurnemu niebu.

- Całkiem tu miło - powiedziała.

Na mrozie jej oddech zamieniał się w parę.

- Podoba ci się?

Thane patrzył w słońce.

- A jej?

Wzruszył ramionami.

- Kto to wie?

Weszli razem do środka. Maggie zamknęła drzwi na klucz.

- Dla Markizy nic nie jest proste - zauważył Thane, gładząc dłonią oparcie skórzanego kanapy.

- Dla Marii Teresy - automatycznie poprawiła go Maggie.

Nigdy nie lubiła scenicznego pseudonimu siostry. Brzmiał zbyt pretensjonalnie.

Weszła do jadalni, gdzie pod ogromnym żyrandolem z nadpalonymi świecami stał stół, a wokół niego dwanaście krzeseł.

W salonie, którego okna wychodziły na ogród i jezioro błyszczał w słońcu fortepian.

- Dlaczego opuściła takie miejsce? - zastanawiała się głośno Maggie, wspinając się krętymi schodami na piętro.

Sypialnia Marii Teresy emanowała kobiecością. W pokoju urządzone w odcieniach różu uwagę przyciągało ogromne łóżko przykryte białą jedwabną pościelą. W kącie stał stolik i kilka krzeseł. Obok nich szafka, w której ukryty był telewizor i sprzęt stereo. Na ścianach wisiały czarno-białe i kolorowe zdjęcia, które pokazywały, jak Maria Teresa Reilly stopniowo przemieniała się w Markizę. Na kilku fotografiach była też Maggie i Becky. Zdjęcia szkolne i z zawodów sportowychapełniały nocny stolik i toaletkę. W rogach pokoju stały wypchane dzikie zwierzęta: lama i wąż. Całości dopełniały jedwabne kwiaty o intensywnych kolorach.

Thane w milczeniu oglądał zdjęcia. Maggie zastanawiała się, ile razy je już widział. Ile razy odwiedził sypialnię Marii Teresy. Szybko jednak odpędziła od siebie te myśli. Weszła do łazienki, gdzie znajdowała się marmurowa wanna i okna ozdobione kwiatowymi wzorami. Na ścianach wisiały lustra. Na marmurowej półce stały perfumy i

kosmetyki. W powietrzu unosił się zapach świec.

Maggie wzięła do ręki flakonik z wodą kolońską i zastanawiała się, gdzie jest Maria Teresa.

- Czy myślisz, że mogła się targnąć na życie? - zapytała, odstawiając buteleczkę.

Ich spojrzenia spotkały się w lustrze. Thane rozpiął kurtkę.

- Nie kobieta, którą znałem. Była zbyt samolubna. Zbyt próżna.

- Więc może została porwana?

- Nie sądzę- potrząsnął przecząco głową. - Minął już ponad tydzień, odkąd zniknęła. Porywacze zażądałoby okupu.

Maggie otworzyła drzwi garderoby i weszła do obszernego pomieszczenia. Stały tam setki pudeł z butami. Na wieszakach wisiały w foliowych pokrowcach sukienki, bluzki, spódnice i stroje wieczorowe. Swetry poskładane w kostkę ułożone były w szufladach, a podkoszulki, krótkie spodnie i dżinsy leżały na półkach.

- Co się z nią stało?

Dotykając miękkiego, zielonego sweterka z angory, Maggie próbowała wyobrazić sobie, o czym myślała siostra.

- Dlaczego policja uważa, że masz z tym coś wspólnego? Nie zaprzeczaj. Sam mówiłeś, że Henderson cię podejrzewa. Widziałam, jak dziś na Glebie patrzył. Jakbyś był przestępcą.

Maggie pochyliła głowę.

- Może dlatego, że mimo rozvodu widywaliśmy się od czasu do czasu - rozmyślał na głos, gdy szli przez hol. - No i ta kłótnia.

- O co się pokłóciliście?

Jego oczy błysnęły w mroku.

- O jej kłamstwa. Maria Teresa po raz kolejny próbowała mnie oszukać. Przyłapałem ją na kłamstwie.

- Na jakim kłamstwie?

- Wydarzenia sprzed wielu lat.

Nie naciskała. Wcześniej czy później sam jej to powie. Otwierali drzwi do kolejnych pomieszczeń. Minęli dwa pokoje gościnne, siłownię i dwie łazienki. Zwiedzili całe piętro. W drugiej garderobie znaleźli męskie ubrania, garnitury, buty i jedwabne koszule.

- Wygląda na to, że jej chłopak często tu bywał.

- Chłopak?

- Wade Pomeranian. Jej ostatni facet.

Thane obrzucił garderobę krytycznym spojrzeniem. Maria Teresa wspominała o nim podczas ich ostatniej rozmowy telefonicznej. Był od niej młodszy. Pracował jako model.

- Nie lubisz go, prawda? - zapytała Maggie.

- Z wzajemnością.

Thane zamknął drzwi i wszedł do łazienki przylegającej do garderoby. Dokładnie obejrzał przybory do golenia i męskie kosmetyki. Powąchał napoczęte flakoniki.

- Pomeranian to cwany szczeniak. Nie zależy mu na Marii Teresie, ale trzyma się jej, bo ma kontakty w branży. To kawał próżnego, samolubnego i interesownego skurczybyka.

- Ej, Walker, nie bądź zazdrosny. Powiedz, co naprawdę o nim sądzisz - dokuczała mu Maggie.

- Nie powinna była zadawać się z tą pijawką. Ale, jak sama często powtarzała, to było jej życie.

- To jest jej życie - poprawiła. - Jest.

Maggie dotknęła wiszącego na drzwiach czarnego szlafroka. Obok prysznicza leżały spodnie do kompletu.

- Wygląda jak strój mnicha.

- Nie szukaj w kieszeniach różańca, Pomeranian nie jest taki święty - z sarkazmem zauważył Thane.

- Nikt nie jest - skwitowała Maggie, gdy wspinali się schodami na poddasze.

Poddasze przerobione było na salę do ćwiczeń baletowych. Stał tam sprzęt grający. Wzdłuż ścian pokrytych lustrami ciągnęły się drążki. Drewniana podłoga błyszczała czystością.

- Były jeszcze inne powody tego, że wasze życie się nie układało? - zapytała Maggie. Miała wrażenie, że Thane nigdy do końca nie rozstał się z byłą żoną, coś nadal ich łączyło.

- Myślisz, że to za mało, że wrobiła mnie w małżeństwo i że choć się rozwiedliśmy, nadal sprawia mi same kłopoty?

- Nie wiem - powiedziała.

- Jest mi winna pieniądze.

- Doprawdy? - Maggie myślała, że wie już wszystko, ale tym razem ją zaskoczył. - Ile?

- Sporo.

- A dokładnie? - szeptała.

Schodzili na parter.

- No dobra, jest mi winna dwieście tysięcy dolarów plus odsetki. Razem to jakieś dwieście pięćdziesiąt.

Maggie zatrzymała się przerażona.

- Żartujesz.

- Wcale.
- Aż tyle!
- Były jej potrzebne.
- Na co?- zapytała.

Spojrzała na marmurową podłogę korytarza, lśniące wiśniowe schody i kandelabry. Manekin kobiety i średniowieczny rycerz stali na warcie. Przez oszklone drzwi na końcu salonu widać było fortepian.

- Na podatki. Twoja siostra przez kilka lat ich nie płaciła. A wiesz, jak tego nie lubi urząd podatkowy.
- Zapłaciła za nią?
- Pożyczyłem jej.

Maggie weszła do gabinetu i usiadła na krześle Markizy. Wzięła ołówek i zaczęła nim nerwowo pukać w brzeg biurka. Thane stał przy oknie i wpatrywał się w przysypany śniegiem trawnik. Październikowe słońce szybko zachodziło. Zapadał zmierzch.

- Nie byłeś ze mną szczery - powiedziała.
- Jak to?
- Nie mówiłeś, że się spotykacie. Nie podejrzewałam was o to.
- Widywała się ze mną tylko wtedy, gdy wpadała w tarapaty.
- Powinieneś być mi powiedzieć - nalegała.
- Powiedziałem, gdy zapytałaś.
- Daj spokój.
- Maggie...
- Nie wspomnieliś o pożyczce - przypomniała mu.
- Czy to takie ważne?

- Dobry Boże, Thane, czyś ty postradał rozum? - wybuchła. - Nie widzisz, co się dzieje? - Zerwała się na równe nogi i podeszła do niego. - Byłeś Przecież dziś ze mną na posterunku. Henderson uważa, że albo Maria Teresa odgrywa spektakl przed dziennikarzami, by odzyskać popularność, albo popełniła samobójstwo, albo tyją porwał. A może nawet zrobiłeś jeszcze coś gorszego! Przez waszą kłótnię jesteś na pierwszym miejscu na liście podejrzanych! - krzyczała zdenerwowana, machając rękami. - Myślałam, że potrzebujesz mojej pomocy, że razem znajdziemy Marię, że... sama już nie wiem... pomożemy policji wyjaśnić tę sprawę.

Nie odrywał wzroku od jej twarzy. Tak samo jak przed laty. Nagle zaschło jej w ustach. Powoli uspokoiła się. Napięcie minęło.

- Czy nie przyszło ci do głowy, że to był pretekst, by się z tobą spotkać? - zapytał.
- Nie sądzę, Thane - odparła. - Jestem tu, bo potrzebujesz mojej pomocy. Kropka.

Podeszła do biurka i opadła na krzesło. Nagle jej uwagę przyciągnął portfel z wizytówkami należący do Marii Teresy.

- Kim mogła być ta osoba, która, według detektywa, widziała ją po raz ostatni?
- To kasjerka ze stacji benzynowej. Ale nie mają pewności. Henderson mówił coś o pomyłce. A ostatnio, gdy z nim rozmawiałem, mówił o ludziach, którzy robią wszystko dla rozgłosu. Nie zgadzał się też czas.
- Pomijając tę kasjerkę, ty ostatni rozmawiałeś z Markizą, prawda?
- Jestem ostania osobą, o której wiadomo, że z nią rozmawiała - sprostował.
- No tak - patrzyła na niego w skupieniu. - A wcześniej, zanim widziała się z tobą, spotkała się z ludźmi z pracy, tak? Z Craigiem Beaumontem i innymi, może z sekretarką?
- O ile pamiętam, to tak.
- Mnie też się tak wydaje.

Przeglądając zniszczone wizytówki, przypominała sobie, co Maria Teresa mówiła o ludziach, których nazwiska pojawiały się teraz przed jej oczami. Czytała: Craig Beaumont, Syd Gillette, Robert Inman, dr Michelle Kelly, Maggie i Becky McCrae, Wade Pomeranian, Thane Walker.... Wielu nazwisk nie rozpoznała.

Zauważyła telefon. Odsluchiwała nagrania z automatycznej sekretarki. Kilka razy ktoś odłożył słuchawkę. Dzwoniła agentka Markizy Ambrose King. Sporo było telefonów z telewizji. Dzwoniła Evelyn Lawrence i detektyw Henderson. Odezwał się także rozpaczliwy głos samej Maggie: Mario Tereso, to ja, Maggie. Jeśli tam jesteś podnieś, proszę słuchawkę... Maria?... Yyy.... Markiza? Jesteś tam?... Usłyszałam twoją wiadomość... taką jak wiesz... jakie mi kiedyś wysyłałaś. Oddzwonij, proszę. Nadal jestem na ranczu w Idaho...

- Jaką wiadomość? - zapytał Thane. Maggie czuła się jak idiotka.
- Ach, to nic takiego - potrząsnęła głową.
- Jak to, przecież mówiłaś, że dostałaś jej wiadomość?

Podszedł do biurka i nacisnął przycisk. Zawstydzona Maggie jeszcze raz wysłuchiwała nagrania.

- Co to znaczy? - powtórzył Thane.
- Nieważne.
- Kobieto, to ważne jak cholera. Mówiłaś, że nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic. Jaka to wiadomość?
- Daj spokój. Nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedziała.

Zacisnął palce na jej nadgarstku. Szarpnął i odwrócił twarzą do siebie.

- Spróbuj - zaproponował. Byli tak blisko siebie, że czuła jego ciepło i zapach.
- Przestań, Thane.
- Nie ma mowy.

Patrzył jej prosto w oczy. Jeszcze mocniej ścisnął nadgarstek.

- No dobrze - powiedziała. Głos uwiązł jej w gardle. Wahala się przez chwilę.
- Nie uwierzysz, kowboju, ale czasami, no... bardzo rzadko, Maria Teresa... komunikuje się ze mną, jak by to powiedzieć, bez słów.
- Bez słów?

Jego oczy zwęziły się. Wyglądał jakby próbował odczytać jej myśli i sprawdzić, czy nie kpi z niego. Maggie chciała odsunąć się nieco, ale trzymał ją w żelaznym uścisku niczym w pułapce.

- Dokładnie. I nie mam na myśli listów, poczty elektronicznej ani języka migowego. Mówię o telepatii.
- Gówno.
- Sam zapytałeś.
- No dobra, spróbuj jeszcze raz.
- Nie zdarza się to często. I działa tylko w jedną stronę.
- Jak to? - był sceptyczny.

Zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się.

- Maria Teresa wysłała mi coś w rodzaju swojego głosu wewnętrznego, który.... słyszę.
- Tylko ty?
- Tylko ja.

Skrzywił się z niedowierzaniem.

- Słyszę go bez względu na dzielącą nas odległość.
- No jasne.
- Sam pytałeś - przypomniała.

Jego uśmiech był zimny jak najmroźniejszy styczniowy dzień.

- Co ostatnio od niej usłyszałeś?
- Niewiele.

Zwilżyła wargi. Jego wzrok na moment ześliznął się na jej usta. Po chwili znów patrzył jej w oczy.

- Powiedz, Mag.

Z trudem przełknęła ślinę.

- No dobrze. Usłyszałam ją na godzinę przed tym, nim pojawiłeś się na ranchu w Idaho.
- Ciekawe.
- Do diabła, to prawda!

Szarpnęła rękę, ale ścisnął mocniej.

- A potem?
- Nic... choć... właściwie to tak, słyszałam coś przez sen, ale... - potrząsnęła głową.
- Jezu Chryste.
- To prawda. Wierz albo nie.
- Dobra - powiedział - powiedzmy, że ci wierzę. To kiedy słyszałaś ten... jak chcesz to nazwać.... tę wiadomości od niej?

Wzięła głęboki oddech. Pożałowała, że nie może cofnąć słów. Bała się, że pomyśli, iż jest stuknięta. Ale było za późno.

- Po raz pierwszy usłyszałam ją, gdy piła z Mitchem w yakuzzi. A potem w tę noc, gdy on umarł. Słyszałam ją jeszcze wtedy, gdy byłeś u nas w domu i powiedziałeś, że macie zamiar się pobrać. I ostatni raz, po wielu latach, wierz albo nie, usłyszałam ją znowu. A potem ty przyjechałeś. Była zrozpaczona i przerażona. Prosiła mnie o pomoc.

Odchyliła głowę i uniosła wyzywająco brodę, gotowa odeprzeć jego zarzuty.

- No, dalej, powiedz, że kłamię, albo że oszalałam.
- Kłamiesz albo oszalałaś.
- Nie masz racji. Tyle że ostatnio... ostatni raz mówiła do mnie... to musiało być już po jej zaginięciu. Po tym, jak policja znalazła list pożegnalny. Więc widzisz, na pewno żyje. Musi. Bo jak inaczej wysłałaby mi wiadomość!
- Jeśli w ogóle to zrobiła.
- Po co miałabym zmyślać?
- Nie wiem. A co mówiła? - Wpatrywał się w nią, jak gdyby postradała zmysły.
- Prosiła o pomoc - skłamała.

Nie mogła oskarżyć go o przestępstwo, w które sama nie wierzyła. Zacisnął szczęki. Mięśnie na jego skroniach pulsowały. Patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Wymyśliłaś to.

- Po co?

Thane nie chciał jej ufać. Dawno temu nauczył się, że nie należy wierzyć żadnej kobiecie. Ale z Maggie zawsze było inaczej.

- Bo to nie ma sensu.

- A czy to.. - wskazała ręką dom - czy to ma jakiś sens? Wiesz co, Walker, jeśli chcesz, żebym ci ufała, też musisz mi zaufać!

W jej zielonych oczach płonął ogień, policzki lekko się zaróżowiły. Oczarowała go.

- A ty, Maggie? - zapytał, starając się ukryć, że nadal mu się podoba, jak żadna inna kobieta. - A ty mi ufasz?

- Nie - padła szybka, ostra odpowiedź. - Ale cholernie się staram. Nie wiem jak ty, ale ja nie zamierzam siedzieć i czekać, aż policja raczy się zabrać do roboty.

- Co chcesz zrobić?

- Przez kilka lat pracowałam dla prywatnego detektywa. Sporo się nauczyłam. Chcę się wreszcie dowiedzieć, co się stało z moją siostrą. Thane, możesz mi wierzyć albo nie, ale ona mnie wołała. To było chyba zaraz po tym, jak zniknęła.

- To jakieś szaleństwo.

- Już to słyszałam. Jeśli policja poszpera, dowiedzą się, że leczyłam się u psychiatry dwa razy. Pierwszy raz wiele lat temu, po śmierci Mitcha, gdy ty i Maria Teresa postanowiliście się pobrać. Zaczęłam studia i leczyłam się.

Był zaskoczony. Maggie zawsze była najnormalniejszą osobą na świecie. Twardo stała na ziemi.

- Drugi raz było to rok temu. Moje małżeństwo się rozpadało, córka oddalała się coraz bardziej. Czułam, że wpadam w czarną dziurę. Im bardziej chciałam się z niej wydostać, tym głębiej się zapadałam. Poprosiłam więc o pomoc lekarza.

Wahała się przez moment. W jej oczach dostrzegł ból.

- A potem zginął twój mąż?

Wiedział, że porusza trudny temat, ale nie mógł się powstrzymać przed zadaniem pytania, które nie dawało mu spokoju.

- Niezupełnie. To była depresja. Zazywałam leki. Ale powodem choroby było moje małżeństwo. Dean i ja praktycznie byliśmy w separacji od wielu lat. Każde z nas żyło własnym życiem, osobno. On miał jakąś kobietę, choć temu zaprzeczał. Nie mogłam tego znieść. Chciałam rozwodu, złożyłam nawet papiery - odwróciła wzrok. - Tego dnia wypił prawie ćwiartkę whisky, wyjechał za miasto i stracił kontrolę nad samochodem - westchnęła.

- I zginął.

- Nie tak od razu. - W oczach miała łzy, ciężko oddychała. - Dean McCrae zapadł w śpiączkę. Na jedenaście dni. A my, ja, córka, jego rodzice, brat i szwagierka czuwaliśmy przy nim, modliliśmy się, mówiliśmy do niego, błagaliśmy, by nie odchodził. - Zamrugnęła, otarła łzy spływające po policzkach. - W końcu, nie było już nadziei. A wtedy... wtedy ja... odłączyłam go. Rodzina się zgodziła, ale potem... - przełknęła ślinę i wzięła głęboki wdech. - Cóż, rezultat był taki, że jego rodzice i brat obwiniali mnie, moja córka też. Staram się jakoś z tym pogodzić.

Podniosła oczy, patrzyła na niego świdrującym wzrokiem. Był pewny, że widzi wszystkie jego grzechy. A było ich sporo. Więcej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Gniew wykrzywił jej twarz. Łzy pozostawiły na policzkach dwa błyszczące ślady.

- Jeszcze jakieś pytania, kowboju?

Nie odpowiedział. Wziął ją w ramiona. Westchnęła, otworzyła szeroko oczy, a jego niecierpliwe usta przyłgnęły do jej ust.

Przez myśl przebiegło mu milion powodów, dla których powinien przerwać to szaleństwo. Nie mógł jej ufać, bo była siostrą Marii Teresy, bo złamał jej serce i nienawidziła go. Ale nie dbał o to. Nie obchodziło go nic poza jej dotykiem i zapachem. Jego krew wrzała. Język wdzierał się między jej zęby. Mruczała cicho, otwierając się przed nim bez oporu. Przypomnił sobie jej nagą, pachnącą skórę, wilgotne włosy, gdy przeżyła się w deszczu. Jaka była ciepła, jak chętnie ofiarowała mu swoje dziewictwo tam, w lesie, gdy drżała w jego ramionach, dokładnie tak jak teraz. Marzył o gorącym, namiętym seksie.

W domu Marii Teresy?! - pomyślał nagle i poczuł jakby ktoś oblał go wiadrzem zimnej wody.

Ona również poczuła wyrzuty sumienia, że krzywdzą kobietę, która może nie żyje, jej siostrę, jego byłą żonę. Szarpnęła się, próbując wyrwać się z objęć.

- To nie był najlepszy pomysł.

Nie puścił jej. Trzymał mocno i całował. Namiętnie. Przez chwilę myślał, że ulega, ale ona znów go odepchnęła.

- Naprawdę, Thane. Mam... mamy coś do zrobienia. Musimy odnaleźć Marię Teresę. Nie chcę mieć wątpliwości.

- A masz?

- Tak.

Przeklinając w duchu samego siebie uwolnił ją z uścisku.

- Wprawiasz mnie w zakłopotanie. Nie mogę sobie na to pozwolić... nie teraz.

Odsunęła się od niego, by nabrać sił. Jej oddech był nierówny. W oczach tliła się tłumiona namiętność. Znał to spojrzenie.

- Znajdźmy Marię Teresę.
Podeszła do biurka i włączyła komputer. Gdy na ekranie pojawił się tekst, wpisała hasło i otworzyła kalendarz Marii Teresy.
- Skąd wiedziałaś, jak otworzyć?
- Maria T. nie jest maniakiem komputerowym. Zawsze używa daty swoich urodzin jako kodu dostępu. Przypadkiem jest to również data moich urodzin. - Uśmiechnęła się łagodnie. - Pamiętaj, że pracowałam dla...
- Prywatnego detektywa, tak wiem. Ta myśl zaczyna mnie prześladować.
Pisała coś na komputerze, przeglądała kolejne dokumenty, wystukiwała polecenia. W ciągu kilku minut wydrukowała informacje z ostatnich miesięcy życia Markizy: adresy, numery telefonów najbliższych i najdroższych jej osób, a nawet notatki na temat kolejnego projektu, nad którym pracowała.
- No i proszę - powiedziała w końcu Maggie, odrywając zadrukowane strony - jak mówią, wiedza to niebezpieczna rzecz.
- Amen.
Thane patrzył, jak składa kartki i wrzuca je do swojej przepastnej torebki. Gdy wstawiała zza biurka, usłyszeli trzaśnięcie drzwi od garażu i jakieś hałasy.
- Słyszałeś?
Maggie podniosła głowę. Usta, które przed chwilą całował, promieniały uśmiechem.
- Wróciła!
- Możliwe.
Z garażu dobiegał odgłos silnika. Słysząc było głośną heavy metalową piosenkę. Nagle muzyka i silnik zamilkły. Maggie zerwała się i ruszyła w stronę holu. Otworzyła uchylone drzwi do garażu. Do domu wkroczył promiennie uśmiechnięty Wade Pomeranian. Jego drugie, lekko kręcone włosy w nieładzie opadały na ramiona. Na nogach miał buty z wężowej skóry warte pięćset dolarów. Ubrany był w długi, czarny skórzany płaszcz. Otaczała go chmura dymu z marihuany.
- Kochanie! - zawołał.
Z twarzy nie zniknął mu uśmiech. Objął Maggie i podniósł.
- Boże, jak dobrze, że cię widzę! Policja, wszyscy... oni mówią... to znaczy, u diabła, oni zachowują się tak, jakbyś nie żyła czy jak...
Powoli uśmiech zniknął z jego twarzy. Postawił Maggie na podłodze. Patrząc na drugi koniec holu zapytał:
- A on co tu robi, do jasnej cholery?
Thane, zdenerwowany zachowaniem młodzieńca, uśmiechnął się wyniośle.
- Wiesz co, Pomeranian, to zabawne - powiedział mierzając wzrokiem kochankę Markizy - właśnie chciałem zadać ci to samo pytanie.

14

Nie jestem Marią Teresą.
- Kochanie, kurwa, znowu ci odbiło?
Ciemne oczy Wade'a nagle spoważniały. Zbliżył się do niej, uniósł rękę i wskazując na sufit krzyknął:
- Mówiłem, żebyś przestała brać te cholerne proszki!
- Powiedziałam, że nie jestem Marią Teresą. Jestem jej siostrą, Maggie McCrae.
Na moment zaniemówił. Wpatrywał się w nią bez słowa. W końcu do niego dotarło, co powiedziała.
- O kurwa!
Zrobił krok w tył i patrzył to na Maggie, to na Thane'a.
- Jasna cholera! Jesteście... jak dwie krople wody!
- Co tu robisz? - zapytał Thane.
- Przyjechałem po swoje rzeczy. Zobaczyłem przed domem twój samochód, a potem Markizę.... to znaczy Maggie... Kurwa!
Potrzasał w zdumieniu głową. W jego kręconych włosach odbijały się promienie słońca.
- Jezu, wyglądasz zupełnie jak ona.... to niesamowite. - Podniósł w górę rękę, jak gdyby poddawał się i powiedział: - Wiecie co, może ja skoczę na górę po swoje rzeczy.
- Chwileczkę - Maggie kiwnęła głową w stronę kuchni - musimy porozmawiać.
- My? - zaniepokoił się. - O czym?
- Chciałabym wiedzieć, co stało się z moją siostrą.
- Ja też. Ale nie mam pojęcia. Naprawdę.
- Pozwól, że sama to osądzę. Chodź, pogadamy.
Zapaliła w kuchni światło. Przez okna wślizgiwał się zmrok. Niebo miało kolor lawendy, a przysypany śniegiem ogród poszarzał.
Niechętnie usiadł na krześle przy okrągłym, oszklonym stole. Maggie, nie dostrzegając grubej warstwy kurzu na blacie, zajęła miejsce naprzeciwko kochanki Markizy. Odsunęła na bok wazon. Z wyschniętych irysów i róż posypały się płatki.

- Skąd się tu wzięliście? - zapytał Pomeranian. - Co tu robicie razem?

- Znamy się od dawna.

Maggie wolała zadawać pytania niż na nie odpowiadać.

- Słuchaj, opowiedz mi proszę o Marii Teresie. Policja sądzi, że mogła popełnić samobójstwo.

Lekko unióśł brwi. Rozparł się na krześle. Wyprostował nogi i splótł dłonie na udach. Maggie widziała je pod szklanym blatem stołu. Paznokcie miał starannie wypielegnowane, włosy błyszczące, a cerę zdrową i śniadą. W porównaniu z Thanem był raczej delikatnej budowy. Pewnie dobrze wychodził na zdjęciach.

- Nie sądzę, żeby Markiza aż tak się poświęciła, jeśli o to pytasz.

- Jak myślisz, co się z nią stało? - zapytał Thane.

- Stary, do diabła, a skąd mogę wiedzieć? Też chciałbym ją odnaleźć.

- Czyżby?

- A tak! Kocham ją. - Na jego gładkiej twarzy pojawił się grymas.

- Naprawdę?

Thane najwyraźniej nie był przekonany. Maggie rzuciła mu groźne spojrzenie, po którym zamilkł.

- Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

- W środę wieczorem, zanim wyjechała - westchnął i popatrzył w stronę okna. - Pokłóciliśmy się. O bzdury. Chciałem udzielić wywiadu na temat jej programu, ale ona mi zabroniła. Jak zwykle. - Zaciśnął usta. - Wkurzyłem się i powiedziałem, że z nami koniec. - Poruszał nerwowo kciukami splecionych dłoni. - No i w zasadzie wywaliła mnie z domu. Gdy wychodziłem, była chyba dziesiąta. Wróciłem do siebie, czułem się parszywie. Nie mogłem zasnąć. Zadzwoiłem do niej rano, około w pół do siódmej, ale nie odebrała. Więc pomyślałem, że pieprzę to wszystko, w razie czego zna mój numer telefonu. No i nie dzwoniłem do niej przez kilka dni. Na drugi dzień miałem sesję zdjęciową w Salt Lake City. Wyglądałem beznadziejnie, bo w nocy nie zmrzyłem oka. Jakoś sobie w końcu poradziłem. Zostałem w Utah do niedzieli.

- Nie kontaktowała się z tobą?

- Nie.

- A ty nie próbowałeś do niej dzwonić?

- Teraz ruch należał do niej. Chciałem dać jej trochę czasu do namysłu. Niech się zastanowi, czego chce.

- Ale ją kochasz - zauważył chłodno Thane.

- Tak - pokiwał głową, kręcone włosy przysłoniły mu twarz.

- Poradzę sobie.

Maggie posłała Thane'owi spojrzenie, które mogło speszyć najpewniejszego siebie mężczyznę, ale nie jego. On beczelnie uśmiechnął się do niej, wskazał dłonią Wade'a i unosząc brwi powiedział:

- Świadek jest do pani dyspozycji.

Wade popatrzył na zegarek.

- Mam mało czasu.

- Dobrze, dobrze, będę się streszczać - odparła zdenerwowana Maggie.

Pomyślała, że Thane miał jednak rację, co do ostatniego kochanka Markizy. Facet rzeczywiście wydawał się cwany.

- Jak myślisz, co się mogło stać z Markizą?

- Cholera, nie wiem.

- Jak mówiłam, policja nie wyklucza samobójstwa.

Roześmiał się głośno.

- Jasne. Powiedziałem ci już, co o tym sądzę. Nie, kurwa, to nie możliwe. Nie Markiza. Ona kochała życie. Chciała zarobić więcej forsy, zdobyć rozgłos. Na pewno nie chciała odbierać sobie życia. Nie ona.

- Uważasz zatem, że została porwana?

- Nie mam pojęcia - wzruszył ramionami. - Dlaczego ktoś miałby to zrobić?

- Dla pieniędzy - powiedział Thane.

- Albo żeby zwrócić na siebie uwagę. - dodała Maggie.

- Chyba że jakiś czubek. Stale słyhać o różnych wariatach. - Wydawał się mówić szczerze. - Słuchaj, muszę lecieć. Jestem spóźniony.

Posłał Maggie zabójczy uśmiech. Jeden z tych, dzięki którym zarabia na siebie jako model. Wstał i wsunął krzesło pod stół. Wyglądził spodnie i bez słowa wyszedł z pokoju. Maggie pomyślała, że w tym długim płaszczu wygląda jak Batman.

- Jak długo byli razem? - zapytała.

- Sześć, może osiem miesięcy. Za długo.

Słyszała, jak Wade chodzi po piętze. Po chwili zbiegł po schodach. Nie zajrzał do kuchni. Maggie, nadal siedząc przy stole, widziała, jak przemyka obok drzwi i wchodzi do garażu. Niósł na ramieniu stertę ubrań. Zatrzasnął za sobą drzwi garażu i Maggie już go nie widziała. Usłyszała jednak, jak otwiera samochód, zapala silnik i włącza głośną muzykę. Po chwili wszystko ucichło. Wade odjechał swoim sportowym wozem.

- Jak ci się podobał? - zapytał Thane, nadal wpatrując się w drzwi.

- Niezły - odpowiedziała. - Zdaje się, że Maria Teresa nie miała swojego typu, jeśli idzie o mężczyzn. Kolejni faceci jej życia w niczym nie byli do siebie podobni.

- Zapraszam cię na kolację - zaproponował Thane.

- Chętnie, ale najpierw muszę znaleźć hotel i wynająć samochód.

Wzięła torebkę i ruszyła w kierunku spizami. Z wprawą włączyła system alarmowy. Thane szybkim krokiem opuścił dom. Powietrze było mroźne, a niebo usiane gwiazdami. W oddali na śniegu odbijały się światła jadących samochodów.

- Po co ci samochód? - zapytał. - Zawiozę cię, gdzie będziesz chciała.

- Czy ty nie masz przypadkiem rancza, którym powinienes się zajmować?

- Mam ludzi, którzy to robią.

Gdy szli wydeptaną ścieżką, spojrzała na niego. Nie wyglądał na farmera. Nie pasował do tego, tak jak mustang nie pasuje do wiejskiej zagrody. Czuło się w nim swobodę łąk Wyoming, gdzie się wychował. Było w nim coś niezwykłego, jakiś delikatny wdzięk, który łagodził jego surowość. To coś ujęło ją. Nie mogła się od tego uwolnić. Orli nos, głęboko osadzone oczy i burza włosów podobały jej się jeszcze bardziej niż niegdyś. Przypomniała sobie pocałunek tam, w gabinecie Markizy, i zrozumiała, że nigdy nie uwolniła się od jego uroku.

- Potrzebny mi samochód.

Próbowała otworzyć drzwi furgonetki, ale powstrzymał ją.

- Tak? A po co?

- Chcę być niezależna.

Uwodzicielsko uniósł brew.

- Jak to?

- Nie chcę być zależna od ciebie.

- Ale ja się świetnie do tego nadaję.

- Tylko że nie jesteś uczciwy - powiedziała. Odwróciła się i oparła o drzwi brudnego samochodu.

- Tak uważasz?

- Nazwij to kobiecą intuicją, przecuciem albo dmuchaniem na zimne. Ale tak to widzę. Thane, wydaje mi się, że coś przede mną ukrywasz. Coś ważnego. Coś, co dotyczy mojej siostry. Nie wierzę, że opuściłeś ranczo w Wyoming i przejechałeś taki szmat drogi do Idaho tylko po to, by podtrzymać mnie na duchu. I nie chodzi tylko o to, żebym za ciebie poręczyła na policji. Musi być ważniejszy powód.

- Tak - zgodził się z nią.

- Zdradź go.

- Nie uwierzysz, ale chciałem cię znowu zobaczyć.

Jej serce zamarło na chwilę.

- Nie zaczynaj, dobrze? - uniosła ręce poddając się. - Jesteś tak długo po rozwodzie. Mogłeś zadzwonić.

- Miałaś męża.

Potrząsnęła głową. Mówiła sobie, że nie da zrobić z siebie idiotki. Nie nabierze się na jego piękne słówka.

- Nie o to mi chodzi. To coś innego - nalegała.

- Jesteś cholernie nieufna.

- Ciekawe dlaczego? - odgryzła się. Nagle otoczył ją ramionami, a jego usta przywarły do jej ust w gorącym, wilgotnym, namiętym pocałunku. Nie spodziewała się, że ją pocałuje. Ale nawet gdyby wiedziała, nie powstrzymałaby go. Posłuszenie otworzyła usta, poddając się jego językowi. Poczula dreszcze. Myśl o tym, że znowu jej pragnie, była tak podniecająca, że nie mogła mu się oprzeć. Pocałowała go, oplótła ramionami szyję. Serce biło jej mocno, drżała z podniecenia.

To dlatego, że od tak dawna nie całował cię, nie dotykał, nie obejmował, nie pożył żaden mężczyzna, próbowała sobie wytłumaczyć własne zachowanie.

Choć minął rok, od kiedy ostatni raz kochała się z mężczyzną - i tylko dlatego, że Dean nalegał - czuła, że to coś więcej niż zwykłe pożądanie. To Thane trzymał ją teraz w ramionach i całował. To Thane zachowywał się, jak gdyby nie mógł się jej oprzeć. To on gorączkowo całował jej usta.

Wzdychając, wepchnął udo między jej lekko rozchylone nogi. Napięte dzinsy dotykały wnętrza jej ud. Na brzuchu czuła jego twardość. Tak go pragnęła. Tu, w tę mroźną noc.

Krew uderzyła jej do głowy, gdy jego dłoń wślizgnęła się pod kurtkę i dotykała jej piersi. Sutki się napreżyły. Kolana miała miękkie jak z waty. Gdyby nie opierała się o samochód, upadłaby na śnieg pociągając go za sobą. Marzyła jedynie o tym, by czuć przy sobie nagie ciało.

- To szaleństwo - mruczała.

- Z tobą zawsze tak było, Maggie. Zawsze.

- Pewnie - kręciło jej się w głowie. - Wiesz co, Thane, nawet gdy byliśmy razem, Maria Teresa zawsze stała między nami.

- To nieprawda - powiedział. - Ona zawsze to samo mówiła o tobie.

- Co takiego? Że ja jestem między wami?

Podniósł wzrok, w głębi jego ciemnych oczu dostrzegła pożądanie. Z wrażenia wstrzymała na sekundę oddech.

- Nie tylko to. Mówiła, że wyobrażam sobie, że ciągle jestem z tobą.

- Nie... nigdy tak nie mów. - Nie wierzyła jego słowom.

Zacisnął usta, delikatnie zwolnił uścisk i cofnął się o krok.

- Na dodatek miała rację. Każdej nocy, gdy byliśmy w łóżku, myślałem o tobie, Maggie. Każdej cholernej nocy.

Podniósł oczy i patrzył na usiane gwiazdami niebo. Potrząsał głową, jak gdyby dziwił się własnej głupocie.

- Nie, nie... nie powinniśmy o tym rozmawiać. Nie tutaj, nie teraz. - Nie miała odwagi mu wierzyć.

- Nigdy - zgodził się, otwierając jej drzwi. - Wsiadaj. Pojedziemy coś zjeść.

Zaczęła protestować, ale jej przerwał.

- Tak, tak, wiem. Gdy tylko znajdziesz hotel, wynajmiesz sobie samochód.

Był zirytowany.

- I porozmawiam z córką.

- Oczywiście.

Wsiadła do furgonetki, a on zamknął za nią drzwi i ruszył w stronę swojego siedzenia. Mruczał pod nosem coś o upartej jak muł i nieustępliwej kobiecie. Uruchomił silnik, wrzucił wsteczny bieg i włączył radio. Gdy samochód znalazł się na bocznej ulicy, Maggie nieco się uspokoiła. Spojrzał w lusterko wsteczne.

- Wiesz, że chyba nas śledzą.

Nie zauważyła wcześniej, ale nie była zaskoczona. Spojrzała w tył, przez ramię. Chciała się upewnić.

- Policja?

- Prawdopodobnie. Zauważyłem ich dużo wcześniej, ale nie byłem pewien.

- A może ludzie wplątani w zniknięcie Marii Teresy?

- Albo dziennikarze.

Rzucił jej przelotne spojrzenie. Na jego ustach pojawił się szelmowski uśmiech.

- Chcesz, żebym ich zgubił?

- Tym? - roześmiała się.

Poklepał deskę rozdzielczą.

- Pamiętasz, co w *Wojnach gwiazdnych* Han Solo powiedział o swoim pojeździe? Coś takiego, że może nie jest piękny, ale osiąga kosmiczną prędkość w ... Nie pamiętam dokładnie. Ale wierz mi, ta furgonetka ma niezłego kopa.

Uśmiechała się, choć czuła zdenerwowanie. To, że byli śledzeni, nie dawało jej spokoju. Cóż jednak mogli na to poradzić? Spojrzała w lusterko. Samochód, który ich śledził, ale ciągle za nimi jechał.

- Niech jadą - zdecydowała. - Może nauczymy się czegoś nowego.

Thane uśmiechnął się. Nie przyspieszył, by minąć skrzyżowanie na żółtym świetle.

- To samo pomyślałem.

*

- Zatrzymuję się tu zawsze, gdy jestem w mieście - powiedział Thane, wjeżdżając na parking hotelu „Brass Tree”, niedaleko centrum. - Wiesz, że właścicielem jest nasz przyjaciel Syd Gillette?

- Ostatni mąż Markizy?

- Zgadza się. Czy to nie ironia? - zapytał bez uśmiechu.

Maggie wiedziała, że Gillette jest potentatem w branży hotelowej. Nigdy jednak nie interesowało jej, które eleganckie hotele są jego własnością, choć Maria Teresa mówiła o tym wkrótce po ślubie.

Thane zostawił samochód pod opieką obsługi hotelu. Chłopiec hotelowy pomógł wnieść ich bagaże. Ośmiopiętrowy dom z czerwonej cegły, wybudowany na przelomie wieków, niegdyś królował nad okolicą. Na końcu holu znajdowały się wspaniałe rzeźbione schody z wiśniowego drewna. W marmurowej posadzce odbijały się kryształowe żyrandole, a witraże w oknach przykuwały uwagę licznych gości. Przy kominku stały antyczne krzesła.

Kiedyś, na początku wieku, z okien hotelu „Brass Tree” widać było Góry Skaliste. Dziś widok zasłaniały wieżowce ze stali i szkła. Wnętrze zachowało jednak dawny urok. Ceny nie były kosmiczne, więc Maggie postanowiła spędzić tu kilka następnych nocy.

Wynajęli duży apartament, z dwiema sypialniami i salonem, w którym był kominek, fotele i wygodna kanapa. Na marmurowym stoliku znaleźli brandy i czekoladki. Maggie rzuciła torebkę na łóżko, złapała telefon i wykręciła numer szwagierki w Kalifornii. Connie grzecznie, ale chłodno poinformowała ją, że dziewczynki na chwilę wyszły i zapewniła, że gdy wrócą, Becky oddzwoni. Maggie żałowała, że zapytała, jak się miewa córka, bo usłyszała, że bawi się jak nigdy w życiu.

- Wiesz, Maggie - w głosie Connie nie było sarkazmu - nie zrobiłaś jej przysługi, wywożąc na koniec świata, z dała od rodziny.

- Connie, Settler's Ridge nie jest na końcu świata. To urocze i miłe miejsce. Mnie się podoba. Bardzo.

- To twoje zdanie. Jesteś typem samotnika, Maggie, nie zaprzeczaj. Ale pomyśl o córce. Becky ma dopiero

trzydzieści lat. Na Boga, tu jest jej miejsce, wśród przyjaciół.

- Dlatego przyjechała z wizytą.

Connie wahała się przez chwilę. Maggie wyczuła, że chodzi o coś poważniejszego.

- Jej kostka. Mamy zamiar iść do specjalisty.

- Dlaczego? Czy jest coś nie tak? - Maggie poczuła się winna.

- Nie, czuje się dobrze, ale nigdy nie wiadomo. Chcę, by zbadał ją ortopeda. A także pediatra Jenny. Jest taka chuda, sama skóra i kości.

- Connie, nie przesadzaj.

- Troszczę się o nią. To jedyna córka Deana. Ostatnia z rodu.

- Wiem.

- Jim, ja, i cała rodzina po prostu się martwimy. To wszystko.

Rodzice Deana byli już starzy. Ojciec przeniósł się do domu starców. Matka mieszkała niedaleko Jima i Connie. Mogliby odziedziczyć majątek rodziny McCrae. Jediną przeszkodą była Becky.

- Ale jeśli nie chcesz, by obejrzała ją specjalista...

Maggie wyczuła wyrzut w głosie szwagierki. Po raz kolejny, nie mówiąc wprost, Connie zarzuciła jej, że niezbyt interesuje się własnym dzieckiem.

- Powiedz jej, żeby do mnie zadzwoniła, dobrze?

Maggie była zła, że nie przerwała tej rozmowy wcześniej. Podała swój numer telefonu i odłożyła słuchawkę. Wiedziała, że rodzina Deana od dawna ma do niej żal, ale nie chciała teraz o tym myśleć. Nawet jeśli intencje Connie były słuszne, to jej motywy nie wydawały się czyste. Maggie wiedziała, że najlepiej byłoby szybko odnaleźć Marię Teresę i mieć ten cały bałagan za sobą. Chciała jak najszybciej wrócić do domu, do Idaho.

A jeśli nie? Jeśli nie znajdziesz Marii Teresy? Jeśli ona naprawdę nie żyje? Albo porwał ją jakiś wariat? To się często zdarza, zwłaszcza znanym osobom.

Thane zastukał w drzwi oddzielające jej sypialnię od salonu. Odczekał chwilę i zajrzał do pokoju.

- Nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu.

- Ja również - powiedziała, odpędzając złe myśli. - Będę gotowa za dziesięć minut.

- Świetnie.

Wzięła się w garść. Włożyła czarne spodnie, kremowy sweter z angory, czarny pasek i buty. Spojrzała do lusterka, by sprawdzić makijaż. Poprawiła szminką usta, nałożyła na rzęsy świeży tusz i trochę różu na policzki. Włosy miała w nieładzie, ale nie przejęła się tym. Nie przyjechała do Denver, żeby jadać kolacje z Thanem czy kimkolwiek innym.

*

- Może być - powiedziała do swojego odbicia w lustrze, starając się nie zwracać uwagi na zmarszczki wokół oczu. Wzięła torebkę i poszła do salonu. Tam czekał na nią Thane ubrany w ciemne spodnie i koszulę z długim rękawem. Siedział na kanapie. Gdy weszła, podniósł głowę i uśmiechnął się łagodnie.

- Ładnie pani wygląda, pani McCrae - powiedział.

- Nawzajem.

Wyszli z apartamentu. Winda szybko zwozła ich na dół. Po chwili siedzieli przy stoliku w rogu sali jadalnej, którą od recepcji oddzielała ściana z kolorowych szyb migoczących w blasku świateł.

Thane zaproponował żeberka, ale Maggie zamówiła pstrąga. Między kolejnymi daniami sączyli wino. Gawędzili i obserwowali gości, zastanawiając się, czy siedzi tu ich „ogon”.

- To dziwne - powiedziała, czując, że od drugiego kieliszka chardonnay robi jej się ciepło i błogo.

- Co takiego?

- Cała ta sprawa, nazwij to jak chcesz. Zniknięcie Marii Teresy i my razem, tutaj. Nie spodziewałam się, że dojdzie do czegoś takiego.

Spojrzała na niego ukradkiem i szybko odwróciła wzrok, obawiając się, że zagubi się w jego oczach.

- To naprawdę dziwne - dodała.

- Może to przeznaczenie?

Miała ochotę się roześmiać.

- Thane Walker wierzy w przeznaczenie. To dobre. - Napila się wina i puściła do niego oko. Zauważyła, że kilku gości siedzących przy sąsiednich stolikach przygląda się jej badawczo. Mieli dziwne miny i rozmawiali z przejęciem.

- Myślą, że jesteś Markizą - powiedział Thane, jak gdyby czytając w jej myślach. - Ale nie są pewni, bo prasa i telewizja nie poinformowały, że jesteś cała i zdrowa, i nie prowadzisz swojego programu z Craigiem Beaumontem.

- Wiem - odpowiedziała.

Pomysł, który pojawił się w jej głowie, gdy przeszukiwała dom siostry, zaczął teraz kiełkować niczym ziarno.

- Dlaczego nie miałabym nią być? - spytała.

- Co?

- Dlaczego nie miałabym być Marią Teresą?
Thane nagle spoważniał.

- Nie rozumiem.
Miała już plan. Pochyliła się nad stołem i powiedziała:
- Chcę zostać Marią Teresą. Dosłownie i w przenośni. Jeśli wejść w jej życie, krok po kroku, jak to mówią, w przyspieszonym tempie, mniej więcej od ubiegłego tygodnia, może odkryję, co się z nią stało.

- Czeka, nie rozumiem, o czym mówisz. Odstawił kieliszek i odsunął na bok talerz.
- Jestem pewna, że rozumiesz. Jak myślisz, co będzie, gdy stanę się Marią Teresą, a raczej Markizą? No wiesz, zamieszkać w jej domu, będę robić to, co ona robiła. Wejść w jej życie.

- Nie mówisz chyba poważnie. - Był w szoku.
- Poważniej niż kiedykolwiek.
Coraz bardziej zapalała się do swojego pomysłu, gdy tymczasem Thane był nim wyraźnie zaskoczony.

- Może dowiem się, co się stało. Chyba po to tu jesteśmy. Chcesz ją znaleźć?
- Wszyscy chcemy.
- Ale ty szczególnie - powiedziała, widząc że oczy zaczynają mu gniewnie błyszczeć.
- Martwię się o nią.
Wino lekko szumiało jej w głowie. Już podjęła decyzję.

- Wiesz co, Walker? Zrobię to. Będę Markizą.
Kelnerka, rudowłosa dziewczyna z zadartym noskiem, zabrała ze stołu talerze i zaproponowała deser.

- Nie, dziękujemy - odmówił Thane. Gdy dziewczyna się oddaliła, wbił wzrok w Maggie.
- Nie kuś losu, Maggie. Cholera, to szaleństwo. Igrasz z ogniem. Nie po to cię tu ściągałem.
- Więc po co?
- Już ci mówiłem.
- Nie przekonały mnie twoje wyjaśnienia.
Kelnerka wróciła z rachunkiem. Thane kazał go dołączyć do rachunku za pokój. Maggie zaprotestowała i zaczęła szukać portfela, ale ją powstrzymał.

- Zapłacimy później, dobrze?
- Tylko nie próbuj mnie do niczego zmuszać.
- Nie przyszło mi to nawet do głowy.
W apartamencie Maggie odnalazła listę znajomych Markizy, ich numery telefonów, adresy oraz kilka stron z pamiętnika siostry.

Thane próbował rozpalić ogień w kominku. Zsunęła buty i usiadła na brzegu kanapy.

- To nie będzie trudne - powiedziała. - Po prostu zadzwonię do jej znajomych i porozmawiam z nimi.
- Porozmawiasz? - powtórzył z niedowierzaniem.
Wyprostował się, gdy w kominku syknął płomień.

- Myślisz, że jesteś zawodowcem?
- Z moim doświadczeniem chyba mogę tak powiedzieć.
- I nie będziesz miała skrupułów, udając Markizę i grzebiąc w jej życiu?
Pomysł wcale nie wydał mu się zabawny.

- Nie. Ktoś z tej listy - stała i potrząsała papierami przed jego nosem - wie coś, czego my nie wiemy. Jeśli nie zna miejsca jej pobytu, to przynajmniej wie, co się z nią stało. Nie powiesz chyba, że jej terapeutka nie ma pojęcia o jej stanie psychicznym. Policja uważa, że mogła popełnić samobójstwo. Ale jak? Może rzuciła się ze skały, może zaszła się w jakimś ustronnym miejscu i wzięła śmiertelną dawkę tabletek? Nie wiem. Jej psychiatra powinna mieć coś do powiedzenia na ten temat, nie uważasz? A jej współpracownicy, albo ten trener, Laslo... Laslo... - przeglądała notatki - Laslo Rolf. Może mu się zwierzała. A może sekretarka?

Zapalała się coraz bardziej. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach. Stojąc przed kominkiem, z uwagą studiowała kartki z pamiętnika siostry.

- Nie, nie będę miała oporów. Żadnych. Chcę jej pomóc.
- Na twoim miejscu byłbym bardzo ostrożny, rozmawiając z psychiatrą. Zwłaszcza jeśli poważnie chcesz odegrać rolę swojej siostry. Ona może pomyśleć, że próbujesz stać się Markizą. To może wyglądać na kazirodztwo.

Zamarła, słysząc to słowo. Mitch. Maria Teresa. Thane. Wspomnienie bolesnych przeżyć prześladowało ją latami. Przez nie musiała przed laty leczyć się u psychiatry.

- Nie mieszajmy do tego kazirodztwa, dobrze? - zaproponowała.
- Mamy to już za sobą.
Nigdy nie będziemy mieć tego za sobą, pomyślała z goryczą, taką samą, jaką towarzyszyła jej przez ostatnie dwadzieścia lat.

- Thane, nie musisz się w to mieszać.
- Jak to nie muszę? - drapał się po brodzie. - Nie mam wyboru.
- Policja nie pozwoli...

- Nie mówię o policji, wiesz o tym.

Złapał ją za nadgarstek. Silne palce zacisnął na jej delikatnych kościach. Przyciągnął do siebie tak blisko, że czuła jego męski zapach, widziała pory na skórze, patrzyła jak szaroniebieskie oczy stają się coraz ciemniejsze.

- Od początku jestem w to zamieszany - powiedział cicho. - Razem z tobą.

Z trudem przelknęła ślinę. Ich oczy się spotkały. Upłynęło tyle czasu, tyle gniewu, cierpienia. Zwilżyła językiem suche usta. Zacisnął mocniej dłoń na jej ramieniu. Opuszki palców parzyły jej skórę. Krew pulsowała w skroniach.

Uważaj Maggie, nie daj się zwieść jego słowom.

- Nie musisz mówić...

- Wiem. Nie muszę niczego mówić. Tylko ty i ja, Maggie. Sami. Tak powinno być zawsze.

W głębi serca ze wszystkich sił pragnęła mu wierzyć, ufać słowom, które tak bardzo chciała usłyszeć. Bała się jednak rozdrapywać rany, które leczyła przez osiemnaście lat.

- Nie rób tego, Thane, nie teraz.

- Dlaczego?

Patrzył na jej usta, a ona walczyła ze sobą, by nie odwzajemnić jego spojrzenia. Bała się, że zacznie sobie wyobrażać, że go całuje tu i teraz, z dala od całego świata, w pokoju hotelowym.

- Przyjechałam tu... dlatego, że mnie o to prosiłeś, choć i tak pewnie bym to zrobiła, więc... więc nie komplikujmy sprawy, dobrze? Jesteśmy w tym razem, to prawda, ale nie powinniśmy tracić dystansu. Jestem tu, żeby ci pomóc i nie jesteś mi nic winien.

- Wcale tak nie uważałem.

Przez moment patrzył jej w oczy. Dostrzegła na jego twarzy cierpienie. - Tu nie chodzi o zobowiązania.

- Nie? - zapytała, starając się ominąć wzrokiem jego usta, które nagle znalazły się niebezpiecznie blisko.

- To ja tego chcę.

Przelknęła ślinę. Chciała się cofnąć, ale nie miała siły. Thane pod palcami wyczuł jej przyspieszony puls. W jej myślach wirowały uwodzicielskie, erotyczne obrazy. Cienie rzucane przez płomień z kominka tańczyły na ścianach i suficie.

- A czego chcesz, Thane?

- Tego co zawsze.

Chwycił ją za drugą rękę. Zapisane kartki z życia Markizy sfrunęły na dywan.

- Chcę ciebie, Maggie.

Zatraciła się w jego tajemniczym spojrzeniu. Wydał jej się demonem, przekleństwem, szatanem, który ją kusi. Wiedziała, że jest mężczyzną, któremu nie potrafi się oprzeć. Jego usta odnalazły jej usta. Nie odwróciła się, nie odepchnęła go. Nie mogła. Nie opierała się, gdy jedną dłonią trzymał jej rękę, a drugą objął i przyciągnął do siebie. Przez tyle lat czekała na ten moment. Zniwolił ją językiem, smakiem i zapachem. Ustąpiła.

- Pozwól, żebym cię kochał, Maggie - wyszeptał jej do ucha.

Jego oddech łaskotał jej skórę.

Po plecach przebiegały ciarki.

Powinna była oprzytomnieć, słysząc te słowa. Nigdy jej nie kochał, nigdy nie pokocha. Łączyła ich namiętność, dzika i pierwotna, seks w najczystszej, zwierzęcej formie. Powinna była odejść, ale tego nie zrobiła. Pocałowała go tak gorąco jak nigdy. Pocałunek przepełniony był pragnieniem, jakie budziło się w najbardziej intymnych częściach ciała.

Pokój wirował, a cienie zniknęły ze ścian, zlewając się w jedną całość. Gdy jego dłoń wędrowała pod jej swetrem, nie protestowała. Całował jej twarz, szyję, oczy. Mruczała, gdy zdejmował z niej angorowy sweterek. Czuła, jak chłodne powietrze muska jej nagą skórę. Nogi uginały się pod nią. Obsypywał ją pocałunkami. Wszędzie czuła jego usta, dotyk, którego pragnęła przez długie lata. Jej palce odnalazły guziki jego koszuli. Odpinała je kolejno. Dłoń gładziła bliznę na jego ramieniu, ześlizgiwała się niżej po zylastej ręce. Zdjęła z niego koszulę.

Nie rób tego, krzyczały jej myśli. Opanuj się, Maggie, to tylko przyniesie ból. Znowu złamie ci serce! Pomyśl o córce! Pamiętaj o Marii Teresie! Pamiętaj, jak bardzo cię zranił.

Nie słyszała już swoich myśli. Upłynęło zbyt wiele lat, odkąd kochała się z nim ostatni raz. W jej umyśle płonęły wspomnienia namiętności i tego wszystkiego, co kiedyś ich łączyło. Usta pieściły jej szyję, zsuwały się coraz niżej. Dłonie wślizgiwały się pod stanik, ugniatały jej piersi, a palce drażniły sutki. Pragnęła go coraz mocniej, goręcej.

Nie! Nie! Nie! - wołała jej dusza. Ale ona nie słuchała. Niecierpliwe dłonie wędrowały po jego klatce piersiowej. Dotykały twardych mięśni i sterczących włosów, których nie miał przed laty. Westchnął, gdy jej palce zacisnęły się na jego sutkach. Poczuli, jak napinają się mięśnie jego podbrzusza, stawał się twardy, sztywny.

Rozpiął koronkowy stanik. Jego palec ślizgał się wzdłuż jej kręgosłupa. Usta pieściły skórę, całowały piersi, powoli zsuwały się niżej, poszukując sutków. Lizwały je chciwie. Maggie osunęła się w jego ramiona. Złapał ją, jak gdyby nic nie ważyła, i zaniósł do swojej sypialni. Położył na łóżku. Chłodny jedwab pobudził jej zmysły. Położył się obok i dotykał jej piersi. Całował, jak gdyby nigdy nie był z inną kobietą, jak gdyby ona była jedyną kobietą na świecie.

Szybkim ruchem zdjął jej spodnie i majtki. Całował jej brzuch, a ona stawała się coraz bardziej wilgotna. Jego język zagłębił się w jej pępku. Dłonie dotykały piersi, drażniły sutki. Na jej ciele pojawiły się kropelki potu.

Maggie zamknęła oczy, wszystko wokół niej wirowało, wzdychała cicho, a on całował ją coraz niżej. Ogarnęły ją spazmy. Jej ciało wilo się w pulsującym pożądaniu. Tak długo... tak bardzo go pożałowała... Thane... oto jedyny mężczyzna, którego naprawdę kochała. Jedyny, którego pragnęła.

Wziął jej dłonie i położył na jej piersiach. Zsunął się niżej. Czująca jego oddech na udach. Chciała zdjąć dłonie, ale zmusił ją, by dotykała swojego ciała. Sutki naprężyły się pod dotykiem jej palców. Oddychała szybko, pojękując z pożądania.

- Dalej... - szeptał pieszcząc ją, drażniąc jej nabrzmiałe piersi i zachęcając, by robiła to samo.

- Ale...

- Nie bój się, Maggie. Dotknij siebie. Odpręż się.

Zmienił pozycję. Jedną dłonią dotykał jej pośladków. Wszedł w nią palcami drugiej ręki, poruszał nimi. Myślała, że oszaleje. Chciała jeszcze i jeszcze. Więcej. Chłodził ją jego oddech. Język odnalazł to wyjątkowe miejsce, znane jedynie kochankom, dotykał ją, smakował, z początku powoli, potem gwałtowniej, jego oddech stawał się szybszy. Jej ciało wyprężyło się pożądliwie. Pokój zniknął. Byli sami, tylko oni. Poruszała się rytmicznie, zagubiona w jego rytmie. Czująca jego bliskość. Pragnęła wszystkiego, co tylko zechce jej dać.

- Thane... nie... o Boże... Thane...

Miotła się w spazmach.

Trzymał ją, nie puszczał. Dawał więcej. Rozpalał jej pożądanie, aż zapłonęła najwyższym ogniem, aż ogarnęły ją dzikie, namiętne konwulsje. Z jej ust wydobył się krzyk rozkoszy. Dotykała go, gdy on osuwał się w dół, ku dolinie między jej udami. Objął ją i całował, nie zamierzając przestać. W oczach miała gorące łzy. Przyłgnęła do niego, jej nagie ciało do jego ciała. Chciała go zaspokoić, tak jak on zaspokoił ją. Wiedziała, że i on pragnie uwolnić się od swojej żądz. Sięgnęła do rozporzka spodni, ale zatrzymał jej dłoń.

- Później - szeptał wtulony w jej włosy.

- Ale..

- Ciii. To dla ciebie.

- Nie traktuj mnie protekcyjnie, Walker - próbowała protestować.

W pokoju panowała cisza.

- Nawet o tym nie marzę. Zaufaj mi. Liczę na wzajemność - pocałował ją. - Wkrótce.

- A jeśli się mylisz? - drażniła się z nim.

- Nie sądzę.

- Myślisz, że nie zdołam ci się oprzeć?

- Jestem tego pewien, pani McCrae - odparł z uśmiechem.

- Z wszystkich egoistycznych, samolubnych...

Uniósł brew, czekając na to, co powie. Spłonęła rumieńcem na wspomnienie, jak przed momentem było jej dobrze.

- Już nic nie mówię.

- I dobrze - pocałował ją w skroń i ziewnął. - A teraz śpij. Jeśli poważnie myślisz o swoim planie, pamiętaj, że jestem przeciwny...

- Szkoda.

Westchnął i zaczął się bawić kosmykiem jej włosów.

- No cóż, jutro czeka cię ciężka próba. Ale ja będę się pani trzymał, pani McCrae.

Chciała zaprotestować, ale uciszył ją pocałunkiem.

- Wystarczy - powiedział - zanim zmienię zdanie.

- Obiecałki.

- Uważaj.

- Nigdy, Walker.

- Wiem. I to, kochanie, jest problem.

Nie, pomyślała z bólem serca Maggie. Problemem jest to, Thanie Walkerze, że ciągle cię kocham.

Pocierała ramiona, jak gdyby próbowała zetrzeć przygniatające przeczucie nadciągającej porażki. Ale nie mogła. Czująca, że od tej nocy jej życie zmieniło się na zawsze. Nic nie będzie takie jak dotąd.

15

Igrasz z ogniem.

Słowa rozbrzmiewały w głowie Thane'a, gdy wymykał się z hotelu tylnym wyjściem. Na oświetlonej ulicy hulał porywisty wiatr. Było jasno, jak to w mieście. Tego ranka Thane potrzebował osłony ciemności. Spojrzał na zegarek i zmarszczył czoło. Kwadrans po czwartej. Denver ciągle jeszcze pogrążone było we śnie. Postawił kołnierz kurtki, przeszedł na drugą stronę jezdni i szybkim krokiem przemierzał zasypaną śniegiem aleję. Pokonał jeszcze osiem ulic, aż dotarł do całodobowej restauracji. W szatni znalazł automat telefoniczny. Wyjął z kieszeni garść monet. Wykręcił z pamięci numer i przez podwójne oszklone drzwi przyglądał się klientom kawiarni. Wywnio-

skował, że w większości są to kierowcy ciężarówek. Pochylali się nad czarną kawą i talerzami z jajecznicą na szynce. Po trzech sygnałach w słuchawce odezwał się zaspany głos.

- Co jest?

- Tu Walker. Masz coś? - zapytał krótko.

- Która godzina? Jeszcze jest ciemno - mamrotał senny Roy DePres.

Thane znał go jeszcze z czasów szkolnych, z Laramie. Gdy mieli po piętnaście lat, zostali przyłapani na kradzieży papierosów i piwa w delikatesach tuż za miastem. Wylecieli za to ze szkoły. Żeby nie stanąć przed sądem, musieli myć w sklepie podłogę i czyścić ubikacje. Roy zaciągnął się do wojska, służył w Zielonych Beretach. Thane omal nie poszedł do więzienia za dotkliwe pobicie ojca. Ale tatuś sobie na to zasłużył. Któregoś dnia po pijanemu rzucił się z lewarkiem od ciężarówki na matkę Thane'a. Thane do dziś miał bliznę po tym uderzeniu.

- O Jezu - powiedział Roy i zakasłał. - Poczekaj chwilę, co? Muszę się odlać.

Thane czekał, obserwując jak starszy gość w czapce Dodgersów podrywa chudą kelnerkę, która, sądząc po zmęczonym wyrazie twarzy, kończyła już swoją zmianę. Słyszał w słuchawce szum wody. W końcu kumpel odezwał się.

- No dobra. Sprawdziłem wszystko, co kazałeś - powiedział.

Ostatnie słowa były niezbyt wyraźne. Thane domyślił się, że przyjaciel trzyma w zębach papierosa.

- O ile to, co mówiła ta twoja cholerna żona jest prawdą. Na razie nie mam dowodów.

- Myślisz, że kłamała? Że wystawiła mnie do wiatru? - zapytał Thane.

Czuł, że ogarnia go złość.

Usłyszał odgłos zapalniczki, a po chwili głęboki wdech. Chciał, by to się wreszcie skończyło. Należał mu się odpoczynek.

- Chyba nie pierwszy raz?

- Nie.

W słuchawce rozległ się śmiech.

- Jeszcze ci nie przeszło, co?

Żebyś wiedział, pomyślał, ale rzekł:

- To bez znaczenia. Dowiedz się tylko, czy mówiła prawdę.

- Dziwię się, że nie robisz tego sam.

- Policja i dziennikarze depczą mi po piętach. Pamiętaj, to tajemnica.

- Jasne, rozumiem.

- Zadzwoń jutro.

- Może będę coś wiedział.

- Dobra.

Odłożył słuchawkę. Nagle poczuł ogarniającą go pustkę. Przeklęta Maria Teresa i jej gierki. Przez chwilę chciał wejść do restauracji i napić się kawy. Marzył o odrobinie kofeiny, ale zrezygnował. Nie chciał, by ktokolwiek skojarzył go z telefonem. Gdyby policja się o tym dowiedziała, mieliby na niego haczyk. Wymknął się z lokalu. Tą samą drogą wrócił do hotelu, skąd zamierzał zabrać swój samochód. Uśmiechnął się do siebie. Gdyby detektyw Henderson lub dziennikarze wiedzieli, co robi, nie spuściliby go z oczu nawet na moment.

A Maggie? Co ona by zrobiła? - pomyślał.

Zacisnął zęby i włożył ręce do kieszeni kurtki. Myślał o Maggie, o tym, że prędzej czy później będą się kochać. Byli jak ogień i papier, gotowi w sekundę zapłonąć. Zawsze tak było. Nic się nie zmieniło. Wczorajszej nocy powstrzymał się przed pójściem na całość. Tak bardzo chciał, by należała tylko do niego, by połączyła się z nim. Znowu chciał czuć ciepło jej ciała.

- Stary, ale z ciebie idiota - zbeształ samego siebie. - Cholerny romantyczny kretyn.

Myślał, że może powinien był to zrobić. Był tak blisko. Zbyt blisko. Nawet teraz, na wspomnienie tego, jak drżała pod jego ciężarem, gdy ją dotykał i całował, zrobił się boleśnie twardy.

Na czerwonym świetle przeszedł na drugą stronę ulicy. Obok przejechała ciężarówka oczyszczania miasta i skręciła za róg.

Czyż Maggie nie zasługuje na prawdę? Nie. Jeszcze nie teraz. Może nigdy. Zamierzasz więc sypiać z nią i trzymać ją w nieświadomości?

Uznał, że nie ma wyboru.

*

Każ się leczyć, powiedziała do siebie Maggie.

Wspomnienie minionej nocy nie dawało jej spokoju.

- O Boże, co ja najlepszego zrobiłam? Przecież ostrzegałam sama siebie tysiące razy. A mimo to, ostatniej nocy... Och, Maggie, zmyślonej wreszcie!

Odgarnęła opadający na oczy kosmyk włosów. Była naga, zawstydzona i samotna w łóżku Thane'a. Usiadła i spojrzała w okno. Przez cienkie zasłony sączyło się światło. Z korytarza dobiegało trzaskanie drzwi, kroki i rozmowy. Goście hotelowi powoli się budzili. Thane'a nie było w pokoju. Nie wiedziała, dokąd wyszedł. Nie

zostawił żadnej wiadomości. Nie świeciła się też lampka automatycznej sekretarki. Jeszcze raz przypomniała sobie wydarzenia poprzedniej nocy i stwierdziła, że jest straszną idiotką.

Wzięła prysznic, ubrała się i postanowiła, że najwyższy czas odzyskać niezależność. Zamówiła na śniadanie kawę, owoce i rogalik. Zarezerwowała samochód. Skontaktowała się z detektywem Hendersonem i dowiedziała się, że nie ma nowych poszlak, a w śledztwie nic nie drgnęło. W końcu wykrciła numer córki w Kalifornii.

- Nie wiesz, że tu jest jeszcze wcześniej? - narzekała Becky.

- Chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku. Dzwoniłam wczoraj wieczorem, ale cię nie zastałam.

- Tak. - Usłyszała, że córka ziewa i przeciąga się. - Ciocia Connie kazała mi zadzwonić do ciebie dzisiaj. Coś się stało? Znalazłaś Markizę?

- Nic się nie stało. Jeszcze jej nie znalazłam.

- Co mówi policja?

Po raz pierwszy od tygodni Becky wydawała się autentycznie zainteresowana tym, co robi matka.

- Nic nowego.

- Wszystko z nią w porządku? Nic jej nie jest, co? - po chwili wahania zapytała dziewczyna.

- Mam taką nadzieję - Maggie żałowała, że nie może pocieszyć córki. - Co u Jenny?

- Wszystko dobrze, ale jest wkurzona. To znaczy wściekła, bo ja nie muszę chodzić do szkoły, tak jak ona.

- Tylko przez kilka dni. Dopóki nie wyleczysz kostki, a ja nie załatwię swoich spraw.

- Wiem, ale ją to i tak denerwuje.

Maggie wyczuła nutę triumfu w głosie córki. To było coś nowego. Odkąd sięgała pamięcią, Becky zawsze całowała ziemię, po której stapała jej kuzynka. W jej mniemaniu Jennifer McCrae nigdy nie robiła nic niewłaściwego.

- Jak twoja kostka?

- Lepiej. Nie potrzebne mi już kule.

- Jesteś pewna? Ciocia Connie wspominała coś o ortopedzie.

- Ciocia Connie ma paranoję. Ciągłe mówi o lekarzach i prawnikach. Wiesz mamo, ona jest dziwna.

Maggie uśmiechnęła się. Becky najwyraźniej łagodniała.

Rozmawiały jeszcze przez kilka minut. Odkładając słuchawkę Maggie poczuła ulgę, bo zdała sobie sprawę, że mogą się jeszcze dogadać. Że mogą zasypać dzielącą je przepaść.

Chwilę później jadła rogalik i popijała kawę, przygotowując listę osób, z którymi chciała tego dnia porozmawiać. Na początek planowała spotkać się z ludźmi z telewizji i Evelyn, sekretarką Marii Teresy. Pracowały razem od wielu lat, odkąd Maria Teresa przeniosła się z Kalifornii do Denver. Evelyn miała za sobą dwa rozwody, od zawsze walczyła z tendencją do tycia. Maria Teresa uważała ją za pracoholiczkę i najlepiej zorganizowaną osobę, jaką знаła. Spośród wszystkich przyjaciół Evelyn znała Marię Teresę najdłużej, nie licząc Thane'a.

Następna na liście była terapeutka i lekarze. A przynajmniej ci, z którymi Maria Teresa widziała się w ciągu ostatnich tygodni przed zniknięciem. Dalej znalazł się Syd Gillette, jej drugi mąż. Według kalendarzyka, Maria Teresa spotkała się z nim dzień przed zniknięciem.

- Ciekawe, ciekawe - mruzczała pod nosem Maggie.

Siedziała na kanapie z podkurczonymi nogami i piła mocną kawę. W pokoju skwierczał gazowy kominek. Promienie słońca wpadające przez firanki, wprawiały ją w dobry nastrój. Była zadowolona, że może się wreszcie czymś zająć. Dość miała siedzenia z założonymi rękami.

Nagle usłyszała, że w zamku przekreślił się klucz. Poczuła, że policzki płoną jej ze wstydu. Do pokoju wszedł Thane. Jednodniowy zarost ocieniał mu twarz, miał na sobie dzinsy, flanelową koszulę i kurtkę. Wyglądał, jak gdyby wrócił z zimowej przejażdżki konnej.

Ich oczy się spotkały. Maggie czuła, że jej postanowienie bierze w łeb, gdy tak bez słowa patrzył na nią. Szybko jednak pomyślała, że nie może popełnić wczorajszego błędu.

- Dzień dobry - przywitał się, pokazując w uśmiechu rząd niezbyt równych białych zębów.

- Tylko nie próbuj na mnie swoich sztuczek, kowboju - wymamrotała. - Nie jestem w nastroju.

- Nie? - udał zaskoczonego. - Dlaczego, pani McCrae? Myślałem, że gdy wrócę, zastanę cię roześmianą i śpiewającą, gotową powitać nowy dzień.

- A niby dlaczego?

Jego usta drgnęły, gdy rozpinał kurtkę.

- Dlatego kochanie, że chyba dobrze się wczoraj bawiłaś.

Chrząknęła i nieco się rozluźniła.

- No cóż, tak. Jeśli o to chodzi. Nie sądzę... nie powinniśmy...

Dalej, Maggie. Nowoczesna, pewna siebie kobieta nie owija nic w bawełnę.

- Czego nie powinniśmy? - rzucił kurtkę na krzesło i oparł się udem o kanapę.

Splotła ręce na piersiach.

- No dobra, mądralo. Myślę, że nie powinniśmy ze sobą sypiać, rozumiesz?

- Nie spaliśmy.

- Nie łap mnie za słówka, Walker.

Wzruszył ramionami i usiadł na krześle naprzeciwko niej. Nalał sobie kawy i sięgnął po truskawkę leżącą na talerzu z owocami.

- Myślę, że będzie lepiej... gdy zamieszkamy w osobnych pokojach. Wspólny apartament nie był chyba najlepszym pomysłem. Powinniśmy wynająć pokoje, najlepiej w różnych hotelach.

- A może rozwiesimy koc i podzielimy pokój jak w starym filmie? Ty zamieszkaż w jednej połowie, ja w drugiej, by nie narażać na szwank naszych cnót - kpił sobie Thane.

- Przestań. Mówię poważnie.

Uniósł pogardliwie brwi.

- Naprawdę?

- Tak.

Spojrzał na nią zdumiony. Serce łomotało jej jak oszalałe. Kiwnęła sztywno głową.

- Jak chcesz - powiedział z południowym akcentem.

Nie mogła opanować fali gorąca, jakie uderzyło jej na policzki. Wiedział, czego chce. Oboje wiedzieli. I to był problem.

Zapytała siebie w duchu, czy seks z nim wart jest tylu emocji i cierpienia?

- Nie - odpowiedziała sobie głośno, wprawiając się w zakłopotanie.

- O nic cię nie pytałem.

- Ach, mówiłam do siebie.

- Daj znać, jak zmienisz zdanie.

- Nie zmienię.

Uśmiechnął się złośliwie.

- Liczę na to, skarbie.

- I nie nazywaj mnie..

- Nie będę.

W jego oczach pojawił się wrogi błysk. Nie wiedziała, czy chce go pocałować, czy udusić. Postanowiła, że w tej sytuacji najlepszą reakcją będzie brak reakcji.

Oparł but o krzesło i popatrzył na nią, jakby chciał powiedzieć: nie wciskaj mi kitu. Podniósł leżącą na stole gazetę i zaczął przeglądać nagłówki.

- Twoja siostra jest ciągle na pierwszych stronach.

Przeczytał artykuł i podał gazetę Maggie. Pobieźnie przejrzała dziennik i doszła do wniosku, że nie ma w niej nic nowego.

Thane otworzył stronę ze sportem, ale zamiast czytać, przyglądał się notatkom Maggie.

- Masz tu listę - zauważył. - Czy to ludzie, z którymi chcesz dziś rozmawiać?

- Tak, a ty jesteś na niej pierwszy. Gdzie byłeś dziś rano?

- Tęskniłaś? - zapytał z drwiną.

- Jak za zeszłorocznym śniegiem - odgryzła się, ale zaraz dodała: - Wybacz, nie chciałam być złośliwa. - Westchnęła zaglądając do kubeczka z kawą. - Martwię się.

Odłożył gazetę.

- Nie ty jedna. Tak się przejęłaś własnym śledztwem, że postanowiłem ci pomóc.

- W jaki sposób?

- Sprawdziłem coś.

Zaskoczył ją. Nie wiedziała, czy powinna mu ufać.

- I czego się dowiedziałeś?

- Wade Pomeranian był za miastem, tak jak mówił.

- Skąd wiesz?

- Zadzwoiłem w kilka miejsc. Dowiedziałem się, kto jest jego agentem i skontaktowałem się z tym facetem. Nie był zachwycony, ale podał mi nazwisko fotografa, który miał z nim sesję. Zadzwoiłem i do niego. Nasz przyjaciel Pomeranian rzeczywiście był tego dnia w Salt Lake City. - Siegnął po gazetę, ale Maggie wyrwała mu ją z rąk.

- Chwileczkę - powiedziała. - Jeszcze wczoraj wieczorem byłeś przeciwny. Nie podobał ci się mój pomysł i nagle zabierasz się za śledztwo. Co się stało?

- Po prostu zmieniłem zdanie.

- O co ci chodzi, Walker? - zapytała i zmrużyła oczy, jakby chciała czytać w jego myślach.

- Znasz to powiedzenie: kto nie jest z nami, jest przeciwko nam? Nie chcę działać przeciwko tobie. Z pewnością policja przeprowadzi śledztwo wzorcowo. Jestem chyba w gronie podejrzanych, dlatego w moim interesie leży wyjaśnienie tej sprawy jak najszybciej.

Przerwał, by napić się kawy.

Pomyślała, że przychylność Thane'a ułatwi jej zadanie. Chciała mu zaufać. Otrzymała od siostry wiadomość. Ale

czy na pewno? Nie była teraz o tym przekonana. Miała tyle wątpliwości. Nie wiedziała, czy Thane rzeczywiście jest zamieszany w zaginięcie Marii.

I co z tego, że policja tak uważa, myślała. Zawsze najpierw podejrzewają rodzinę, zwłaszcza byłych mężów, czyż nie? Wprawdzie pojawił się w Idaho i przysięgał, że jest niewinny, ale to nie znaczy, że nie ma czegoś na sumieniu.

Sięgnął po rogalik z masłem. Na jego ustach dostrzegła słaby uśmiech.

- Jakie masz na dziś plany, Mario Tereso?

- Bardzo śmieszne - ze skupieniem przyglądała się liście. - Jeśli już, to Markizo.

- Ciągle zapominam.

- Musisz się bardziej starać - dokuczała mu. - Chciałabym, żebyś mnie zawiózł do agencji wynajmu samochodów.

- Myślałem, że cię zawiozę...

- Thane, przecież już o tym rozmawialiśmy. Już wynajęłam samochód. Zawieź mnie tam albo wezwę taksówkę. Albo poproszę o dostarczenie wozu na miejsce. Wybieraj.

Uśmiech zniknął z jego ust.

- Nie tak szybko. A jeśli ją porwano? Jeśli to bardziej niebezpieczne niż ci się wydaje? Czy pomyślałeś, że ty możesz być następna?

- Dlaczego?

- Kto wie? Lepiej na siebie uważaj.

Był śmiertelnie poważny. Skończył śniadanie, wytarł dłonie i wstał. Na jasnofioletowym dywanie zostały ślady jego obcasów.

- Będę ostrożna. Jestem dorosła, Walker. Przez tyle lat jakoś sobie bez ciebie radziłam. Dam sobie radę i tym razem. Posłuchaj, zamierzam wpaść do KRKY w czasie emisji programu. Potem porozmawiam z sekretarką, z byłym mężem i terapeutką.

Zachmurzył się, ale nic nie powiedział.

- Porozmawiam z jej prawnikiem, z trenerem, ogrodnikiem i może z sąsiadami i przyjaciółmi - dodał.

- Świetnie. Spotkamy się wieczorem.

- Weź moją komórkę.

- Nie, dziękuję.

Potrzebowała jego pomocy, ale nie chciała, by traktował ją jak dziecko.

- Jeśli chcesz, bym w to wszedł, zabierz ze sobą ten cholerny telefon.

Zacisnęła powieki, a jego twarz była zimna jak styczeń w Wyoming. Tym razem się nie sprzeciwiła. Nie mieli zbyt dużo czasu. Program Markizy wchodził na antenę za niecałą godzinę. Maggie chciała jak najszybciej znaleźć się w KRKY.

*

Wynajętym fordem taurusem podjechała na parking telewizji. Na budynku z czerwonej cegły widniała nazwa stacji. Studio nagrań znajdowało się w podziemiach. Recepcjonistka, gdy usłyszała nazwisko Maggie, wytrzeszczyła na nią zdumione oczy.

- Proszę wybaczyć - powiedziała, czerwieniąc się po uszy - ale jest pani podobna do jednej z naszych gwiazd... do prowadzącej *Denver o poranku*.

- Jestem siostrą Marii Terę... Markizy. Bliźniaczką.

- O kurczę, nie wiedziałam. Ale... mnie to nie dziwi. Proszę tu podpisać, w tej linijce.

Dziewczyna wpisała godzinę i schowała zeszyt pod oszklone biurko.

Maggie w towarzystwie drobnej kobiety, która chodziła prawie tak szybko jak mówiła, dotarła do gabinetu szefa stacji. Ron Bishop już czekał. Wysoki, korpulentny mężczyzna roztaczał wokół siebie zapach cygar. Czubek jego głowy wieńczył zgrabnie przycięty tupecik. Okrążył wielki dębowy stół i podszedł do Maggie z wyciągniętą ręką. Gdy podała mu swoją, położył na niej drugą dłoń i potrząsnął mocno.

- Ron Bishop. Boże, wygląda pani zupełnie jak ona. Ja... my... nikt nie wiedział o pani istnieniu. Mówiła, że ma siostrę, ale kto by pomyślał, że bliźniaczkę. Czy chce pani wystąpić na antenie? Coś do niej powiedzieć? Poprosić porywaczy, by ją uwolnili? - zasypał ją pytaniami.

W głowie miał sto pomysłów, jak zwiększyć oglądalność programu.

- Pomyślę o tym - powiedziała Maggie, rozglądając się wokół.

Nad biurkiem wisiał wypchany, lśniący miecznik, na innych ścianach nagrody, dyplomy i barwne zdjęcia, na których szef wymieniał uściski dłoni z różnymi osobistościami. Nazbierało się tego, bo Bishop miał za sobą trzydzieści lat pracy w tym interesie. W rogu stał telewizor, *Denver o poranku* właśnie się zaczynał.

Patrzyła na ekran. Craig Beaumont, opalony blondyn o niebieskich oczach, przeprowadzał wywiad z miejscową pięknoscią w typie Marty Steward. Drobna, wyglądająca na przemądrzałą kobieta ubrana w dżinsy i białą koszulkę wyjaśniała, jak z resztek jedzenia przygotować pokarm dla ptaków. Gotowe produkty leżały przed nimi na stole.

- Do diabła - powiedział Ron, połyskując złotym zębem. - Mogłaby pani wystąpić w jej programie. Chociaż w jednej części.

Jego oczy, ukryte za grubymi szklami okularów, patrzyły niecierpliwie. Sięgnął do pudełka po cygaro, ale go nie

zapalił.

- Damy zapowiedź w wiadomościach o piątej, a potem o jedenastej wieczorem. I jutro rano, o szóstej.

Wszystko to działo się zbyt szybko. Maggie nie podobała się ta sytuacja. Nie lubiła, gdy ktoś na nią naciskał.

- Pomyślę nad tym - powiedziała, zastanawiając się, czy choć jedno słowo, które wypowiedział, było szczere. - Przyjechałam, by odnaleźć siostrę.

- Oczywiście, rozumiem. Wszyscy jesteśmy do pani dyspozycji. Nikt chyba bardziej niż ja nie pragnie, by Markiza się odnalazła - dodał.

Wydawał się szczery. Usiadł w fotelu i rozpiął marynarkę. W palcach gniótł cygaro.

- Nie będę pani oszukiwał, ale mieliśmy małe kłopoty, a w zasadzie... nazwijmy to różnicą poglądów. Craig i Markiza mieli różne zadania na temat przyszłego kształtu ich programu. Mogę jednak zapewnić, że wszystkim nam w KRKY zależy na powrocie pani siostry. Wie pani, to my pierwsi zaczęliśmy jej szukać. Nasza konkurencja rozdmuchała sprawę tego nieporozumienia. Ale to zwykła zazdrość i plotki. W tej branży to normalne. *Denver o poranku* miał zawsze najlepsze notowania.

- Do niedawna - przypomniała Maggie. Bishop machnął lekceważąco ręką.

- To prawda, mieliśmy w tym roku mały spadek oglądalności, ale to już przeszłość.

- Ciekawe - pomyślała chłodno Maggie.

Na ekranie po krótkiej przerwie na reklamy ukazał się ponownie Craig Beaumont. Tłumaczył widzom, że Markiza zaginęła i dlatego prowadzi program sam. Pokazano jej zdjęcie, a Craig prosił, by osoby mające jakiegokolwiek informacje na temat zaginionej skontaktowały się ze stacją. Potem wyświetlono film dedykowany Markizie. Składał się z fragmentów jej najlepszych programów.

Maggie w milczeniu obserwowała ekran. W głowie pojawiło się tysiące wspomnień. Na widok śmiejącej się, flirtującej i rozmawiającej z gośćmi

siostry jej oczy zaszyły mgłą. Wzruszenie ścisnęło jej gardło. Zagryzła wargi, gdy zobaczyła mrugającą do kamery Marię Teresę, Markizę. Gdzie jesteś? - zastanawiała się.

Markiza przez cztery pierwsze lata prowadziła program sama. To ona nadała mu kształt. Craig pojawił się dwa lata temu. Z czasem stawał się coraz ważniejszy i, jak twierdziła Maria Teresa, coraz bardziej zaborczy.

- Mówię ci, on chce przejąć mój program - zwierzyła się przez telefon. - Blondas marzy, żebym gdzieś po prostu znikła.

- Pani McCrae...

Głos Rona Bishopa przywołał ją do rzeczywistości.

- Och, przepraszam, czy pan coś mówił?

- Zaproponowałem, że oprowadzę panią po stacji, jeśli ma pani ochotę. - Spojrzał na zegarek. - Mam trochę czasu.

- Oczywiście.

Chciała zebrać jak najwięcej informacji o siostrze.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę. Ron pokazał jej pomieszczenie, gdzie przygotowywano programy. Stały tam łączone stoliki, oddzielone jedynie dźwiękoszczelnymi panelami. Przy komputerach pracowali reporterzy. Zbierano wiadomości do serwisów. Tablica informacyjna migła za każdym razem, gdy pojawiała się na niej coś nowego, na monitorach obserwowano wszystkie programy nadawane w Denver. W następnym pomieszczeniu filmowano wiadomości. Komputerowo sterowane kamery skierowane były w stronę biurka, przy którym pracowała ekipa dziennika. W sali obok stało kilka komputerów podłączonych do sieci.

Bishop przedstawił jej kilka osób, między innymi J.R. Alexandra, asystenta szefa wiadomości. Był to energiczny, inteligentny, czterdziestoletni mężczyzna w okularach w metalowej oprawie. Uśmiechając się w wystudiowany sposób, przechodził od jednego stanowiska komputerowego do drugiego. Odpowiadał na pytania i doradzał. Krótko mówiąc, trzymał rękę na pulsie.

- Chce pani poprowadzić program? - zapytał wprost. - Założę się, że widzowie nie zauważą różnicy. - Jego brązowe oczy błysnęły na samą myśl. - Pracowała pani wcześniej w telewizji?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, J.R. zniknął. Zawołał go któryś ze współpracowników.

Ron prowadził ją labiryntem korytarzy.

- J.R. pracuje u nas trochę dłużej niż pani siostra. Na początku był producentem *Denver o poranku*, potem awansował na szefa. Atutem montujemy filmy...

Pokazał jej całe studio. Przedstawił wielu osobom. Wszyscy przyglądali się jej z zainteresowaniem. Za plecami słyszała szepty, ale nie zwracała na nie uwagi.

- Boże, myślałam, że to Markiza!

- Kto by pomyślał. Co za podobieństwo!

- Dziwne. Straszne. Ciekawe, czy też jest taką egoistyczną suką.

- Jezu, mam nadzieję, że nie. Jedna wystarczy. Nasza planeta jest za mała, by pomieścić dwie.

Słyszała chichoty i docinki, ale je ignorowała. Gdy skończono nagrywać *Denver o poranku* widownia opuściła budynek. Ron zaprowadził ją do niewielkiego gabinetu, który zajmował Craig Beaumont.

Craig właśnie sięgał po płaszcz wiszący na wieszaku przy drzwiach. Na widok gości zamarł.
- Markiza! Na miłość boską, gdzie ty się podziewała? O mało nie dostałem przez ciebie zawału. Wyglądasz... wspaniale. Zawahał się przez chwilę spojrzął na Rona Bishopa.

- Chwileczkę...

- To nie Markiza. To jej siostra, Maggie McCrae. Craig Beaumont.

- Hej, czy to jakiś żart? Słodki Jezu. Markiza i pani... jesteście identyczne!

- Prawie - potwierdziła.

Pożerał ją wzrokiem. Oglądał ze wszystkich stron, jakby sprawdzał, czy prawdą było to, co usłyszał.

- Nie mogę uwierzyć.

Usiadł na rogu biurka. Wciąż trzymał płaszcz w ręku.

- To samo mówiłem - Ron Bishop nie tracił głowy. - Słuchaj, J.R. zażartował, że mogłaby wystąpić w programie. Uważam, że to świetny pomysł. Nasza oglądalność skoczyłaby w górę. No wiesz, niech uda Markizę. We wprowadzeniu mogłaby powiedzieć: „Czy to ona? Najbardziej znana zaginiona osoba w Denver?” Na to pytanie odpowie Tess O’Shaughnessy”. Jest teraz producentem programu... - wyjaśnił Maggie.

- Chwileczkę...

Maggie nie zamierzała dać się wciągnąć w ich grę.

-... tu pójda napisy, a potem przeprowadzisz z nią wywiad. Wiesz, jakie to wzbudzi zainteresowanie? Ludzie są strasznie ciekawi. Uwielbiają opowieści o bliźniakach. Pełno ich w tych wszystkich serialach. A my, proszę, mamy autentyczną tajemnicę, a na dodatek prawdziwe bliźniaczki. Oczywiście, najważniejsze, że to może pomóc w odnalezieniu Markizy. To główny powód. Im więcej ludzi ogląda program, tym więcej możemy się dowiedzieć.

Craig zapalił się do pomysłu.

- Później można by zaprosić do programu inne bliźniaczki, na przykład takie rozdzielone po urodzeniu, wiesz o co chodzi. Pokażemy, co mają ze sobą wspólnego, choć wychowali je różni rodzice...

- Doskonale!

- Powoli, panowie. - Maggie nie wierzyła własnym uszom. - Mnie to nie interesuje. Przyjechałam do Denver szukać siostry. Nie będę jej wykorzystywać.

- Ale to dla jej dobra. Może w ten sposób ją odnajdziemy. Ktoś z naszych widzów mógł ją gdzieś widzieć.

- Zadzwońliby chyba do tej pory. Przecież ją znają.

- Ale to mogłoby być coś wyjątkowego, na dużą skalę. Przyciągnęlibyśmy ogromną widownię. Co pani o tym sądzi, pani McCrae?

Maggie nie chciała brać udziału w tym wyścigu szczurów.

- Muszę z panem porozmawiać - zwróciła się do Craiga Beaumonta.

- Panie Bishop - w drzwiach ukazała się głowa szczupłej kobiety. - Prosił pan, by przypomnieć, że o jedenastej trzydziestej ma pan spotkanie z panem Danversem w Brown Palace.

Bishop spojrzął na zegarek. Wymamrotał coś, że mu przykro. Jeszcze raz powiedział Maggie, że jeśli zgodzi się na wywiad w *Denver o poranku*, wyświadczy siostrze ogromną przysługę, i opuścił gabinet.

- Przepraszam za Rona. No cóż, Ron... taki już jest - powiedział Craig. - Myśli tylko o wskaźnikach oglądalności.

- Urodzony zwycięzca - powiedziała Maggie, wzruszając ramionami.

- Wszystkim nam zależy na poprawieniu jakości programu i na lepszych wynikach w sondażach.

- Rozumiem, ale ja chcę tylko odnaleźć siostrę. Liczyłam, że może zechce pan odpowiedzieć na kilka pytań.

Craig patrzył na nią przez chwilę, po czym kiwnął głową. Maggie po raz pierwszy dostrzegła człowieka w kimś, kogo jej siostra nazwała chłopaczkiem z plakatu dla fanów surfowania.

- Oczywiście, ale wyjdźmy stąd - zaproponował. - Dwie ulice dalej jest restauracja. Tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Maggie zgodziła się. Tu, w miejscu pracy Markizy, czuła że wszyscy ją obserwują.

*

Thane nie miał szczęścia. Ludzie, z którymi rozmawiał, mieli niewiele do powiedzenia. Sprzedawca z pobliskiego sklepu nic nie pamiętał. Raoul, jej ogrodnik, nazwał ją aniołem zesłanym z nieba. Ten starszy, bardzo religijny mężczyzna z szóstką dzieci, z których dwoje nadal z nim mieszkało, uważał, że ostatnie pięć lat, kiedy pracował dla Markizy, były najszcześniejszym okresem jego życia.

Trener Markizy, Laslo Rolf, zaskoczył Thane’a. Znajac gust Markizy sądził, że zobaczy kolejnego mięczaka. Mylił się.

Dwudziestośmioletni Laslo miał sylwetkę Adonisa. Był doskonałym połączeniem najlepszych genów i zdrowego stylu życia. Laslo całe dni ćwiczył na siłowni. Wszyscy jego klienci byli zamożni. Niektórzy z nich byli znani, tak jak Markiza. Żaden jednak nie był tak ekstrawagancki jak ona.

- Kto wie, co się z nią stało? - powiedział w przerwie między treningami.

Stali przy oknie z widokiem na Denver. Promienie słońca odbijały się w szklano-stalowych budynkach. Śnieg zaczynał topnieć.

Zza ściany słychać było odgłosy z sali gimnastycznej i cichą muzykę.

- Z Markizą nigdy nie wiadomo. Raz dba o siebie, bierze witaminy, je tylko chude mięso, warzywa, owoce, a za chwilę alkohol i narkotyki. - Zmarszczył nos z niesmakiem. - Jej problem polega na tym, że nie potrafi się na niczym skoncentrować. Jest nielojalna wobec swojego ciała, brak jej dyscypliny. - Wzruszył barczystymi ramionami. - Ale nie jest wyjątkiem. To problem całego kraju.

- Wspominała może coś o ucieczce?

- Cały czas. - Laslo otarł ręknikiem pot z czoła. - Marzyła, że wyjedzie do Nowego Jorku albo że wróci do Los Angeles, do telewizji. Zmieniała plany co kilka dni. Wszystko przez te kłopoty w pracy. Jej współpracownik to prawdziwy kutas, ciągle miał do niej pretensje. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to uważam, że żyła pod presją i czuła się zagubiona. Albo praca, albo... no cóż, życie osobiste.

- Co ci mówiła?

Laslo skrzywił się.

- Wiesz co, Walker, przez długi czas miałem wrażenie, że ona ciągle coś do ciebie czuje.

- A poza tym?

- Poza tym zdaje mi się, że ona się ciebie boi. Byłeś jedyną osobą, której się bała. Dlaczego?

- A skąd mam, do cholery, wiedzieć - odpowiedział Thane, choć nie była to do końca prawda. - Wiesz, co mówią o byłych mężach.

- Tak, najlepszy jest ten martwy.

Thane uśmiechnął się.

- Już to słyszałem.

- To samo mówią chyba o byłych żonach - powiedział Laslo, patrząc mu prosto w oczy. - Muszę już iść. Moje zajęcia się zaczynają.

Niska kobieta, ubrana w drogi kostium gimnastyczny i obwieszona biżuterią, rozpromieniła się na widok młodszego od siebie mężczyzny. Laslo odwzajemnił jej uśmiech, wprawiając nieco zbyt pulchną panią w stan błogiego zachwyty.

Thane szybko opuścił to miejsce. Nie czuł się najlepiej wśród gimnastycznego sprzętu i spoconych ciał, wpatrzonych w wiszące na ścianach ekrany telewizorów lub w idealnie zbudowanych instruktorów. Uważał, że najlepszą kondycję osiąga się dzięki pracy. Pracy fizycznej.

Otworzył drzwi furgonetki i zauważył, że jeep, który go śledził, zniknął. Poczul ulgę. Wyjeżdżając z parkingu dostrzegł czterodrzwiowego plymoutha, który ruszył z podjazdu. Henderson miał go stale na oku. Ustawił lusterko wsteczne i skierował się do centrum Denver. Zastanawiał się, jak sobie radzi Maggie. Wiedział, że to głupie, była przecież dorosła, ale z dala od niej był niespokojny i podenerwowany. Gdy wyobraził sobie, że Maggie stara się zachować jak jej nieodpowiedzialna siostra, zdenerwowanie rosło.

A z tobą jest bezpieczna? Akurat! - myślał.

Czuł się winny, bo ją wykorzystywał. Tak po prostu i bez skrupułów. A ona nic o tym nie wiedziała.

- Jesteś wrednym sukinsynem, mówił do siebie. - Niszczysz każdego, kto stanie ci na drodze. Nawet Maggie.

Przeklinając samego siebie, poprawił daszek czapki, by osłonić oczy przed silnymi promieniami słońca. Zastanawiał się, kiedy wreszcie skończy się to całe zamieszanie z Marią Teresą.

Gdy się skończy, Maggie McCrae znieawidzi każdą komórkę twojego ciała.

16

Przyznaję - zgodził się Craig Beaumont, popijając drugą szklaneczkę Krwawej Mary. - Pani siostra i ja nie zgadzaliśmy się co do przyszłości naszego programu.

Zamieszał drinka kawałkiem selera. Nie zwracał uwagi na miseczkę zupy ryżowej, którą wcześniej zamówił.

Restauracja urządzona była w południowo-zachodnim stylu. Na ścianach wisiały ostrogi, uprząż i lassa. Na dębowych stołach stały latarenki. Obicia ław były w kolorach starego złota, rózu i lawendy, w kolorach zachodzącego słońca. Kuchnia serwowała potrawy teksańsko-meksykańskie. W środku panowała cisza. Kelnerki były dyskretne.

- Klóciliście się tego dnia, gdy zniknęła?

Pokiwał głową.

- To było niezłe widowisko. Na oczach asystenta producenta i całej ekipy. Popęliłem błąd.

- Proszę mi o tym opowiedzieć.

- Teraz wydaje mi się to głupie - przyznał, kręcąc głową. - Markiza była nieugięta. Nie chciała się zgodzić na nowy kącik z plotkami z życia gwiazd Górzystych Stanów. Ona chciała podnieść rangę programu. Chyba tak to można nazwać. No wie pani, żeby opowiadać o wielkim świecie, jak w Los Angeles, żeby było bardziej elegancko, wymyślnie.

- A pan się nie zgodził.

- Z badań rynku wynika, że naszym statystycznym widzem jest gospodyni domowa, matka kilkorga dzieci, pracująca na pół etatu, niezbyt wykształcona, dwadzieścia pięć - trzydzieści osiem lat.... No cóż, robimy program dla zwyczajnych, przeciętnych ludzi. W każdym odcinku szef którejś z miejscowych restauracji przygotowuje danie, a widzowie mogą napisać do nas po dokładny przepis. Mamy ogrodników, pisarzy, sportowców, mamy

porady lekarskie, kosmetyczne, kącik poświęcony urządzeniu domu. Od czasu do czasu zapraszaliśmy gwiazdy, które przejazdem gościły w okolicy, czy to na planie filmu, czy promując wydanie własnej biografii. Markiza chciała, żeby zrobić z tego stałą część programu. - Dokończył drinka. - I mówiąc szczerze, liczyła na to, że się mnie pozbędzie.

Maggie nie była zaskoczona. Nabrała na widelec meksykańskiej sałatki i zapytała:

- Dlaczego?

- Chciała sama prowadzić program. Od początku, odkąd się tam pojawiłem. Zawsze wypominała, że zatrudnili mnie za jej plecami. Uważała, że nic nie wnoszę. Więc gdy nasze notowania zaczęły spadać, uznała, że to moja wina.

Sięgnął po chleb i uśmiechnął się. Maggie wyczuła jakąś sztuczność. W zamyśleniu smarował kromkę masłem.

- Mówiło się o zakończeniu emisji lub zmianie formuły. Stało na tym, że Markiza zreformuje program i sama się wszystkim zajmie.

Przez chwilę przeżuwał w milczeniu chleb.

- Pani siostra uważa się za primadonnę, no wie pani, królową matkę.

- Co pan o niej sądzi?

- To wredna i upierdliwa baba.

- Zdaje się, że ona to samo mówi o panu.

- Domyślam się - parsknął.

- A więc nie wie pan, co mogło się z nią stać?

- Nie, niestety. Niech pani zrozumie, nie życzę jej źle. Przykro mi, że nie możemy się dogadać. Ale to ona nie ma racji. Mogę to powiedzieć, bo znam się na pracy w telewizji. Każdy to pani powie.

- Dlaczego jej pan nie lubi?

- Dlatego, że nie jest profesjonalistką. Wiecznie się spóźnia, wszyscy zawsze muszą się z nią zgadzać. Miewa napady złości, najgorsze, jakie w życiu widziałem.

Przełknął kilka łyżek zupy.

- Za niepowodzenia obwinia wszystkich, tylko nie siebie. Proszę nie mieć mi za złe szczerości. Nie jest złą kobietą, ma po prostu trudny charakter. I nie mam zielonego pojęcia, co mogło się stać.

Maggie, chcąc nie chcąc, powoli zaczęła przekonywać się do Craiga. Był próżnym egoistą, ale wydawał się mówić szczerze. Nie krył, że nie lubi Markizy. Choć Maggie w duszy chciała bronić siostry, spierać się z każdym, kto źle o niej mówił, rozumiała Craiga.

Prosto z restauracji pojechała za miasto, gdzie w szarym budynku mieściła się firma Lawrence's Executive Options, której prezesem była Evelyn Lawrence. Firma zajmowała się prowadzeniem księgowości kilku niewielkich przedsiębiorstw na terenie Denver i okolic, również sprawami Markizy. Jej rachunkami, pocztą od wielbicieli i całą korespondencją.

Na widok Maggie Evelyn potrząsnęła głową i bez zbędnych ceregieli zauważyła:

- Wiem, że wszyscy to mówią, ale wyglądacie identycznie. To straszne. To jest... dlatego, że zniknęła. Wiem, że utrzymywałyście bliskie stosunki. Widziałam pani zdjęcia, ale nie myślałam, że podobieństwo jest aż tak uderzające. Dopiero teraz... Jezus Maria. Dwie krople wody nie są do siebie tak podobne.

Złożyła ręce. Maggie zauważyła, że prawie na każdym palcu ma pierścionek. Jej makijaż był idealny, rude włosy doskonale uczesane, a paznokcie pomalowane czerwonym lakierem. Granatowy kostium i buty w tym samym kolorze dopełniały obrazu kobiety biznesu.

- Przejdźmy do rzeczy. Czy mogę pani jakoś pomóc?

Przeszły do sali konferencyjnej i usiadły przy stole. Sekretarka podała kawę i wręczyła szefowej akta.

- To ostatnie - powiedziała Evelyn, gdy dziewczyna opuściła salę i zamknęła za sobą drzwi.

Wlała do kawy odrobinę mleka i patrzyła, jak łączy się z czarnym płynem.

- Jeśli chce pani kopie, chętnie je udostępnię. No, może z wyjątkiem dokumentów osobistych, zwrotów podatku, zeznań finansowych i tym podobnych spraw, rozumie pani.

Po drugim rozwodzie Evelyn poszła w ślady Markizy. Wyjechała z Los Angeles, osiedliła się w Denver i założyła nową firmę. Po jakimś czasie stwierdziła, że mogłaby zajmować się nie tylko sprawami Markizy, ale i innych osób. Markiza napisała jej listy polecające. Rozmawiała w jej imieniu z potencjalnymi klientami. Wyglądało na to, że Evelyn darzyła ją szacunkiem i zaufaniem. Jak sama twierdziła, ich znajomość była prawie doskonała, choć zdarzały im się drobne nieporozumienia.

- Niech to zostanie między nami - wyznała, popijając kawę - ale siostra stała na granicy bankructwa. Nigdy nie potrafiła kontrolować swoich wydatków. Nie powinnam o tym mówić, ale to i tak wyjdzie na jaw przy okazji sprawy o długi. Została pozwana przez wierzycieli. - Evelyn wydeła z dezaprobatą usta. - Ostrzegałam ją, ale ona nie słuchała.

- Maria Teresa zawsze robiła wszystko po swojemu.

- Urząd podatkowy jej tego nie daruje - powiedziała Evelyn. - A co gorsza, pani siostra miała koszmarny gust, jeśli idzie o mężczyzn.

Podniosła rękę, spodziewając się sprzeciwu ze strony Maggie.

- Wiem, wiem, nie powinnam się wtrącać. Sama mam nie najlepsze doświadczenia. Zwykle nie wtykam nosa w cudze sprawy, ale muszę stwierdzić, że dokonała kilku fatalnych wyborów. Poznała pani jej męża, Thane'a Walkera?

Maggie zamarła. Evelyn teatralnie przewróciła oczyma.

- Na pierwszy rzut oka wydaje się w porządku. Wie pani, to typ wyluzowanego kowboja, ale ja mu nie ufam. Nie jest taki prosty, na jakiego wygląda. Moim zdaniem, on coś ukrywa. Z jakiegoś powodu, Bóg jeden wie jakiego, Markiza nigdy z nim tak do końca nie zerwała - westchnęła Evelyn.

- Naprawdę? - zapytała Maggie. Była coraz bardziej spięta.

- Zdaje mi się, że to on czegoś od niej chciał. Może nadal ją kochał? Nie wiem.

Maggie miała ściśnięte gardło. W głowie jej kołatało. A nie mówiłam?

- No i ten drugi, Syd. Jeszcze gorszy. Proszę nie myśleć, że nienawidzę mężczyzn. Tak nie jest. Ale ci, z którymi zadaje się Maria Teresa, to łajdacy lub nieudacznicy. Syd był cwany i bogaty. Traktował ją jak drogą błyskotkę. Wie pani, taka żona-trofeum, co to odzywa się, gdy ją o to proszą, a w ogóle siedzi cicho i jest grzeczną dziewczynką. Niech mi pani wierzy, siostrze to nie odpowiadało. Syd przeciągnął strunę i Maria Teresa pokazała mu, na co ją stać.

Jej oczy błyszczały, jakby zdradzała największą tajemnicę.

- Uderzyła w bolesne miejsce, a potem odprawiła z kwitkiem.

Maggie popijała swoją kawę i słuchała plotek z życia Marii Teresy.

- Ona nie chciała się ustatkować. Między Thanem a Sydem miała kilku facetów, a po Sydzie było ich całkiem sporo. Nikt specjalny. Wszyscy mniej więcej w jednym typie: bezmyślni przystojni chłopcy. Robiła to na złość Sydowi. Chciała mu udowodnić, że może mieć młodszych i przystojniejszych kochanków - Evelyn kiwnęła na Maggie palcem - a nawet byłego zięcia. Rany, to go dopiero wkurzyło.

- Jak on się nazywa?

- Chwileczkę.

Evelyn pstrykała palcami, w skupieniu ściągnęła brwi. Z westchnieniem oparła się o krzesło.

- Wiem, już wiem. Inman, tak jest, Robert Inman. Nie ma jeszcze trzydziestki. Grywał ze starym Sydem w golfa do czasu, gdy rzucił jego córkę dla innej.

- Dla Marii Teresy? - zapytała z niesmakiem Maggie.

- Mhm.

W oczach Evelyn pojawiły się iskierki. Opowieści z życia rodziny Gillettów sprawiały jej widać przyjemność. Wypiła łyk kawy.

- Nie powinna była tego robić, ale Robby, tak go nazywała, zawsze szukał kłopotów. Moim zdaniem, Markiza wyświadczyła jego byłej żonie przysługę.

- Nie sądzę, by ona tak to widziała.

- Oczywiście, że nie. Tanya była w tym czasie w ciąży. Ich małżeństwo się rozpadło.

Evelyn uśmiechnęła się gorzko.

- Syd musiał znaleźć sobie nowego partnera do gry w golfa.

Maggie dopiła kawę i postawiła na stole pustą filiżankę.

- W końcu Maria Teresa rzuciła Robbiego i znalazła sobie kogoś innego. Jej ostatni facet, ten młody Pomeranian, kręcił się koło niej tylko dlatego, że chciał się załapać do filmu lub telewizji. Liczył na jej układy. I guzik. A ta jej nowa agentka, Ambrose King? To przez nią Markiza musiała podzielić się swoim programem. A ten Craig Beaumont to żmija.

Zmarszczyła czoło i pokręciła głową. W końcu uświadomiła sobie, że to co mówi, brzmi jak plotki. Machnęła ręką, jakby odganiała myśl.

- Jestem osobą, która zawsze nazywa rzeczy po imieniu. Martwię się o pani siostrę. To do niej niepodobne... Robiła już coś takiego, ale nigdy nie posunęła się tak daleko. To.. to mnie niepokoi.

Skończyła kawę i wytarła usta serwetką.

- Modlę się, by się odnalazła cała i zdrowa.

- Ja również - powiedziała Maggie, choć z każdą chwilą czuła się coraz gorzej. - Nie wie pani, czy miała ostatnio jakieś szczególne zmartwienie?

- Poza życiem, tak ogólnie? - Evelyn roześmiała się gorzko. - Nie, nie sądzę. A jeśli pani pyta, czy miała skłonności samobójcze, odpowiem zdecydowanie: nie. Policja uważa, że mogła się gdzieś ukryć, coś sobie zrobić, ale ja w to wątpię. - Patrzyła Maggie prosto w oczy. - To nie w jej stylu.

Rozmawiały jeszcze przez chwilę. Maggie wyszła z biura sfrustrowana. Nie dowiedziała się niczego konkretnego. Czuła, że jej śledztwo nie posunęło się ani o krok. Na ulicach topniał śnieg. Od rana świeciło słońce. Powietrze było przejrzyste, ale ona miała złe przeczucia, które ciągnęły się za nią jak cień.

*

- Jesteś pewny?

Thane przyciskał do ucha słuchawkę, nie zwracając uwagi na głośną muzykę country i rozmowy dobiegające z przepelnionego baru.

- W zupełności - odpowiedział Roy.

Jego głos brzmiał donośnie i wyraźnie, jakby znajdował się za ścianą, a nie gdzieś na końcu świata, w Kalifornii.

- Musiałem się nieźle napracować, ale miałem szczęście. Wygląda na to, że twoja była żona przez jakiś czas przebywała w prywatnej klinice niedaleko granicy z Meksykiem. To szpital psychiatryczny. Leczą tam znane osobistości, oczywiście anonimowo. Narkotyki, załamania nerwowe. Maria Teresa zgłosiła się do nich jakieś pół roku po waszym rozwodzie, kolego.

Thane poczuł, że ma sucho w gardle. Gdyby Maria Teresa była obok, złapałby ją i udusił za te wszystkie oszustwa.

- Cholera - mruknął.

- A teraz czekam na gratulacje - powiedział ze śmiechem Roy. - Nie co dzień człowiek dowiaduje się, że jest ojcem siedemnastoletniego syna.

Thane przypomniał sobie, jak w zeszłym tygodniu Maria Teresa zadzwoniła do niego do Cheyenne. Płakała, przysięgała, że się zabije. Była zupełnie wytrącona z równowagi. Błagała, by przyjechał do Denver. Pędził jak wariat, łamiąc wszystkie przepisy drogowe.

Zastał ją w kuchni. Była w czarnym jedwabnym szlafroku. Zaprosiła go do środka. Zaproponowała drinka. Odmówił. Sama była już nieźle wstawiona. Przeszła od razu do rzeczy i poprosiła, by pożyczył jej trochę pieniędzy. Znowu odmówił, wtedy zupełnie się rozkleiła. Najpierw próbowała go uwieść, potem się rozplakała.

Próbowała na nim wszystkich swoich sztuczek. Całowała go, otwierała usta, lizała go za uchem, mówiła, że jest jedynym mężczyzną, który potrafi ją zaspokoić.

- Przestań.

Odepchnął ją. Potknęła się i uderzyła o blat stołu. Do oczu napłynęły jej łzy. Zaczęła szlochać, jakby złamał jej serce. Wiedział, że udawała. Grała jedną ze swoich ról.

- Nawet o tym nie myśl, Mario - powiedział, gdy włożyła, palce za kołnierz jego kurtki i patrzyła w oczy.

Jej oczy pełne łez błyszczały, nos i policzki miała czerwone od płaczu i alkoholu. Był nieugięty.

- Nie kupuję tego, kochanie.

Powoli uwolnił się od jej uścisku.

Wpadła w gniew. Jej piękne oczy były złe.

- Musisz mi pomóc.

- Nie, Mario Tereso, niczego nie muszę.

- Ale ty... my...

- Nie ma żadnego „my”. Są byli małżonkowie, którzy nigdy się nie kochali.

- Łajdak!

- Zgadza się.

- Boże, ale jesteś zimny.

- Nauczyłem się od ciebie.

- Jak możesz być taki okrutny, bez serca? - pytała, przygotowując sobie kolejnego drinka.

Do wysokiej szklanki wlała wódkę i sok pomarańczowy. Zamieszała. Z oczu płynęły jej łzy. Na policzkach rozmazał się tusz do rzęs. Wyglądała żałośnie.

- Thane, oddałam ci wszystko. Miałam tylko siedemnaście lat, gdy mnie uwiodłeś.

- To na mnie nie działa - przerwał jej. - Nie czuję się winny.

- Ale...

- A poza tym, to ty mnie uwiodłaś. Udawałaś Maggie.

Na jej ustach pojawił się szyderczy uśmiech. Odstawiła szklankę.

- Zawsze stała między nami. Nawet gdy byłam w ciąży, brałeś mnie za nią. Jesteś chory, Walker.

- Być może.

Pociągając głośno nosem, spuściła głowę, przybierając pozę osoby zranionej. Kolejna maska. Wbiła wzrok w podłogę i wyszeptała:

- Potrzebuję twojej pomocy, Thane. Jesteś jedyną osobą, na którą mogę liczyć, jedynym...

Zachłysnęła się. Przygryzła wargi. Łza z jej twarzy spadła na podłogę. Omal się nie złamał.

- Zapomnij, Mario. Skończyłem z tym. Z tobą. To trwało wystarczająco długo. Koniec.

- Nie rób mi tego - szeptała cicho, wodząc palcem po kancie stołu.

- Sama to sobie robisz.

- Nie pouczaj mnie.

- Muszę już iść.

- Posłuchaj, Thane. Zwrócę wszystko. Muszę zapłacić podatki. Jestem strasznie zadłużona, a oni mówią coś o zdjęciu mojego programu. Ja... Cholera, co ja teraz zrobię? Thane...

- Nie ma mowy.

- Ale ja potrzebuję...

- Przestań ciągle do mnie przychodzić, dzwonić za każdym razem, gdy masz problem. Stań wreszcie na własnych nogach, albo przyklej się do tego twojego ślicznego chłopaczka.

- Do Wade'a? - powiedziała przetykając łzy. - Nie mam z niego pożytku.

- To znajdź sobie kogoś innego, do jasnej cholery. W tym jesteś dobra. Z nami koniec.

Zaśmiała się.

- Głuptas - powiedziała.

Po jej policzkach nadal płynęły łzy. Otarła je ręką szlafroka. Spuściła oczy. To spojrzenie, spod wpeł przymkniętych powiek, zawsze go podniecało.

- To się nigdy nie skończy. Nie wiesz o tym?

- Wiem, że z nami koniec.

Otworzył przesuwane drzwi do patio. Do pokoju wpadło chłodne zimowe powietrze.

- Nie mów tak.

Podniosła szklanke i wypła wódkę z sokiem. Nie spuszczać z niego wzroku, powoli gryzła lód.

- Wiesz co, spadam stąd.

Wyszedł przez tylne drzwi, by odetchnąć świeżym powietrzem. Na ziemi leżały zeschnięte liście. Ciemnej tafli jeziora strzegły nagie drzewa. Poszła za nim. Wieczór był zimny, powietrze ostre, na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Próbowwała go dogonić. Pasek od szlafroka ciągnął się po zamrożonej, żółtej trawie. Nie zwracała na to uwagi.

- Nie.

Był już przy bramie. Gdzieś w sąsiednim domu trzasnęły drzwi.

- Zapomnij o tym, Mario.

- Nie mogę, a i ty nie powinieneś.

Nie słuchał, szedł przed siebie. Dogoniła go i złapała za koszulę.

- Jest coś, o czym nie wiesz.

W świetle księżycy jej twarz była zupełnie biała.

- Z pewnością.

- Ale to jest coś szczególnego. Dotyczy ciebie.

- Nie interesuje mnie to.

Doszli do garażu przed domem.

- To ty kiedyś tak bardzo chciałeś być tatusiom.

- A co to ma wspólnego z...

Odwrócił się na pięcie i złapał ją za rękę. Serce biło mu mocno. Zaczynał rozumieć.

- O czym ty mówisz? - zapytał cicho.

Kątem oka dostrzegł znikającego w mroku kota.

- Nie rozumiesz? - roześmiała się.

W jej głosie wyczuł nutę zwycięstwa.

- Czego nie rozumiem?

- Mamy dziecko, Thane. Chłopca.

- Niemożliwe. Mówiłaś, że je straciłaś.

- Pierwsze... o tym dowiedziałam się już po naszym rozstaniu.

- Kłamiesz.

Dudniło mu w głowie.

- Skoro tak uważasz.

Zaczynał tracić cierpliwość.

- Mówię poważnie, Mario.

- Och, oczywiście to cię nie interesuje.

Popchnął ją na drzwi garażu.

- Mario, nie zaczynaj.

- To prawda. Masz siedemnastoletniego syna.

- Jesteś pijana.

- Nie aż tak.

- Przysięgam, że jeśli to twoje kolejne kłamstwo, zabiję cię!

Zacisnął palce na jej ramieniu. Przysunął twarz tak blisko, że czuł zapach włosów zmieszany z alkoholem. Uświadomił sobie, że bez trudu mógłby połamać jej kości albo kochać się z nią aż... O Chryste, nie! Puścił ją i cofnął się o krok. Omal się nie przewrócił o skradającego się kota. Ten zamiauczał przerażony i uciekł za płot.

- Gdzie jest?

- Nie wiem.

- Kłamiesz.

- Nie, oddałam go.
- Gdzie? - domagał się wyjaśnień.
- Wypisz czek, to porozmawiamy.
- Ty żałosna dziwko!
- Kiedyś tak nie myślałeś.

Czuł, że więzy, które łączyły go z Markizą, znowu się zacieśniają. Krew mu wrzała.

- Ale mam to za sobą!
- Zgnijesz w piekle, Walker.

Już to robię, pomyślał odjeżdżając.

Stracił siedemnaście lat. Nigdy naprawdę nie przestał kochać Maggie McCrae, siostry swojej byłej żony. Ale Markiza rzuciła na niego urok. Wiedział, że miała rację. Nigdy się od niej nie uwolni.

*

Maggie jechała zalanymi słońcem, tłocznymi ulicami Denver. Czuła się samotna i opuszczona. Jeszcze kilka lat temu w jej życiu było tyle osób. A teraz? Rodzice zmarli. Po rozwodzie z Deanem krewni odwrócili się od niej. Córka przestała jej ufać, a siostra zaginęła. Zerkając od czasu do czasu na mapę, Maggie dojechała do hotelu.

- Wreszcie w domu - powiedziała, rzucając torebkę na krzesło.

Zsunęła buty i zajrzała do sypialni Thane'a. Była pusta. Westchnęła i oparła się o przesuwane drzwi. Przez moment zamarzyła, by zasnąć w jego objęciach i czuć się bezpieczne.

- Maggie, opanuj się - mruknęła do siebie pod nosem.

Wykręciła numer do agentki Markizy w Los Angeles. Usłyszała, że pani King wyjechała z miasta na weekend i że oddzwoni, gdy tylko wróci.

- Ciekawe - mruzczała pod nosem.

Wybrała numer Michelle Kelly, psychiatry. Po trzecim sygnale włączyła się automatyczna sekretarka. Maggie zostawiła wiadomość z prośbą o spotkanie. Sfrustrowana spojrzała na zegarek. Thane'a ciągle nie było, miała więc świetną okazję, by dowiedzieć się o nim czegoś więcej, poznać jego tajemnice.

To on. To Thane mi to zrobił. Nie pozwól, by uszło mu to na sucho, brzmiało jej w uszach. Co takiego zrobił? - zastanawiała się.

Czuła, że nie powinna tego robić, ale weszła do jego sypialni. Rozejrzała się, szukając torby. Znalazła ją w szafie. Nasłuchując, czy nie nadchodzi, sprawdziła jej zawartość. Spodnie, bielizna, sweter, koszule, skarpety. Kosmetyczka z przyborami do golenia. Nic więcej. Żadnych dokumentów, notesu z adresami, nic.

- No, chyba wystarczy tego szpiegowania - powiedziała do siebie. Odłożyła rzeczy na miejsce. Nie była pewna, czy jest w stanie pomóc siostrze, czy może rozwikłać zagadkę Thane'a Walkera.

Po pierwszym dniu śledztwo Maggie nie posunęło się do przodu.

- A czego się spodziewałaś? - mówiła do siebie. Że w dwadzieścia cztery godziny rozwiążesz problem, nad którym policja z Denver pracuje od wielu dni?

Weszła do łazienki i odkręciła wodę.

- Idiotka z ciebie - zbesztala siebie, patrząc w lustro.

Zdjęła ubranie. Podeszła naga do lustra i podniosła rękę, wyobrażając sobie, że to Markiza unosi rękę. Czuła się dziwnie.

- Gdzie jesteś? - zapytała, opierając czoło o chłodne lustro. Boże, to wszystko jest takie skomplikowane.

Usiadła na brzegu wanny i masowała obolałe stopy. Nie była przyzwyczajona do wysokich obcasów. Nad wanną unosiła się para. Maggie związała włosy i raz jeszcze spojrzała w lustro.

- Czy naprawdę wyglądałam jak Markiza? Czy jestem do niej aż tak podobna?

Nie rób tego, Maggie. To zbyt niebezpieczne. Ciemne. Przeróżające.

Weszła do wanny. Gdy ciepła woda rozgrzewała jej ciało, przypominała sobie poprzednią noc. Dziś, z perspektywy czasu, to, co robiła z Thanem, wydało jej się zupełnie nierealne i głupie. Przeszły ją dreszcze na wspomnienie jego dotyku, który doprowadził ją na szczyt ekstazy. Nie doświadczyła tego od lat. Był jej pierwszym kochankiem. Był najlepszy.

Przywołała się do porządku. Widziała, że zawsze fascynowały ją jego tajemnice. Uwiódł ją jego urok niegrzecznego chłopca. Przy nim stawała się jeszcze jedną głupią kobietą. Z niesmakiem odrzuciła wspomnienie tego, jak doprowadzał ją szału, jak jedno spojrzenie jego surowych oczu sprawiało, że zaczynała o nim marzyć.

A czy on marzył o Markizie? - myślała. Jak to ujęła Evelyn? Thane nigdy nie zerwał z Marią Teresą. Nie przestał jej kochać. Mówiła, że pewnie coś ich łączy. Ale co? Co trzymało ich razem?

To pytanie prześladowało ją od dawna. Rozboliła ją głowa. Zamknęła oczy i leżała w wannie. Próbowwała się skoncentrować. Z kawałków zebranych informacji starała się ułożyć całość, ale rozpraszało ją wspomnienie dotyku jego dłoni i ust.

Zdrzemnęła się. Obudziła się w zimnej wodzie. Gdy sięgała po szlafrok, usłyszała, że ktoś otwiera drzwi do apartamentu. Szybko okryła się i wybiegła do salonu.

Thane zdejmował rękawiczki. Wszedł do pokoju. Gdy ją zauważył, zawstydzila się, uświadomiwszy sobie, że jest

prawie naga.

- No i co? - spytała.

- Nie dowiedziałem się zbyt wiele.

Wbił wzrok w jej szyję tam, gdzie kończył się kołnierz szlafroka.

- Sprzedawca w sklepie milczał, nie był nawet pewny, czy robiła tam zakupy. Laslo wydaje się szczerzy, a ogrodnik i gospodyni całują ziemię, po której stapała. Byłem też w hotelu Syda Gillette, ale go nie zastałem.

Ich oczy spotkały się na chwilę.

- A co u ciebie?

- Niewiele więcej - przyznała.

Przyniósł ze sobą chłód wieczoru i zapach ulicy. Włosy opadały mu w nieładzie na czoło, zupełnie tak samo jak pewnego lata dawno temu.

- Chcę się spotkać z agentką i psychiatrą. Ci z KRKY chyba rzeczywiście martwią się o nią, ale kto to wie?

Patrzyła mu prosto w oczy i nie mogła zapomnieć wczorajszego wieczoru.

- Wiesz, już raz zostałam oszukana.

- Kiepski żart, Mag - powiedział.

Podszedł do barku, wziął butelkę szkockiej i nalał sobie drinka.

- Napijesz się? - zaproponował.

Była zmęczona. Bolała ją głowa, a jego towarzystwo wytrącało ją z równowagi. Nigdy nie przepadała za alkoholem. Miała uraz z dzieciństwa. Ale tym razem dała się namówić.

- Kropelkę.

- Jak chcesz, skarbie.

Nalewał, unosząc brew.

- Prosiłam, żebyś mnie tak nie nazywał.

Kiwnął głową i uśmiechnął się.

- Zdenerwowana? Twoje zdrowie.

- Za Marię Teresę - odpowiedziała automatycznie. Wypiła jednym haustem, wprawiając go w zdumienie. Poczula ciepło rozchodzące się po ciele.

- Jak sobie życzysz.

Sączył powoli swojego drinka. Włączył kominek i zapatrzył się w wiszące nad nim lustro. Z bijącym sercem patrzył na jej odbicie. Był bliski szaleństwa.

- Chyba przeniosę się do innego hotelu - powiedziała cicho.

- Dlaczego?

- Wiesz dlaczego. To... - potrząsała głową - to szaleństwo. Wczoraj...

- Co wczoraj?

Odwrócił się, oparł ramieniem o kominek i dokończył drinka.

Próbowała nie patrzeć na jego poruszające się jabłko Adama. Nie widzieć cienia czającego się w kącikach oczu, gdy na nią patrzył. Nie chciała myśleć o jego dotyku, zapachu, o tym, że nikt nigdy nie całował jej tak jak Thane. Nawet Dean. Poczula wyrzuty sumienia. Poślubiła Deana McCrae tylko dlatego, że zawiodła się w miłości. Wmówiła sobie, że nauczy się go kochać, że to, co czuła do Thane'a, było tylko zauroczeniem. Niczym więcej. Ale myliła się. Miłość, jaką darzyła tego samotnego kowboja, nigdy nie umarła. Nawet teraz, w tym pokoju hotelowym nie było dla niej ważne, że znaleźli się tu z powodu Marii Teresy. Nigdy nie sądziła, że ból, jakiego wtedy doznała, można tak łatwo uśmierzyć.

- Nie udawaj, Thane. - powiedziała.

Podeszła boso do barku i przygotowała sobie jeszcze jednego drinka.

- Oboje wiemy, że nie możemy... że ty i ja... to się nigdy nie uda. A ja nie mam ochoty na krótki romans, rozumiesz? Mam zbyt wiele spraw na głowie.

Gdy się odwróciła, stał tuż za nią. Nie dotknął jej nawet, zaledwie musnął dłonią jej ramię, ale poczuła go tak wyraźnie, jakby ich nagie ciała splotły się w niecierpliwym uścisku. Szkocka rozgrzewała ją.

- Powinniśmy porozmawiać - powiedział chłodno. - Jest coś, o czym musisz wiedzieć, Maggie. To ważne.

Napiła się i dopiero wtedy odważyła zapytać.

- Co takiego?

- Być może, Maria Teresa nie żyje.

- Co? - Omal nie upuściła szklanki. - To niemożliwe.

- Pomyśl, nie ma jej od tygodnia. Nie dzwoni, nie pisze, nie ma od niej żadnych wiadomości. Nikt nie żąda okupu. Nic.

- Nie wierzę - powiedziała potrząsając głową. - Nie mogę. A gdzie jest jej... jej jeep?

- Może został skradziony. Albo jest tam, gdzie ciało.

- Nie mów tak! Nie wierzę. Nie mogę.

- Maggie, pomyśl. Coś musiało się stać.

- Nie - potrząsała głową.
Podeszła do okna i zapatrzyła się w noc.
- Maggie, musimy być przygotowani na wszystko - powiedział ochryple. - Jej może już nie być.
W oczach Maggie pojawiły się łzy. Była zła na niego. Na Markizę. Na cały cholerny świat.
- Wiem, że nic jej nie jest.
- Skąd? Tylko dlatego, że jesteście bliźniaczkami...
Zakreśliła jej się w głowie. O mało nie wylała drinka.
- I tak nie uwierzysz.
Zmrużył oczy.
- Wiesz coś, o czym mi nie powiedziałaś?
- Nie mogłam.
Dobry Boże, czy mogę mu powiedzieć prawdę? - myślała. Czy się ośmielę?
Szkocka dodawała jej odwagi, zachęcała do podzielenia się tajemnicą.
- Co takiego?
- Pamiętasz, jak opowiadałam ci o telepatii?
- Czegoś takiego się nie zapomina.
Odstawił szklanekę i wsadził ręce do kieszeni spodni. Oparł się o stół i powiedział:
- Tylko nie mów, że znowu miałaś od niej wiadomość.
- Nie... nic od ostatniego razu.
- Wtedy gdy przyjechałem do Idaho?
- Tak - odparła chłodno. Ręce jej drżały. Dopijała drinka i odstawiła szklanekę.
- Wiadomość, którą mi wysłała, była przerażająca.
- Prosiła o pomoc?
- Nie tylko.
Przygładziła włosy, uwalniając je od spinki podtrzymującej kok.
- Wiem, że trudno w to uwierzyć... ja też na początku... Profesjoniści mówili, że to niemożliwe, że to moja wyobraźnia, że przebadano wiele rodzeństw bliźniaczych i nigdy nie stwierdzono takiego przypadku. To takie... niezwykle. Nie umiem tego wyjaśnić.
- Mag, już o tym rozmawialiśmy. Przestań kręcić - mówił cicho.
Zamarła. Żałowała, że zaczęła tę rozmowę.
- Mówiłaś, że się z tobą skontaktowała. Co ci powiedziała? - powtórzył.
- Powiedziała, że jesteś w to zamieszany.
- Zamieszany? W co?
- Mówiła... mówiła, że ty jej to zrobiłeś. Cokolwiek to było.
- Czy to jakiś żart?
- Oczywiście, że nie.
- Wierzysz, że ja... o rany. - Zaciśnął pięści. - O kurwa. Niech to szlag trafi. - Pokonał dzieląca ich odległość i złapał ją za ramiona.
- Posłuchaj Maggie, nie wiem co ty i Maria Teresa kombinujecie, ale ja nic jej nie zrobiłem. Rozumiesz?
- Kombinujemy? - powtórzyła. - Myślisz, że to jakaś gra?
Jezu, jak mógł nawet pomyśleć, że go okłamuje? Ale ty też mu nie ufasz, prawda? Bądź szczerą, Maggie.
- To... to śmieszne - powiedziała.
- Nie bardziej niż to, że chcesz, bym uwierzył, że ty i twoja siostra, kontaktujecie się za pomocą jakiejś telepatii i że ona... że obwinia mnie za swoje zniknięcie?
- Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale..
- Chryste, to jest nieprawdopodobne, Maggie. - Patrzył na nią gniewnie. - Co to, do diabła, jest?
- Ty mi to powiedz, Thane. To ty masz sekrety. Niech cię diabli, Walker, dlaczego nie możesz być ze mną szczerą?
- Pewnie z tego samego powodu, z którego ty nie jesteś szczerą ze mną. - Patrzył to na jej oczy, to na usta. - Nie wspominałaś, że Maria Teresa mnie oskarża, a teraz nagle...
- To prawda. Po co miałabym zmyślać? Myślisz, że chcę, żebyś uważał mnie za wariatkę? Na miłość boską, Thane, choć raz w życiu uwierz mi.
- Dlaczego? - dopytywał się, a ona miała ochotę go uderzyć.
- Idź do diabła.
- Za późno - powiedział szorstko. - Już tam jestem.
Przyciągnął ją do siebie tak blisko, że poczuła jego ciepło. Wessał się w jej usta, całował ją długo i namiętnie. Wdychał powietrze z jej płuc. Krew w niej wrzała. Włożył rękę pod szlafrok i dotknął jej piersi. Zamknęła oczy, gdy jego palce śmiało zacisnęły się na jej sutkach.
Nie rób tego, Maggie, ostrzegła samą siebie. Nie rób tego. Nie!

Ale nie potrafiła się oprzeć. Otworzyła usta, przycisnął językiem jej wargi. Jedną ręką rozwiązał supeł paska, drugą zsunął z niej szlafrok. Wtulala się w niego, a on osuwał się na kolana i całował jej piersi. Na plecach poczuła gęsią skórę. Jej palce wędrowały po jego głowie. Całował jej brzuch, zagłębił język w pępku. Ręce dotknęły pośladków. Mocno przycisnął ją do siebie.

Pojękiwała, gdy całował ją w najintymniejsze miejsca. Opadła w jego ramiona, a on przeniósł ją na łóżko.

Pochylił się nad nią i patrzył pytająco. Przestała walczyć ze sobą. Rozpięła guziki jego koszuli, obnażyła jego silne, męskie ramiona. Koszulę rzuciła na podłogę. Niecierpliwe palce odnalazły rozporek jego spodni, rozpięła go jednym ruchem. Powinna przestać w tej chwili. Zanim będzie za późno. Ale nie była w stanie. Pragnienie pulsowało jej między nogami, kołatało w sercu.

- Maggie - wyszeptał. Zsunęła dzinsy z jego szczupłych bioder i umięśnionych ud. Na jego skórze pojawiły się kropelki potu. Drapała go delikatnie paznokciem po plecach, wzdłuż kręgosłupa, a on ciężko oddychał. Całowała delikatne włosy na jego udach, ciemną linię, która przebiegała od pasa po krocze. Patrząc mu w oczy delikatnie, czubkiem niecierpliwych palców dotknęła nabrzmiałego członka.

- Boże, Maggie...

Podciągnął ją do góry i kolanami otworzył jej uda.

- Doprowadzasz mnie do szału - mruzczał, patrząc na nią pożądliwie. - Wiesz kobieto, że zawsze tak było.

- To... kowboju działa w obie strony.

Tak bardzo go pragnęła. Bardziej niż kiedykolwiek kobieta pragnęła mężczyzny. Drżała z podniecenia, jakie zbudziło się w samym centrum jej kobiecości i wypełniało ją. Trawiło każdą cząstkę jej ciała niczym płomień suche drewno.

Patrzył na jej usta. Pochylił się, by ją pocałować. Gdy znalazła się w jego ramionach, zamknął oczy i wyszeptał:

- Maggie, nie chcę cię zranić.

- Więc tego nie rób - odparła, poddając się pożądaniu. - Nie rób... Kochaj mnie, Thane, choć raz po prostu mnie kochaj. Nie moją siostrę, ale mnie!

- Chryste, powinni mnie za to powiesić - wymruczał. Jego usta znów przywarły do jej ust, a ramiona mocno i władczo objęły jej delikatne ciało. Napiął mięśnie. Wzdychał z zadowolenia, penetrując najgłębsze zakątki jej ciała. Oddychała ciężko. Wycofał się na chwilę, by znów w nią wejść z takim oddaniem i desperacją, że w jej oczach pojawiły się łzy.

- Maggie, najdroższa, słodka Maggie... o Boże - mówił. Słowa grzęzły mu w gardle. Oddychał nierówno. Włosy miał mokre od potu. Patrzył jej w oczy, przyspieszając ruchy. Na jego szyi pojawiły się żyły. Poruszała się w jego tempie. Tańczyli intymny taniec kochanków. Jej palce wbijały się w skórę jego pleców. Nie mogła oddychać, myśleć. Przed oczami miała tylko jego. Świat przestał istnieć. Szybciej, szybciej, pokój wirował dziko. Wyprężyła się w konwulsjach. Chwyciła go za szyję, a on odchylił głowę i jednym pchnięciem, posiadł ją. Połączyli się w jedno, tak jak od wieków łączył się mężczyzna z kobietą.

- Boże, pomóż mi - wysapał i opadł na łóżko, dysząc ciężko.

Boże, pomóż nam obojgu, pomyślała, leżąc w jego objęciach.

Poczuła zmęczenie i przygnębienie.

Zamknęła oczy i mówiła sobie, że seks nie ma znaczenia. Cokolwiek się stało, potrzebowali tej chwili. Odpędziła wątpliwości, jakie kotłowały się w jej umyśle. Przytuliła się do niego i słuchała równomiernego, kojącego bicia jego serca. - Jutro będzie czas na oskarżanie się, pomyślała.

*

- Nie wspanie, dobra? - prosiła Jenny, wkładając golf.

W domu było ciemno. Ciocia Connie i wujek Jim poszli już spać. Jenny zamierzała wykraść sprzed domu samochód i spotkać się ze swoim dwudziestodwuletnim chłopakiem Kevinem, który farbował włosy na czarno, nosił modną kozia bródkę, kilka kolczyków w nosie i był wiecznie niezadowolony. Był perkusistą w zespole rockowym. Becky uważała że jest bardzo fajny. Nie lubiła jednak kłamać, nawet dla kuzynki. Odkąd schowała swoje rzeczy w garderobie Jenny, ta ciągle prosiła, by Becky ją kryła. Zaczęła podejrzewać, że kuzynka ją wykorzystuje.

Na stoliku stał zegarek Jenny. Drewniany Elvis z tarczą w brzuchu. Król poruszał biodrami odmierzając upływające sekundy. Becky się nie podobał. Spojrzała, by sprawdzić, która godzina. Dochodziła północ. Wujek Jim, biznesmen, wstawał o piątej rano i biegł przed pracą. Kładł się spać o dziesiątej wieczorem. Ciocia Connie kręciła się po kuchni i rozmawiała przez telefon prawie do jedenastej, potem szła do sypialni. Teraz spali jak susły. Becky nie chciała zostać w domu, bo bała się, że się obudzą.

- Weź mnie ze sobą - zaproponowała.

- No pewnie! - Jenny przewróciła oczami.

Miała na sobie czarny golf, obcisłe czarne spodnie i szeroki pas ze złotą sprzączką, który podkreślał jej szczupłą talię. Poprawiła pasek, z górnej szuflady wyjęła kilka banknotów. Były ukryte w jej tajnym schowku - w szkatułce pod bielizną. Miała około dwustu dolarów zaoszczędzonych z kieszonkowego. Włożyła pieniądze do kieszeni.

- Nie słyszałaś nigdy powiedzenia, że troje to tłum? Nie potrzebujemy niańki, jeśli wiesz, o czym mówię.

Powiedz, że... że nie mogłam zasnąć i poszłam na spacer albo że zgłodniałam i poszłam coś zjeść. Wymyśl coś. Tylko nie mów, że jestem z Kevinem, dobrze? Mama dostałaby zawału tu, na środku pokoju. Uważa, że Kevin jest... poczekaj, jak ona go nazwała... nieudacznikiem, a może narkomanem, który nigdy niczego nie osiągnie.

Jenny zmarszczyła nos i wydeła usta, naśladowując pogardliwą minę matki. Becky roześmiała się.

- Nie martw się, wrócę za kilka godzin.

- Dobrze - mruknęła Becky.

- Jutro pójdziemy do centrum handlowego, obiecuję.

Becky nienawidziła centrów handlowych.

Jenny zagryzając nerwowo wargi trzymała w ręce czarne buty. Becky nakryła się po uszy kołdrą. Kuzynka rzuciła jej pilota. Znalazła go między szczotkami do włosów i kompaktami, które leżały na jej toalecie.

- Masz, pooglądaj sobie telewizję.

Otworzyła cicho drzwi i wymknęła się na korytarz. Rzuciła okiem na leżącą w łóżku Becky i bezgłośnie zamknęła drzwi. Becky się spocila. Nastawiła uszu i czekała, czy przez otwarte okno usłyszy jakiś hałas. Najpierw dobiegło ją miauczenie kota. Ulicą obok ogrodu przejechało kilka samochodów. Gdzieś w oddali odezwał się klakson. Potem usłyszała odgłos uruchamianego silnika. Podbiegła do okna, odprowadziła wzrokiem czerwone światła jetty, aż znikły za zakrętem. Noc była niesamowita. Niebieskie światło lamp ulicznych przedzierało się przez zasłonę palm i drzew pomarańczowych ocieniających garaż. Serce waliło jej w piersiach tak głośno, że bała się, iż usłyszy je śpiąca piętro niżej ciotka Connie. Przełknęła głośno ślinę zastanawiając się, dlaczego w ogóle chciała tu przyjechać. Nie znosiła Los Angeles. Czuliła się tu samotna, porzucona. Jenny była dziwna. Ciocia Connie i wujek Jim ciągle wypytywali, jak jej się żyje w Idaho. Pytali o mamę, czy lubi mieszkać tak daleko, na co wydaje pieniądze, co robi i jak się czuje. Becky czuła, że coś się święci, coś, co może się jej nie spodobać. Zapytała nawet Jenny, ale ta tylko wzruszyła ramionami.

- Ach, oni zawsze są tacy. Odkąd dziadek przeniósł się do domu starców, jest coraz gorzej. Stale trzeba go odwiedzać, no wiesz, jest już stary, a oni martwią się o testament. O jakiś fundusz, nie wiem dokładnie, o co chodzi - tłumaczyła, malując paznokcie.

Becky wróciła do łóżka i czuła, że zaraz się rozplacze. W mieście, w którym miała się tak świetnie bawić, była samotna i przygnębiona. Bała się. Gdy ciocia Connie dowie się, że nie ma Jenny, dostanie zawału. I pewnie ona będzie wszystkiemu winna. Po kilku dniach pobytu Becky zorientowała się, że jest dla rodziców Jenny jakimś strasznym ciężarem. Ciocia Connie nie lubiła jej. Miała do niej o wszystko pretensje.

Sekundy mijały, Becky powoli zaczęła się uspokajać. W domu panowała cisza. Zaszło jej w gardle, ale po chwili odetchnęła głęboko. Włączyła telewizor. Przeskakując po setkach kanałów, zauważyła twarz mamy... nie, to ciocia Markiza. Nadawali właśnie wiadomości z Denver. Mówili, że znikła i że policja podejrzewa, że popełniono przestępstwo.

Co? Przestępstwo?

Serce znowu mocniej zabiło.

Co to może znaczyć? Przestępstwo? Morderstwo? Porwanie? Gwałt?

Przychodziły jej do głowy wszystkie potworności, jakie widziała w programach policyjnych.

Jezu, tylko nie Markiza. To niemożliwe.

Z niecierpliwością wysłuchiwała wiadomości i choć nie dowiedziała się niczego czego nowego, ogarnął ją śmiertelny niepokój. Wyłączyła telewizor i nakryła głowę kołdrą. Coś musiało się stać. Coś strasznego. Gdzie jest Markiza? Chyba nic jej nie zrobili? Zdaje się, że ciocia Connie mówiła, że gdy były z Jenny w kinie, dzwoniła mama. Ciekawe, czy chodziło o ciocię Markizę. O rany, jakie to wszystko okropne, panikowała. To tylko jakieś głupie wiadomości. Nie daj się przestraszyć, mówiła sobie.

Zaczęła drzeć. Myślała o swojej ukochanej, najpiękniejszej i szalonej ciotce, która była tak podobna do mamy, ale sto razy fajniejsza. Zamknęła oczy i nagle ni stąd ni zowąd po policzkach pociekły jej łzy. Poczuliła, że strasznie tęskni za rodzicami. Łzy lały się po policzkach, a ona zaciskała zęby, próbując pokonać rozpacz.

- Dlaczego się rozwiedli?

Nigdy nie poznała odpowiedzi na to pytanie.

- Dlaczego tato musiał zginąć?

Poczuliła w piersiach ten sam ból, który przepełniał ją przez długie miesiące po jego wypadku. Przytuliła się do poduszki. Bardzo za nim tęskniła. Tak bardzo. A teraz jeszcze mama. Nie myślała, że to możliwe.

Szlochając głośno, rozmyślała o ostatnich miesiącach w Idaho. Maggie postanowiła wyprowadzić się z Los Angeles, uciec od wspomnień i bólu. Becky nie podobał się ten pomysł. Przestała się do niej odzywać. Chciała nawet umrzeć, ale bała się przyznać mamie do tego, co czuła.

Skuliła się pod kołdrą.

Maggie chodziła do psychiatry, nalegała, by i Becky to zrobiła. Matka była strzępkim nerwów, Becky zresztą też. Wspominając te bolesne chwile, zawstydziała się, że za wszystko obwiniła mamę. Choć tego nie chciała, przyznała przed samą sobą, że życie w Settler's Ridge nie było takie złe. Nawet je lubiła. Nocne przejażdżki po lesie na Jasperze z tym paskudnym, kulawym Barkleyem, jednouchym, trzynogim brzydalem, który okazał się jej

najlepszym przyjacielem. Pies spał w jej łóżku. Chodził za nią krok w krok, jakby wychowała go od szczeniaka. No i dzieciaki w szkole. Większość to straszni krety, buraki ze wsi, które nigdy nie były w Los Angeles, w życiu nie grały w piłkę plażową, nie surfowały, widziały to tylko w MTV, ale niektóre dziewczyny były nawet fajne. Był też jeden chłopak, kolega z klasy, Austin Peters, całkiem miły. Miał długie, jasne włosy. Był strasznie nieśmiały, ale czasami uśmiechał się do niej, a wtedy jej serce topniało. Austin Peters miał najpiękniejsze niebieskie oczy, jakie widziała.

- Jezu, dlaczego myślę o Austynie teraz, gdy dzielą nas tysiące kilometrów, gdy mama jest w Denver, a ciocia Markiza prawdopodobnie padła ofiarą przestępstwa?

Becky otarła łzy i powiedziała sobie, że nie powinna się martwić o Markizę. Przecież mama stale powtarzała, że Maria Teresa zawsze spada na cztery łapy. Na pewno nic się nie stało. Nic. Ci z wiadomości pewnie coś pomylili. Przecież to się zdarza.

Zamknęła oczy i po raz pierwszy od pogrzebu ojca Becky McCrae zaczęła się modlić.

17

Dzwonek telefonu wyrwał Maggie z głębokiego snu. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest i co robi. Telefon nie przestawał dzwonić.

Becky. Albo Maria Teresa.

Na w pół przebudzona sięgnęła po słuchawkę. Jej serce biło, jakby przeczuwała złe wiadomości. Był wczesny ranek, przez uchylone zasłony sączyły się promienie słońca. Z ulicy dobiegał szum samochodów. Za ścianą lała się woda.

- Halo? - odezwała się do słuchawki.

Usiadła na łóżku, opierając się plecami o poduszkę. Thane podniósł się na łokciu. Na jego nagiej skórze odbijało się słońce. Był zaniepokojony.

- Pani McCrae? - zapytał znajomy męski głos.

- Tak, to ja.

- Mówi detektyw Henderson.

Zamarła, głos w słuchawce był zupełnie beznamiętny.

- Słucham.

- Niech pani lepiej usiądzie. Znalezione samochód pani siostry. Na poboczu autostrady, niedaleko kanionu Turkey. Wypadek.

W oczach miała łzy. Chciała sprzeciwić się temu, co słyszy.

- Co? Nie... nie wierzę - drżała przerażona.

- Maggie, pozwól...

Thane chciał odebrać jej słuchawkę, ale nie puściła, jakby od tego zależało życie Marii Teresy.

- Jest tam pani? - zapytał Henderson.

- Tak - powiedziała ledwie słyszalnym szeptem. - Nie wierzę - Nie mogę uwierzyć, żeby moja siostra... - głos zamarł jej w gardle.

Thane zmarszczył czoło. Patrzył na nią wyczekująco. Przysunął się, dotykając jej swym nagim ciałem.

- Przykro mi, pani McCrae, ale nie mamy co do tego wątpliwości. Opis się zgadza - mówił Henderson - a na tablicach rejestracyjnych jest jej imię, Markiza.

- O Boże - powiedziała, ściskając w palcach słuchawkę.

Przez głowę przebiegały jej tysiące obrazów siostry. Maria Teresa jako mała dziewczynka, nastolatka, czytająca pod kołdrą należącego do brata „Playboya”, panienka paląca w ukryciu papierosy, wreszcie żona Thane'a. Maggie przełknęła ślinę, nie mogła wydobyć głosu.

- A Maria Teresa? Czy... czy żyje?

Thane znowu sięgnął po słuchawkę, ale Maggie potrząsnęła głową i odepchnęła go.

- Jeszcze nie wiemy. Policja stanowa znalazła wrak, gdy zaczął topnieć śnieg. Samochód wjechał na sosnę.

- Słodki Jezu - powiedziała cicho Maggie, przełykając łzy.

- Zadzwonili do nas po pomoc. Gdy odkopali samochód spod śniegu, na przednim siedzeniu znaleźli kobietę. Na razie nie mogą jej wydobyć i zidentyfikować.

Z jej ust wyrwał się okrzyk rozpacz. Żołądek się skurczył, ale starała się zachować zimną krew.

- Będę... będziemy na posterunku za dwadzieścia minut - powiedziała do słuchawki głosem zimnym jak lód.

Jej ręce trzęsły się tak mocno, że nie mogła odłożyć słuchawki.

- To policja.

- Domyśliłem się? - w jego oczach widać było troskę.

- Tak... nie... tak, wszystko będzie dobrze.

Próbowała wziąć się w garść.

- Chyba... chyba ją znaleźli. - Jej głos wydał się obcy. - Miała wypadek.

Przymknęła oczy i oddychała ciężko.

- Detektyw nie powiedział, ale wyczułam w jego głosie, że Maria Teresa nie żyje. Nie żyje! O Boże! Thane, to

nie może być prawda! Nie... nie może...

- Czekaj, uspokój się.

Próbował ją objąć, ale odsunęła się od niego.

- Nie rozumiesz? - szeptala głosem mrozącym krew w żyłach. - Znaleźli jej samochód, a w nim ciało kobiety. Thane, to może być ona.

Mimo protestów przytulił ją i trzymał mocno w ramionach. Zalała się łzami. Jej dusza pękła na milion kawałków. Serce zamarło z bólu i rozpacz.

- To nie może być prawda. Niemożliwe. Maria Teresa żyje. Musi - szlochała.

Przytuliła się do Thane'a. Zaciśnęła pięści.

- Maggie, kochanie - mówił do niej cicho. - Wszystko będzie dobrze.

- Nie! Nie! Boże, nie! - zawodziła. - Nigdy nie będzie dobrze!

Głaskał jej włosy i kołysał ją delikatnie. Wtuliła głowę w jego ramiona.

- Spokojnie, Maggie. Powiedz, co mówił Henderson.

Próbowała. Z wysiłkiem pokonała duszący ból i zdołała powtórzyć prawie całą rozmowę.

- Niczego na razie nie wiemy. To nic pewnego - mówił niepokojąco, jakby kłamał. - Chodź, musimy tam pojechać.

- Nie mogę uwierzyć - powtarzała, ubierając się tak szybko, jak tylko mogła.

Włożyła dżinsy i sweter. Nie traciła czasu na makijaż. Założyła buty i była gotowa do wyjścia. Thane także narzucił na siebie to, co miał pod ręką- wczorajsze spodnie i koszulę. Pięć minut później byli w drodze.

*

Posterunek przypominał dom wariatów, bo prasa dowiedziała się o wypadku Markizy.

- Muszę zadzwonić do Connie, zanim Becky włączy telewizor i wszystko zobaczy - powiedziała Maggie.

Była przerażona tłumem reporterów przed posterunkiem. Nie pytając Thane'a o pozwolenie, wzięła jego telefon komórkowy i wykreśliła numer szwagierki. Rozmawiała z nią przez chwilę i poprosiła do telefonu córkę.

- Cześć, kochanie.

- Czy znaleźli ciocię Markizę? - zapytała Becky. - Widziałam wczoraj migawki w telewizji.

- Z tego, co wiem, odnaleźli jej samochód - wykreśliła się od odpowiedzi Maggie. Była niezadowolona, że córka czerpie informacje z innych źródeł. Chciała jej sama wszystko wytłumaczyć. Niewiele jednak wiedziała. Zaciśnęła palce na telefonie.

- Jesteśmy na posterunku. Porozmawiam z detektywem, który prowadzi tę sprawę, i zaraz do ciebie zadzwonię.

- Obiecujesz? - Becky bała się.

- Słowo harcerza. Mówiłam już cioci Connie. Nie martw się.

- Dobrze, mam - powiedziała po krótkiej ciszy Becky.

Głos jej się łamał, jakby powstrzymywała płacz. Maggie czuła się okropnie.

Dlaczego w takiej chwili nie jestem przy córce? Nie powinnam była wysłać jej do Kalifornii, robiła sobie wyrzuty.

- Skarbie, zadzwonię do ciebie, gdy wrócę do hotelu. Masz mój numer?

- Tak.

Serce Maggie krwawiło. Becky była tak daleko. Maria Teresa znikła. Kochała się z Thanem. Cały jej świat chylił się ku upadkowi.

- Kocham cię.

- Ja ciebie też. - powiedziała łagodnie Becky i odłożyła słuchawkę.

Maggie trzymała telefon żałując, że nie może jej teraz przytulić. Była twarda jak na swój wiek, ale całe to zamieszanie z Markizą dawało się jej we znaki.

- Chodźmy - powiedziała, oddając Thane'owi telefon.

Otworzyła drzwi posterunku. Razem weszli do hallu, gdzie kłębili się dziennikarze. Na widok Maggie zrobiło się zamieszanie. Podbiegło do niej kilku fotoreporterów.

- Trzymaj się, to nie będzie łatwe - powiedział Thane, obejmując ją ramieniem.

Weszli na schody. Za nimi przeciskali się trzej faceci z mikrofonami.

- Markiza? To Markiza czy jej sobowtór?

- Prosimy choć o jedno słowo.

- To jej siostra...

Maggie była oszołomiona. Thane zdecydowanie popychał ją na górę i krzyczał przez ramię do reporterów:

- Bez komentarza, niczego jeszcze nie wiemy!

- Co za koszmar - powiedział, gdy dotarli do biura Hendersona. Detektyw wyglądał przez uchylone drzwi. Gdy ich zobaczył, pomachał, by weszli.

- Co tu się, u diabła, dzieje? - zapytał Thane.

- Mówiłem już pani McCrae, że znaleźliśmy samochód Markizy. Proszę siadać.

Wskazał plastikowe krzesła. Zamówił kawę, ale Maggie nie mogła przełknąć ani łyka. Jej żołądek się buntował.

- Co z Marią Teresą? - zapytała, bojąc się odpowiedzi.
- Nie mamy pewności.
Thane wypił kawę. Wyglądał tak, jakby nagle znalazł się w najgorszym miejscu na świecie. Mimo zamkniętych drzwi słychać było rozmowy podnieconych dziennikarzy. Nagle zadzwonił telefon. Henderson rozmawiał bardzo krótko. W drzwi zapukała Hannah Wilkins. Weszła do biura i obwieściła:
- Ci z medycyny sądowej zaraz pozwolą zabrać ciało do kostnicy.
Serce Maggie przestał na chwilę bić. Prasa już na to poluje. Dzwonią ze wszystkich gazet i stacji telewizyjnych. Hannah wręczyła pismo Hendersonowi.
- Oficjalnie nie udzielamy żadnych informacji.
- Dzwonią jej znajomi. Telefony się urywają.
Podała Hendersonowi listę.
- Pomeranian, King, Gillette... - detektyw kiwał głową- oddzwonimy.
- Wade Pomeranian żąda wyjaśnień.
Twarz Hendersona nawet nie drgnęła. Spojrzał na Maggie.
- Przepraszam, że musieliście czekać...
W drzwiach ukazała się głowa oficera w cywilu.
- Przyszedł faks, na który pan czeka - powiedział.
Henderson wziął od niego kilka kartek i przejrzał je. Maggie umierała ze strachu. Było jej niedobrze. Modliła się w duchu, żeby z jej siostrą wszystko było w porządku. Thane siedział z pochmurną miną i milczał.
Henderson zasepił się. Serce Maggie biło jak oszalałe. Złapała za brzeg krzesła w obawie, że osunie się na ziemię.
- Nie potwierdzono jeszcze tożsamości - powiedział cicho. - W samochodzie znaleziono torebkę pani siostry, a... - Maggie była bliska omdlenia - kobieta, która prowadziła jest tego samego wzrostu - mówił beznamiętnym głosem ze wzrokiem wbitym w kartki. - Ofiara jest zmasakrowana. Skaleczenia, połamane kości, wybite zęby. Nie zapięła pasów bezpieczeństwa. W chwili zderzenia siła odśrodkowa wyrzuciła ją na przednią szybę.
Maggie poczuła w gardle żółć. Nie miała wyboru, rzuciła się w stronę kosza na śmieci i zwymiotowała.
- Pani McCrae...
Henderson poderwał się na równe nogi.
- Proszę dać jej spokój - rozkazał Thane. - Maggie...
Maggie uniosła ręce. Nie chciała, by ktokolwiek jej dotykał, pocieszał ją. Nie chciała niczyjego współczucia. Nawet Thane'a.
- Chciałabym... chciałabym skorzystać z łazienki.
- Zaprowadzę panią.
Detektyw Wilkins podniosła Maggie i obie zaczęły się przeciskać w stronę damskiej toalety. Zanim dotarły do jasnozielonego pomieszczenia, Maggie poczuła się lepiej. Oparła się o umywalkę, stała tak przez chwilę, po czym wypłukała usta i zmoczyła twarz zimną wodą.
Weź się w garść, mówiła, patrząc na swoje żalose odbicie w lustrze.
Była biała jak ściana. Oczy miała zapadnięte i podkrążone. Usta pobladłe. Włosy w nieładzie opadały jej na twarz.
Nie możesz się poddać, nie teraz. Dopóki nie dowiesz się prawdy, a potem, cholera, potem też nie, mówiła sobie.
- Lepiej? - zapytała Hannah, uśmiechając się łagodnie.
- Troszeczkę.
- Może czegoś pani potrzebuje. Kawy, może szklanek wody... albo papierosa?
Maggie wytarła ręce i twarz w papierowy ręcznik.
- Nic mi nie jest. To takie straszne... to przez szok.
- Wiem - mówiła cierpliwie Hannah. - Byłyście sobie bliskie.
- Jesteśmy - poprawiła ją Maggie. - Jesteśmy sobie bliskie.
Wyrzuciła pognieciony ręcznik, pewnym krokiem wyszła z łazienki i wróciła do biura Hendersona.
-... zanim nie potwierdzą tożsamości, sam nie wiem, co o tym sądzić.
Henderson żuł gumę i mrużąc oczy, patrzył na Thane'a. Podniósł wzrok, gdy weszła Maggie.
- Ciało jest już w kostnicy. Czy zidentyfikuje pani zwłoki?
- Nie musisz tego robić - powiedział Thane. - Ja się wszystkim zajmę.
- Nie - Maggie była nieugięta. - To moja siostra.
Kiwnęła głową, patrząc na detektywa.
Thane chciał zaprotestować, ale się powstrzymał. Po raz pierwszy w życiu zrobił to, co mu kazano, pomyślała Maggie. Zgodził się z Hendersonem. Po głowie przebiegały jej tysiące myśli. Ruszyła za detektywem. Dotarli do kostnicy. Przez wielkie okno patrzyli, jak mężczyzna w laboratorium odkrywa płótno przykrywające nagie ciało. Maggie zacisnęła pięści tak mocno, że wbiła sobie paznokcie w skórę. Stała obok Thane'a. Nie dotykała go, wystarczyło, że jest przy niej i w razie potrzeby ją podtrzyma. Przez ściśnięte gardło nie mogła przełknąć śliny.

Patrzyła, jak spod płótna wyłania się twarz zmasakrowanej kobiety. Rany, sińce, opuchlizna zmieniły ciało nie do poznania. Zobaczyła kasztanowe włosy, takie same jak Marii Teresy.

Maggie poczuła, że znów zwymiotuje. Rzuciła tylko okiem na zwłoki. W poprzedniej pracy widziała martwych ludzi, ale nigdy nie był to nikt, kogo kochała. Nigdy też nie przywykła do widoku ofiar, które zginęły tragicznie.

- To nie jest Maria Teresa - powiedział Thane.

Patrzył uważnie przez szybę.

- On... on ma rację - potwierdziła z ulgą Maggie.

- Ta kobieta jest cięższa od Marii Teresy - powiedział Thane, gdy odsłonięte całe ciało.

- Maria Teresa miała... ma... na ramionach pieprzyki. Poparzyła się na słońcu, gdy miała jakieś siedemnaście lat - dodała Maggie. - Chciała je wywabić, ale nigdy jej się to nie udało...

- To nie Markiza - powtórzył zdecydowanie Thane. - To Renee Nielsen.

Henderson właśnie sięgał do górnej kieszeni marynarki po nieistniejącego papierosa. Zamarł, słysząc jego słowa.

- Zna ją pan?

Wyciągnął szyję w kierunku okna. Kącikiem oka Maggie dostrzegła, że Hannah Wilkins wyjmuje z kieszeni notes i długopis.

- Tak - odparł Thane. - Znałem ją.

Maggie poczuła, że zaschło jej w ustach. Renee Nielsen. Znajome nazwisko.

- Kim ona jest? - zapytał Henderson. Jego partnerka zaczęła nerwowo zapisywać coś w notatniku.

- Kiedyś u mnie pracowała.

Ledwo poruszał ustami, wpatrywał się w nagie ciało dziewczyny.

- Kiedyś, dawno temu w Kalifornii - dodał.

- Znała Markizę?

- Tak - Thane zmrużył oczy. - Renee prowadziła dom, gdy mnie nie było. Musiały się od czasu do czasu spotykać. Zatrudniłem ją wiele lat temu.

- Był pan wtedy żonaty?

- Nie, to było później. Maria Teresa mieszkała w Los Angeles, a ja większość czasu spędzałem wtedy w Cheyenne. Właściwie to zatrudnił ją mój zarządca. Tom Yates.

- A teraz nie pracowała dla pana?

- Nie, wyprowadziła się jakieś dwa lata temu.

- Dokąd?

Thane wzruszył ramionami.

- Nie pamiętam. Zdaje się, że gdzieś na północny zachód, do Portland czy Seattle. Tom powinien mieć jej adres, numer ubezpieczenia i inne dane.

- A czy będzie znał jej rodzinę? - zapytała Hannah.

- Być może. Chyba była rozwiedziona. Nie miała dzieci, o ile wiem, ale nie jestem pewien.

Thane zamyślił się na chwilę.

- Jezu - wyszeptał. - Co ona robiła w samochodzie Marii Teresy?

- Zadzwońmy do pańskiego zarządcy. Pamięta pan jego numer?

Thane podyktował numer swojej posiadłości w Kalifornii i spojrzał na zegarek.

- Powinien być teraz na ranczo, ale nie wiem, czy ma w pobliżu telefon.

Hannah zapisała numer i ruszyła w kierunku drzwi.

- Zadzwoń i zaraz wracam.

- Dowiedz się wszystkiego o pani Nielsen.

Hannah spojrzała na niego z wyrzutem i wyszła.

Henderson patrzył na zwłoki. Pracownik laboratorium był gotowy przykryć ciało, ale czekał na znak detektywa.

- Dlaczego ta kobieta - przycisnął palec wskazujący do szyby - prowadziła samochód pańskiej byłej żony?

- Sam się nad tym zastanawiam - Thane kręcił wolno głową.

Maggie jeszcze raz spojrzała na zwłoki. Thane znał tę kobietę? Pracowała dla niego? I Maria Teresa też ją znała?

Maggie nie przypominała sobie Renee, ale nazwisko wydało jej się znajome. To wszystko nie miało sensu. Ból głowy, z którym walczyła od kilku dni, wrócił nagle ze zdwojoną siłą.

- Nie pamięta pan, czy pani Nielsen miała jakichś krewnych? - zapytał Henderson.

- Nie - Thane potrząsnął głową. - Ale Tom powinien wiedzieć.

- Miejmy nadzieję. Potrzebne nam wszelkie informacje, jakie pan ma.

Oczy Thane'a zwięzły się podejrzliwie.

- Już je panu podałem.

- Czy pani siostra w rozmowach wspominała coś o Renee Nielsen? - zapytał Maggie i kiwnął, by zakryto zwłoki.

- Nie, nie przypominam sobie - powiedziała szczerze. - Choć może... nie pamiętam.

- Ale pani jej nie znała?

- Nie, nigdy z nią nie rozmawiałam ani jej nie spotkałam - pokręciła głową Maggie wdzięczna, że zakryto ciało

martwej kobiety. - Skąd się wzięła w samochodzie Marii Teresy? - powtórzyła pytanie Hendersona.

- Tego się chcemy właśnie dowiedzieć, pani McCrae. - Detektyw spojrzął groźnie na Thane'a, wyprowadził ich z pokoju i zgasił światło. Maggie drżała, gdy szli jasnym korytarzem.

- Proszę mi zaufać - zapewnił Henderson. - Znajdziemy pani siostrę.

Oby tylko nie było za późno, pomyślała Maggie.

- Czy... czy mogłabym zadzwonić do córki, zanim zobaczy wiadomości w telewizji? Muszę jej powiedzieć, że ta kobieta to nie ciocia Markiza.

- Proszę skorzystać z aparatu na górze.

Gdy dochodzili do windy, dodała:

- Potem chciałabym zobaczyć wrak.

- To cię tylko wyprowadzi z równowagi - powiedział Thane.

Czekali na windę.

- Proszę niczego nie dotykać - powiedział. - Mogłaby pani zatrzeć ślady.

Bo uważacie, że Maria Teresa nie żyje, uświadomiła sobie Maggie, gdy podjechała winda. Nie poddam się tak łatwo, myślała. Maria Teresa gdzieś tu musi być, trzeba ją tylko odnaleźć. Dlaczego więc nie skontaktowała się ze mną... nie wysłała wiadomości, gdzie jest?

Henderson nacisnął guzik i winda ruszyła. Thane stanął obok Maggie. Zaciskał zęby. Był zdenerwowany. Przez ułamek sekundy odniosła wrażenie, że wie więcej, niż powiedział. Że Maria Teresa w swej ostatniej desperackiej próbie skontaktowania się z nią mówiła prawdę. Znowu czuła, że Thane od początku był zamieszany w zniknięcie byłej żony, że uwiedzenie jej, Maggie było częścią planu.

Dlaczego przyjechał aż do Idaho? Czy tylko po to, by mnie tu sprowadzić? Dlaczego się ze mną kochał?

Maggie nie знаła odpowiedzi na te pytania, ale postanowiła je poznać. Za wszelką cenę.

18

Z tego nikt nie mógł wyjść żywy - mówiła cicho Maggie. Żołądek skurczył jej się na widok połamanych gałęzi drzew osikowych. Czerwony jeep Markizy, masa pogiętego metalu i rozbitego szkła, był ledwo widoczny spod śniegu. Leżał wciśnięty między czerwone skały i grube pnie sosen. Wydobyto już fragment samochodu, widać było pogniecioną tablicę rejestracyjną i choć czytelne pozostały jedynie trzy pierwsze litery „MAR”, to wystarczyło, by skojarzyć, kto jest jego właścicielem.

Detektywi mierzyli długość poślizgu, oglądali wrak i miejsce wypadku, szukali śladów. Teren ogrodzono żółtą taśmą, co przyciągało uwagę przejeżdżających kierowców. Kilka samochodów zatrzymało się i przez okna wyglądali zafascynowani tragedią ludzie.

Thane przyglądał się okolicy. Było tu niewiele drzew, głębokie kaniony i czerwone głązy, które wystawały spod topniejącego w promieniach słońca śniegu.

- Dlaczego Renee prowadziła samochód Marii Teresy?

- Kto to może wiedzieć?

Thane wzruszył ramionami i potarł brodę. Przy drodze zatrzymał się jeszcze jeden samochód. Thane jęknął na widok wysiadającej pary. Pewnie postanowili rozprostować kości, przyglądając się wypadkowi.

Maggie włożyła okulary przeciwsłoneczne, czapkę baseballową i postawiła kołnierz kurtki. Nie chciała, żeby zwracano na nią uwagę. Miała już dość brania jej za Markizę. Potrzebowała prywatności. Była zmęczona. Zależało jej tylko na tym, by odnaleźć siostrę.

Dzień był jasny i ładny, choć wiał porywisty wiatr. Detektyw Henderson ubrany w ciepłe buty i parkę przedzierał się przez zaspę, wykrzykując rozkazy do ludzi przeszukujących teren. Psy na smyczach czekały zajadle, gotowe szukać tropu.

- Żeby tylko nic jej nie było... - szeptała Maggie, unosząc wzrok ku niebu.

- Słucham? - Thane stał tuż za nią.

Włożył lustrzane okulary, takie jak noszą piloci, ale zapomniało czapce. Jego długie, jasne włosy powiewały na wietrze.

- Nie, nic.

W oddali słyszała rozmowy jakichś obcych ludzi. W ich głosach nie było strachu ani współczucia.

- Ciekawe, co to za zamieszanie? - zapytał ochryply od papierosów kobiecy głos.

- Ktoś zginął. Jakaś kobieta - snuł domysły jej towarzysz, pewnie mąż. - Wygląda na to, że mogła to być ta babka z wiadomości, popatrz na rejestrację.

- To dlatego tu tyle policji... O, jadą te sępy, przekleci dziennikarze.

Maggie rozejrzała się i dostrzegła białą furgonetkę z napisem KRKY. Na dachu miała przyczepioną antenę satelitarną. Samochód zatrzymał się i wysiadł z niego kamerzysta, a za nim Jasmine Bell w długim granatowym płaszczu. Jej idealna, spryskana lakierem fryzura nie poddawała się podmuchom wiatru. Patrzyła na tłum gapiów. Po chwili zauważyła Maggie i pomachała do niej.

- Powinniśmy już iść - powiedział na jej widok Thane.

- To tylko dziennikarze.

- Będą chcieli wywiadu.
 - Udzielimy go - odparła Maggie. Ruszyła w stronę Jasmine. Reporterka uśmiechnęła się do niej.
 - Miałam nadzieję, że panią tu spotkam. Co się dzieje?
 Kamerzysta stał w pogotowiu. Maggie skrzywiła się.
 - Jeszcze nie teraz, Phil - powiedziała Jasmine.
 Maggie opowiedziała jej o odkryciu policji. Jasmine stwierdziła, że KRKY uznała tę historię za najważniejszą.
 - Martwimy się o nią- powiedziała. - Stacja wyznaczyła nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów za informacje, które pomogą w odnalezieniu Markizy.
 - Czyj to pomysł? - zapytała Maggie myśląc o Craigu.
 - Rona Bishopa i Tess O'Shaughnessy.
 Thane mruknął coś pod nosem, ale Jasmine zignorowała go i zwróciła się do Maggie.
 - Czy zechce pani odpowiedzieć na kilka pytań?
 - Oczywiście. Chcę poprosić waszych widzów o pomoc w odnalezieniu siostry.
 - Znakomicie. A pan? - zapytała Jasmine, zwracając się do Thane'a. - Czy chciałby pan złożyć oświadczenie jako jej były mąż?
 - Nie - Thane zacisnął szczęki. - Proszę mnie źle nie zrozumieć. Zależy mi na odnalezieniu Marii Teresy, ale nie zamierzam stawać się częścią tego telewizyjnego cyrku.
 - To mogłoby pomóc. Za godzinę, nie później, puścimy to w wiadomościach
 - Maggie niech robi co chce, ale na mnie nie liczcie.
 Był nieugięty. Jasmine nie nalegała. Kamerzysta sfilmował miejsce wypadku i skierował kamerę na Maggie. Ta zdjęła ciemne okulary i odpowiedziała na kilka pytań. Na koniec zwróciła się do kamery, mówiąc.
 - Bardzo proszę, by osoby mające informacje na temat mojej siostry skontaktowały się z policją.
 - Popatrz tylko - gdzieś za plecami Maggie odezwał się przepalony kobiecy głos. - Trochę makijażu i wyglądałaby jak ta zaginiona... to jej samochód jest tam pod drzewem.
 - Cicho, wcale nie.
 - Ale...
 - Przymknij się, Sally.
 Maggie włożyła okulary i nie zwracała uwagi na ciekawskie spojrzenia gapiów. Coraz więcej samochodów zatrzymywało się na poboczu. Pojawiły się wozy transmisyjne innych stacji. Przyjechała też ciężarówka do holowania. Henderson z pomocą kilku oficerów próbował odsunąć napierający tłum. Poprosił, by pozostali jedynie ci, którzy mają jakieś informacje w sprawie śledztwa. Odebrał w międzyczasie parę telefonów, ale nadal sprawnie radził sobie z organizacją. Podszedł do Maggie i Thane'a i zaproponował, by poczekał przy jego samochodzie.
 - Niczego na razie nie znaleźliśmy - poinformował, żując gumę. Mrużył oczy pod wpływem ostrego popołudniowego słońca. - Ale mamy psy i najlepszych ludzi z tego stanu. Przeszukują teren. Jeśli pani siostra gdzieś tu jest, odnajdą ją.
 - KRKY wyznaczyła dziesięć tysięcy dolarów nagrody - odważyła się powiedzieć Maggie.
 - Słyszałem.
 - Czy to pomoże?
 Henderson wypluł gumę.
 - Powiem tylko, że nie zaszkodzi. Ale jak znam życie, będą dzwonić wszystkie czubki, które wiecznie potrzebują forsy. - Uśmiechnął się gorzko. - Czeka nas sporo pracy, będziemy musieli jakoś oddzielić chłam od wartościowych informacji. Z drugiej strony nagroda może zachęcić jakiegoś zachłannego skurwysyna. - Odwrócił się, patrząc jak ciężarówka holuje wrak. - Ale nie traćmy nadziei.

*

-... tak więc tajemnica nadal pozostaje nie rozwiązana.
 Relacjonowała dla kanałów Los Angeles skośnooka reporterka z Denver. Becky ułożyła się wygodnie w miękkim fotelu w pokoju Jenny i oglądała telewizję. Nie odrywała oczu od ekranu. Zafascynowana i przerażona patrzyła na zdjęcia cioci. Obejrzała reportaż z miejsca wypadku - ujęcia rozbitego jeepa i połamanych drzew.
 Maria Teresa Gillette, zwana Markizą, współprowadząca popularny programu *Denver o poranku*, nadal nie została odnaleziona. Na razie nie ujawniono nazwiska kobiety, która prowadziła jej samochód. Policja poszukuje rodziny ofiary. Nikt nie wie, co się stało z gwiazdą. Śledztwo jest w toku....
 Hałas dobiegający z korytarza oznaczał, że ciocia Connie wróciła z centrum odnowy biologicznej. Weszła do pokoju, wzięła do ręki pilota i skierowała go w stronę telewizora.
 ...KRKY wyznaczyła dziesięć tysięcy nagrody za informacje...
 Ekran zrobił się czarny.
 - Nie powinnaś tego oglądać.
 - Czekać!
 Becky poderwała się z fotela i włączyła odbiornik. Na ekranie jej mama rozmawiała z dziennikarką.
 ... by osoby mające informacje na temat mojej siostry skontaktowały się z policją..

- To Maggie - powiedziała osłupiała Connie. - Co ona sobie wyobraża?

- Och, ona chce odnaleźć Markizę! - powiedziała zirytowana Becky.

- Nie odzywaj się do mnie...

- Cicho!

Becky nawet się nie starała być grzeczna. Chciała usłyszeć, o czym mówi jej mama, ale nie zdążyła. Connie znów wyłączyła telewizor.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytała Becky.

- Nie powinnaś tego oglądać.

- To była moja mama!

- Już dzwoniła do ciebie i wszystko ci wyjaśniła. Nie ma potrzeby, żebyś...

- Markiza to moja ciocia. Tak samo jak ty. Chcę wiedzieć co się z nią stało! - Becky miała dość takiego traktowania.

- Wszyscy chcemy - zapewniła ją Connie.

Uśmiechnęła się słodko. Becky zdążyła już znienawidzić ten uśmiech.

- Gdy zadzwoni znowu, dam ci znać.

- Ale ja chcę z nią porozmawiać teraz.

Coś było nie tak. Becky bała się jak nigdy dotąd. Ta kobieta nie żyła.

- Dobrze, zadzwonię do niej później.

Connie zaczynała tracić cierpliwość. Becky jednak nie zamierzała czekać. Zerwała się na równe nogi, wykrzywiła i podeszła do łóżka Jenny, przy którym stał telefon. Podniosła słuchawkę, ale nie wykręciła numeru. Nie było powodu. Rozmawiały przecież niedawno. Bała się. Śmiertelnie się bała. Czowała, że zaraz się rozplacze.

- Ale ktoś zginął. Nie żyje. A oni nie mogą znaleźć Markizy - powiedziała, odkładając słuchawkę.

- Wiem, Becky. Szukają jej. Robią co mogą.

Connie, wzdychając głośno, usiadła na łóżku i pokiwała głową. Położyła dłoń na jej ramieniu. Becky miała ochotę uciec.

- Postaraj się nie martwić, dobrze? Jestem pewna, że twoja mama zadzwoni, gdy tylko czegoś się dowie. Pewnie nie dotarła jeszcze do hotelu...

Spojrzała nagle na zegarek Jenny, na drewnianego Elvisa poruszającego biodrami.

- Która to godzina? Pamiętaj, za godzinę masz wizytę u lekarza.

- Nigdzie nie idę.

- Ależ idziesz, skarbie. Twoja kostka jeszcze się nie zagoiła. Doktor Orem jest najlepszym ortopedą w Beverly Hills.

- Nic mnie nie boli.

Becky miała dosyć cioci Connie. Nie chciała być traktowana jak mała dziewczynka.

- Nie sprzeciwiaj się, dobrze?

Twarz ciotki była surowa. Becky przekonała się, że ta kobieta rządzi domem żelazną ręką. Dziewczynka lubiła Los Angeles, ale zaczynała marzyć o wyjeździe. Głównym powodem była Connie. Miała też dość wujka Jima, który okazał się strasznym pantoflarzem. Przytakiwał tylko żonie: „Tak, kochanie”, „Oczywiście, skarbie”. Nigdy nie miał własnego zdania. Nawet Jenny, choć z początku wydawała się taka zbuntowana, robiła wszystko, co kazała jej mama. Gdy było inaczej, Connie chodziła po domu obrażona, wycierała kąciaki oczu i zachowywała się tak, jakby nie mogła uwierzyć, że jej własna córka może być aż taka okrutna. Tyranizowała wszystkich. Becky dziwiła się nawet, że Jenny miała odwagę wymykać się po kryjomu z domu.

- Przebierz się, ja też zmienię strój. Włóż coś ładnego.

Z niesmakiem popatrzyła na obcięte spodnie dziewczynki.

- No wiesz, jakieś szorty albo spódniczkę. Jeśli nie masz, pożycz od Jenny. Powinny pasować.

Connie uśmiechała się z wyższością. Becky uświadomiła sobie, że całe jej zainteresowanie sprawą Markizy było udawane.

- Idziemy nie tylko do lekarza. Chcę, żebyś odwiedziła dziadka.

- Ale...

- Jest w domu starców, kochanie. Chciałby cię zobaczyć.

Becky nigdy nie знаła dziadka zbyt dobrze, ale zgodziła się. Wiedziała, że się od tego nie wykręci.

- A potem musimy wstąpić do kancelarii prawniczej.

- Po co? - zapytała podejrzliwie Becky.

- Sprawy papierkowe. Później ci wytłumaczę.

- A nie możesz teraz?

Becky była pewna, że coś przed nią ukrywają.

- To zbyt skomplikowane.

- To znaczy, że nie chcesz mi powiedzieć.

- Ależ kochanie - Connie westchnęła dramatycznie.

Becky założyła ręce na piersi i położyła się na łóżku.

- Masz już trzynaście lat, chyba powinnam ci powiedzieć. Wiem, że w Idaho byłaś nieszczęśliwa. Wujek Jim i ja bardzo się o ciebie martwimy.

Becky spodziewała się najgorszego.

- Twoja szkoła musi być okropna.

- Jest całkiem w porządku.

- Tu są wszyscy twoi przyjaciele, rodzina.... Wiesz, wujek Jim i ja chcielibyśmy, żebyś zamieszkała z nami na stałe. Chętnie oddam ci mój gabinet, a sama przeniosę się do Jima. - Uśmiechała się promiennie. - Będziemy jedną wielką rodziną.

- A mama?

- Och - ciocia Connie odchrząknęła. - Ona musi być obecna przy wszystkim, ale... zawsze może przeprowadzić się do Los Angeles. Tak byłoby nawet lepiej. Byłaby... bliżej nas, dziadka i babci. No i są tu znakomici lekarze, którzy mogą jej pomóc.

- Lekarze? - serce biło jej mocno. - Czy mama jest chora?

Może mama nie powiedziała mi całej prawdy, myślała. Może walczyła z jakąś śmiertelną chorobą? W końcu jest już stara, ma trzydzieści siedem lat. Tego dnia, gdy dowiedziała się o zniknięciu Markizy, była blada jak śmierć. Becky z trudem przełknęła ślinę.

Connie podeszła do niej i położyła rękę na jej wąskim ramieniu.

- Mama nie odzyskała formy po śmierci twojego taty, skarbie. To zrozumiałe. To... to był szok dla nas wszystkich. No, na nas pora. Chodźmy.

- A dlaczego mam się spotykać z prawnikiem?

Becky nie rozumiała związku.

- Na wypadek, gdybyś chciała z nami zostać. Trzeba podpisać papiery. O opiekę prawną.

Becky przez chwilę wpatrywała się w dywan.

- Myślę, że powinnam najpierw porozmawiać z mamą.

- Tak, wszyscy porozmawiamy.

Connie się zaczerwieniła, a gdy Becky na nią spojrzała, odwróciła wzrok.

- Chcę się zobaczyć z mamą.

- Teraz to nie możliwe, wiesz...

- Powinnam jechać do Denver.

- Och, kochanie, nie można tak...

Jeszcze jeden sztuczny uśmiech. Becky była pewna, że ciocia Connie kłamie. Chce ją oszukać. Tak samo jak Jason Pennicott, chłopiec z jej klasy, kiedy chciał, żeby zrobiła za niego zadanie albo oddała mu swoje pyszne drugie śniadanie w zamian za jakąś nieświeżą marchewkę lub kanapkę z dżemem.

- Wiesz, Maggie jest taka delikatna.

- Delikatna? powtórzyła Becky, podejrzewając, że ciocia Connie ukrywa coś przed nią. - Mama wcale nie jest delikatna.

Ciotka uśmiechnęła się cierpliwie. Westchnęła, dając do zrozumienia, że Becky i tak nic nie zrozumie, bo jest jeszcze małą dziewczynką. Ale Becky rozumiała. Więcej niż Connie mogła podejrzewać. Czuli, że ciotka próbowała ją w coś wrobić. Becky wiedziała już, jak ma postąpić.

- No dobrze - powiedziała potulnie, jak gdyby rzeczywiście przeszła na jej stronę. - Później do niej zadzwonię.

- Dobry pomysł.

Connie odetchnęła z ulgą. W swej naiwności wierzyła, że wygrała.

- A teraz włóż jakiś odpowiedni strój.

Patrzyła na siostrzenicę ze współczuciem i politowaniem.

- Zadzwonimy do mamy, obiecuję. Nie chcemy jej chyba zdenerwować? A teraz już chodźmy, kochanie. Robi się późno. Pospiesz się.

Becky zaczęła, aż ciotka wyjdzie i szybko wykręciła numer linii lotniczych, którymi przyleciała do Los Angeles. Zarezerwowała miejsce na nocny lot do Denver i nie czekając, aż Connie zacznie coś podejrzewać, przebrała się. Otworzyła szufladę Jenny i mimo poczucia winy wyjęła kilka banknotów, której kuzynka odkładała na nieprzewidziane okazje. Szybko policzyła i doszła do wniosku, że jej własne oszczędności nie wystarczą na bilet lotniczy i taksówkę. Wzięła więc 150 dolarów z szuflady Jenny. Zwinęła banknoty i schowała do torebki. Zamierzała oddać pieniądze później. Nie mogła zdradzić kuzynce swojego planu, bo Jenny zaraz by ją wydała albo sama wpakowałaby się w kłopoty.

- Gotowa? - zawołała z dołu ciotka.

Becky zatrzasnęła szufladę. Connie była już w drzwiach.

- Chodźmy, bo się spóźnimy. Jesteś jeszcze wolniejsza niż Jenny, nawet nie przyczesalaś włosów! Uczeszysz się po drodze, w samochodzie.

Becky szła za ciotką i uśmiechała się pod nosem słuchając, jak wysokie obcasy Connie postukują o posadzkę

garażu. Connie i Jim mieli gdzieś wyjść wieczorem. W tym czasie będę w samolocie do Kolorado, pomyślała.

*

Maggie, ciągle jeszcze drżąc na wspomnienie widoku rozbitego samochodu, oparła głowę o szybę furgonetki Thane'a. Jechali do domu Syda Gillette. Nie miała na nic ochoty. Serce kołatało jej ze strachu o siostrę.

Gdzie jest Maria Teresa? Czy żyje? Co łączy ją z Renee Nielsen? Dlaczego to ona prowadziła samochód? Kim była Renee Nielsen, zastanawiała się Maggie.

Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Nie mogła sobie przypomnieć, skąd zna to nazwisko. Była pewna, że nie od Marii Teresy.

Thane zadzwonił do Toma Yatesa, który miał przefaksować zdobyte informacje nie tylko policji z Denver, ale i im do hotelu.

- Nie wie zbyt wiele - powiedział Thane. - Renee wyprowadziła się przed kilkoma laty. Wróciła do Beaverton. To przedmieście Portland w stanie Oregon. Nie miała tu przyjaciół ani rodziny. Tom przysłał wszystkie dane na jej temat.

Rzeczywiście nie było tego dużo. Maggie wyglądała przez okno. Krajobraz za oknem przesunął się szybko. Spod topniejącego śniegu wylaniała się brązowa ziemia i sucha trawa.

- A co ty wiesz o Renee Nielsen? - zapytała, poprawiając rękawiczki. Nie zamierzała przerywać własnego śledztwa.

- Niewiele - odparł Thane i zacisnął ręce na kierownicy.

Maggie przypomniała sobie ostatnią, dramatyczną wiadomość od siostry.

- Znałem ją kiedyś, dawno temu. Pracowała dla mnie dorywczo. Zajmowała się różnymi rzeczami. Sprzedawała w delikatesach, zajmowała się domem, pilnowała zwierząt, gdy wszyscy wyjeżdżali. Tom najął ją, żeby sprzątała w do-mu. Gdy byłem przez jakiś czas w Kalifornii, widywałem ją. Była miła, przyjazna, spokojna i dyskretna. Nie mam zielonego pojęcia, co ją łączyło z Marią Teresą. Nie znałem jej tak dobrze. Zdaje się, że była w separacji czy coś takiego.

- Może wcale się nie znały - powiedziała Maggie, zagryzając wargi. - Może wykorzystała sytuację. - Patrzyła na Thane'a, marszcząc czoło w zamyśleniu.

Wyjeżdżali właśnie na hotelowy parking, mieszczący się wokół ekskluzywnego pola golfowego. Pilnujący go strażnik zatrzymał ich. Zapytał, kogo zamierzają odwiedzić. Wykonał szybki telefon i pozwolił im wjechać.

- Zdaje się, że bóg hotelarstwa udzieli nam audiencji. - powiedział Thane.

Przejechali przez mostek na leniwie płynącym strumyku. Na zadbanych trawnikach leżał śnieg. Domy były eleganckie i drogie, jak posiadłość Markizy. Thane wjechał na podjazd, który prowadził do ogromnego garażu.

- Zobaczmy, co ma do powiedzenia drugi mąż Markizy - powiedział.

Drzwi otworzył nie służący, jak się spodziewała Maggie, ale sam gospodarz. Syd Gillette był człowiekiem sukcesu. Zbliżający się do siedemdziesiątki mężczyzna, zaczynał tyć mimo systematycznej gry tenisa i golfa. Niegdyś ciemne włosy posiadały mu prawie całkowicie. Postawny i opalony, w stroju do gry w golfa, podejrzliwie przyglądał się Thane'owi.

- Maggie - powiedział chłodno - tak dawno się nie widzieliśmy. Proszę, wejdźcie. Właśnie oglądałem wiadomości.

Poprowadził ich marmurowym korytarzem na tyły domu, do części prywatnej, gdzie znajdowało się pole golfowe.

- Takie nieszczęście, biedna Markiza. Ciekawe, co się stało. Annie, czy możesz podać nam drinki? Czego się napijecie?

- Czegokolwiek... może herbaty - powiedziała Maggie.

Thane wybrał szkocką. Oparł się o ścianę, a Maggie usiadła na brzegu wiklinowej kanapy. Szerokolistne rośliny ocieniały fontannę, z której woda rozchlapała się z pluskiem. Pokojówka przyniosła gorącą wodę i kawę. Syd stał za barem i przygotowywał drinki.

Gdy Maggie piła herbatę, a Thane stał ze swoją szklaneczką i patrzył przez okno na przykryty śniegiem podjazd, Syd rozsiadł się wygodnie w fotelu i zapytał:

- Co wiecie o zniknięciu Markizy?

- Liczyliśmy, że dowiemy się czegoś od ciebie.

Syd skrzywił się.

- Niby skąd? Nie widywaliśmy się ostatnio. Wiecie, jak to jest.

- Oświeć nas - chciał wiedzieć Thane.

Usiadł na krześle i wbił wzrok w Syda.

- Nie układało się między nami najlepiej.

Dlaczego używa czasu przeszłego, tak jakby Maria Teresa nie żyła? - pomyślała Maggie.

- Tak właśnie było. Próbowałem dojść do siebie po stracie Ellie, wtedy spotkałem twoją siostrę. Teraz, z perspektywy czasu, myślę, że była to reakcja na zawód miłosny. Do diabła, nikt nie potrafił oprzeć się tej kobiecie.

Spojrzał na Thane'a porozumiewawczo, ale on pił w milczeniu drinka.

- Pobraliśmy się - ciągnął - ale ledwo powiedziała „tak”, już myślała „nie”.

Napił się ginu z tonikiem. Jego twarz spochmurniała.

- Nie układało się między nami, były... inne powody.

- Miała romans z twoim zięciem?

Gillette zamarł.

- Nie wiedziałem, że to sprawa publiczna. Ale cóż, to prawda. Zniszczyła małżeństwo mojej córki. Było, minęło.

Między mną i Markizą wszystko skończone.

- A co z twoją córką? - drażyła Maggie.

- Tanya? Przejdzie jej. Prędeż czy później. - Zacisnął szczękę napinając mięśnie szyi.

- Była w ciąży.

Gillette zaklął pod nosem.

- To chłopiec. Chad. Rośnie bez ojca. Dzięki Markizie. Jezu, co za bagno.

Syd odstawił szklankę i przetarł ręką twarz.

- Moja córka bardzo przeżyła rozwód. Kochała Robbiego. Chyba nadal go kocha. A on okazał się takim draniem.

Markiza tylko się nim bawiła. Nigdy jej na nim nie zależało.

- Myślisz, że zrobiła to, żeby się na tobie zemścić? - zapytał Thane, zdający się rozumieć motywy, którymi kierowała się jego była żona.

- Oczywiście. Może zabrzmi to egoistycznie, ale myślę, że chciała mi coś udowodnić. - Kostki lodu grzechotały w jego szklance. - Czas wszystko leczy. Tanya jakoś z tego wyjdzie, a Chad... cóż, ciężkie jest życie sieroty. - Potarł brodę. - Wiem coś o tym, sam nigdy nie miałem ojca.

Thane bębnił niecierpliwie palcami w oparcie krzesła, ale milczał.

- Twój wnuk ma ojca - zauważyła Maggie.

- Tak myślisz?

Gillette popatrzył na Maggie myśląc, że jest wyjątkowo naiwna.

- Ten facet namawiał swoją żonę, podkreślał żonę, by usunęła ciążę. Nie chciał dziecka. Robby nie chciał, by mu przeszkadzało. Już wtedy miał romans z narzeczoną teścia.

Podszedł do baru i nalał sobie jeszcze jednego drinka.

- Rozumiecie chyba, dlaczego nie widuję się z nią.

- To wszystko? - zapytał nieufnie Thane.

- Wszystko. Od czasu do czasu wpadamy na siebie. Mamy tych samych znajomych. - Zakręcił szklanką i zapatrzył się w dal.

- Ale raczej się unikamy. Nasi prawnicy załatwili wszystko między sobą. Ożeniłem się z Yvonne, a Markiza... szukała młodszych. Robby jej nie wystarczył. Mówiła, że nie lubi mężczyzn z dziećmi, bo to dodatkowe obciążenie. Nie podobało jej się, że Tanya jest w ciąży. Robby też nie był zachwycony.

Thane naprężył mięśnie i odstawił prawie nietkniętego drinka na stół.

- Jak myślisz, co się z nią stało? - zapytał. - Policja twierdzi, że się pokłóciliście.

- Za każdym razem, gdy z nią rozmawiałem, kłóciliśmy się. To nic nowego.

- O co poszło tym razem? - włączyła się Maggie.

- O to co zawsze. O pieniądze. Chciała więcej forsy. Uważała, że ją oszukałem, bo nie dostała żadnego hotelu.

Ciągle tu przychodziła po pożyczki. Tym razem odmówiłem, no i zaczęło się.

Maggie chciała jeszcze o coś zapytać, ale zrezygnowała. Odprowadzając ich do drzwi, Syd dodał:

- Cóż mogę powiedzieć więcej? Znasz swoją siostrę. Markiza to Markiza - powiedział, jak gdyby to coś tłumaczyło.

- Nie sądzę - odparła Maggie. - Moim zdaniem, Markiza to Maria Teresa.

*

- Co chcesz usłyszeć najpierw? Dobrą czy złą wiadomość? - zapytała Hannah, wchodząc do niewielkiego biura detektywa Hendersona.

Wrócił właśnie z miejsca wypadku. Był śmiertelnie zmęczony. Ta sprawa skończy się wcześniejszą emeryturą, pomyślał, paczką cameli dziennie albo jednym i drugim. Było mu wszystko jedno. Sięgnął po piłeczkę do baseballu.

- Nie wiedziałem, że są jakieś dobre. No cóż, dawaj tę gorszą.

- Zgadnij, kto wystąpi w najbliższym wydaniu *Denver o poranku*?

Podrzucił piłkę, złapał ją i po chwili, nieco odprężony, odłożył na miejsce.

- Poddaję się, kto?

- Wade Pomeranian.

Popatrzyła na niego triumfująco.

- Doprawdy?

- Mhm. Od dawna chciał wystąpić w tym programie. Któregoś dnia nawet strasznie się z Markizą pokłócił. Przy świadkach. Widział to Craig Beaumont.

- No to ma, czego chciał.

- Dokładnie, ale słuchaj dalej. Beaumont i producenci programu nigdy się na niego nie zgadzali. Nie podobało im się, że ma romans z Markizą. Zeszłej wiosny organizowali pokaz mody, Wade mógł wystąpić jako model, ale oni zaprotestowali, zwłaszcza Nixed Pomeranian. A teraz, gdy Markiza znikła... proszę bardzo, zmienili zdanie.

- Teraz go chcą, tak?

- Ma udzielić wywiadu jako jej przyjaciel.

- Jezu Chryste.

- Ron Bishop wcale nie uważa, że wykorzystują sytuację. Wręcz przeciwnie. Jego zdaniem, pomagają w odnalezieniu Markizy.

- Może i tak.

- Może. Wcale nie zamierzają poprzestać na Pomeranianie. Producent chce zaprosić innych ludzi, którzy ją znali. Poświęcają jej część każdego programu. Codziennie przypominają, że wyznaczili nagrodę.

Henderson oparł się na krześle.

- Kto jeszcze ma być gościem u Beaumonta?

- Po pierwsze, Maggie. Chciał, żeby ubrała się i zachowywała jak Markiza.

- O cholera. Tylko nie mów, że były małżonki też tam wystąpi.

- Być może. Nie wiadomo jeszcze, czy się zgodzi.

- Nie podoba mi się to wszystko.

- To może pomóc.

Nie mógł się nie zgodzić. Nie mieli żadnych śladów ani ciała. Nikt nie żądał okupu. Nie mieli nic poza listem pożegnalnym, który równie dobrze mógł być fałszywy. Zginęła jakaś obca kobieta, a siostra i były małżonki kręcą się po okolicy i próbują go wyrećzyć. Henderson był sfrustrowany. Prasa nie dawała mu spokoju, szef domagał się wyjaśnień. W tej chwili oddałby wszystko za papierosa.

- To nie koniec. Wygląda na to, że z jeepem Markizy to nie był po prostu wypadek. Przysłali raport. Ci, którzy badali teren, uważają, że był tam jeszcze jeden samochód. Na tylnym zderzaku znaleziono resztki czarnego lakieru. Ślady wskazują, że jeep został zepchnięty z drogi.

Henderson zeszytniał. Czuł, że podnosi mu się ciśnienie jak wtedy, gdy podczas polowania zauważył zającą.

- Walker ma czarną furgonetkę - myślał na głos.

Jego umysł pracował teraz na najwyższych obrotach. Takich rewelacji się nie spodziewał. Ktoś prawdopodobnie zepchnął samochód Markizy. To już było coś. Wiedział, że teraz śledztwo ruszy na przód.

- Furgonetkę Walkera już sprawdziliśmy. Nie stwierdzono żadnych uszkodzeń. Cały czas jest pod obserwacją.

- Cholera.

- Ty naprawdę nie lubisz tego faceta.

- Nie ufam mu - przyznał Henderson. - Ciągłe kłamie. A ja nie znoszę kłamców.

- I dlatego najbardziej lubisz przyłapywać ich na gorącym uczynku, co?

- Amen - zdobył się na uśmiech. - Masz jeszcze coś?

- Niewiele. Gdy zbadają lakier, dowiemy się, jaka to marka i model. No i szkło. Analizują wszystkie odłamki. Może ten drugi miał jakieś uszkodzenia, może rozbił światła.

- Miejmy nadzieję.

- Jesteś chory, wiesz?

- Po prostu praktyczny. Przydałoby się zakończyć tę sprawę. Wtedy szef i dziennikarze wreszcie się od nas odczepią.

Henderson sięgnął do szuflady po gumę, ale nie znalazł ani jednej. Zaciśnął zęby i zaczął się huścić na krześle, zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

- Ktoś stracił kontrolę nad kierownicą, stuknął jeepa, a potem wystraszył się i zwiął. Albo...

- Pozostaje pytanie, czy to było zamierzone - powiedziała Hannah.

Podeszła bliżej i oparła się o biurko.

- Ta sprawa staje się coraz ciekawsza, nie sądzisz?

Henderson splótł ręce za głową i oparł się wygodnie.

- Skoro tak uważasz. Taak, więc to była zła wiadomość. A jaka jest ta dobra?

Hannah uśmiechnęła się.

- Chciałeś rozmawiać z Jane Stanton, tą sąsiadką, która słyszała, jak Markiza klóci się z Walkerem.

- Dzwoniłem do niej, ale jeszcze nie wróciła.

- Dobra wiadomość. Jej córka ma się lepiej i Jane jest już w domu.

Henderson poderwał się na równe nogi i w pośpiechu wkładał kurtkę.

- Na co czekasz? Ubieraj się.

*

Biuro terapeutki mieściło się w stylowym budynku z przełomu wieków. W gabinecie paliły się nastrojowe lampy, łamiąc półmrok zbliżającego się wieczoru. Doktor Michelle Kelly zaprosiła Maggie i Thane'a do przytulnego

pokoju. Uśmiechając się miło, zaproponowała ziołową herbatę i wskazała skórzaną kanapę, na której zazwyczaj siadali pacjenci. Gabinet był przytulny i zachęcał do zwierzeń nawet najbardziej odporne i małowówne osoby. W powietrzu unosił się zapach kadzidełek i ziół. W rogu znajdował się kominek, a wokół niego stały piękne gliniane donice z kwiatami. Na ścianach wisiały półki z książkami. Wszystko po to, by wyciągać z ludzi ich tajemnice, pomyślał złośliwie Thane.

Pani doktor, szczupła, trzydziestoletnia kobieta, obserwowała go zza grubych okularów w złożonych oprawkach. Choć zachowaniem i strojem starała się nie zrażać pacjentów, Thane nie był nią zachwycony.

Dr Kelly była nimi wyraźnie zainteresowana. Thane mógł się tylko domyślać, jakie kłamstwa i bzdury o nim i o swojej siostrze naopowiadała jej Maria Teresa. Doktor gdyby chciała, mogłaby napisać grube tomy o osobowości i psychice Markizy. Miała znakomitą reputację, a jednak nie zdołała pomóc Markizie, choć leczyła ją przez trzy i pół roku. Ale Maria Teresa była wyjątkowym przypadkiem.

Maggie przystąpiła do zadawania pytań, a doktor Kelly umiejętnie wykreślała się od odpowiedzi.

- Chciałabym państwu pomóc - tłumaczyła, siedząc w bujanym fotelu i popijając dziwnie pachnącą herbatkę - ale obowiązuje mnie tajemnica zawodowa. Niestety, nie mogę odpowiedzieć na pani pytanie.

- Czy Maria Teresa ma skłonności samobójcze? - zapytała Maggie?

- Cierpi na depresję. Czasami jej stan się pogarsza, ale... Nie, jednak nie nazwałabym jej typem samobójcy.

Odstawiła herbatę na mały stolik, zdjęła okulary i zaczęła je czyścić rąbkiem swetra.

Do rozmowy wtrącił się Thane.

- Czy Markiza wspominała coś o swoich zdolnościach telepatycznych?

Maggie zamarła, a terapeutka przerwała czyszczenie okularów i zmarszczyła czoło.

- Chodzi panu o porozumiewanie się bez słów? Nie, nie sądzę. Zapamiętałabym, gdyby o czymś takim wspomniała. A dlaczego pan pyta?

- Rozmawialiśmy kiedyś o tym - skłamał, widząc, że Maggie zbladła jak papier.

Doktor Kelly włożyła na nos okulary i zapytała:

- Czy widział pan lub słyszał, żeby robiła coś takiego?

- Nie, nigdy - stwierdził, kończąc rozmowę.

Przez następne pół godziny, w drodze do hotelu, Maggie nie powiedziała ani słowa.

- Jak mogłeś poruszyć ten temat! Powiedziałam ci o tym w zaufaniu! - Wybuchła, gdy w końcu znaleźli się w zaciszu hotelowego apartamentu. Rzuciła torebkę na kanapę i odwróciła się do niego. Jej oczy płonęły gniewnie, założyła ręce na biodra.

- Chcesz znaleźć siostrę?

- Pewnie, że tak. Dobrze o tym wiesz!

- W takim razie powinniśmy sprawdzić wszystkie możliwości, nie uważasz?

- Nie widzę związku.

- To może nam pomóc.

- Nie jestem pewna. A poza tym nie byłeś ze mną szczery.

- Jak to?!

- Jest coś, o czym mi nie powiedziałeś. To ma związek z Markizą. Nie wspomniałeś, że niedawno przez trzy dni mieszkała w twoim domu. Nigdy nie mówiłeś, że spotykaliście się dość regularnie. Ukryłeś to przede mną. Co jest grane, Walker?

Otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, ale powstrzymał się, widząc, jak na niego patrzy.

- Thane, bądź ze mną szczery. Chyba na to zasługuje?

Zamyślił się.

Jak zareaguje na całą prawdę? Do diabła, nie chcę jej o tym mówić, ale chyba powinienem. Prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw.

Powoli rozpiął kurtkę. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyjął pogniecioną paczkę papierosów i pudełko zapalek.

- Myślałam, że rzuciłeś palenie.

- Rzuciłem.

Wydobył ostatniego papierosa. Zapalił i zaciągnął się dymem. Zdjął kurtkę i rzucił na kanapę obok jej rzeczy. Zgniół pustą paczkę i podszedł do kominka.

- No dobra - powiedział, zastanawiając się, czy nie popełnia błędu.

- Ciągłe ją kochasz - wyszeptala tak cicho, że ledwo usłyszał jej słowa.

Była błada. W oczach miała obłęd.

- O nie, Maggie, to nie takie proste.

Przygładził dłonią włosy i jeszcze raz zaciągnął się papierosem.

- Więc co?

- Ostatnim razem, gdy się widzieliśmy, Maria Teresa powiedziała coś, co zważyło mnie z nóg.

- Co takiego? - dopytywała się Maggie.

Teraz albo nigdy, pomyślał gniewnie, patrząc na pełną bóleści twarz kobiety, która była jedyną miłością jego

życia.

- Maria Teresa powiedziała, że mamy syna,

19

Co? - Twarz Maggie pobladła jeszcze bardziej. Poczula, że uginają się pod nią kolana, usiadła na brzegu kanapy. To niemożliwe. Gdyby Maria Teresa miała dziecko, powiedziała by mi o tym.

- Ma szesnaście lat. Urodził się tuż przed rozwodem. To chłopiec. Nie wiedziałem o jego istnieniu aż do ostatniego spotkania z Marią Teresą.

- Ale przecież ona nie mogła tego przede mną ukrywać. Ani przed tobą.

Zaschło jej w gardle, nie mogła opanować drżenia rąk.

- Daj spokój, Maggie. Znasz Marię Teresę... Markizę - w jego głosie słychać było dwadzieścia lat zdrady. - Wiesz, że okłamywała nas oboje.

Popatrzył na nią. W jego oczach dostrzegła cierpienie i ból.

- A więc o to się kłóciliście? - zgadywała.

Na jego twarzy malowała się rozpacz. Zaciśnął usta, oczy mu pociemniały. Wpatrywał się w kominek, ale go nie widział. Zagłębił się w koszmarze własnych myśli. Wiedziała, że nie kłamał, nie wymyślił tego, by zdobyć jej współczucie.

Zapomniany papieros dogasał w jego palcach.

- Szesnaście lat - powiedział. - Straciłem szesnaście lat z życia mojego chłopca.

Spojrzał na Maggie, a w jego oczach widać było gniew, cierpienie, poczucie winy.

- Nie wiesz o mnie wszystkiego.

- Myślę, że wiem wystarczająco dużo...

- Nie, Maggie. Nie rozumiesz. Dorastałem w małym miasteczku w Wyoming. Mój ojciec pił. Gdy nie pieprzył innych kobiet bił moją matkę. Miły gość. Gdy był trzeźwy, ciężko pracował, ale gdy pił, a robił to często, zamieniał się w ostatniego skurwysyna. Nie wyobrażasz sobie, ile razy mama musiała jeździć do miasta, wyciągać go z knajpy. Ale zawsze mu wybaczała. Ze względu na mnie. Nie skończyła nawet ósmej klasy. Nie mogła zostawić tego łajdaka z powodu mnie i mojego brata.

- Brata? - powtórzyła tak cicho, że nie była pewna, czy ją usłyszał.

- Nie żyje. Wypadek samochodowy. Miał problem z alkoholem, jak ojciec.

Thane zaciśnął pięści tak mocno, że jego dłonie zaczęły drżeć.

- Obiecałem sobie, że gdy sam będę miał dziecko, zrobię wszystko jak należy. Że będę najlepszym ojcem na tej planecie. Wychowam go tak, jak sam chciałem być wychowany. Dam mu ojcowską miłość, zapewnię opiekę. Chciałem, by miał wspaniałych rodziców, ale odebrano mi tę szansę. Maria Teresa to zrobiła.

- Dobry Boże - powiedziała Maggie.

Serce jej krwawiło z rozpaczy, z żalu nad cierpieniem tego mężczyzny.

Ostatni raz zaciągnął się papierosem i zgasił go w popielniczce. Wypuścił dym nosem.

Maggie trzymała się za głowę i zastanawiała, w jaki sposób siostra zdołała zataić, że jest w ciąży.

- Ożeniłeś się z nią, bo była w ciąży z pierwszym dzieckiem?

Nie odezwał się. Patrzył na nią, jakby nigdy nie miał przestać.

- A teraz masz... ona ma... syna. Nigdy ci o nim nie mówiła?

- Ani słowa. Aż do ostatniej kłótni. Maggie, to dlatego mówiłem, że ją zabiję.

W jej oczach błyszczały łzy, ale starała się zachować spokój.

- Dlaczego? Dlaczego to zrobiła... dlaczego ukryła to przed tobą?

- Na miłość boską, Maggie. Dziecko zrujnowałoby jej karierę! Ty nic o niej nie wiesz. Nie wiesz, do czego była zdolna. Jak manipulowała ludźmi tylko po to, by zrobić tę swoją pieprzoną karierę.

- Ale... przecież wiedziałabym o tym. Mnie by powiedziała.

- Tak jak powiedziała ci o tym, że uwiodła twojego kochanka, tak?

Jego słowa boleśnie raniły.

- Przestań - rozkazała. - Markiza zaginęła, może nie żyje.

Maggie nie chciała myśleć o tych przykrych, bolesnych doświadczeniach.

- Daj spokój, Mag.

Jego głos był cichy. Spuściła głowę.

- Maggie, ona była w ciąży siedemnaście lat temu. Ty w tym czasie studiowałaś. Nie widywałyście się. Przez ostatnie miesiące, gdy było widać, trzymała się od wszystkich z daleka.

Nie mogła uwierzyć.

- Ale... ale ona by mi o tym powiedziała. Nie ukrywałaby czegoś tak ważnego - powiedziała, ale słysząc własne słowa uświadomiła sobie, że się oszukuje.

Nie знаła swojej zmiennej jak kameleon siostry. W ciągu kilku ostatnich dni dowiedziała się wiele o kobiecie, która była jej siostrą bliźniaczką, podobną do niej jak dwie krople wody. Przekonała się, jak bardzo były różne.

- Podczas naszego ostatniego spotkania, gdy chciałem ją udusić, rzuciła mi prosto w twarz, że ma ze mną syna, że

oddała go do adopcji, że nigdy go nie odnajdę.

- Znalazłeś go?

- Nie, jeszcze nie.

- To skąd wiesz, że w ogóle istnieje? Skąd wiesz, skoro Maria Teresa tak cię okłamywała?

- Wynająłem prywatnego detektywa. Odnalazł akt urodzenia w małej klinice w południowej Kalifornii, niedaleko granicy z Meksykiem. Teraz szuka dokumentów adopcyjnych. Odezwie się, gdy coś wywęszy. Wspominał, że są jakieś ślady.

- A więc nie szukasz Marii Teresy nie tylko po to, by się oczyścić z podejrzeń?

Wreszcie zrozumiała, dlaczego Thane wydawał się tak mocno związany z jej siostrą.

- Chcesz, żeby pomogła ci odnaleźć syna.

- Teraz, gdy wiem, że nie kłamała, tak. Mam do niej kilka pytań. Tylko ona może na nie odpowiedzieć.

Maggie przypomniała sobie wydarzenia minionego tygodnia: godziny spędzone sam na sam z Thanem, drogę do Denver, poszukiwania, chwile, gdy się kochali. Przypomniała sobie, jak cały czas walczyła ze swoimi uczuciami, wmawiała sobie, że nie może się w nim zakochać po raz drugi, bo znów ją zostawi. Jak tłumaczyła sobie, że zmadrzała na tyle, iż żaden mężczyzna, zwłaszcza Thane Walker, nigdy więcej jej nie wykorzysta. Zrozumiała, jak bardzo się myliła. Ale nie mogła ufać Thane'owi nawet teraz, gdy wyjawiał tę bolesną prawdę, bo odnalazł ją, i uwiódł ją jak zwykle, dla własnych potrzeb. Nie mogła się z nim wiązać ze względu na Marię Teresę i ich syna. Uważała, że jego życie było i zawsze będzie związane z jej siostrą.

Pomóż mi Maggie, proszę. To Thane. To on mi to zrobił. Maggie, błagam. Nie pozwól, by uszło mu to sucho.

Słowa Marii Teresy wracały bolesnym wspomnieniem.

- Dlaczego Maria Teresa wysłała mi wiadomość? - zapytała. - Tę, którą usłyszałam w stodole...?

Patrzył na nią ze szeptycyzmem.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Nawet jej psychiatra nic nie wiedziała o tych... zdolnościach Markizy.

- Maria Teresa nie zwierzyła jej się, ale to nie znaczy, że tego nie było.

- To jej terapeutka. Dlaczego miałyby coś przed nią ukrywać?

- A dlaczego nie powiedziała mi o dziecku? - odgryzła się Maggie. - Posłuchaj, nie potrafię tego wyjaśnić, ale to prawda. - Podniosła głowę. - Przykro mi, że nie wiedziałeś o synu. Naprawdę. Szkoda, że... wszystko tak się ułożyło. - O Boże, Thane, gdybyś tylko wiedział jak bardzo cię kocham, pomyślała. - Ale niczego nie zmienimy. Za późno. Teraz muszę odnaleźć siostrę - próbowała opanować drżenie głosu.

- Wierz mi, nikt nie pragnie tego bardziej ode mnie - powiedział.

W sercu poczuła ukłucie. Pomyślała, że tak jak ona nigdy nie przestała go kochać, tak on nie przestał kochać Marii Teresy. Choć zaprzeczał, nie wierzyła mu. Dzieliło ich zbyt dużo kłamstw.

- Nie wierzysz mi.

- Powiem ci prawdę, Thane, sama już nie wiem, w co wierzyć. Po prostu ... mam dosyć tej całej sprawy. Nie chcę znowu popełnić tego samego błędu.

- Tego samego?

- Z tobą. - Chrząknęła i przeszła na drugi koniec pokoju. - O ile pamiętam, mamy coś do zrobienia. - Choć po stokroć bardziej wolałabym zostać w twoich ramionach, pomyślała. - Zaczniemy od Renee Nielsen - powiedziała stanowczo. Podeszła do stołu. Zauważyła, że światelko przy automatycznej sekretarce miga od dłuższego czasu.

- Ale najpierw sprawdzę, czy nie dzwoniła Becky.

Pierwszą wiadomość zostawiła Tess O'Shaughnessy, producentka *Denver o poranku*, która pytała, czy Maggie zechce wystąpić w programie poświęconym Markizie. Następnie z tym samym pytaniem zadzwonił Craig Beaumont, ostatnia wiadomość przeznaczona była dla Thane'a. Howard Bailey prosił, by oddzwonił.

Maggie podała kartkę Thane'owi i ich dłonie się spotkały. Poczuła, że miłość do niego nie wygasła mimo upływu lat, kłamstw i zdrad. Pomyślała, że mogłby ją pocałować. Pragnęła, by ich usta się połączyły. Szybko przypomniała sobie o Marii Teresie i ochłoneła.

- Chcę jeszcze raz przejrzeć pamiętnik Markizy. Wydaje mi się, że przeoczyłam jakieś informacje o Renee.

W tym momencie zadzwonił telefon. Maggie rzuciła się do niego w nadziei, że usłyszy głos córki. Tymczasem w słuchawce odezwał się detektyw Henderson.

- Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale mam dla pani wiadomość - powiedział.

Maggie poczuła na plecach zimne dreszcze. Zaciśnęła palce na słuchawce.

- Co się stało?

- Zdaje się, że jej jeep został zepchnięty z szosy.

- Co pan ma na myśli? - zapytała cicho. - Czy twierdzi pan, że ktoś umyślnie próbował ją zabić?

Thane sięgnął po słuchawkę, ale Maggie odwróciła się od niego, zaplątując się w kabel.

- Nie wiemy na pewno. To tylko przypuszczenia. Mógł to być zwykły wypadek drogowy, ale nie możemy wykluczyć, że ktoś chciał skrzywdzić pani siostrę lub Renee Nielsen.

- Dobry Boże.

Maggie była bliska omdlenia.

- Ale, powtarzam, możliwe, że było to zwyczajne zderzenie, a sprawca zbiegł z miejsca wypadku. Po prostu zbieg okoliczności.

Maggie nie poznawała własnego głosu.

- Panie Henderson, nie wierzy pan chyba w zbiegi okoliczności? Myślę, że ktoś chciał zabić moją siostrę.

- Mów - zażądał Thane, gdy odłożyła słuchawkę. Maggie streściła mu rozmowę.

- Cholera! - złapał ją za ramię. - Wiedziałem, że to niebezpieczne. Jasna cholera...

- Uspokój się.

Wyrwała się z jego uścisku i gdy nagle ją puścił, prawie upadła.

- Wyjedźmy stąd. Wyjedźmy z Denver. Nie powinienem być cię tu przywozić.

- Dokąd chcesz jechać? Pomyśl, Thane. Musimy odnaleźć Marię Teresę. Może być w niebezpieczeństwie!

- Wiem, Mag. A to oznacza, że ty też.

Złapał ją za rękę, zaciągnął do łazienki i zmusił, by spojrzała w lustro.

- Nie trzeba być geniuszem, by się domyślić, że możesz być w niebezpieczeństwie. Jeśli ktoś rzeczywiście chce skrzywdzić twoją siostrę, a zabił Renee, bo myślał, że to Markiza, pomyśl co zrobi, gdy zobaczy ciebie?

Wpatrywała się w swoje oczy. Przelknęła głośno ślinę. Widziała, że to możliwe, bo ciągle wszyscy je mylili. Była przerażona.

- Nie możemy wyjechać - powiedziała jednak - dopóki nie odnajdę siostry.

- A jeśli już jest za późno, Maggie?

- Nie jest za późno. Nie wierzę.

Odwróciła się do niego, a on przyciągnął ją do siebie i objął.

- Już dobrze. - Dotknął ustami czubka jej głowy. - Spróbujemy ją znaleźć. Ale musisz mi obiecać, że będziesz ostrożna.

- A ty, Thane? Obiecuj mi to samo.

Pochylił się, odnalazł jej usta i namiętnie pocałował. Oparł czoło na jej głowie i powiedział pewnym głosem:

- Maggie, obiecuję ci, że dopadnę tego sukinsyna. A wtedy pożałuje, że się w ogóle urodził.

*

Henderson siedział za biurkiem i patrzył w nocne niebo. Kawa już dawno wystygła. Był głodny i miał po dziurki w nosie Markizy Marii Teresy Reilly, czy jak się tam nazywała. Zadzwoił do Maggie McCrae z obowiązku. Wcześniej czy później prasa zwęszyłaby, że był jeszcze jeden samochód. Wymyślaliby niestworzone historie.

Obracał w palcach ołówki i patrzył na wiszące na tablicy zdjęcie Markizy. Tak jak reszta widzów tego spektaklu, Henderson kochał się w jego egoistycznej i głupiej bohaterce. Wiedział, że była próżna i bezwzględna, kłamała, niszczyła każdego, kto stanął jej na drodze, ale było w niej coś niebezpiecznie fascynującego. Od chwili zniknięcia przyciągała uwagę mediów w całym kraju. Odchodząca powoli w zapomnienie gwiazda nagle stała się tragiczną bohaterką, zaginioną piękną wplataną w jakąś niezwykłą tajemnicę. Nawet on nie zdołał się jej oprzeć.

- Chryste - mruknął z niesmakiem, uświadomiwszy sobie, w jakim kierunku podążyły jego myśli. - Najwyższa pora rozwiązać tę zagadkę.

Spojrzał na stos akt piętrzący się na biurku. Nie powinien lekceważyć innych dochodzeń, a jednak to robił. Siedział tu w środku nocy i zastanawiał się, co się stało z kobietą, która w tak szybkim tempie stała się najpopularniejszą osobą w Denver. Maria Teresa Reilly Walker Gillette dzięki swemu tajemniczemu zniknięciu była teraz bardziej znana niż kiedykolwiek.

Wypadek czy zbieg okoliczności? Zaplanowany trik, który się nie powiódł? Jakiś ohydny podstęp?

- To chore - mówił do siebie.

Nie podobało mu się to, że musi uczestniczyć w zamieszaniu, jakie wywołali dziennikarze. Denerwowały go ich spekulacje.

Żeby tylko udało się jakoś pchnąć śledztwo do przodu, ale zdaje się, że wszystko utknęło w martwym punkcie. Coś się zablokowało.

Ta myśl wyprowadzała go z równowagi.

Gdzieś w sąsiednim biurze kasłał inny zapracowany detektyw. Chwilę później w odległej części budynku zadzwonił telefon.

Henderson obrócił się na krześle, by popatrzeć na zdjęcie. Na widok niezwykłych zielonych oczu i czarującego uśmiechu poczuł ukłucie w sercu. Wyglądała, jakby chciała uwieść fotografa lub kogoś znajdującego się w pobliżu. Drapiąc się po nieogolonej brodzie, myślał o dochodzeniu. Przesłuchanie Jane Stanton nie przyniosło efektu, jakiego się spodziewał. Sąsiadka Markizy dobiegała osiemdziesiątki i choć pamięć miała jeszcze całkiem sprawną, ze słuchem było dużo gorzej.

- Tej nocy szukałam mojego Skarbeczka, wie pan - powiedziała, częstując detektywa przedziwną, okropnie gorzką herbatą.

Jej niebieskie oczy zamglili katarakta. Siedziała w bujanym fotelu, a na jej kolanach leżał Skarbeczek. Kot otworzył na chwilę swoje piękne, żółte oczy, zadowolony z tego, że znalazł się w centrum zainteresowania. Pięć pozostałych kotów, które drzemały w różnych kątach starego domu, przebudziło się, słysząc obce głosy. Rudy

kocur przeciągał się na najwyższej półce z książkami. Zza uchylonych drzwi szafy wyglądał znudzony pers, a trzy inne przechadzały się dostojnie po pokoju. Wskakiwały na meble. Wyglądały przez okno, obserwując ptaki, siedzące na gołych gałęziach młodych drzewek, które rosły tuż przy domu.

- Niegrzeczny chłopiec - skarżyła się staruszka. - Zawsze próbuje zostać w ogrodzie, prawda kochanie?

Z uśmiechem głąskała kocura.

- Szukałam wtedy tego małego łobuza, gdy nagle usłyszałam hałas dobiegający zza płotu. Niestety, przez cegły nic nie było widać, ale rozpoznałam ich głosy, choć były stłumione. Jestem pewna, że Markiza zwracała się do tego Walkera po imieniu... no, tak mi się przynajmniej zdaje. Ale to, że on ją straszył, słyszałam wyraźnie. Mówił, że ją zabije.

Kiwała głową, jakby potwierdzając swojej słowa.

- Nigdy nie podsłuchuję, ale tej nocy...

Wzruszyła chudymi ramionami.

- Więc nie słyszała pani, o czym rozmawiali? - dopytywała się Hannah.

Kobieta wykrzywiła twarz jak mały kot.

- Nie dokładnie, ale wydawało mi się, że mówią o pieniądzach czy o jakimś dziecku... nie wiem, nie jestem pewna. - Uśmiechnęła się smutno i westchnęła.

- Nigdy nie wtrącałam się w jej sprawy. Czasami dzwoniłam i prosiłam, żeby mnie podwiozła do miasta.

- Zna pani Markizę?

- Kłaniamy się sobie. Zauważyłam, że bywali u niej ci młodzi ludzie, ...ostatnio taki jeden, z... tymi włosami. Miał sportowy samochód...

Spojrzała na detektywa znad okularów.

- Bardzo niegrzeczny. Jej byli mężowie są o wiele sympatyczniejsi.

- Czy Markiza wychodziła z kimś tego wieczoru?

- Nie, ja nie widziałam.

Zbliżyła do ust długi, kościsty palec i zastanawiała się przez moment.

- Na pewno wyjeżdżał jej jeep, siedziały w nim dwie osoby. Mężczyzna i kobieta. Myślę, że... ale... Było ciemno. Widziałam ich tylko przez chwilę, gdy przejeżdżali obok latami. Nie jestem pewna.

Patrząc w jej zamglone oczy, Henderson rozumiał niepewność.

Wyszli sfrustrowani. Wmusili w siebie prawie po filiżance mocnej herbaty, ale niczego się nie dowiedzieli.

Henderson czuł, że utknął w martwym punkcie. Ciągłe wracał do raportu z miejsca wypadku w nadziei, że znajdzie coś, czego wcześniej nie zauważył. Faks z informacją o Renee Nielsen znał już na pamięć. Nie było tam nic niezwykłego poza tym, że przez jakiś czas zatrudniał ją Walker.

Czyżby Renee pożyczyła samochód Markizy? - Rozmyślał. A może ukradła? Nie, raczej nie. Na tylnym siedzeniu znaleziono torebkę właścicielki. W środku były typowe kobiece drobiazgi: portfel, szczotka do włosów, lusterko, sześć szminek, tusz do rzęs, tampony, karty kredytowe, okulary przeciwsłoneczne. Kilka rachunków ze stacji benzynowej. Zniszczony notes z adresami, który sądząc z liczby wykreślonych nazwisk, powinna była już dawno temu wymienić na nowy. Większość adresów była nieaktualna. Wiedział o tym, bo sprawdził. Jeśli więc Renee nie ukradła jeopa razem z torebką, mógł przypuszczać, że była z nią Markiza.

Ale czy na pewno? Może wysiadając z samochodu, zapomniała zabrać swoje rzeczy, a potem dała Renee kluczyki? Nieee.

W głowie detektywa pojawiały się coraz to nowe pytania, na które nie mógł znaleźć odpowiedzi.

Samochód Markizy został dokładnie przeszukany, pracowali nad nim najlepsi ludzie z wydziału. Gdyby były tam jakieś ślady, z pewnością by je znaleźli. Niepokoił go czarny lakier na tylnym zderzaku. W tej chwili był to jedyny punkt zaczepienia. Badanie laboratoryjne wykazało, że to oryginalny lakier z chevroleta, a odłamki szkła pochodzą z reflektorów chevy. To musiała być furgonetka, blazer lub pickup.

Dlaczego zepchnięto Renee Nielsen z drogi? Kto chciał zabić Renee? Lub Markizę?

Henderson czuł, że tajemniczy samochód był kluczem do rozwiązania sprawy. Skontaktował się ze wszystkimi pozarządowymi agencjami na południowym zachodzie, które zajmowały się takimi sprawami, i zlecił poszukiwanie czarnego chevy po stłuczce. Detektywi mieli sprawdzić wszystkie punkty napraw i dealerów.

Był późny wieczór. Gdyby Henderson miał jeszcze choć trochę zdrowego rozsądku, pojechałby do domu i porozmawiał ze swoimi dziećmi. Tymczasem on siedział w biurze i po raz setny przeglądał notatki. Markiza nie posiadała zbyt wiele, a to, co miała, zapisała córce Maggie. Miała dwie polisy na życie. Jedną na Maggie McCrae i jej córkę, drugą na firmę MER, Inc., którą założyła. Drobne przedsiębiorstwo, według danych Hendersona, nie radziło sobie za dobrze. Markiza była prezesem, księgowością zajmowała się Evelyn Lawrence. Niestety, firma nie przynosiła dochodów, wręcz przeciwnie. Detektyw zmarszczył czoło i zagłębił się w papierach, szukając czegoś więcej na temat MER, Inc. Zanim znalazł to, czego szukał, drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju weszła wyraźnie poruszona Hannah.

- Masz coś! - powiedział, widząc jej podniecenie.

Wsunął papiery do teczki i z uwagą patrzył na partnerkę. Była całkiem ładną kobietą. Gdy była podekscytowana,

na jej policzkach pojawiały się rumieńce, a w oczach iskry. Wydawała się jeszcze atrakcyjniejsza.

- Chyba tak.

- Co takiego?

Usiadła na rogu biurka, nie zważając na to, że jej spódnica zmarszczyła się, odsłaniając kolana. Założyła nogę na nogę i pochyliła się w stronę Hendersona.

- Nasi ludzie dowiedzieli się, że kilka osób z kręgu Markizy ma nowe modele czarnego chevroleta.

- Kto?

- Całkiem ciekawa lista. Zacznijmy od Rona Bishopa, szefa KRKY. Jeździ mercedesem i czarnym pickuperem chevy. Właściwie tym mercedesem jeździ jego żona.

- Sprawdź go - powiedział Henderson, choć wątpił, by Ron zabił jedną ze swoich gwiazd, bez względu na to, jak bardzo jej nie lubił.

- Już się robi. Jest jeszcze Gillette.

Henderson podniósł się w swoim krześle. To było ciekawe.

- Kilka lat temu jeździł czarnym blazerem, ale oddał go Córce, Tanyi Inman.

- Której mąż miał romans z Markizą?

- Bingo.

Stare krzesło detektywa zaskrzypiało, gdy pochylił się nad biurkiem, by w stercie papierów odszukać informacje o Tanyi Inman.

- Ich też sprawdzić.

- Robi się. Ale to jeszcze nie koniec - powiedziała Hannah, uśmiechając się zwycięsko. - Jeszcze jedna osoba z tej listy ma najnowszy model blazera. Renee Warner.

- Warner?

Nazwisko brzmiało znajomo. Zajrzał do akt ofiary wypadku.

- Mhm, to panińskie nazwisko Renee Nielsen. Wygląda na to, że przypomniała sobie o nim kilka miesięcy temu, gdy kupowała dwuletniego blazera. Pewnie znalazła go przez ogłoszenie w gazecie, skontaktowała się z właścicielem i zapłaciła czekiem. Zarejestrowała go dopiero sześć tygodni temu. Podała adres mieszkania na pomocnym krańcu miasta.

Henderson nie mógł uwierzyć w tak nagły obrót sprawy. Zerwał się na równe nogi i zatrzasnął teczkę.

- No i...?

- No i tyle. Już sprawdziliśmy. Umeblowane, ale jakieś puste. Od tygodni nikt w nim nie mieszkał. Czyste. Sąsiedzi nic nie wiedzą. Nikt nie widział osoby pasującej do opisu pani Nielsen.

- To gdzie mieszkała?

- Jeszcze nie wiem.

- Myślisz, że jest jakoś związana z Walkerem?

- Wątpię, w końcu to on podał jej dane.

- Walker nie miał wyboru. I tak dowiedzielibyśmy się wszystkiego.

- Odczep się od niego, co? Groził byłej żonie, której pożyczył sporo forsy. Kobieta, która kiedyś dla niego pracowała, nie żyje. Ale to jeszcze nie znaczy, że jest winny. Może ma pecha do kobiet?

- Tak myślisz?

Sięgnął po swoją piłeczkę, ale w ostatniej chwili cofnął rękę.

- A jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Renee Warner Nielsen?

Hannah mrugnęła porozumiewawczo.

- Pracuję nad tym. Sprawdzę bank, w którym zrealizowano jej czek, ubezpieczenie, poprzedni adres. Porozmawiam z jej gospodarzem, może dowiemy się czegoś ciekawego.

- Jeśli będziemy mieli szczęście.

Henderson westchnął i sięgnął do szuflady po gumę do żucia.

- Daj spokój, Reed - powiedziała ze śmiechem i poprawiła włosy. - W dniu, w którym ty rzucisz palenie, przestanę pić kawę.

*

Na międzynarodowym lotnisku w Denver wylądował miękko samolot. Becky wyjęła ze schowka swój plecak. W czasie lotu słuchała muzyki, jadła orzeszki i popijała 7Up, unikając w ten sposób rozmowy z tłustą pięćdziesięcioletnią panią siedzącą obok. Miała na imię Gladys i każdego, kto wykazał choć minimalne zainteresowanie, zamęczała opowieściami o swoim pierwszym, nowonarodzonym wnuczku. Becky nie interesowała opowieść starszej pani. Miała ważniejsze sprawy na głowie i gryzły ją wyrzuty sumienia. Czuli się, jak najgorszy oszust. Gdy tylko odnajdę mamę, wszystko wróci do normy. Jeśli nic się nie stało Markizie, myślała.

- Na pewno nic jej nie jest - powiedziała, gdy samolot kołował po płycie lotniska.

Becky wyjrzała przez okienko i zobaczyła oświetlony terminal.

- Komu? - zapytała Gladys, błyskając złotym zębem.

Wyjęła z torebki szminek w niemodnym kolorze i zerkając do maleńkiego lusterka, drżącą dłonią próbowała

poprawić makijaż. Wyłączono silniki. Becky poczuła, że skurczył się jej żołądek.

- Komu nic nie jest? - dociekała kobieta.
- A niee... nic.
- Jedziesz do miasta? Ktoś po ciebie wyjdzie?
- Tak, mama na mnie czeka.
- To dobrze.

Gladys schowała szminkę i mrugając do dziewczynki powiedziała:

- Babcia musi wyglądać elegancko, prawda? Nie chcę przestraszyć małego Charliego.

Zaśmiała się. Becky z trudem odwzajemniła uśmiech, myśląc, że kobieta całkiem zwariowała, bo mały Charlie nie zwróciłby na nią uwagi, nawet gdyby wyglądała jak goryl. W milczeniu obserwowała, jak samolot ustawia się w pobliżu terminalu. Gdyby jej towarzyszka podróży wiedziała, że dziewczynka okłamała ciotkę Connie, ukradła pieniądze Jenny i dojechała na lotnisko okazją, pewnie padłaby trupem na miejscu i maleńki Charlie poniósłby nieodżałowaną stratę. Sądząc po wielkości bagażu, babcia przywiozła mu ubranka, które wystarczyłyby dla wszystkich noworodków na oddziale położniczym.

Samolot zatrzymał się. Becky modliła się w duchu, by taksówka do hotelu „Brass Tree” nie kosztowała więcej niż miała w kieszeni. Ta myśl nie dawała jej spokoju, ale martwiła się przede wszystkim tym, by jak najszybciej skontaktować się z mamą. Zanim ciotka Connie zauważy, że Becky zniknęła, i wpadnie w panikę.

*

Maggie w zamyśleniu wpatrywała się w pomięte wydruki komputerowe z pamiętnika Markizy. Całe jej śledztwo nie na wiele się zdało. Maggie dowiedziała się jedynie, że Markiza była daleka od ideału i przekonała się, że wcale jej nie znała.

Była śmiertelnie przerażona, odkąd dowiedziała się, że jeep Markizy został zepchnięty z drogi. Teraz z jeszcze większą determinacją szukała zaginionej. Rozmawiała z gosposią domu w Aspen. Zadzwoiła do wszystkich znajomych i sąsiadów, których dane znalazła w komputerze Markizy, i nie dowiedziała się niczego.

Thane spędził wieczór z telefonem komórkowym przy uchu. Rozmawiał ze swoimi znajomymi w Kalifornii, wypytywał o Renee Nielsen. Zadzwoił na oba rancza, do Howarda Bailey'a i Toma Yatesa, a w końcu do Carrie Edgars, która zostawiła mu wcześniej wiadomość w poczcie głosowej.

Maggie nie miała zwyczaju podsłuchiwać, ale ponieważ Thane nie zamknął drzwi do swojej sypialni, docierały do niej strzępki rozmowy.

- Wiesz, jak się poczułem... nie, Carrie, to nie tak, wiesz... rozmawialiśmy o tym latem... no dobrze, we wrześnie... myślę, że czas, żebyśmy... tak, ty też, dalej... oczywiście. Tak to już jest. Mam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży...

Odłożył słuchawkę. Maggie usiadła na kanapie i patrzyła na niego ukradkiem. Zamknął oczy i ruszał głową, jakby chciał sobie skrócić kark i raz na zawsze uwolnić się od tego wszystkiego.

Zadzwoił jego telefon. Mamrocząc coś do siebie, podniósł słuchawkę i odezwał się szorstko.

- Walker.

Zacisnęła zęby i spojrzał ma Maggie. W jednej chwili zorientowała się, że coś jest nie tak. Maria Teresa. Znaleźli ją, to policja dzwoni, myślała rozpaczliwie.

Serce biło jej jak oszalałe. Na przemian oblewał ją zimny pot i uderzało ciepło. Wstała. Papiery, które trzymała na kolanach, rozsypały się na podłodze.

- Gdzie jesteś? - zapytał Thane, przechodząc z telefonem do salonu.

Maggie umierała z niepokoju. Znowu cisza, rozmówca Thane'a coś tłumaczył. Thane spojrzał na zegarek.

Wziął z krzesła kurtkę i zarzucając ją niedbale na ramię, powiedział:

- Spotkamy się za pół godziny.

Schował telefon do kieszeni.

- To Roy - powiedziała do Maggie.

Nie wiedziała, czy jest bardziej zmartwiony, czy podekscytowany.

- Mówi, że znalazł mojego syna, właśnie leci do Denver. Będzie miał tu przesiadkę. Spotkamy się w barze na lotnisku. Pójdiesz ze mną?

Zaproszenie było kuszące, ale odmówiła. Uznała, że powinien się z tym zmierzyć sam.

- Mam coś do zrobienia. Wiem, że istnieje jakiś związek między Marią Teresą a Renee Nielsen. Nie pamiętam, skąd znam jej nazwisko.

Wskazała głową leżące na dywanie kartki.

- Przejrzę to jeszcze raz.

- Nie chcę cię tu zostawiać samej.

- Nic mi nie będzie. Jestem już duża.

- Nie wiadomo, czy nie kręcą się tu jakieś czubki.

- Zamknę drzwi. Ochrona ma mnie na oku. Nie martw się. Jestem bezpieczna.

- A jednak czułbym się lepiej...

- Gdybyś dowiedział się wszystkiego o synu.
Poczuła ukłucie w sercu. Maria Teresa i Thane mają dziecko. Było to jeszcze jedno świadectwo zdrady.
Daj spokój, Maggie, ten chłopiec to twój siostrzeniec. Dziecko Marii Teresy, syn Thane'a, próbowała przekonać siebie samą.
- Idź - zachęcała. - Jeśli chcesz go złapać, musisz się pospieszyć.
Wyjął z kieszeni klucze.
- Obiecuj, że będziesz na siebie uważać. Nie ryzykuj, zostań w hotelu. Wrócę za parę godzin.
- Nic mi nie będzie. Idź, Thane. Zajmę się tymi papierami.
- Myślisz, że to coś da?
- Nie wiem. Na pewno nie zaszkodzi.
Patrzył na nią przez chwilę. Jego oczy błyszczały.
- Jezu, Maggie, uważaj na siebie - wyszeptał, porywając ją w objęcia i całując jej usta.
Pachniał dymem i kawą. Jego pocałunki były ciepłe, zdecydowane. Nie mogła złapać powietrza. Nie była w stanie myśleć. Pokój wirował.
Podniósł głowę i powiedział cicho:
- To, co ze mną robisz, powinno być karalne.
Gładził jej włosy.
- Lepiej już idź...
Zamknął jej usta jeszcze jednym pocałunkiem. Całował ją niecierpliwie, zachłannie. Zaczęła ulegać jego rozgrzanemu ciału. Całował ją tak namiętnie, jakby robił to po raz ostatni.
- Wrócę niebawem - obiecał. - Wtedy porozmawiamy, najdroższa.
- Wiem - powiedziała przez ściśnięte gardło.
Wypuścił ją z objęć i ruszył w stronę drzwi. Odwrócił się przez ramię i uśmiechnął. Maggie przez całe życie kochała go za ten właśnie uśmiech.
- Powodzenia - powiedziała.
- Nie wiem dlaczego, ale zdaje się, że będzie mi potrzebne.
Słyszała, jak idzie korytarzem. Po chwili trzasnęły drzwi od apartamentu. Maggie zasłoniła dłonią usta, powstrzymując się od płaczu. Pozbierała z podłogi kartki i usiadła na brzegu kanapy. Przeglądała wydruk z komputera niewidzącym wzrokiem. Próbowała się skoncentrować.
- Maggie, skup się - mówiła do siebie. - Pomyśl o Marii Teresie. Musisz ją odnaleźć, a odpowiedź na pytanie, co się z nią stało, musi być na tych kartkach. Wystarczy tylko poszukać.
Maggie, gdzie jesteś?
Zamarła. W głowie echo powtarzało pytanie.
- Maria Teresa? - wyszeptała. - O Boże, czy to Markiza?
Choć wiedziała, że to głupie, odwróciła się w nadziei, że zobaczy siostrę.
Maggie, musisz mi pomóc. Liczę na ciebie.
- Gdzie jesteś? - zapytała mrugając oczami.
Proszę, przyjedź... Musisz... musisz mi pomóc. Popełniłam straszny błąd.
- Gdzie jesteś! - krzyknęła do czterech ścian. - Mario Tereso! Gdzie, u diabła, jesteś?
Zaschło jej w gardle, w oczach pojawiły się łzy.
- Słyszysz mnie?
Zamykając oczy, próbowała przesłać jej swoje myśli. Cholera, gdzie jesteś? Przyjadę, Mario T, ale nie wiem dokąd...

20

Thane siedział przy stoliku w barze na lotnisku. Obok stała szklaneczka szkockiej z lodem, ale nie zwracał na nią uwagi. Lód prawie się roztopił, drink powoli tracił swoją moc, ale Thane nie dbał o to. Wpatrywał się w zdjęcia chłopca, zrobione przez przyjaciela. Całkiem miły dzieciak. Lekko kręcone ciemne włosy, ciemnozielone oczy, wystające kości policzkowe, szczeka, która kiedyś, gdy chłopiec dorośnie, nabierze ostrości. Thane był dumny, ale i zły. Dumny z syna, a zły na rzeczywistość.

Ta suka długo trzymała to w tajemnicy. Dopiero przyparta do muru, bo potrzebowała mojej pomocy, wyznała prawdę, myślał.

- Ma na imię Ryan - powiedział Roy. - Tu jest jego adres i numer telefonu.

Podał Thane'owi kopertę, z której przed chwilą wyjął zdjęcia.

- Jesteś pewien, że to mój syn?

- Nie, dopóki nie potwierdzą tego badania DNA.

Roy dopił piwo i próbował przywołać kelnerkę. W barze było tłoczno. Podróżni zabijali czas, czekając na

połączenia. Obok małych stolików stały walizki, plecaki, torby, teczki i laptopy.

- Ale jestem pewien, że Markiza, to znaczy Maria Teresa, podała wtedy swoje panieńskie nazwisko - dodał.

Piegowata kelnerka, za młoda, by podawać alkohol, spojrzała wreszcie w stronę Roya. Wykorzystał okazję i pokazał jej swoją prawie pustą butelkę piwa.

- Zaraz do pana podejść - obiecała.

Roy sięgnął do torebki z prażoną kukurydzą i wskazując zdjęcia, powiedział:

- Popatrz tylko na tego dzieciaka. Nawet jeśli nie jest twoim synem, to powinien nim być.

- Myślisz, że jest do mnie podobny?

- Teraz nie, ale gdy byłeś dzieckiem, wyglądałeś dokładnie tak samo. O, już pani jest...

Podniósł oczy i uśmiechnął się do kelnerki.

- Dziękuję kochanie, jest pani cudowna - powiedział z uśmiechem, choć twarz dziewczyny była zachmurzona i nie zachęcała do rozmowy.

- Coś panu podać? - beznamiętnie zapytała Thane'a.

- Nie, dziękuję.

Nie mógł oderwać oczu od zdjęcia.

- Jest zajęty - wyjaśnił Roy.

Dziewczyna zapisała coś w notesiku. Położyła na stole rachunek i oddaliła się w kierunku czekających gości. Roy dokończył pierwsze piwo i zabrał się za drugą butelkę.

- A teraz najważniejsze. Dzieciak jest jedynym synem Very i Billa Brownów. Staruszek, no, ma czterdzieści pięć lat, nie taki jeszcze stary, jest strażakiem. Matka pracuje w biurze podróży, przez cztery dni w tygodniu. Chłopak to dar z niebios, nie mają z nim żadnych kłopotów. Na razie. Interesuje się piłką i baseballlem, z tego co wiem, nie ma stałej dziewczyny. Kiedyś przez trzy miesiące dorabiał sobie w budce z lodami. Później najął się w pobliskiej myjni samochodowej. Teraz nie pracuje.

Thane kiwał głową, gapiąc się na zdjęcie. Mój syn. Ryan Brown. Chłopak, o którego istnieniu jeszcze do niedawna nie wiedziałem. Cholerna Maria Teresa, myślał.

- Dostałeś adres, numer telefonu i słony rachunek za moje usługi - powiedział Roy, uśmiechając się zaczepnie. - Od tej chwili sprawa leży w twoich rękach.

Spojrzał na zegarek.

- Cholera, muszę lecieć, bo mi ucieknie samolot. Dokończ to, dobra? - powiedział, wskazując ledwo zaczęte piwo. - I zapłać rachunek, należy do ciebie.

Złapał swoją torbę podróżną i ruszył w kierunku drzwi.

- Roy?

Thane zauważył w końcu, że przyjaciel odchodzi.

- Co jest?

Thane wstał i wyciągnął do niego rękę.

- Dziękuję.

Roy uśmiechnął się, pokazując żółte od papierosów zęby.

- Zawsze możesz na mnie liczyć.

*

Maggie z bijącym sercem wjeżdżała na podwórko domu Markizy. Posesja zatopiona była w błękitnym świetle latami, Maggie czuła się jak intruz. Wszędzie było ciemno. Dom, niegdyś ciepły i przyjazny, wydawał się teraz zimny jak grobowiec.

Wiadomość od Markizy nie miała sensu. Skąd niby wzięłaby się w domu? A może chodziło jej o to, że jedzie do... - Nie, Maggie, nawet o tym nie myśl - skarciła samą siebie.

Wyłączyła silnik i schowała kluczyki do torebki. Wprawdzie Maria Teresa zostawiła list pożegnalny, o czym, dzięki Bogu, dziennikarze nie wiedzą, ale to wcale nie musi oznaczać, że rzeczywiście, chciała sobie odebrać życie.

Wysiadła z samochodu i pospieszyła do drzwi wejściowych. Zapukała. Po chwili nacisnęła dzwonek, choć wiedziała, że nikogo nie ma. Wyjęła z torebki klucze i otworzyła drzwi. Weszła do środka. Gdy usłyszała ciche tykanie systemu alarmowego, omal nie umarła z przerażenia. Wydało jej się, że ktoś skrada się w cieniu. Przypomniała sobie o zbroi stojącej w korytarzu. Próbowała opanować strach. Szła do spizarki, by wyłączyć system alarmowy, i po drodze zapalała wszystkie światła.

- Maria Teresa? - wołała, wiedząc, że nikt jej nie słyszy.

Przeszła na tył domu i zawołała jeszcze raz. Odpowiedziała jej głucha cisza.

- Świetnie - mruknęła pod nosem. Popatrzyła na zbroję i stojącego obok manekina, jakby chciała sprawdzić, czy ją usłyszały. Przeszły ją dreszcze.

Może nie powinnam była tu przychodzić. Może źle zrozumiałam wiadomość Markizy, rozmyślała, idąc w kierunku stojącego przy oknie fortepianu.

W oddali widać było jezioro. W jego ciemnej tafli odbijała się tarcza księżyca. Zeszłoroczna trawa połyskiwała w

jego promieniach. Śnieg stopniał już całkowicie.

- Mario, gdzie jesteś? - szeptała, czując, że strach zaczyna ją paraliżować.

Szła korytarzem. Gdy mijala wiszące na ścianie lustro, podskoczyła nagle. Zobaczyła swoje odbicie, ale przez moment myślała, że to odbicie siostry.

Spokojnie, mówiła sobie, poczekaj, Maria T. powiedziała, że tu będzie.

Ale czy na pewno? Może nic nie słyszałaś? Może nie było żadnej wiadomości. Może to twoja wyobraźnia, tak jak mówił ci kiedyś psychiatra.

Usiadła na krześle przy fortepianie i westchnęła.

- Gdzie jesteś Mario Tereso? - zastanawiała się na głos, przesuując palcem po klawiszach.

Słuchając cichych dźwięków instrumentu, zapatrzyła się w ciemność nocy. Strach ścisnął jej gardło.

Przeszła do gabinetu i włączyła komputer. Wykręciła numer Connie w Los Angeles, licząc na to, że odbierze Becky. Ekran monitora migał. Po kilku sygnałach w słuchawce odezwał się głos automatycznej sekretarki. Nie zostawiła wiadomości.

Tęskniła za córką. Choć Becky nie zachwycała się już tak bardzo pobyt w Los Angeles, sądziła, że dzieli je zbyt wiele.

- Weź się w garść.

Ciemny, zimny dom przerażał ją coraz bardziej. Starła się opanować. Popatrzyła na zegarek i zagryzła wargi. Modliła się, by Maria Teresa odezwała się jeszcze raz, żeby wyjaśniła tajemnicę swojego zniknięcia, żeby mogła już wrócić do domu, do Idaho, gdzie razem z córką będą prowadzić normalne, nudne życie. W tej chwili nuda dnia powszedniego wydała się jej rajem.

A co z Thanem? - pytała siebie, siedząc przez monitorem. Co zrobisz w tej sprawie?

Wykręciła numer do hotelu i zostawiła wiadomość, gdzie jest i że zaraz wraca. Nie chciała, żeby się o nią martwił. Po chwili doszła do wniosku, że jest beznadziejnie naiwna. Może trochę mu na niej zależało, ale nie tak bardzo, jakby tego chciała. Nie kochał jej tak jak ona jego. Kochała Thane'a Walkera czystą i prostą miłością. Tak było zawsze. Nawet gdy była żoną Deana McCrae.

Ogarnęło ją poczucie winy.

- Idiotka - mruknęła. - Thane nigdy mnie nie pokocha. Nie potrafi, a poza tym zawsze będzie Maria Teresa.

Wchodziła między nich jak duch nawet wtedy, gdy leżeli obok siebie. Gdy ich nagie ciała splecione były w miłosnym uścisku, Maria Teresa była razem z nimi w łóżku.

- Przestań! - nie wytrzymała już napięcia. - Maggie, przestań, bo zwariujesz! - upomniała siebie surowo.

Popatrzyła na ekran monitora i otworzyła program z adresami.

Thane ma syna. To dziecko Mary Teresy. Dlaczego ta myśl tak bardzo boli?

Wmawiała sobie, że nie powinna się tym przejmować. Ma jeszcze tę Carrie jakąś-tam z Wyoming. Nawet jeśli z tym skończył... On nigdy nie przestał kochać mojej siostry...

Rozboleła ją głowa. Postanowiła nie myśleć więcej o Thanie, nie analizować własnych uczuć, które paliły ją niczym ogień. Ale nie mogła przestać.

Nie mogę go kochać. To nie ma sensu, skończy się złamanym sercem. I co z tego, że go całowałam? Dotykałam? Kochałam się z nim. Co z tego? Ludzie ciągle to robią. Nie ma w tym nic szczególnego. Daj sobie z tym spokój, upomniała się raz jeszcze.

Zabrała się do przeglądania dokumentów w komputerze Markizy, odnosząc niejasne wrażenie, że do niczego to nie prowadzi. Przejrzała listę adresów i zeznania podatkowe siostry. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo była zadłużona. Jej sytuacja finansowa była tragiczna: nie zapłacone podatki i odsetki, karty kredytowe, raty, ostrzeżenie od komornika o zajęciu domu w Aspen i tego w Denver.

- Nie ma się co dziwić, że uciekła - powiedziała.

Szukała jakiejś informacji o Renee Nielsen, ale nie natknęła się na żadną wzmiankę na jej temat. Pojawiła się jedynie Renee Warner. Maggie poczuła nagle, że jej kark zupełnie zeszywniał, jakby za chwilę miała odkryć coś, o czym nie chciała wiedzieć. Wróciła do wcześniejszych dokumentów. Sprawdziła jeszcze raz, ale nie znalazła żadnych czeków na nazwisko Renee Warner. Kilka wystawiono na nazwisko Markizy i te oznaczone były w komputerze literami RW.

- To może znaczyć wszystko i nic - rozmyślała na głos. - Ot, choćby „realizacja wykonana” albo „raczej ważne”, a poza tym Renee nosi nazwisko Nielsen...

Bolały ją plecy. Spojrzała na zegarek.

Minęło już półtorej godziny i nic. Może rodzina Deana ma rację, że mam załamanie nerwowe? Wszystko, tylko nie to. Connie i Dean zawsze chcieli udowodnić, że nie nadają się na matkę, że nie jestem wystarczająco zrównoważona, by rozporządzać funduszem, jaki powołał dla Becky ojciec Deana. To wstętnie. Nie powinnam pozwalać córce spędzać z nimi tyle czasu, ale nie miałam wyboru. Nie jestem wariatką! Maria Teresa naprawdę się ze mną skontaktowała. Gdzie ona jest?

Serce podeszło jej do gardła na wspomnienie wypadku i tego, co mówił detektyw. Jakiś samochód zepchnął jeepa Marii Teresy na pobocze.

Może coś jej się stało po tym, jak wysłała do mnie wiadomość? Może zabójca Renee Nielsen ją znalazł?

- Mario, pokaż się - powiedziała nerwowo.

Wstała, rozcierając napięte mięśnie ramion. Nagle zamarła. Usłyszała jakiś hałas przed domem, a po chwili miauczenie kota. Rzuciła się w stronę kuchni. Usłyszała trzask. Serce łomotało jej jak oszalałe. Ktoś otworzył drzwi. Poczula powiew mroźnego powietrza.

- Maria Teresa? - zawołała, modląc się, by nie był to nikt inny.

*

Po powrocie do domu Henderson wyłączył automatyczną sekretarkę i zajął się przeglądaniem poczty. W skrzynce znalazł głównie rachunki i reklamy. Przez chwilę zastanawiał się, czy włączyć telewizor i zjeść kolację, czy nie zwracając uwagi na burzący brzuch wskoczyć do łóżka. Rozmyślania przerwał dzwonek telefonu. Detektyw szybko podniósł słuchawkę.

- Henderson.

- Oficer Bates z policji stanowej Kolorado. Znaleźliśmy czarnego chevy blazera. Myślę, że to ten, którego pan szuka.

- Gdzie?

- W pobliżu zapomnianej przez wszystkich drogi do Crested Butte. To cud, że się na niego natknęliśmy. Nasi ludzie już nad nim pracują.

- Są ofiary? - zapytał niecierpliwie. Może tym razem dochodzenie ruszy do przodu, pomyślał.

- Jeszcze nie wiem, ale nie wygląda to najlepiej.

- Są inne samochody?

- Nie, o ile wiem, nie.

Oficer dokładnie opisał miejsce wypadku i jak tam dotrzeć. Henderson poprosił, by na bieżąco informowali go o postępach w śledztwie i odłożył słuchawkę. Przeszedł do drugiego pokoju i przeklinając samego siebie sięgnął do szuflady biurka. Poszperał chwilę i wyjął oklejoną taśmą paczkę cameli. Leżała tam już trzy miesiące, czekając na wyjątkowo trudną sprawę, taką jak ta.

- Niech cię diabli, Markizo. Gdzie do cholery jesteś? - zapytał, wtykając w zęby papierosa.

Przewrócił zawartość szuflady w poszukiwaniu zapalek. Znalazł zapalniczkę, ale okazało się, że nie działa.

- Co za ironia, pomyślał, właśnie dziś nie mogę znaleźć tych cholernych zapalek. Niech to szlag... - mruczał otwierając teczkę.

Liczył na to, że w którejś z zapomnianych kieszeni zapodziały się stare zapalki. Zamiast tego znalazł kopię dokumentów dotyczących MER, Inc. Coś go niepokoiło, gdy myślał o tej firmie. Wiedział, że coś tam jest nie w porządku.

Usiadł przy biurku, nie zapalony papieros zwisał mu smutno w kąciку ust i zaczął czytać. Przeglądał kolejne strony statutu korporacji. Z tego prawniczego bełkotu niewiele rozumiał.

Nagle jego wzrok zatrzymał się na nazwisku Renee Warner.

- Niech to diabli. Jak mogłem tego wcześniej nie zauważyć?

Trzy kobiety, które coś łączyło. Markiza, Evelyn Lawrence, i Renee Warner, znana jako Renee Nielsen, martwa kobieta leżąca w policyjnej kostnicy.

- Niech to wszyscy diabli... - wyszeptał.

Wypluł papierosa i zerwał się z krzesła. Złapał portfel, klucze, pistolet i wybiegł z domu.

*

Thane był podenerwowany. Jak szalony pędził do hotelu, próbując nie myśleć o tym, że zostawił Maggie samą. Pocięsział się, że jest sprytna i na pewno dobrze sobie radzi. Niecierpliwiał się. Im bliżej był, tym bardziej się denerwował.

To dlatego, że ją kochasz, ty idioto. Zawsze ją kochałeś. Od pierwszej chwili, gdy ją zobaczyłeś, jak szła dumnie wyprostowana poboczem, wpatrzona gdzieś przed siebie, z rumieńcem na policzkach. Szła na ranczo Flory.

Drzwi windy otworzyły się i Thane pospieszył do apartamentu. Wszedł do środka i w tej chwili domyślił się, że coś jest nie w porządku. Na środku kanapy siedziała Becky i patrzyła na niego swoimi wielkimi oczami.

- Myślałem, że jesteś w Los Angeles - powiedział, rozglądając się w poszukiwaniu Maggie, ale znalazł tylko plecak dziewczynki.

- Byłam.

- Gdzie twoja mama?

- W domu Markizy. Właśnie przesłuchałam wiadomość, jaką ci zostawiła.

Thane miał złe przecucia. Kark mu zeszywniał.

- Nie mówiła, że przyjeżdżasz.

- Mama nic nie wie - powiedziała Becky. - Przyjechałam sama.

- Coś się stało? - zapytał podchodząc do telefonu.

- Nic specjalnego - odpowiedziała. - Chcę być z mamą.

- A ciocia i wujek się na to zgodzili? - zapytał z powątpiewaniem.

Dochodziła trzecia w nocy, a Becky wyglądała, jakby dopiero co tu dotarła.

- Oni nie wiedzieli, że tu jadę - powiedziała. - Zadzwoń, żeby porozmawiać z ciocią Connie.

- Jasna cholera!

- To samo powiedziała.

Thane nie miał wprawy w postępowaniu z dorastającymi panienkami, ale nie zamierzał pozwalać byle dzieciakowi rozmawiać z nim w ten sposób. Nawet dzieciakowi Maggie.

- Powinnaś chyba porozmawiać z mamą.

- Nie gadaj tyle!

- Uważaj, jak się odzywasz!

Becky zmrużyła oczy.

- Porozmawiamy w samochodzie. Zadzwoń do twojej mamy z komórki.

- Nie mam zamiaru słuchać twoich kazań

Wziął jej plecak i ruszył w stronę drzwi.

- Usłyszysz jedno za chwilę. Nie spodoba ci się.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale po chwili namysłu zrezygnowała.

*

- Maggie?

Do kuchni weszła Maria Teresa. Była bez makijażu, potargana. Miała na sobie brudne spodnie i koszulę.

Na widok siostry oczy Maggie zaszyły łzami. Rzuciła się w kierunku bliźniaczki, zahaczając po drodze o stojak na noże i potykając się o stółek barowy. Nie zważając na ból, biegła przywitać się z siostrą.

- Tak się martwiłam, Mario. Umierałam ze zmartwienia - wyrzucała z siebie słowa, tuląc ją w ramionach. - Myślałam... nie wyobrażasz sobie nawet, co myślałam...

Trzymała ją mocno, tak mocno, jakby się bała, że znów odejdzie. Wszystkie żale, pretensje, zazdrość, gniew, jakie przez lata w sobie nosiła, wyparowały nagle jak za dotknięciem magicznej różdżki. To była jej siostra, bliźniaczka!

Maria Teresa płakała. Jej drobne ciało drżało. Wbiła palce w ramiona Maggie.

- Boże, Maggie... ale ze mnie idiotka. Cholerna, samolubna idiotka - mówiła połykając łzy.

Odsunęła się na chwilę, by wytrzeć nos rękawem.

- Tak mi przykro... - zanosila się szlochem.

- Przykro ci? - zapytała Maggie. - Boże, tak się cieszę, że jesteś cała i zdrowa. Myślałam, że nie żyjesz. Tak... tak bardzo się martwiłam. Usłyszałam twoją wiadomość, ale nie zrozumiałam, co się stało.

- Nikt by mi nie uwierzył.

Maria Teresa rozpięła kurtkę i oparła się o kuchenną ladę. Wytarła dłonią czoło. Maggie zauważyła, że bardzo schudła, została z niej sama skóra i kości.

- Co się stało?

- Popełniłam błąd, straszliwy błąd. Przeczytałam dzisiejszą gazetę... Renee nie żyje.

Mimo ciemności, jaka panowała w kuchni, Maggie zauważyła, że siostra zbladła. Zapaliła światło. Maria Teresa rozejrzała się niespokojnie i szybko wyłączyła światło. Wyszła z kuchni, by pogasić lampy we wszystkich pomieszczeniach.

- Czy ktoś wie, że tu jesteś? - zapytała niepewnie.

- Nie... tylko Thane. Zostawiłam mu wiadomość.

- Cholera.

- Co jest grane?

- Posłuchaj, musimy natychmiast stąd wyjść. Doprowadzę się tylko do porządku, wezmę trochę rzeczy, forszę i...

- O czym ty mówisz?

Maggie szła za nią na górę. Jak na kogoś, kto przed chwilą omal nie zemdłał, Maria Teresa miała sporo siły. Wbiegła po schodach na piętro i skierowała się do sypialni. Zaciągnęła żaluzje i zasłony.

- Zamknij drzwi - powiedziała do Maggie.

- Mario T., co ty, u diabła, wyprawiasz? - zapytała, ale zrobiła to, o co prosiła siostra.

Maria Teresa włączyła maleńką nocną lampkę.

- Czy to prawda? - zapytała. - Czy Renee nie żyje?

W jej oczach widać było, że zna odpowiedź.

- Myśleliśmy, że to ty.

Maria Teresa złapała się za głowę. Była blada jak ściana.

- O Boże. Nie chciałam... nie wiedziałam... - jej głos łamał się, zasłoniła usta ręką. - To był wypadek?

Maggie pokiwała twierdząco głową. Patrzyła na zdjęcia Marii Teresy ustawione na stoliku.

- Sprawca zbiegł z miejsca wypadku. Tak twierdzi policja. Prasa jeszcze o tym nie wie.

Odgarniając z twarzy włosy i pochlipując Maria Teresa zapytała:

- Dlaczego ktoś chciał ją zabić?

- To był wypadek... nikt nie chciał...
Maria Teresa nie słuchała.
- Nie, nie, nie! Nic nie rozumiesz!
Poderwała się i podeszła do szafy.
- To musiała być Evelyn.
- Evelyn? - powtórzyła Maggie. - Mario, o czym ty mówisz? - Powoli zaczynała wszystko rozumieć.
- To był jej pomysł.
Maria Teresa wyjmowała z szafy ubrania i wrzucała je do otwartej torby. Dzinsy, bluzki, spódnice, swetry fruwały w nieładzie. Maggie pomyślała, że tak zachowują się osoby biorące środki pobudzające. M.T. była taka chuda, a mimo to miała w sobie jakąś dziwną energię. Poruszała się szybko i gwałtownie.
- Jaki pomysł? - zapytała.
Maria Teresa zrzuciła z siebie brudne ubrania i szła do łazienki. Maggie nie odstępowała jej na krok. Ominęła leżące na podłodze spodnie, koszulkę, stanik i weszła do łazienki. Maria Teresa była już pod prysznicem.
- Nie powinnam tracić czasu, ale muszę to z siebie zmyć... ten brud.
Maggie patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Ubrana była w spodnie, bluzkę i kamizelkę. Obok niej stała naga Maria Teresa. Były tak do siebie podobne, a jednocześnie tak różne.
Maria wyszła spod prysznica. Kąpiel zajęła jej niecałe trzy minuty. Wycierała ręcznikiem mokre włosy.
- Musimy natychmiast opuścić ten dom - powiedziała, wkładając tenisówki.
- Jaki pomysł? Co z Evelyn? - powtarzała Maggie.
Maria Teresa pochylała się, by zawiązać buty.
- Chodzi o całe to zniknięcie. Ona to wymyśliła.
Maggie zdrzała. Złapała siostrę za ramię. .
- Chwileczkę. Zaplanowałyście to?
- A jak myślisz?
- Ale...
- Mówiłam ci, że to był pomysł Evelyn. Nie miałyśmy pieniędzy. Zapożyczyłam się po uszy.
Zasunęła torbę i popatrzyła na Maggie swoimi dużymi oczami.
- To miał być taki trik, dla publiki, żeby podnieść notowania mojego programu. Musiałam coś zrobić. Grozili, że zdejmą go z anteny. Musiałam zdobyć więcej widzów. Program się sypał, oglądalność spadała, producenci straszili. Wierz mi Maggie, to było okropne.
Mówiła bez emocji, jakby nie miała innego wyboru, jak by musiała oszukać wszystkich dookoła.
- Jeden z klientów Evelyn miał domek letniskowy. Nie bywał w nim od lat. Tam się ukryłam. Tylko Evelyn i Renee znały miejsce mojego pobytu.
- Renee?
- No przecież mówię. Zgaś światło, dobrze?
Maggie zgaszyła lampkę, a Maria Teresa zarzuciła torbę na ramię.
- Więc Renee była w to wszystko wmieszana? - zgadywała Maggie.
Od tych rewelacji zrobiło się jej niedobrze. Choć tak bardzo ucieszyła się na widok siostry, nie mogła znieść chłodnego tonu, jakim opowiadała o spisku.
- Evelyn musiała zostać w mieście. Pilnowała, żeby wszystko szło zgodnie z planem. Więc Renee jeździła tam i z powrotem. Nikt nie wiedział, gdzie mieszka ani kim jest. Zmieniła nawet nazwisko, wróciła do panińskiego, Warner. Nasz plan polegał na tym, że gdy już będzie o mnie głośno, ja... ucieknę „porowaczom”. Cała sprawa miała się zakończyć wielkim polowaniem na nich. Nikt nigdy nie dowiedziałby się, że za wszystkim stała Evelyn.
- Policja nie jest taka głupia.
- Nie przesadzaj. Na miłość boską, jestem przecież aktorką. Potrafiłabym ich przekonać, że porwali mnie jacyś szaleńcy, a ponieważ nic by się nie stało, zaniechaliby w końcu poszukiwań.
- Ale ludzie wiedzieliby, że ktoś...
- I co z tego? Nikomu nic nie groziło. Muszę się napić.
- Dlaczego Evelyn zrobiła coś takiego? - zapytała Maggie.
- Bo miałam u niej długi.
Maria Teresa weszła do kuchni. Wyjęła z szafki szklanekę i nalała do niej wody z kranu.
- Kiepsko ze mną, Mag. Mam straszne długi. Nagle wszystko zaczęło się sypać. Wiesz, co by się stało, gdybym straciła pracę? Jezus, byłabym zrujnowana! To byłaby prawdziwa katastrofa.
- Ale... - Maggie czuła, że kręci się jej w głowie - Renee nie żyje, Mario. Nie żyje.
- Wiem o tym. Ale to ja miałam nie żyć. Teraz rozumiem, dlaczego nalegała, żeby napisała list pożegnalny. Chciała zmylić policję. Uwierzyłybyś? Evelyn po prostu mnie tam zostawiła. Bez telefonu, bez prądu, wiele kilometrów od ludzi. Jestem pewna, że faszerowała mnie narkotykami. Zamierzała mnie wykończyć, ale najpierw musiała zabić Renee.
Napiła się wody i z szafki wyjęła coś, co w ciemnościach wyglądało jak fiolka z tabletkami.

- Jezu, ale mnie boli głowa. Ja nic nie wiedziałam o narkotykach. Ciągłe byłam zmęczona. Powinnam była się domyślić, ale nawet do głowy mi nie przyszło. Myślę, że Evelyn kazała to zrobić Renee. Żeby nie wpadła na jakiś pomysł i nie uciekła. Zabrała mój samochód. Ten, który ukryliśmy tu z Renee.

- Jeep.

- Tak. Nikt nim nie jeździł ze względu na rejestrację. Renee korzystała ze swojego czarnego blazera, ale któregoś dnia Evelyn miała kłopoty ze swoim samochodem i pożyczyła wóz od Renee. Czekaliśmy na nią, ale Evelyn długo nie wracała. Renee postanowiła zaryzykować i wzięła mojego jeepa. Wyjechała i nigdy nie wróciła.

- Na jeepie znaleziono ślady czarnego lakieru - powiedziała przerażona Maggie.

Evelyn Lawrence zabiła? Dla pieniędzy? To się nie trzyma kupy - myślała.

Maria Teresa wysypała garść pigułek i połknęła je za jednym razem.

- Co ty zażywasz? Brałaś wcześniej narkotyki, czy to nie będzie niebezpieczne? - zapytała Maggie, próbując nadażyć za wyjaśnieniami siostry.

- To aspiryna, Mag. Nie martw się. Założę się, że ból głowy powodowały te cholerne pigułki, które mi podawała. Mówię ci, miałam już dość tego miejsca. Ale Evelyn stale powtarzała, że z każdym dniem mój powrót jest bardziej wyczekiwany, że im dłużej tu zostanę, tym większa będzie sensacja - uśmiechnęła się smutno. - No i kto wyszedł na dumnia?

- My wszyscy.

Maria Teresa raz jeszcze napiła się wody. Resztę wylała do zlewu.

- Myślisz, że Evelyn chciała zabić dwie osoby tylko dla pieniędzy? Poznałam ją... - Maggie kręciła głową z niedowierzaniem - to niemożliwe.

- Jest stuknięta, to chyba oczywiste.

Maggie dokładnie przypomniała sobie przedsiębiorczą kobietą, z którą niedawno rozmawiała.

- No dobrze, założmy, że Evelyn była przyparta do muru, więc... zabiła Renee, żeby zatrzeć ślady lub dlatego... Może myślała, że jakoś udało ci się uciec - mówiła Maggie nie wierząc własnym słowom. - I co było dalej?

- Powiem ci w drodze do samochodu. Masz jakiś?

- Tak, wynajęty.

- Dobrze. Nie chcę brać mojego. Jeszcze nie teraz. Najpierw muszę się dowiedzieć, co jest grane. Renee nie wracała. Zaczęłam się martwić. Wysłałam z domu. Poczulałam się trochę lepiej, głowa przestała tak boleć. Wtedy pomyślałam, że coś się stało. Coś złego. Denerwowałam się, bo byłam przecież na jakimś strasznym zadupiu. Na szczęście spotkałam dzieciaki na nartach, które zaprowadziły mnie do drogi. Szłam prosto, aż dotarłam do autostrady. Podwiózł mnie facet z Salt Lake City - westchnęła. - Najgorsze jest to, że nikt mnie nie poznał. Evelyn obiecywała, że wszyscy będą mnie szukać, że będę sławna, a tymczasem ludzie, których spotkałam, nie mieli pojęcia, kim jestem. Kierowca wysadził mnie pod miastem, przy jakimś barze. Tam się dowiedziałam o Renee. Wzięłam taksówkę. Nawet głupi taksówkarz mnie nie poznał.

- Chyba jednak nie to jest najgorsze - powiedziała Maggie. - Myślę, że powinnaś zadzwonić na policję.

- Później, jak wszystko wyjaśnię.

Maggie była wstrząśnięta.

- Co ty chcesz wyjaśnić? Musisz im powiedzieć prawdę. I już.

- I wszystko zepsuć? Całą naszą pracę? Zburzyć to zainteresowanie, które zdobyłam? - pytała Maria Teresa potrząsając głową. - Chyba zwariowałaś! Teraz możemy powiedzieć, że to był pomysł Renee i...

- Przestań!

Maggie zatrzymała się w pół kroku, złapała Marię Teresę za ramię i potrząsnęła nią z całej siły.

- To koniec. Nie rozumiesz?

- To ty nie rozumiesz. Nie mogę zmarnować mojego życia. Nie rzucę kariery.

- Nie musisz niczego rzucać... zmień tylko jej bieg.

Ich oczy spotkały się w mroku. W domu panowała ciemność. Przez okno wpadało jedynie blade światło ogrodowej latarni.

- Już to robiłaś. Niejeden raz - przypomniała Maggie i nie mogąc już dłużej powstrzymać męczącego ją od tak dawna pytania, wydusiła:

- Dlaczego się ze mną skontaktowałaś... dlaczego obwiniłaś o wszystko Thane'a?

Maria Teresa westchnęła głęboko. Spojrzała na siostrę i pokręciła głową.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

Maggie nie była pewna. W ich życiu było tyle kłamstw, oszustw, zdrad. Nie po to jednak zaszła tak daleko, by chować teraz głowę w piasek.

- Tak, Mario. Chcę znać całą prawdę.

21

Coś się dzieje w domu Markizy - powiedziała Hannah, wchodząc w środku nocy do biura Hendersona. Ślady szminki dawno zniknęły z jej ust, oczy miała podkrążone, ale i tak wyglądała ładnie.

- Dzwoń na Jane Stanton, sąsiadka Markizy. Na podjeździe stoi jakiś samochód. Jane jest pewna, że gdy wyszła

zawołać do domu swoje koty, widziała u niej światło.

Henderson czekał na raport w sprawie blazera, ale słysząc te wiadomości poderwał się na równe nogi. - Jedziemy. Gdzie Walker?

- Pojechał na lotnisko, ale nie wsiadł do samolotu.

- A więc nadal jest w mieście?

- Na to wygląda.

Hannah zatrzymała się przed nim

- Wiesz co, wydaje mi się, że powinniśmy byli raczej obserwować dom Markizy, a dać spokój Walkerowi.

Wyszli z posterunku i skierowali się na parking.

- Masz broń? - zapytał, wsiadając do służbowego samochodu.

- To tak jak z kartą American Express - powiedziała z uśmiechem - nie ruszam się bez niej z domu.

*

- Słuchaj - powiedziała do siostry Maggie - albo o wszystkim mi opowiesz, albo dzwonię do Thane'a.

- Do Thane'a? Do niego nigdy.

- Dlaczego?

- Dlatego... dlatego, że nie chcę go widzieć.

- Obawiam się, że będziesz musiała. Masz z nim syna.

Maria Teresa zamarła.

- Powiedział ci...

- Tak.

- Maggie, nie ma teraz czasu na taką rozmowę.

Maggie wiedziała, że siostra ma rację, ale nie mogła się powstrzymać.

- Dlaczego go obwiniłaś? Dlaczego... wtedy, gdy się ze mną skontaktowałaś... dlaczego powiedziałaś, że ci coś zrobił?

- To bardzo skomplikowane.

- Mów, może zrozumiem.

- Cholera, nie chciał mi pomóc. Prosiłam, ale powiedział, że to go nie obchodzi.

- Mówisz o pieniądzech?

- Tak! Zawsze chodzi o pieniądze! Obudź się, Maggie. Może ty... ty możesz sobie mieszkać na jakimś zadupiu, ale reszta świata woli normalne życie. A to tyle kosztuje...

- Wplątałaś Thane'a w swoje zniknięcie, bo chciałaś się na nim zemścić? - pociemniało jej w oczach. - Okłamałaś go, mówiąc że masz z nim syna, a gdy nadal nie chciał ci pożyczyć pieniędzy, wysłałaś tę wiadomość, wmówiłaś mi, że jest odpowiedzialny za twoje zniknięcie?

Maggie była przerażona. M.T. uniosła głowę.

- Tu cię boli, co? Wiedziałam, że przylecisz go ratować, że narobisz zamieszania na policji, że wszystko popsujesz.

- To obrzydliwe - wyszeptła Maggie, opierając się o barowy stołek.

W ciemności widać było tylko zegar kuchenki mikrofalowej. Maria Teresa bawiła się zamkiem przy kurtce. Przygryzła wargi i zapatrzyła się w dal.

Przełknęła głośno ślinę.

- Wiedziałam, że nigdy nie przestałaś go kochać. Chyba należą ci się pewne wyjaśnienia.

- O co ci chodzi?

Maggie przeczuwała już, co usłyszy. Uświadomiła sobie, że nie chce wiedzieć, dlaczego przed laty siostra tak się wobec niej zachowała.

- Wiesz, dlaczego to zrobiłam, prawda?

- Co zrobiłaś?

Wzruszyła ramionami i zwilżyła językiem usta.

- No wiesz. Wtedy, gdy pierwszy raz poszłam do Thane'a, do jego mieszkania.

- Mówisz o tym, jak się z nim przespałaś? - upewniła się Maggie.

Serce biło jej głucho. Ból, który przez te lata zdołała ukoić, powrócił.

- No... tak, właśnie. To przez Mitcha.

Na twarzy Marii Teresy widać było cierpienie.

- Przez Mitcha?

Maria Teresa patrzyła w okno.

- Byłam w ciąży. Tej nocy, w wannie... to nie był pierwszy raz. Mitch i ja... on mi kiedyś pomógł. Byłam z Carlem Janovichem, on był ode mnie starszy, a ja... ja go uwiodłam. Zrobił się niemiły. Poszliśmy na imprezę, przyszedł też Mitch. Car! był wstawiony, zaczął mnie bić, nazwał mnie dziwką, kurwą, strasznie wrzeszczał.

W jej oczach pojawiły się łzy. Przełknęła ślinę.

- No cóż - mówiła po chwili dalej - Mitch zabrał mnie stamtąd... Załamalam się, zaczęłam płakać, cała się

trzęsałam. Objął mnie... chciał mnie tylko pocieszyć. Przytuliłam się do niego, zaczął całować moje włosy, a potem... - zamknęła oczy. - Zanim się zorientowałam, kochaliśmy się. A potem był bal maturalny i... Oboje próbowaliśmy z tym zerwać, ale nie mogliśmy. Wtedy przyłapałaś nas w łazience i tak się to skończyło. Tylko że ja byłam w ciąży. To dlatego Mitch popełnił samobójstwo, Maggie. Bo spodziewałam się jego dziecka.

- Jego? - powtórzyła oszołomiona Maggie.

- Tak. Wtedy pomyślałam, że dziecku będzie potrzebny ojciec. Przebrałam się w twoje ciuchy i poszłam do Thane'a. Łatwo było go oszukać, bo sporo wypił.

- O Boże! - Maggie czuła skurcze żołądka. - Ale dlaczego? Dlaczego Thane?

- Bo był pod ręką i chciałam się na tobie zemścić. Uważałam, że to twoja wina, że Mitch się zabił. Wiem, że nie miałam racji, ale tak było. Chciałam z nim zerwać, a ty nas przyłapałaś. Wszystko waliło mi się na głowę. Mitch się bał, że powiesz o tym rodzicom. Zupełnie oszalał, a wtedy... i mówił, że chce się zabić. Nie uwierzyłam... - mówiła coraz ciszej.

- I wtedy się utopił - dokończyła Maggie.

- Taak - pociągnęła nosem. - Wtedy myślałam, że zrobił to ze strachu. Bał się ciebie. Marzyłam, by się na tobie zemścić.

- Och, Mario Tereso...

Maggie podniosła rękę i machnęła tak, jakby chciała przerwać wyznania, ale siostra mówiła dalej:

- Myliłam się, wiem, że się myliłam.

Ukryła twarz w dłoniach.

- Cholera, ale bagno. Nigdy nie kochałam Thane'a, nigdy. Byłam o ciebie zazdrosna.

- O mnie? Mario, dlaczego? To ty byłaś gwiazdą. To ty miałaś cały świat u stóp.

- Ale on kochał ciebie. Byłaś jego jedyną miłością. Widziałam, jak na ciebie patrzył, jak z tobą flirtował, jak żartowaliście. Na mnie nigdy tak nie patrzył. Już sama nie wiedziałam, co robić. Był pierwszym chłopakiem, który nie zwracał na mnie uwagi.

Uniosła głowę i spojrzała Maggie w oczy.

- Nikt nigdy nie kochał mnie tak, jak on kochał ciebie. Nikt. I nikt mnie tak nie pokocha - westchnęła ciężko.

- Wystarczy, mam już dosyć. Czy ci się to podoba, czy nie, masz natychmiast zadzwonić na policję.

- Nie ma mowy.

Maggie była zdecydowana. Podeszła do siostry i spojrzała jej prosto w twarz.

- Mario, to już koniec. Macie syna! Syna!

Chciała, by kobieta, która nadal zamierzała odgrywać Markizę, wróciła do rzeczywistości.

- To dopiero była niespodzianka.

- To dziecko Thane'a, a ty nic mu nie powiedziałaś. Nie mogę uwierzyć!

- Nie... ja nie wiedziałam, co robić. Nie chciałam być uwiązana, zwłaszcza po tym, jak straciłam dziecko Mitcha... Miałam dość małżeństwa z Thane'em. Chyba nie muszę ci mówić, że nie ma bardziej samotnej osoby niż ta, która poślubi niewłaściwego człowieka.

Maggie nie mogła się z tym nie zgodzić. Czuła to samo, gdy była żoną Deana.

- Chodźmy, musimy już iść.

Podniosła torbę z ubraniami Marii Teresy. Gdzieś w oddali słychać było wycie syreny. Ocierając rękawem łzy. Maria Teresa wzięła od Maggie torbę i ruszyły w stronę wyjścia.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś i nie powiedziałaś, że masz kłopoty finansowe?

- Nie mogłam. To ja miałam być tą, która robi zawrotną karierę, uwodzi facetów i ma pieniądze. Nie potrafiłam przyznać się do porażki. Nie przed tobą. Gdyby nasz plan się powiódł i widzowie zainteresowali się moim losem, mogłabym dyktować warunki albo przenieśćabym się gdzie indziej. Może wróciłabym do filmu. Może napisałabym książkę. Nawet pomyślałam, że mi w tym pomożesz. Ale byłam zła na Thane'a. Chciałam, żebyś tu przyjechała i była świadkiem mojego triumfalnego powrotu.

- Byłam śmiertelnie przerażona. Myślałam, że nie żyjesz.

- Wiem, wiem, ale gdybym się z tobą nie skontaktowała, w końcu uznałabyś, że naprawdę nie żyję.

- To dlaczego przestałaś się odzywać? - zapytała gniewnie Maggie. - Przeszłam prawdziwe piekło.

- Musiałam zachować pozory.

- Nie wiedziałam, że potrafisz tym sterować.

- Nie potrafię. To kwestia przypadku. Zdaje się, że to działa, gdy się boję, gdy podnosi się poziom adrenaliny, sama nie wiem. O Jezusie, daj już spokój. Straciłyśmy sporo czasu.

Pospiesznie wyszły z domu i podbiegły do samochodu.

- Musisz porozmawiać z Thanem, czy tego chcesz, czy nie - powiedziała Maggie, siadając za kierownicą.

Opowieść siostry zmroziła jej krew w żyłach. Maria Teresa była taka wyrachowana, samolubna, ale nadal była jej siostrą bliźniaczką. Na zewnątrz były identyczne, w środku różne jak noc i dzień.

Przekręciła kluczyk w stacyjce.

- Co u diabła?

- Co się dzieje? - zapytała Maria Teresa, rozglądając się w ciemności.
W oknach sąsiednich domów paliło się ciepłe światło.

- Nie wiem.
Spróbowała jeszcze raz. Samochód ani drgnął.

- To śmieszne.
- No, dalej, zapalaj.
- Przecież widzisz, że próbuję!
Kolejny raz przekręciła kluczyk. Bez rezultatu.

- Nie mamy czasu. Musimy zaryzykować i wziąć jeden z moich - nalegała Maria Teresa.
Maggie nie chciała się zgodzić, wietrząc w tym jakiś podstęp. Do tej pory wynajęty wóz spisywał się bez zarzutu. Przez cały dzień nie sprawiał żadnych problemów.

- Chodźmy do sąsiadów.
Maria Teresa nie słuchała. Złapała swoją torbę i pobiegła do domu. Otworzyła drzwi i weszła do środka. Maggie miała złe przeczucia, ale podążyła za siostrą.

- Zaczekaj, M.T.
Tym razem Maria Teresa zapaliła światło.

- Poczekaj chwileczkę - powiedziała do Maggie. - Nikt nie zauważy, a nawet jeśli, nas już nie będzie.
Otworzyła szafkę przy drzwiach, w której zwykle trzymała klucze.

- O, już mam... co jest, do cholery? Gdzie klucze?
- Jak to gdzie klucze?
Maria Teresa zmarszczyła czoło. Widać było, że jest wystraszona.

- Był tu dodatkowy komplet. O Boże, to na pewno Wade. Musiał je zabrać.
- A gdzie są twoje? - zapytała Maggie, ale przypomniała sobie, że torebka Marii Teresy została w jeepie.
- Chodźmy... albo nie, wezwę taksówkę - sięgnęła po telefon.

W tym momencie Maggie usłyszała za plecami czyjeś kroki. Odwróciła się i zobaczyła Evelyn Lawrence we własnej osobie. Szła korytarzem w stronę garażu.

- Evelyn! - krzyknęła Maria Teresa.
- Wiedziałam, że się tu pojawisz.
Evelyn nie uśmiechała się. W jej oczach malował się smutek. Potrząsając głową powiedziała:

- Odlóż słuchawkę, Maggie. Miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie.
Maggie zrobiła krok do przodu, gdy nagle zauważyła, że Evelyn trzyma w dłoni mały pistolet.

- Nie trzeba było się stamtąd ruszać. Markizo.
- Zostawiłaś mnie na pewną śmierć.
- Zamierzałam po ciebie wrócić.
- Akurat!
Evelyn westchnęła.

- Musiałam zdobyć dla ciebie więcej proszków. Inaczej samobójstwo nie wyglądałoby naturalnie.
- I tak nic by z tego nie wyszło. Nie wykręciłabyś się z tego.
- Nikt mnie z tym nie kojarzył - powiedziała w zamyśleniu. - Mój plan był doskonały. Tylko Renee spanikowała.
- Zabiłaś ją - powiedziała Maria Teresa.
- Nie miałam wyboru.
- Ale dlaczego? - dopytywała się Maggie. - Zabiłaś ją dla pieniędzy...
- Dla pieniędzy, tak sądzisz?
Nie patrzyła na Maggie. Wbiła wzrok w Marię Teresę.

- A co innego? - zapytała M.T.
W jej oczach widać było niepokój.

- Zgadnij.
Maria Teresa przełknęła ślinę.

- Thane nie był jedynym mężczyzną, jakiego twoja siostra odbiła innej kobiecie, prawda Mario?
Evelyn zrobiła krok do przodu.

- Och Evelyn, nie...
Maria była blada jak kreda.

- Robby Inman nie był jedynym, który się w tobie kochał. Pamiętasz go, Maggie? To zięć Syda Gillette, wspominałam ci o nim.
Evelyn mówiła głośno i wyraźnie. W jej oczach lśniły łzy. Nagle Maggie wszystko zrozumiała.
Evelyn westchnęła i wymierzyła pistolet w Marię Teresę.

- Mój drugi mąż, Scott, mnie uwielbiał. Uważał, że jestem darem z niebios. Aż kiedyś spotkał twoją siostrę.
Stała w pełnym świetle. Wydawała się dużo starsza niż była w rzeczywistości. Mierzyła z pistoletu do Markizy.

- Najgorsze jest to, że ten romans nic dla ciebie nie znaczył. Bawiłaś się Scottem. Ukradłaś mi go. Powinnaś cię

wtedy zostawić w spokoju, odejść, ale nie mogłam. Byłaś moją jedyną klientką. I to taką sławną. Nawet nie wiesz, jak długo nienawidziłam siebie za moją słabość. Trzymałam się ciebie, choć ty ukradłaś mi męża.

Maggie była wstrząśnięta. Oczy Marii Teresy robiły się coraz większe. Była biała jak papier.

- Nie słuchaj jej. Mag - nalegała.

- Założyłaś MER tylko po to, by jakoś uciszyć wyrzuty sumienia - mówiła dalej Evelyn. - Wiesz co, mam świetny pomysł, jak to wszystko zakończyć.

- Co? - zapytała nerwowo Mary Teresa.

- Wiem, jak posprzątać ten bałagan.

- Maggie, musimy coś zrobić. Ona nas zabije. Weź nóż! Nie... Evelyn, to głupie. Porozmawiajmy. Zaczekaj...

Evelyn patrzyła na Markizę, która próbowała ją powstrzymać. Stojak z nożami był bardzo blisko. Maggie z bijącym sercem przysunęła się do lady.

- Będzie tak, jak postanowiłam. - Podniosła pistolet.

Powstrzymaj ją! Teraz!

Maggie wykonała gwałtowny ruch do przodu. Padł strzał. Evelyn jęczała z bólu. Kula przeszła jej ramię.

*

- Zostań tu - rozkazał Thane, gdy podjechali pod dom Markizy.

- Nie ma mowy.

Becky nie zamierzała słuchać jego rozkazów.

- Nie kłóć się ze mną. To może być niebezpieczne.

- I co z tego?

Nie przestraszyła się. Thane ją rozumiał. Dziewczynka ukradła pieniądze i przyjechała do Kalifornii, by być razem z matką.

- Nie wiem, co się tam dzieje. Becky, proszę, zaczekaj tu chwilę, zaraz po ciebie wrócę.

Wysiadł z furgonetki, zastanawiając się, czy nie ma jakiegoś sposobu, by ją zamknąć bezpiecznie w samochodzie. Wiedział, że jego wykład o dojrzałości, poczuciu obowiązku i słuchaniu starszych nie przyniósł rezultatu.

Ruszył w kierunku domu. Dla pewności obejrzał się za siebie i pogroził jej palcem.

I wtedy padł strzał. Rozległ się kobiecy krzyk.

Rzucił się w kierunku drzwi. Pędził korytarzem, a przez głowę przebiegały mu najgorsze myśli. Serce pękało ze strachu i gniewu.

- Maggie! Na rany Chrystusa! Maggie! - krzyczał jak opętany. Serce waliło mu jak młot. Strach pomieszany z furją pchał go do przodu.

- Thane... nie zbliżaj się! - krzyknęła przerażona Maggie.

Żyła.

- Wynoś się stąd - odezwał się obcy kobiecy głos.

Biegł dalej. Za plecami słyszał czyjeś kroki. Za oknem odezwały się syreny.

- Mama? - powiedział dziecięcy głos.

- Becky? O Boże, nie! - wołała Maggie. - Nie podchodź, na miłość boską... Thane, zabierz ją stąd! Natychmiast!

- Zamknij się! - rozkazała kobieta.

Thane był już w kuchni. Zobaczył zakrwawioną Evelyn z pistoletem w dłoni. Odwróciła się, jej twarz była zupełnie szara. Mierzyła w jego kierunku.

- Nie!

- Mamo!

Do kuchni wbiegła Becky. Thane złapał ją i nie puszczał.

- Becky, wyjdź stąd! - krzyknęła Maggie i natarła na zalaną krwią kobietę.

Evelyn odwróciła się. Ręce jej drżały. Mierzyła w Thane'a i dziewczynkę.

- Nie, Boże, nie!

To Maria Teresa rzuciła się między Thane'a i Evelyn. W tym momencie pistolet wypalił. Maria Teresa z przeraźliwym krzykiem osunęła się na podłogę. Thane popchnął małą na kanapę. Evelyn znów wymierzyła. Thane zbliżał się do niej. Pistolet z hukiem eksplodował. Poczul ból. Zdawało mu się, że cały płonie. Powalił kobietę na ziemię. W oczach zrobiło mu się ciemno.

- Thane, nie! Nie! - płakała Maggie.

Cały świat wirowało mu przed oczami, ale nie puszczał kobiety, która wyla się pod jego ciężarem, przymierzając się do kolejnego strzału. Thane przymknął na chwilę oczy. Usłyszał kroki i ostre męskie głosy.

- Stać! Policja!

Policjanci byli już przy Thanie, gdy Evelyn przyłożyła pistolet do głowy i wystrzeliła. Becky zaczęła krzyczeć. Maggie rzuciła się w kierunku kanapy, na której siedziała córka. Dziewczynka cała drżała.

- Już dobrze, kochanie, wszystko będzie dobrze.

Przytuliła ją i kołysała. Jak przez mgłę widziała wchodzącego do kuchni detektywa Hendersona. W powietrzu unosił się zapach krwi i rozgrzanego metalu.

- Cholera, co za pobożowisko - powiedział. - Wezwijcie pogotowie - rozkazał policjantowi w mundurze.
- Już jedzie.
Do mieszkania wtargnęło dwunastu uzbrojonych ludzi. Natychmiast zajęli się udzielaniem pierwszej pomocy rannym. Maggie nie wiedziała, czy ma tulić swoje dziecko, kochanka czy siostrę. Po policzkach płynęły jej łzy. Boże, pozwól im żyć. Pozwól im żyć, błagała.
- Ona jeszcze żyje. Kto to, u diabła, jest?
- To Evelyn Lawrence - odpowiedziała chłodno Maggie.
Patrzyła, jak Evelyn tonie we własnej krwi, jak przez popękane okulary spogląda w sufit.
- To... to ona stała za tym wszystkim. Nawet strzeliła do siebie... chyba po to, żeby zrzucić podejrzenia na nas.
- Uratowała mi życie - powiedziała Becky, patrząc na Markizę. Maria Teresa leżała na podłodze w kałuży krwi. Obok niej kręcili się rozgorączkowany sanitariusze. Próbowali zatamować krwotok i założyć jej maskę tlenową. Maggie, nie wypuszczając córki z objęć, przysunęła się do Thane'a.
- Proszę zabrać stąd dziecko - warknął Henderson.
- Tak jest - odpowiedziała jego partnerka.
Uśmiechnęła się do dziewczynki i podała jej rękę.
- Jestem Hannah, a ty pewnie jesteś Becky.
- Mamo...
- Już dobrze, kochanie.
- Chodźmy do pokoju obok.
Hannah wyprowadziła dziewczynkę z kuchni.
- Zaraz do ciebie przyjdę - obiecała Maggie.
Maggie, kocham cię. Wiesz o tym, prawda?
Sanitariusze położyli Marię Teresę na noszach.
- O Jezu, to ta babka z telewizji!
- Muszę z nią porozmawiać - zażądała Maggie.
- Ona pani nie słyszy. Zanieście ją do karetki!
Żegnaj Maggie...
- Nie!
Jestem taka zmęczona... Ja...
- Pospieszcie się - ponaglał jeden z sanitariuszy.
- Nie! Nie! - zrozpaczona Maggie nie puszczała noszy.
Czyjeś silne ramiona odciągnęły ją na bok.
- Wszystko będzie dobrze, Mario Tereso, słyszysz mnie? Trzymaj się!
Płakała, zanosiła się szlochem. Wiedziała, że Maria Teresa umiera. Ból i rozpacz rozdzierały jej serce.
- Cholera, zaraz ją stracimy! - Sanitariusze pobiegli z noszami w stronę karetki.
Maggie wiedziała, że straciła siostrę. Na zawsze.
- Zabierzcie ją stąd - powiedział Henderson. - Niech ją zbadają, czy ma jakieś obrażenia. To może być szok...
- Nigdzie się stąd nie ruszę!
Maggie była stanowcza.
- Thane?
Upadła na kolana obok Thane'a, którym zajmował się inny sanitariusz.
- Stracił przytomność.
- Zabierzcie go do karetki.
Jej serce przepełnił śmiertelny strach.
- Muszę być przy nim.
- Jest nieprzytomny.
- Nie szkodzi. Pozwólcie mi z nim jechać. Thane, słyszysz mnie? Kochany... Thane... kocham cię...,
Wydawało jej się, że usta mu drgnęły, ale nie była pewna. Był taki blady i krwawił. Ktoś okrył jej ramiona kocem. Podeszła do córki i w milczeniu zaczęła się modlić tak gorąco, jak nigdy dotąd.
- Nie mogę go teraz stracić. Drugi raz tego nie przeżyję.
Ale wiedziała, że jego życie nie leży w jej rękach.

*

Gdzieś w oddali słyszał jej głos.

- Thane, słyszysz mnie? Kochany...

Kochany? Czy to głos Maggie?

Jego ciałem targał ból. Ostatnim wysiłkiem spróbował otworzyć oczy. Oślepiło go jaskrawe światło.

- Thane? Otwiera oczy! Becky, zobacz. O Boże, Thane, już myślałam....

Płakała. Głos jej się łamał, gdy mówiła przez ściśnięte gardło.

- Maria Teresa nie żyje... ale ty... och, proszę.

Jeszcze raz spróbował otworzyć oczy. Przez mgłę zobaczył jej twarz. Uśmiechała się. Jej łzy kapały mu na twarz.

- Śmiertelnie mnie przeraziłeś - powiedziała, pociągając nosem i śmiejąc się jednocześnie. - Myślałam, że znowu cię utraciłam. Nie zniósłabym tego.

Poczuł jej dłoń. Była ciepła, w przeciwieństwie do metalowej ramy szpitalnego łóżka. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć głosu.

- Maggie... - wyszeptał z trudem.

- Tak, najdroższy.

- Czy...

- Czy co?

- Nie... płacz...

- Nie mogę przestać.

- Tak długo... wystarczy... powiedz, że... że za mnie wyjdiesz.

Westchnęła i rozplakała się jeszcze rzewniej.

- Co? Wyjść za ciebie? Zwariowałaś? Bez ciebie nigdzie stąd nie wyjdę - uśmiechnęła się łagodnie. - Tym razem mi nie uciekniesz.

- Nie zrobiłbym tego. Kocham cię - powiedział, zanim znowu stracił przytomność.

- Ja też cię kocham, kowboju, więc nie wygłupiaj się i nie umieraj, słysz? Kocham cię!

Epilog

*Wigilia Bożego Narodzenia
Settler's Ridge, Idaho*

...a śnieg niech pada, pada, pada...

Z radia cicho sączyły się świąteczne melodie, gdy Maggie ukradkiem wsuwała pod choinkę wyjątkowy prezent. Uśmiechnęła się widząc, że w ich ślubnym zdjęciu odbijają się choinkowe światełka.

Kto by pomyślał? Nigdy nie marzyłam, że jeszcze raz wyjdę za męża. Że ja i Thane założymy rodzinę.

Podeszła do okna i z rozczuleniem patrzyła jak Becky i Thane pokonują zaspę. Nakarmili konie i wracali do domu. Za nimi biegł Barkley i zawzięcie szczeakał.

Maria Teresa nie przeżyła. Evelyn siedziała za kratkami i czekała na proces. Została oskarżona o zabicie Markizy i Renee Warner Nielsen. Wydawca Markizy stawał na głowie, by nakłonić Maggie do napisania książki o życiu i tragicznej śmierci siostry, ale ona nie była jeszcze gotowa. To było takie smutne: Markiza, która całe życie zabiegała o sławę, zyskała ją po śmierci. Jej zdjęcia nadal ukazywały się w prasie. Ciągłe spekulowano na temat jej życia prywatnego. Amerykanie nie mogli się nasycić plotkami o niej.

Maggie odnalazła swoje szczęście w Idaho, z dala od krewnych Deana. Becky chodziła tu do szkoły. Miała nawet pierwszego chłopaka. Był to miły, spokojny dzieciak, nazywał się Austin Peters. Jim i Connie przestali zabiegać o prawo do rozporządzania jej funduszem.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wpadł Barkley. Zaczął się otrząsać ze śniegu wprost na ukryte pod małą choinką prezenty.

- A może pojedziemy na święta do Cheyenne? - podpuszczał Thane.

- A może do Rio Verde? - odgryzła się Maggie.

Postanowili zostać tutaj. Do czasu, gdy Thane wykuruje się po postrzale. Miał złamane dwa żebra i poważnie uszkodzoną wątrobę. Na wiosnę zdecydują, czy powinni się gdzieś przeprowadzić. Wiele zależało od jego syna Ryana, którego niedawno odnalazł. Jego przybrani rodzice, Vera i Bill Brownowie, pozwolili chłopcu spędzić wakacje z rodzonym ojcem. Thane przekonał ich, że nie zamierza odbierać im syna. W lecie obaj pojadana ryby. Będą chodzić po górach.

Tak, życie zdecydowanie stało się spokojniejsze. Becky i Thane zaczęli się do siebie przyzwyczajać, choć zdarzały się jeszcze zatargi.

- Uparte osły - mówiła o nich Maggie.

Becky poszła do swojego pokoju. Chciała zadzwonić do Austina. Thane widząc, że zostali sami, przyciągnął Maggie do siebie.

- Dziś w nocy zrobmy to pod choinką. Co ty na to? - zaproponował.

- Ty, kaleka, na podłodze? - droczyła się z nim.

- Chcesz się przekonać?

- A powinnam?

- Z całą pewnością.

Pocałował ją namiętnie, aż zaparło jej dech w piersiach. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek znudzi się tym mężczyzną? Niemożliwe. Zawsze był i będzie taki podniecający.

Usłyszała radosny śmiech córki. Rozmawiała ze swoim chłopakiem.

- Mam dla pana prezent, panie Walker - powiedziała, sięgając pod drzewko, by wydobyć maleńką paczuszkę. - Otwórz.

- Teraz?
- Mhm.
Patrzył na nią ze zdziwieniem i odpakowywał prezent. W środku była para malusieńkich bucików. Nie poruszył się. Nie powiedział ani słowa.
- Przydadzą się w przyszłym roku.
Uśmiech rozpromienił mu twarz. Popatrzył na swoje bose stopy i powiedział:
- Chyba trochę za małe.
- Tak? - żartowała. - Nie dowiesz się, dopóki nie spróbujesz, kowboju.
Położył rękę na jej brzuchu.
- Kochanie, czy chcesz powiedzieć...
- Mam same dobre wiadomości.
Objął ją w pasie i pocałował.
- Wesołych świąt.
- Wesołych świąt - odpowiedział z szelmowskim uśmiechem. - A co się tyczy... no wiesz... ty i ja pod choinką... nie wymigasz się.
- Chyba we śnie, kowboju.
- Oczywiście - puścił do niej oczko. - I w twoim też.

Podziękowania

Serdeczne podziękowania dla wszystkich, którzy pomagali w powstawaniu tej książki, a zwłaszcza dla Ann Baumann, Nancy Bush, Matthew Crose'a, Michaela Crose'a, Alexis Haringhton, Sally Peters, Tess O'Shaughnessy, Dave'a Paintera, Johna Raya, Robina Rue, Johna Scognamiglio, Joan Seny, Carla Simpsona, Celi Stinson i Lary'ego Sparksa. Waszej pomocy, cierpliwości i poczucia humoru nie można przecenić.